

GIL McNEIL

**MÓJ
MAŁY MEŹCZYŻNA**

**Przekład
Alicja Marcinkowska**



1. Zapiski z wiejskiej kuchni

Poniedziałek rano. Wszystkie moje dobre intencje przygotowania zdrowej owsianki i rozkoszowania się spokojnym śniadaniem wyfruwają przez okno, kiedy budzę się i odkrywam, że jest dziesiąta dwadzieścia. Wskakuję z krzykiem z łóżka i uderzam stopą o szafę. Kuśtykam do kuchni, by przekonać się, że jest czwarta rano. Widocznie Charlie bawił się moim budzikiem. Nie pierwszy raz. Wlokę się z powrotem do łóżka i przestawiam zegarek, by nie dostać zawału, kiedy znów na niego spojrzę.

Kiedy budzę się po raz drugi, jest siódma piętnaście, ale ja czuję się tak, jakbym potrzebowała jeszcze z osiem godzin snu. Na dodatek boli mnie noga. Przez kolejne okropne pół godziny wysłuchuję Charliego, który ze złością mamrocze spod kołdry, że zostały pogwałcone jego prawa jako istoty ludzkiej i że mam mu pozwolić spać. W końcu ściągam go na dół, jeszcze w piżamie, i obiecuję mu pół godziny kreskówek, jeśli zje śniadanie. Charlie zgadza się, usadawia na kanapie, po czym i tak odmawia zjedzenia czegokolwiek.

- Kochanie, nie bądź niemądry, wiesz, że musisz coś zjeść, a płatki są zdrowe. Idziesz do szkoły i powinieneś zjeść porządne śniadanie.

- W porządnym śniadaniu jest bekon albo kiełbasa. Dlaczego nigdy nie jemy na śniadanie kiełbasek? James je kiełbaski.

- Na pewno czasami je płatki.

- Nie je. Zawsze je kiełbaski. Na drugie śniadanie też. Dlaczego ja nie mogę dostawać kiełbasek do szkoły? Nienawidzę kanapek z indykiem. To okrutne dla indyków.

- Kiełbaski też nie są dobrodziejstwem dla zwierząt.

- Właśnie że są. Robi sieje ze starych zwierząt, które i tak by już umarły, a indyki są młode i mogą mieć dzieci i w ogóle. Ale ucina im się głowy, zanim zdążą.

- Słuchaj, bierz się za jedzenie, zanim się naprawdę zezłoszczę.

- Jesteś okropna. To nieładnie, mamusiu.

- Owszem, ale nieładnie jest też marudzić co rano. A teraz się pośpiesz, bo się spóźnimy. Masz zjeść płatki. Już.

- Nie zmusisz mnie. Nie chcę płatków. Wyglądają jak rzygi.

Na szczęście jego uwagę odwraca nowy listonosz, Dave. Skrada się z niepewną miną po podjeździe, bo w zeszłym tygodniu Charlie wybiegł mu na powitanie ubrany wyłącznie w majtki i pelerynę Supermana. Dave próbował przyłączyć się do zabawy i zapytał Charliego, czy umie latać, na co mój syn wdrapał się błyskawicznie na drzewo w ogródku od frontu i zaczął odliczanie do startu. Biedny Dave cisnął pocztę na ziemię i zaczął biegać wokół pnia z wyciągniętymi ramionami ciężko przerażony. Ściągnięcie Charliego z drzewa zajęło mi dziesięć minut; przez ten czas zdążył prawie zamarznąć. Nie wiem, dlaczego listonosze w tej okolicy upierają się, żeby nazywać ich po imieniu, ale tak właśnie jest. To pewnie jeden z miłych wiejskich zwyczajów. Charlie podskakuje przy oknie jak nakręcana zabawka. W końcu Dave wsiada bezpiecznie do swojej furgonetki i wycofuje z piskiem z podjazdu, a Charlie, zapomniawszy o naszej wcześniejszej kłótni, zjada owsiankę, rozlewając zaledwie pół kartonu mleka na dywan w salonie.

Jeszcze trochę i naprawdę się spóźnimy, więc daruję sobie przyjemność obserwowania, jak przez piętnaście minut wkłada skarpetki i ubieram go sama.

- Mamusiu umiem się ubrać.

- Wiem, ale się śpieszymy, kochanie, a poza tym lubię ci pomagać.

- Ale nie upychaj mi tak mocno koszulki w spodnie; chłopcy nie noszą wpuszczonych koszulek.

- Oczywiście, że noszą, kochanie, bo inaczej marzną im brzuchy.

- A właśnie, że nie noszą. James nigdy nie ma wpuszczonej koszulki.

Nie po raz pierwszy czuję, że nienawidzę Jamesa, który zawsze, w każdej domowej dyskusji przywoływany jest jako najwyższy autorytet. W końcu ruszamy do samochodu, z tornistrem, pudełkiem śniadaniowym i ekwipunkiem na basen. Kiedy próbuję zamknąć kuchenne drzwi i nie upuścić przy tym jego śniadania,

Charlie biegnie zerknąć na króliki, Buzza i Woody'ego, w klatce w ogródku za domem.

- Cześć, jak się dzisiaj macie? - Odpowiedzią jest milczenie i odgłosy gwałtownej szamotaniny.

- Mamusiu, króliki się seksują. Skoro oba są chłopcami, to znaczy, że są gejami?

Nie radzę sobie z tego typu rozmowami o tak wczesnej porze.

- Oczywiście że nie, one się tylko bawią.

Natychmiast wpadam w panikę, że wpajam synowi seksualne stereotypy.

- A poza tym to przecież w porządku, gdyby były gejami - dodaję, łapiąc go mocno za kaptur wiatrówki i ciągnąc chodniczkiem.

Charlie wygląda na przerażonego.

- Nie, nie w porządku. Ja chcę, żeby miały dzieci; byłoby fajnie mieć małe króliczki. Moglibyśmy założyć farmę, a poza tym nie chcę królików - gejów, chcę takie, jak trzeba. Puszczaj mój kaptur, dusisz mnie!

Wykonuję bardzo udaną parodię postaci szalonego policjanta z *Withnail i ja*, wrzeszcząc raz po raz piskliwym, nosowym głosem:

- Włącz do samochodu! Włącz do samochodu!

W tej chwili podjeżdża mleczarz, Ted, jak zwykle w najbardziej odpowiednim momencie, i blokuje podjazd swoim elektrycznym wózkiem. Z sarkastycznym uśmiechem zaczyna rozwlekle tłumaczyć, dlaczego znów się spóźnił. Udaje mi się opanować nieprzepatą chęć rozkwaszenia mu nosa. Pomijając prawne konsekwencje, zdaję sobie sprawę, że rozwożenie mleka na wsi to nie żarty. Ted musi objechać jakieś pięćset kilometrów i czasami zjawia się dopiero w porze podwieczorku. Wpycham Charliego do samochodu i szczerzę zęby w sztuczny uśmiech. Ted wycofuje się pośpiesznie do swojego wózka - bardzo rozsądnie. Ruszamy za nim uliczką z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, zatrzymując się przy dwóch domach, do których dostarcza mleko. W końcu dojeżdżamy do szerszego odcinka drogi i wymijamy Teda. Natychmiast dodaję gazu, trochę gwałtowniej, niż miałam zamiar. Przyspieszenie, jakiego zwykle doświadczają wyłącznie piloci myśliwców, wciska Charliego w fotel. Podeksycytowany i przerażony jednocześnie, Charlie zaczyna wykład o bezpieczeństwie na drodze.

- Gdyby **przez** jezdnię przechodził jeź, nie miałby żadnych szans. Jeże nie potrafią biegać. Powinnaś bardziej uważać.

- Jeże nie wychodzą w dzień, kochanie. Śpią. Uspokój się.

- Chory jeź mógłby nie spać; mógłby mieć zły sen i wyjść na spacer, nigdy nie wiadomo.

- Wiadomo. A poza tym nie przejechaliśmy jeża. Popatrz, jesteście już prawie w szkole i nic się nie stało.

Najważniejsze, żebyśmy nie zaczęli się klócić w chwili, kiedy już dojeżdżamy do szkolnej bramy. W przeciwnym razie wyciągnięcie Charliego z samochodu będzie wyjątkowo trudnym zadaniem.

- Obiecuję, że w drodze do domu będę jechała pomalutku, a jeśli spotkam jakieś jeże, które miały złe sny, zabiorę je do domu i dam im pić.

Charlie nie jest pewien; prawie daje się już udobruchać moją obietnicą, kiedy nagle przypomina sobie cholernego *Błękitnego Piotrusia* i złowieszcze ostrzeżenia, by nigdy nie dawać mleka jeżom, bo pękną. Zaczyna recytować długą listę zaleceń, co mam zrobić z przeróżnymi dzikimi zwierzętami w potrzebie, które mogą napotkać na drózkach hrabstwa Kent. Wkrótce dociera do pand. Tłumaczy mi właśnie, jak ważne jest znalezienie świeżych pędów bambusa, kiedy zauważa Jamesa. Przerywa natychmiast swoją prelekcję na temat zagrożonej dzikiej zwierzyny i razem z kolegą wesoło drepcze do szkoły.

Budynek szkolny ma ponad dwieście lat, a dwie nauczycielki, w tym wychowawczyni Charliego, pani Pike, pracują tu od tak dawna, że uczyły nawet niektórych rodziców obecnych uczniów. Nie jest to może wybitna placówka, ale panuje w niej przemiła, swobodna atmosfera. To bardzo ważne, kiedy ma się sześć lat. Czasami martwię się, że Charlie nie otrzymuje tu należytej edukacji: szkoła jest multietniczna wyłącznie z nazwy, a zapoznanie z tradycjami innych narodów polega na przynoszeniu porów na dzień świętego Dawida. Ale wyprowadziłam się z Londynu głównie po to, żeby Charlie mógł chodzić do małej wiejskiej szkoły, jak ja, a nie do wielkiej dzielnicowej podstawówki, do której został skierowany. Kiedy poszłam tam na dni otwarte dla rodziców, dwa razy się zgubiłam. A poza tym niedogodności miejskiego życia zaczynały dawać mi się we znaki. Miałam powyżej uszu cocięcej bitwy o miejsce parkingowe; zaczęłam już nawet fantazjować, że wychodzę z pracy wcześniej i parkuję samochód na mojej ulicy, a nie sześć przecznic dalej.

Po niezliczonych weekendach spędzonych na objeżdżaniu wiosek w Kent, oglądaniu paskudnych bungalowów i wpychaniu słodyczy w Charliego, żeby był cicho, wyładowaliśmy w Marhurst, pod Whitstable. Mieszkamy w jednym z czterech domków przy maleńkiej uliczce, tuż za granicami wsi. W ogródku od frontu mamy jabłonkę. Jabłka rosną na niej co prawda miniaturowe, bo to dzika jabłoń, ale kupując dom, nie wiedziałam o tym. We wsi jest sklep i pub, a do mamy i taty jedzie się raptem jakieś pół godziny. Mamy trzy sypialnie i wielki pokój do zabawy dla Charliego, i to wszystko za mniej niż połowę londyńskiej ceny. Możemy teraz chodzić na spacer do lasu zamiast dreptać po miejskich parkach, między biegaczami i szalonymi rowerzystami. Nie jest to do końca wioska jak z obrazka, ale w pobliżu Londynu, gdzie ciągle pracuję, trudno o coś lepszego.

Przyglądam się, jak dzieci wchodzą rządkami do klas, podskakując i brykając, i nie po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że trudno wyobrazić sobie gorszy zawód niż nauczyciel w koedukacyjnej zerówce. Wracając do samochodu, spotykam matkę Jamesa, Kate. Wygląda na równie zmaltretowaną jak ja. Umawiamy się na kawę.

Wracam do domu, gdzie czeka na mnie wielka góra prasowania, którą ignoruję. Podobnie jak zmywanie. Udaje mi się przezwyciężyć pokusę, by klapnąć przed telewizorem; idę na górę, do zapasowej sypialni służącej mi jako gabinet i siadam do swoich rachunków. Zaczynam zabawiać się arkuszami kalkulacyjnymi i udaje mi się wcisnąć jakieś tajemnicze polecenie, które zamienia mi jeden arkusz w cztery oddzielne, a na dodatek zupełnie pomieszczone. Nie potrafię przywrócić tego cholerstwa do normalnego stanu, więc zniechęcona daję sobie spokój i schodzę na dół, żeby zjeść parę ciastek. Orientuję się, że jestem spóźniona na kawę, wybiegam więc z domu. Ruszam z piskiem, powtarzając mój wcześniejszy wyczyn, i o mały włos nie rozjeżdżam kota sąsiadów.

Przyjeżdżam do domku Kate i zastaję ją w kuchni, w gumiakach - walczy z pralką, która właśnie wylała na podłogę kilkanaście litrów wody. Pomagam jej pościierać, po czym Kate nalewa dwa dziny z **tomkiem**. Prawdę mówiąc, jestem tym trochę zbulwersowana, ale usprawiedliwiam jącałkowicie, kiedy wyjaśnia mi, że awaria pralki to jeszcze najmniejsze z jej zmartwień. James upiera się przy diecie kiełbasianej, co oznacza konieczność kupowania bardzo drogiej, ekologicznej kiełbasy, żeby nie zjadał **Bóg**

wie jakich świństw w tanich kielbasach masowej produkcji. Jej córka, Phoebe, została wegetarianką i chce sobie przekłuc język, ale Kate się nie zgadza, jako że mała ma dopiero osiem lat. A jej byty mąż, Phil, przesta! płacić alimenty, bo jego dziewczyna właśnie urodziła dziecko i użyła jego kart kredytowych, by kupić wyprawkę w najlepszych sklepach, w związku z czym bank zamroził mu konto.

Na szczęście rodzice Kate są bajecznie bogaci i nieustannie podtykającej spore sumy. Nie cierpieli Phila i teraz matka wciąż wypomina jej ten wielki błąd. Od niedawna zaczęła nawet wydawać prośzone kolacje, na które wszyscy jej okropni, dobrze urodzeni przyjaciele przyprowadzają swoich nieżonatych synów, by ich przedstawić Kate. Ostatni był tak nudny, że Kate zasnęła nad talerzem. Matka była wściekła; udając, że zbiera filiżanki po kawie nakapałajęj na dłoń gorącego wosku ze świecy.

- A jak ci się udał wczorajszy rodzinny obiadek?

- Coś okropnego, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Boże, ona jest coraz gorsza. Przez pół godziny truła Phoebe o niebezpieczeństwach wegetariańskiej diety. Powiedziała jej, że dostanie krzywicę i będzie miała szpotawe nogi, jeśli nie będzie jadła wołowiny. Ale kiedy ja powiedziałam Jamesowi, żeby nie rzucał marchewki psom, kazała mi zostawić go w spokoju i przestać go tyranizować. A na dokładkę ciotka Marjorie wpadła na herbatę.

- O Boże.

- Tak. I świetnie się bawiła. Wygłosiła długie kazanie, jakie to okropne są niepełne rodziny. Mówię ci, o mało jej nie walnęłam. Cholerna stara wiedźma. Ale kiedy zaczynasz się bronić, wychodzisz na jakąś harpię.

- Wiem. Kiedy rejestrowaliśmy się u lekarza, kobieta w recepcji dostała ataku szału, bo nie wypełniłam rubryki „Dane ojca”. Pouczyła mnie szczegółowo, że pan doktor może ich potrzebować w jakimś nagłym wypadku. Kiedy zapytałam, jaki nagły wypadek może wymagać zawiadamiania człowieka, który nawet nie widział Charliego na oczy, dosłownie się wściekła i palnęła mi kolejną mówkę na temat Młodych Kobiet w Dzisiejszych Czasach. Zaczęła się na dobre rozkręcać, kiedy z zaplecza wyszła ta miła, wiesz, ta z krótkimi, siwymi włosami, w okularach.

- O tak, ta jest fajna.

- No. Zapytała: „O co chodzi?”, a pani Hitler zaczęła wszystko od początku. W poczekalni było pełno ludzi, mieli niezły ubaw.

Już chciałam dać jej w twarz, kiedy ta miła powiedziała: „Dosyć. Mavis\ a potem do mnie: „Bardzo przepraszam za to wszystko; zaczęła właśnie brać hormony i zdaje się, że nie dobrał i jej jeszcze właściwej dawki”.

- Och, genialnie.

- Tak, to było niezłe.

- Ale widzisz nikt nie podejdzie do takiej baby jak ciotka Marjorie i nie powie: „Słuchaj, nie cierpisz swojego męża i tak naprawdę zależy ci tylko na pieniądzach, więc nie rodź dzieci, tylko hoduj psy. Będziesz je mogła przynajmniej pozamykać w klatkach, kiedy ci się znudzą, zamiast wysyłać je do szkoły z internatem”. Mój kuzyn George jest kompletnie do niczego przez tę cholerną staruchę, ale nikt nie ośmielił się jej powiedzieć, że jest samolubną starą torbą, która w ogóle nie powinna mieć dzieci.

- No masz rację.

- Skorwiele. - To znak, że Kate jest naprawdę wkurzona. Tak naprawdę chodzi jej o „skurwieli”, ale brzmi to właśnie tak. Bardzo często mówi też „super” i „klawo”. A gdyby ktoś spadł ze schodów i skręcił sobie kark, pewnie powiedziałaby „rety, co za pech”. Czasem robi się podobna do jakiejś karykaturalnej postaci z kreskówki. Ale mimo tej żenującej tendencji jest moją jedyną przyjaciółką we wsi. Kiedy Charlie i James zostali przyjaciółmi, musiałyśmy się polubić i my, wożąc ich w tę i z powrotem na podwieczorki i dogadując się co do podstawowych kwestii, takich jak pora snu - ponieważ jeśli Jamesowi wolno siedzieć do późna i oglądać jakiś program, można się założyć, że Charlie uprze się przy tym samym. Ale prawdziwymi przyjaciółkami zostałyśmy dopiero, kiedy odkryłyśmy naszą wspólną namiętność do fajek i dżinu.

- Ty przynajmniej wyszłaś za Phila, zanim urodziłaś dzieci. Ja muszę tłumaczyć, skąd się wziął Charlie, skoro nie jestem rozwódką, i nigdzie ani śladu jakiegoś partnera na dłuższą metę. Nie wiadomo, czy jestem tragiczną ofiarą losu, jak biedna służąca z powieści Catherine Cookson, czy lesbijką, której się poszczęściło z wibratorem.

- No tak, racja. To takie cholernie niesprawiedliwe. Ale wiesz co, myślę, że moje dzieci miałyby się o wiele lepiej, gdyby rzeczywiście powstały metodą „zrób to sam”. Charlie ma święty spokój; nigdy nie widział swojego taty, więc nie czuje się odepchnięty. A moi czują się porzuceni, tak samo jak ja.

Mówiąc to, zaczyna płakać.

- Och, Kate, przestań. Wiem, że ci ciężko, ale przecież ich kochasz i jakoś sobie z tym poradzisz. Ważne żeby mogli się widywać z Philem. Na pewno wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Tak, wiem. Ale to nie fair. To nie jest ich wina, a oni i tak myślą, że ich. To taka ciężka praca i nigdy się nie kończy. I zawsze znajdzie się jakaś stara torba, która ci powie, że jesteś potworem.

- Ja myślę, że one po prostu są zazdrosne.

- Co?

- Pomyśl tylko, gdybyś spędzała życie z jakimś starym, nudnym pierdzielem, który traktuje cię jak wycieraczkę, to nie wkurzałabyś się na kobiety, które odpuściły sobie tę przyjemność i mają na głowie wyłącznie śliczne dzieci?

- No tak, może trochę. Pewnie tak. A Roger i Sally? Wyglądają na naprawdę szczęśliwych.

- Wiem. Pewnego dnia zjawią się i nasi książęta z bajki. Ale jak na razie, masz się nieźle, ja się mam nieźle, dzieci mają się nieźle i tylko to się naprawdę liczy.

- Boże, Annie, gadasz jak jakaś cholerna terapeutka.

- No dobra, to może tak: przestań kwiczeć i zrób kawy.

- Dobra. Chcesz hobnobsa?

- Głupie pytanie.

Pijemy kawę i zjadamy całą paczkę hobnobsów. Opowiadam Kate, jakie zamieszanie wprowadził w mój poranek James i jego kielbaski. Trocheja to rozwesela i już po chwili śmiejemy się, kopcimy jak lokomotywy i planujemy wspólny wieczorny wypad w najbliższym czasie. Decydujemy się na miejscowy pub, bo przynajmniej możemy wrócić pieszo. Postanawiamy jednak ograniczyć konsumpcję alkoholu, jako że ostatnim razem zaczęłyśmy śpiewać przy akompaniamencie maszyny do karaoke, aż w końcu ktoś wyjaśnił nam, że w pubie nie ma maszyny do karaoke i że miała to być zwykła barowa muzyczka. Nagle zauważamy, że jest już prawie wpół do drugiej, a obie mamy mnóstwo zajęć. Pędzę więc zrobić jakieś zakupy, wmawiając sobie rozpaczliwie, że jazda po jednym dżinie nie liczy sięjeszczejako prowadzenie po pijanemu.

Jadąc do supermarketu, przeżywam zwykle dylematy samotnej matki: czy przez tragiczny brak męskiego wzorca Charlie wyrośnie na kokainowego dealera? I co jest ze mną nie tak, że nigdzie w okolicy nie płacze się żaden mąż, jeśli nawet niebawiący się ze mną w szczęśliwą rodzinę, to przynajmniej płacący na

utrzymanie dziecka? Jakim cudem związałam się z Adamem, który tak bardzo nie chciał zostać ojcem, że wołał wyemigrować niedługo po tym, jak odkryłam, że jestem w ciąży? Zeszliśmy się właśnie po pięcioletniej przerwie, podczas której on ożenił się z kimś innym. Pewnego wieczoru zjawił się nie wiadomo skąd i powiedział, że się rozwodzi. Twierdził, że się znudził i że to mnie tak naprawdę kocha. Miał szerokie bary i jasnoniebieskie oczy. Uwielbiał też opowiadać długie historie, którym brakowało zakończeń. Ale przecież nie można mieć wszystkiego. Kilka tygodni później okazało się, że to ja jestem ta nudna, a żona jest miłością jego życia. Zrzuciła dziesięć kilo i zrobiła sobie nową fryzurę, zeszedła się ze sobą z wielką pompą, a ja zostałam z rękaw nocniku.

Pan i Pani Land zaczęli właśnie znów bawić się w szczęśliwe małżeństwo, kiedy zadzwoniłam ze swoją elektryzującą nowiną. Adam oznajmił mi, że postanowili nie mieć dzieci i nie życzy sobie, żeby teraz nagle jakieś wyskoczyło mu bez uprzedzenia. A potem dostał nową pracę w Toronto. Skorwiel, jak powiedziała-by Kate. Ale przynajmniej nie zwracał nam głowy - nie udawał zainteresowania i nie składał obietnic bez pokrycia. Myślę, że zażądałabym każdego, kto próbowałby zrobić coś takiego Charlie-mu, naprawdę. Kiedy już otrząsnęłam się z pierwszego szoku i pogodziłam z faktem, że gram solo, okazało się, że wszystko idzie dobrze. Moja siostra, Lizzie, była wspaniała, a jej facet, Matt, obiecał spróbować swoich sił w roli męskiego wzorca, bo bez przerwy się tym zamartwiałam. Powiedział nawet, że kupi sobie wiertarkę elektryczną, jeśli uznam to za wskazane. Mama i tato z początku byli tym wszystkim trochę zbici z tropu, ale w końcu okazało się, że wspaniale mnie wspierają, a moja przyjaciółka, Leila, otworzyła platynowy rachunek w Baby Gap. A potem świat przesłonił mi magiczny i przerażający fakt, że jestem w ciąży - tak wiele czasu zajmowało mi martwienie się, czy dzidzius nie będzie miał pletw i czy nie znienawidzi mnie od pierwszego wejrzenia, że przestał mnie obchodzić Adam. Obchodziły mnie już tylko badania i wyliczanie terminu porodu.

Zmusiłam nawet moją biedną siostrę, żeby poszła ze mną do szkoły rodzenia. Przez pierwsze kilka tygodni wszyscy myśleli, że jesteśmy parą lesbijek i nikt nie chciał koło nas siedzieć. Lizzie uważała, że za bardzo histeryzuję i bez przerwy mnie obejmowała. W gazetach nagle zrobiło się pełno artykułów o samotnych matkach i marnym losie ich nieszczęsnych dzieci. W końcu jednak

trafiłam na genialny kawałek, który mówił, że jeśli wykluczyć kwestię biedy, dzieci z niepełnych rodzin radzą sobie nawet odrobinę lepiej niż te z obojgiem rodziców. Podniosło mnie to na duchu na wiele tygodni. Zarabiam wystarczająco dużo, by utrzymać nas oboje. Praca niezależnego producenta w przemyśle reklamowym zapewnia mi przyzwoity dochód, a poza tym sporą część pracy mogę wykonywać z domu, choć czasami wygląda to może trochę chaotycznie. W każdym razie nie będę musiała żyć z zasiłków.

Od czasu do czasu prześladuje mnie jeszcze myśl, że gdzieś na świecie jest idealny tato dla mojego synka, taki co nauczyłby go grać w piłkę i strugać łódki z drewna. Ale jak na razie Charlie nie przejmuje się zbytnio brakiem ojca. Nie cierpi futbolu i do szczęścia wystarczająmu klocki lego. Pokazywałam mu fotografie Adama, ale ledwie na nie zerknął i zapytał, czy możemy pooglądać *Gwiezdne wojny* na wideo. Czasami naprawdę zazdroszczę kobietom, które mają idealnych, kochających partnerów, co to potrafią gotować i godzinami wozić na barana swoich kilkuletnich synów. Ale wiem, że na jedną taką kobietę przypada przynajmniej sześć innych, których mężowie rzadko docierają do domu przed wieczorem, a w weekendy słychać, jak krzyczą: „Chryste. Każ mu przestać, bo oszaleję!” Postaram się o tym pamiętać, kiedy znów poczuję się bezradna i wykończona. To znaczy, dziś wieczorem.

W Safeway's jest okropnie - pełno tu upierdliwych ludzi, którzy łązą w kółko i powtarzają: „W Asda to kosztuje tylko czterdzieści trzy pensy”. Dlaczego więc nie pójdą sobie wszyscy do Asda i nie zleżami z drogi? Jak zwykle zapomniałam listy zakupów, drepczę więc po sklepie, usiłując sobie przypomnieć, co jest w lodówce i czego brakuje w łazience. Po powrocie do domu odkrywam, że mamy teraz siedem paczek mąki, a za to zero kawy. Jadąc do szkoły, będę musiała zajrzeć do sklepu we wsi, żeby nie wchodzić do niego z Charliem w drodze powrotnej. Nie mam siły wdawać się w kolejną gorącą debatę i tłumaczyć, że zasłonięcie palcem ósemki na kasecie wideo nie zamieni w magiczny sposób filmu dozwolonego od osiemnastu lat w film dozwolony od pierwszego roku.

Przyjeżdżam do szkoły i znów okazuje się, że inni rodzice mnie wyprzedzili, szereg zaparkowanych samochodów sięga niemal na drugi koniec wsi. Parkuję auto i biegiem wracam do szkoły. Wciąż jeszcze czepiam się kurczowo płotu, próbując odzyskać oddech, kiedy drzwi otwierają się i dzieciaki wybiegają na dwór, ciągnąc za

sobą teczki. Nigdzie ani śladu klasy Charliego; nagle przypominani sobie, że pojechali na pływalię. Oznacza to, że autokar może się zjawić kiedykolwiek w ciągu półtorej godziny, zależnie od humoru kierowcy. Nie ma sensu wlec się z powrotem do samochodu - wiem z gorzkiego doświadczenia, że ledwie się usadowię, autokar przemknie obok i nie zdąży dobiec pod szkołę. Charlie wysiądzie i na pewno się przestraszy, nie widząc mnie w pobliżu. Marznę więc na placu zabaw z innymi matkami i dwoma tatusiami.

Jeden z tatusiów to Starszy Ojciec, stały bywalec. Ma dobroduszne usposobienie i jest członkiem rady gminnej, więc bez przerwy nadskakują mu wszystkie matki, które chcą, żeby ich sąsiedzi nie dostali zezwolenia na rozbudowę domu. Drugi ojciec jest młody i nie bywa regularnie w szkole. Ma na sobie garnitur, więc musi stać sam, w najdalszym kącie placu. Jedna z kobiet przez pół półroczną sterczała tam w wystrzałowych ciuchach, dopóki nie ubrała się w sweter i dżinsy, jak cała reszta. Dopiero wtedy dopuszczono ją do towarzystwa. Dziś ma dyżur w komitecie parkingowym. Czatuje przy bramie, i tym, którzy postanowią zaparkować na miejscu dla autokaru, wtyka za wycieraczkę niegrzeczną ulotkę.

Miejsce, jakie zajmuje się na placu zabaw, to bardzo istotna sprawa. Jeśli stoisz zbyt blisko pani Harrison-Black i jej gangu, ani się obejrzyysz, jak znajdziesz się na liście i będziesz musiała upiec kawowy biszkopt. A częstowanie swoim zakalcowatym placikiem ludzi, którzy sami potrafią upiec o wiele smaczniejsze ciasto to żadna frajda. Usuwam się więc na moje zwykłe miejsce, by przycupnąć w pobliżu krzaczków, z Kate i Sally. Sally, matka Williama, który jest Trudny, i Rosie, która Nie Jest, ostrzega nas, że pani Harrison-Black czai się przy bramie ze swoim notesem, przechodzimy więc w stan podwyższonej czujności.

Pani Harrison-Black jest wielką kobietą, przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Jest niesamowita. Zwykle nosi bluzki wpuszczone w plisowane spódnice na gumce, przez co wygląda, jakby usiadła na niewielkim namiocie. Jej pomagierka, pani Jenkins, skarbniczka, przejęła od niej styl ubierania. Obie mają podobne marynarki z wypchanymi ramionami i obie jeżdżą jednakoowymi volvo kombi, z nalepką na tylnej szybie „Zwalniam na widok konia”. Zawsze uważałam, że na tych plakietkach powinno być napisane „Zwalniam na widok konia. dodaję gazu na widok pieszego”, bo właśnie to robią za, każdym razem. Jedna z matek, prowadząca kółko kulinarne (coś straszego - szara pizza, poparzone

palce i godzinami trzeba zdrapywać ciasto z podłogi) rusza z determinacją prosto na nas. Zdesperowane próbujemy uniknąć kontaktu wzrokowego i wymyślić jakieś wiarygodne wymówki, kiedy staje się cud - pojawia się autokar.

Dzisiejszy kierowca jest nowy. Wygląda na jakieś dwanaście lat i prowadzi, jakby trenował do wyścigów Formuły Pierwszej. Autokar pokonuje zakręt na dwóch kołach i hamuje z piskiem, katapultując wszystkie dzieci z siedzeń, co jest niezwykle niebezpieczne, i czym oczywiście wszystkie są zachwycone. Pani Pike udaje się wytoczyć na zewnątrz, ale wygląda na to, że jest w głębokim szoku. Pływalnia to nie jej działka, ale pani Oliver, która zwykle jeździ z dziećmi, jest na zwolnieniu. Podejrzewam, że kierowca wykończył panią Pike do reszty po niewątpliwie bardzo męczącym popołudniu. Z autokaru wysiadają za nią rodzice, którzy pomagali dziś pilnować grupy. Wyglądają jak statyści z *Titaniaca*: przemoczeni, drżący z zimna, bladzi i przerażeni.

Za to dzieci są bardzo żwawe. Założę się, że przez całą drogę jadły słodczyce, bo teraz wyskakują na zewnątrz i zaczynają biegać w kółko po placu zabaw, wrzeszcząc i wymachując torbami. My, rodzice, rozdzielamy się na tradycyjne grupy, różniące się od siebie technikami przywoływania. Grupa „Chodź-tu-Wayne-albo-ci-wleję” wygrywa z łatwością, szybko zaganiając dzieci do samochodów. Podejście „Cześć-kochanie-jak-było-na-pływalni-mam-coś-dla-ciebie-w-samochodzie” również dość dobrze zdaje egzamin, szczególnie w połączeniu ze stanowczym spojrzeniem i mocnym chwytem za rękę. Kate, Sally i ja też w końcu odjeżdżamy, gorączkowo wymyślając interesujące tematy do rozmowy. Ale niezdecydowane podejście w stylu „Przestań, George”, połączone z próbami prowadzenia pogawędek z innymi rodzicami oznacza, że spora grupka osób zostanie tu do późnej nocy.

- Fajnie było na pływalni, kochanie?
- Tak, ale pani Pike powiedziała, że mam nie chodzić na głęboki koniec, a to jest niesprawiedliwe, bo jestem teraz bardzo dobrym pływakiem i ten pan nie powinien mnie wyciągać.
- Jaki pan, kochanie?
- Ten pan, co siedzi na tym czymś z drabiną. Wsadził długi kij do wody koło mnie i kazał mi się złapać, aleja nie chciałem. I wtedy chyba powiedział przekleństwo, i w końcu się złapałem, i przyciągnął mnie do brzegu i powiedział, że mam zostać na płytkim końcu, dopóki nie będę trochę większy.

- Och, Charlie, wiesz, że nie powinieneś chodzić na głęboki koniec. Co robiła Pani Pike?

- Pomagała Laurze, która połknęła mnóstwo wody i kaszłała, i tato Jacka Knighta wziął naszą grupę do basenu, i my z Jamesem odpłynęliśmy sami i było świetnie, a potem ten pan wsadził kij, ale mnie nic nie było. A potem tato Jacka powiedział: „Dzięki Ci, Chryste” i złapał mnie i Jamesa i kazał nam iść na płytki koniec, i James powiedział, że to fiut, ale powiedział cicho, więc on chyba nie słyszał.

- James był bardzo niegrzeczny. Tato Jacka miał absolutną rację, że kazał wam iść w bezpieczne miejsce.

- Hmm.

- Żebyś wiedział.

O Boże, przypomniałam sobie właśnie, że w przyszłym tygodniu moja kolej jechać na pływalnię. Któregoś dnia popełniłam błąd taktyczny na placu zabaw: stanęłam zbyt blisko pani Harrison-Black, nieosłaniana przez Kate, która się spóźniła, pewnie z powodu jakichś nieprzewidzianych kielbasianych zakupów.

- Tak czy inaczej, w przyszłym tygodniu ja też jadę na pływalnię, będę cię miała na oku.

W mamrotaniu Charliego wyraźnie rozróżniam przekleństwo, ale udaję, że nic nie słyszałam, bo jesteśmy już prawie w domu. Jeśli teraz wdamy się w kłótnię, może nam się przytrafić powtórka sceny z zeszłego tygodnia, kiedy Charlie nie zgodził się wysiąść z samochodu i zażądał, by zawieźć go do lokalnej filii NSPCC*, bo „To okrucieństwo wobec dzieci musi się skończyć, wiesz, mamusiu”. I to wszystko przez moją sugestię, że moglibyśmy odrobić lekcje przed telewizją. W końcu poniżyłam się kompletnie, wrzeszcząc do niego „Tak? A co z okrucieństwem wobec rodziców?”, aż kobieta, która przyszła zbierać datki na Czerwony Krzyż rzuciła mi bardzo dziwne spojrzenie.

- Umieram z głodu. Co na podwieczorek?

- Możesz wybierać. Tuńczyk albo makaron.

- Kielbaski.

W natchnieniu wymyślam genialny przepis i robię tuńczykowe parówki, mieszając tuńczyka z tłuczonym ziemniakiem i ugniatając powstałą ciapę w kształt kielbasek. Panierowane w tartym serze

* National Society for the Prevention of Cruelty to Children - Narodowe Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci.

i zapiekane przez dwie minuty okazują się wielkim sukcesem. Prawdę mówiąc, smakują dość obrzydliwie, ale Charlie zjada wszystko bez słowa skargi. Po jedzeniu zabieramy się za pracę domową z ułamek. Wpadam na wspaniały pomysł, by narysować tort, podzielić go na ćwiartki itd., co naprawdę okazuje się pomocne, dopóki nie dochodzimy do szesnastych części; cała sprawa robi się dość stresująca i w końcu łamię ołówek na pół. Udaje mi się opanować napad wściekłości, kiedy mój syn mówi mi, że mam siedzieć cicho i pozwolić mu robić swoje, bo „Szczere mówiąc, mamusiu, chyba nie bardzo wiesz, co robisz”. Mogłam mu to powiedzieć sama, właściwie już w chwili, kiedy się urodził, łączę nadąsana na kanapie, a on kończy swoje ćwiczenie bez mojej „pomocy”.

Bierzemy się do czytania ze szkolnej książki z czytankami - wymagane jest dwadzieścia minut dziennie. Nie ma chyba nic miłszego niż słuchanie, jak czyta twoje dziecko, nawet jeśli czyta najnudniejsze szkolne czytanki na świecie.

Kąpiel mija spokojnie, bez tradycyjnej powodzi w łazience. Teraz już wiem, że kupowanie łodzi podwodnej i okrętu wojennego do zabawy w kąpeli nie było najlepszym pomysłem: bitwy morskie zawsze powodują ogromne fale, które niemal wyplukują łażeniowy dywanik na korytarz. Wreszcie wkładamy piżamę, myjemy zęby i Charlie jak zwykle próbuje zmarudzić jak najwięcej czasu przed pójściem do łóżka. Stosuje Zawracanie Gitary - metodę, która gwarantuje zmarnowanie co najmniej pół godziny.

- Myślę, że to bardzo dobrze, że Ogórkowie dostają teraz emerytury, mamusiu. Mówili o tym w wiadomościach. Nie myślisz, że to dobrze?

- Ogórkowie? A kto to taki, kochanie?

Usilnie próbuję zrozumieć, dlaczego ogórki miałyby dostawać emerytury, podczas gdy ja, według mojej księgowej, jeśli nie zaczę odkładać stu pięćdziesięciu procent mojego dochodu na fundusz emerytalny (i to począwszy od wczoraj), nie dostanę nic; będę musiała zbierać surowce wtórne i żywić się kocim żarciem.

- No wiesz, ci żołnierze.

- Chyba chodziło ci o Gurkhów.

- No, właśnie. To dobrze, prawda?

- O tak, wspaniale, kochanie. Nie potrzebujesz aż tyle pasty, spadnie ci. Widzisz? Teraz się zmarnowało.

-Nie, nieprawda. Popatrz, mam ją z powrotem. -Charlie wtyka do odpływu szczoteczkę, która wygina się niebezpiecznie, i wy-

grzebuje odrobinę pasty. - A poza tym nienawidzę tej pasty, ta mnie szczypie. James ma fajną pastę.

- Niech zgadnę: o smaku kielbasy.

- Nie wygłupiaj się, mamusiu. Truskawkową.

- Przecież mówiłeś, że truskawkowa smakuje jak rzygi.

Charlie ignoruje tę uwagę, ciągnąc swoje przekorne indagacje.

- Gdybym miał dzisiaj straszny sen, to mogę przyjść do twojego łóżka?

- Tak, ale zacznij od swojego.

- Ale czasami jestem tak wystraszony, że nie mogę wstać. Czy to nie okropne, mamusiu, być tak wystraszonym, że nie można wstać?

Milknie na chwilę, żebym mogła w pełni odczuć całą grozę takiej możliwości.

- Byłoby o wiele lepiej, gdybym zaczął w twoim łóżku. Wtedy od razu bym w nim był. - Uśmiecha się, bardzo zadowolony ze swojej logiki.

- Tak, ale wtedy ja bym miała do spania tylko dziesięć centymetrów materaca i maleńki skrawek kołdry. Powinieneś zacząć od własnego łóżka. Na pewno będziesz miał fajne sny.

- Nieprawda. Będę miał straszliwe sny i to będzie twoja wina. Wiesz co, mamusiu, jestem strasznie głodny. Mogę sobie wziąć mandarynkę do łóżka?

- Nie, bo ostatnim razem usiadłeś na niej i wszystko zapaprałeś.

Popycham go korytarzem i udaje mi się wsadzić go do łóżka, gdzie nagle przemienia się w istnego aniołka w piżamie. Rzuca mi swoje specjalne, błagalne spojrzenie, pozostając jednak niewzruszona. W końcu zgadza się zostać w łóżku, jeśli a) będę go przez pięć minut głaskać po plecach (ale rysując kółka, nie kreski, bo kreski łaskoczą); b) zostawię mu zapaloną lampkę; c) dostanie na śniadanie mandarynkę, ale bez skórki i bez białych kawałków. A, i jeszcze muszę obiecać, że jak zobaczę na schodach wilkołaka, walnę go mocno w głowę.

Zaglądam do niego jeszcze raz po dwudziestu minutach; śpi mocno, z wyciągniętymi rękami i nogami, w jednej dłoni ściskając klocek Lego, a w drugiej miniaturowy mieczyk. Tylko małym dzieciom przytrafia się coś takiego; wyglądają wtedy, jakby zasnęły niespodziewanie w trakcie jakiejś czynności. Przychodzi mi do

głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że choćby je nie wiem jak kochać, zawsze kocha siebie trochę bardziej, kiedy już zasną.

Następnego ranka budzę się wcześniej, potwornie zmarznięta i z małym tyłeczkiem przyciśniętym do karku - Charlie oczywiście wpełznął w nocy do mojego łóżka. Zabrał mi całą kołdrę, głowę mam wygiętą pod dziwnym kątem, a do tego zostałam ze-pchnięta na sam skraj materaca. To niesamowite, że jeden mały chłopczyk może zająć tyle miejsca. Potrafił to zrobić nawet wtedy, kiedy był małym niemowlakiem. Wiem, że nie ma sensu próbować znowu zasnąć, więc wstaję, robię herbatę i dosypuję jedzenia do ptasiego karmnika wiszącego za kuchennym oknem. Przez kolejne dziesięć minut obserwuję ptaki, które gorączkowo usiłują zjeść, ile tylko się da. Dziwne, że w ogóle mogą jeszcze latać. Wygląda to trochę jak kinderbal, tyle że bez galaretki.

Śniadanie idzie bardzo dobrze, mandarynka odnosi wielki sukces i kiedy wyruszamy do szkoły, szczęśliwie udaje nam się uniknąć przeszkody w postaci mleczarza. Wszystko jest w porządku, dopóki nie zauważamy bażanta spacerującego skrajem lasu przy drodze. Bażant) to ulubione ptaki Charliego, musimy się zatrzymać i porozmawiać z nim, bo inaczej skończy się na histerycznym szlochaniu i czepianiu drzwiczek samochodu, kiedy dojedziemy do szkoły. Od-kryliśmy kiedyś, że bażanty wieją natychmiast, kiedy próbuje się podejść do nich bliżej, ale kiedy siedzi się w samochodzie, czują się widocznie bezpieczne i dziobią sobie spokojnie całkiem blisko. Prawdopodobnie strzelanie do nich z samochodu jest uważane za nieczystą zagrywkę. Czuję się bardzo głupio, ale Charlie jest zachwycony. Obserwowanie go tak mnie pochłania, że tracę poczucie czasu.

W końcu cholerne ptaszysko odchodzi i Charlie zgadza się jechać dalej - i całe szczęście, bo jesteśmy już spóźnieni. Dyrektorka szkoły, pani Taylor, stojąca przy bramie, spogląda teatralnie na zegarek, kiedy wchodzimy. Charlie, jak zwykle, pogarsza jeszcze sprawę, mówiąc:

- Dzień dobry, pani Taylor, właśnie widzieliśmy ślicznego bażanta i zatrzymaliśmy się, żeby z nim pogadać.

Dyrektorka spogląda na mnie, jakbym była kompletną debilką. Podejrzewała mnie o to już od dawna, od czasu, kiedy Charlie uparł się, że nie będzie chodził do kościoła, bo jest poganinem.

Nie mam pojęcia, gdzie usłyszał o poganach: twierdzi, że mówili 0 tym w „Błękitnym Piotrusiu”*, ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

Wracam do domu i stwierdzam, że Bill, facet, który zajmuje się ogrodem, wyciągnął sekator i patrzy z uśmiechem na drzewa od frontu. To bardzo zły znak. Zadaniem Bi Na jest strzyżenie trawników, grzebanie w ziemi i pilnowanie, by chwasty nie opanowały całkowicie ogrodu. Zajmuje się tym przez godzinę w tygodniu, za piątaka. Genialnie. Ale nie wolno mu pozwolić - jak tłumaczyli mi z naciskiem miejscowi - by cokolwiek przycinał, bo w przeciwnym razie mój ogród będzie wyglądał jak ich ogrody: dziwna mieszanka tradycyjnego angielskiego ogródka z bonsai. Muszę zrobić herbatę i za wszelką cenę odwrócić jego uwagę, a potem poprosić, żeby uporządkował grządki z ziołami. Inaczej z mojej jabłonki zostanie goły kikut.

W końcu zostawia drzewa w spokoju i doprowadza grządki z ziołami do idealnego stanu. Mój ogród właściwie nie jest duży i pewnie poradziłabym sobie z nim sama. Ale koszenie trawy zabiera latem całe godziny, mimo że oba trawniki są maleńkie, a poza tym, kiedy ostatnio próbowałam to robić sama, udało mi się przejechać kosiarką jeden kłapek i pół plastikowego brodzika, więc chyba bezpieczniej zostawić to Billowi. Karmiąc króliki, zastanawiam się, czy nie zadzwonić do weterynarza. Zapytałabym go, czy im nie zaszkodzi, że się bez przerwy bzykają. Wypuszczam je, niech sobie pobiegają; wredne kreatury natychmiast zaczynają kopać norę na środku trawnika. Bill jest oburzony. W trzydzieści sekund zagania je z powrotem do klatki. Mnie łapanie ich zajmuje zwykle co najmniej pół godziny. Podejrzewam, że mają niezły ubaw, robiąc uniki i patrząc, jak wywracam się w rabatki. Technika Bill jest skuteczniejsza, ale doprowadza króliki do furii. Teraz siedzą w klatce śmiertelnie obrażone. Z utęsknieniem wyglądam chwili, kiedy znudzą się Charliemu. Mogłabym je zapakować do taksówki i odesłać na przykład producentom *Azylu dla zwierząt*. To przecież ich wina, bo zalew programów o zwierzętach spowodował, że Charlie chciał adoptować dosłownie wszystko, począwszy od osiołka z trzema nogami, na wstrętnej jaszczurce skończywszy.

Próbował namówić mnie na bernardyna, a przynajmniej owczarka irlandzkiego, ale powiedziałam, że jeśli chce być ciąganym po błocie przez wielkie, głupie zwierzę, może iść na konie, jak wszyscy inni. Króliki były więc najprostszym rozwiązaniem

kryzysu pod hasłem „Muszę mieć zwierzątko albo umrzeć”. Są naprawdę urocze, ale w nocy robią okropny hałas, skacząc po klatce. Ciągłe mi się wydaje, że właśnie pożera je lis i wybiegam do ogródka z latarką. W zeszłym tygodniu wypadłam z domu w kompletną ciemność, ściskając w garści mrożoną rybę, by odpędzić drapieżnika, i przekonałam się, że króliki siedzą sobie szczęśliwie w swojej klatce, gapiąc się na mnie i uśmiechając pogardliwie. Karmię też złote rybki w sadzawce - to są zwierzątka w moim guście. Wystarcza im do szczęścia trochę jedzenia od czasu do czasu. Zeszłego lata udało im się rozmnożyć, więc teraz w sadzawce kotłuje się całe mnóstwo maleńkich rybek. Są słodziutkie. Z przerażeniem zauważam, że czas leci: a ja muszę poumawiać spotkania na przyszły tydzień, który spędzam w biurze, załatwić opiekunkę, no i kupić kiełbaski. Nie mogę przez cały ranek bawić w Doktora Dolittle.

2. Sportowe życie

Budzę się wcześniej i zaczynam planować relaksujący, leniwy dzień, kiedy nagle przypominam sobie, że jestem wpisana w cholerny grafik i mam jechać na pływalnię. Charlie nie jest tym bynajmniej zachwycony. Wymusza na mnie przyrzeczenie, że nie założę czepka, po czym rozpoczyna nową kampanię, tym razem na rzecz fajniejszych płatków śniadaniowych - najlepiej takich co zmieniają kolor mleka. Dzwonię do Leili, by usłyszeć wyrazy współczucia, ale ona zupełnie mnie nie rozumie. Stwierdza, że z przyjemnością poszłaby popływać, bo to o wiele przyjemniejsze niż prowadzenie negocjacji z kapryśnym i wymagającym klientem - a właśnie to ją dzisiaj czeka.

Leila jest matką chrzestną Charliego i moją przyjaciółką od wielu lat, od czasu, kiedy pracowałyśmy razem w wielkiej agencji reklamowej, która w końcu padła - i całe szczęście, bo była do niczego. Leila traktuje obowiązki matki chrzestnej bardzo poważnie i była strasznie zmartwiona, kiedy nie zgodziłam się na formalny chrzest. Chciała publicznie wyrzec się diabła: widocznie widziała to w jakimś filmie, i kupiła już nawet idealny kapeluszek. Kiedy Charlie się urodził, zjawiała się w szpitalu z prześliczną,

srebrną łyżeczką od Tiffany'ego, z wygrawerowanym napisem „Charlie”. Personel Tiffany'ego był tym mocno zaniepokojony, dopóki nie zapewniła ich, że to prezent dla dwudniowego niemowlaka, a nie dozownik niedozwolonych substancji*. Leila jest menedżerem w dużej agencji reklamowej, zarabia kupę pieniędzy i świetnie potrafi je wydawać. Ale pracuje na nie bardzo ciężko i bez przerwy odgraża się, że rzuci to wszystko i zacznie żyć inaczej. Ostatnio fantazjuje, że osiadzie na małej farmie, na jakiejś niedostępnej szkockiej wysepce. Kupi sobie kilka owiec i kołowrotek i będzie robić na drutach piękne swetry. Zaczęła od szalika, ale wyszedł jej trochę trójkątny.

Życząc jej powodzenia w negocjacjach; odpowiada, że jeśli pływanie za bardzo mnie zmęczy, mogę pójść sobie na przykład do sauny albo na masaż. Zdaje się, że nie jest do końca zorientowana w zakresie atrakcji, które oferuje miejscowa pływalnia. Pomyliła ją pewnie ze swoim fitness klubem, w którym są wszystkie możliwe przyrządy, restauracja, barek z sokami i wygodne, skórzane fotele w recepcji. W holu naszej pływalni jest tylko popękane linoleum i jedna żelazna ławka.

Charlie odmawia założenia szkolnego mundurka i chce iść do szkoły w piżamie, ale w przypiływie natchnienia odwracam jego uwagę, sugerując, że może dostać zupę w termosie jako dodatek do lunchu. Jest bardzo podekscytowany tą niespodziewaną propozycją i w nieskończoność wymyśla, jaką chciałby zupę. Podróż do szkoły odbywamy w rekordowym czasie; sama nie wiem kiedy wracam do domu i wychodzę do ogrodu. Zaczynam przekopywać rabatkę, którą zamierzam przekształcić w miniaturową grządkę pod warzywa, żeby Charlie mógł sobie wyhodować parę marchewek. Mniej więcej po pięciu minutach kopania zauważam odkrywczo, że ziemia jest twarda jak skała, więc porzucam szpadel i grzebię przez chwilę w grządce z ziołami, zagadując do Buzza i Woody'ego. Króliki są takie zabawne, chętnie bym je wypuściła, ale wiem, że byłby to wielki błąd - ostatnio zagonienie ich z powrotem zajęło mi prawie godzinę, a nie mogę się przecież tłumaczyć, że opuściłam pływanie, bo ganiałam króliki po ogrodzie. Nikt nie uznałby tego za wystarczającą wymówkę.

Zwarta i gotowa zjawiam się w szkole, właśnie kończy się przebranie na lunch. Pani pilnująca jadalni zbiera się do wyjścia. Kiedy

* (*Charlie* - jedna ze slangowych nazw kokainy).

wyjaśniam jej, że jadę z dziećmi na pływalnię, mówi: „Nie przejmuj się, kochana, zaraz będzie po wszystkim”. Przezornie założyłam kostium kąpielowy pod dzinsy, żeby zaoszczędzić sobie czasu i ewentualnego wstydu w przebieralni: przed oczyma stanęła mi wizja czternastu dziewczynek gapiących się na mój wielki tyłek. Ale chodzenie w kostiumie oznacza, że gdy tylko stanę prosto, ramiączka odcinają mi krążenie w rękach. Przybieram więc dziwną zgarbioną pozycję; według Charliego robię to specjalnie, by zabawić jego kolegów z klasy. Pani Oliver znów jest na zwolnieniu, jedzie z nami pani Pike. Wygląda na zachwyconą. Do autokaru wsiadamy z niewielkim opóźnieniem, bo pracujący w tym tygodniu kierowca, który na oko ma jakieś czterdzieści lat, nie może sobie przypomnieć, jak się otwiera drzwi. Mam nadzieję, że pamięta przynajmniej drogę na basen. Pani Pike siada koło mnie z plastikowym wiaderkiem. Moje najgorsze obawy potwierdzają się, kiedy wyjaśnia mi, że w czasie jazdy autobusem zawsze komuś jest niedobrze i lepiej się przygotować. Cudownie.

W końcu dojeżdżamy na pływalnię, objechawszy ją najpierw dwa razy w kółko. Kierowca wygląda na wykończonego. Oznajmia, że poczeka na nas w autokarze i trochę się zdrzemnie. Dzieci wysypują się z autokaru i pędzą do przebieralni. Po chwili pojawia się bardzo surowy z wyglądu instruktor pływacki z podgoloną po żołniersku fryzurą i zaczyna dmuchać w gwizdek, maszerując w miejscu, jak w wojsku. Dzieci mają w nosie wszystkie jego polecenia; w końcu pani Pike klaszcze w dłonie i prosi je grzecznie, na co oczywiście ustawiają się natychmiast w rzędku. Instruktor nie jest zadowolony. Idę na brzeg basenu, gdzie czai się jeszcze dwóch instruktorów. Dzieci są podzielone na Tonące, Tonące Wolniej i Prawie Pływające. Charlie jest w grupie Prawie Pływających, więc pani Pike przydziela mnie do Tonących: przykre doświadczenia nauczyły ją widocznie, że nie ma sensu umieszczać rodziców w tej samej grupie co ich pociechy. Cieszę się, że jestem z Tonącymi, bo ich miejsce jest w głębokim na jakieś piętnaście centymetrów brodziku z ciepłą wodą. Drugi rodzic, ojciec jednego z kolegów Charliego, Toma, jest przydzielony do Prawie Pływających, co oznacza, że musi wejść do lodowatego basenu i nie dopuścić, by dopłynęli do trampoliny. Gwizdki gwizdzą bez przerwy, dzieci szamoczą się gorączkowo ze styropianowymi deskami i wysłuchują wskazówek, jak zanurzać twarz w wodzie i nie wdychać. Grupie Charliego idzie zupełnie dobrze - wszyscy radośnie

wtykają głowy pod wodę. Ale jedna dziewczynka w mojej grupie zupełnie nie ma do tego przekonania i wpada w histerię. Zastanawiam się, czy mam interweniować, czy raczej dać w ucho instruktorowi, który wpatruje się w nią groźnie, pogarszając jeszcze sytuację, kiedy do akcji wkracza pani Pike, mówiąc:

- No, daj spokój, Cecily, jeśli nie chcesz tego robić, po prostu grzecznie powiedz: nie, dziękuję.

Cecily przestaje piszczeć i rozchmurza się. Że też na to nie wpadłam. Biedactwo było po prostu śmiertelnie wystraszone, aja nie zrobiłam nic, żeby jej pomóc. Mała wprawia nas wszystkich w zdumienie, oznajmiając, że bardzo chętnie spróbuje jeśli pani Pike potrzyma ją za rękę. Pani Pike klęka przy brzegu basenu i wyciąga rękę; wygląda, jakby lada chwila miała wpaść. Cecily przysuwa twarz bardzo blisko wody i dostaje spontanicznie brawa od pozostałych dzieci. Jestem wzruszona niemal do łez, i stwierdzam, że choć we wszelkich grupowych zajęciach dzieci przejawiają często zachowania niczym z *Władcy much*, potrafią też być naprawdę urocze.

Miłe wrażenie znika natychmiast, kiedy zajęcia dobiegają końca i musimy w miarę szybko ubrać trzydzieścioro drżących z zimna, mokrych dzieci. Dopasowanie do nich odpowiednich skarpetek zabiera zdumiewająco dużo czasu i jestem pewna, że niektóre dzieciaki nie wracają w tych samych ubraniach, w których przyjechały. Wygląda na to, że dziewczynki radzą sobie o wiele lepiej niż chłopcy, z wyjątkiem Cecily, która nie umie włożyć butów i znów wybucha płaczem. Pomagam jej, za co odpłaca mi spojrzeniem pełnym oddania. Szepcze, że ma w torbie cukierki i da mi jednego, jeśli siądę obok niej w drodze do domu. Nie jestem pewna, czy powinnam ją zachęcać do jedzenia cukierków, ale dziękuję jej i obiecuję, że będę z nią siedzieć, bo Charlie dał mi jasno do zrozumienia, że prędzej umrze, niż pozwoli mi się do siebie zbliżyć. Choć ignorował mnie przez większą część popołudnia, teraz uznaje, że mogę być przydatna do wiązania butów.

- Widziałaś, jak pływam, mamusiu?

- Tak, kochanie, byłeś świetny.

- Możemy teraz kupić batonik z automatu, jak ostatnim razem?

- Ostatnim razem byliśmy sami, Charlie; dzisiaj jesteśmy z twoją klasą, a nie możemy kupić batoników dla wszystkich.

- Cecily ma cukierki w torbie, mamusiu. Zawsze ma cukierki, a potem jej niedobrze.

Och, cudownie. Pospiesznie renegecjuję ustalenia w sprawie miejsc. Obiecuję Cecily, że usiądę z nią następnym razem, ale dzisiaj muszę siedzieć z Charliem, żeby za bardzo nie rozrabiał. Na szczęście brzmi to całkiem przekonująco i Cecily zgadza się bez szemrania.

Kierowca autokaru zasnął, więc walimy w drzwi, żeby go obudzić. Pani Pike pyta mnie, czy potrafię robić sztuczne oddychanie i masaż serca. Nie potrafię, tak samo zresztą jak ona. Pukamy w drzwi trochę spokojniej; wyciągam telefon komórkowy, gotowa dzwonić po pogotowie, gdyby kierowca zaczął sinieć. Ale na szczęście budzi się w końcu i kiedy już udaje mu się znaleźć okulary i przypomnieć sobie, jak się otwiera drzwi, ładujemy się wszyscy do środka. Czuję odrobinę wyrzutów sumienia, kiedy zauważam, że tato Toma siada obok Cecily, ale to ostatnie wolne miejsce - wsiadł do autobusu na końcu. Zastanawiam się, czy nie powinnam go ostrzec, ale uznaję w końcu, że kiedy jego dzieci chorują, na pewno zwała wszystko na żonę, więc takie doświadczenie dobrze mu zrobi.

Powrotna podróż do szkoły trwa wieki i dzieci zaczynają strasznie wariować. Pani Pike dwa razy musi wstawać i klaskać w dłonie. Tato Toma zdobywa ogromną praktykę w posługiwaniu się wiaderkiem i chusteczkami odświeżającymi. Docieramy w końcu do szkoły, gdzie na placu zabaw czekają na nas grupki lekko zaniepokojonych rodziców. Kate mówi: „Chryste, wyglądasz na wykończoną”, po czym pakujemy dzieciaki do samochodów i jedziemy do domów. Pływanie najwyraźniej kompletnie wyssało siły z Charliego, bo spędzamy uroczy, spokojny wieczór siedząc przy kominku i oglądając telewizję. Nawet swoje szkolne czytanie odbębnia bez szemrania. Przygotowania do snu idą nieźle, ale w ostatniej chwili Charlie się buntuje. Okazuje się, że musi koniecznie sprawdzić, czy wilkołak nie schował się pod łóżkiem w sypialni dla gości.

Na nieszczęście pod łóżkiem znajduje dawno zagubiony klocek - jakąś arcy ważną część - co oznacza, że może teraz naprawić opuszczaną kratę w swoim zamku Lego. Zaczynają się bardzo przebiegle negocjacje, aż w końcu konfiskuję rzeczony klocek, bo inaczej Charlie nie położyłby się spać do północy.

-Nienawidzę cię, mamusiu.

- Ja ciebie nie. Ale jest późno, a ty idziesz jutro do szkoły. A może wstaniemy jutro wcześniej? Ty się pobawisz klockami, a ja ci zrobię na śniadanie chrupiący bekon?

Następuje długa cisza, podczas której Charlie zastanawia się, co mu się bardziej opłaca: zaakceptować ten układ czy dostać napadu złości w nadziei, że ulegnę i pozwolę mu dłużyć przy zamku. Robię moją specjalną, stanowczą minę, może tym go przekonam. I udaje mi się.

Budzę się późno, tak samo zresztą jak Charlie, który zdołał przespać całą noc we własnym łóżku. Zaczynam opiekać bekon; jak zwykle uruchamia się przy tym alarm przeciwpożarowy i muszę walnąć w niego drewnianą łyżką. Hałas jest tak przeszywający, że na pewno spowodował pęknięcie jakiegoś ważnego naczynia krwionośnego w moim mózgu, bo po chwili dostaję ostrego bólu głowy. Bekon w końcu zostaje uznany za wystarczająco chrupiący, budowa zamku z lego idzie całkiem nieźle, choć Charlie już dwa razy krzyknął „kurde” i raz „głupie cholerstwo”. Udaję, że nie słyszę, jako że oba wyrażenia podchwycił ode mnie, podczas poprzednich zabaw klockami. Do szkoły wyruszamy o przyzwyczajonej porze, choć w ostatniej chwili ogarnia mnie panika, kiedy przypominam sobie, że zapomniałam spakować mu lunch. W pośpiechu robię kanapkę z serem, starając się nie myśleć o innych matkach, które posyłają dzieci do szkoły ze świeżym makaronem i zieloną sałatą. W schowku na rękawiczki Charlie znajduje paczkę gumy do żucia. Jest wniebowzięty.

- Dlaczego to się nazywa schówek na rękawiczki?
- Nie wiem. Po prostu tak się na to mówi.
- To głupie. Powinno się na to mówić schówek na gumę do żucia.
- Tak czy inaczej musisz wypluć gumę, zanim dojedziemy. Wiesz, że nie wolno żuć w szkole.
- Dlaczego?
- Charlie, przestań zadawać głupie pytania.
- To nie jest głupie pytanie. Naprawdę, mamusiu, jesteś nieuprzejma. Och, zobacz, jest James. Zatrzymaj się.
- Nie mogę się zatrzymać na środku jezdni, Charlie.
- Dlaczego nie?

Udaje mi się zaparkować. Przypominam mu, że musi się pozbyć gumy i jakimś cudem w kieszeni płaszcza znajduję chusteczkę, w którą może ją wypluć. Ale mój syn ma o wiele lepszy pomysł: oznajmia, że spróbuje nią splunąć tak wysoko, żeby wpadła

na dach domku na placu zbaw. Tak się podnieca, zachwalając mi swój plan, że połyka gumę i o mało się nie dławi. Jest wściekły.

- Zrobiłaś to specjalnie, mamusiu.

- Ja niczego nie zrobiłam, Charlie. Sam to zrobiłeś. A teraz się uspokój; zobacz, James na ciebie czeka. - Charlie, tupiąc ze złości, rusza przez plac zabaw i zaczyna opowiadać Jamesowi o moim okropnym zachowaniu.

Jadę z powrotem do domu i dzwonię do Edny. Muszę umówić się z nią na jutro, żeby przyszła zająć się Charliem, kiedy ja będę w pracy. Edna mieszka we wsi, sama, odkąd zmarł jej mąż, ale dorosły syn odwiedza ją od czasu do czasu, przeważnie po to, by poprosić o pożyczkę. Edna nie lubi swojej synowej, mawia o niej Ta Kobieta. I ma ku temu powody, jak sądzę, bo babsko rzeczywiście wygląda na głupią krpwę. Edna jest bardzo miła i dobrodusza, a poza tym uwielbia Charliego. Potrzebuje też pieniędzy, bo bez przerwy musi wspierać finansowo syna. Kocha sprzątać, żywi prawdziwą namiętność do wszelkich mleczek i past, i potrafi nadać połysk każdej powierzchni. Muszę przeprowadzić szybką inspekcję domu i przed jej przyjściem upewnić się, że nie zostawiam jej niczego zbyt obrzydliwego czy upaćkanego.

Umawiam się z nią na jutro o siódmej rano, jak zwykle. Mówi, że wcześniej wstaje i lubi zaczynać od samego rana. Mogę mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia i ja się tak poczuję. Proponuje, że zajmie się prasowaniem-genialnie. Zmywam kuchenną podłogę, która jest odrażająca, po czym zapominam o niej i wracając z ogrodu, zostawiam na mokrej posadzce błotniste ślady. Cudownie. Jestem właśnie w połowie powtórnego zmywania podłogi, kiedy dzwoni Edna. Pyta, czy nie potrzebuję czegoś ze sklepu, bo właśnie wychodzi na zakupy. Mówię jej, nie po raz pierwszy zresztą, że powinna zostać oficjalnie uznana przez Kościół za Świętą Ednę, Patronkę Pracujących Matek. Sprawiam jej tym wielką przyjemność.

Charlie ma dziś po szkole trening, co oznacza, że muszę sterceć na boisku, kuląc się z zimna i dopingując. Zajęcia prowadzi tato Harry'ego Chapmana. Został zgłoszony „na ochotnika” przez swoją żonę, która ostrzy sobie zęby na stanowisko w Komitecie Rodzicielskim. Dzisiaj dzieciaki grają w hokeja, choć najwyraźniej nikt nie ma zielonego pojęcia o tej grze. Charlie jest wyjątkowo beznadziejny, ale biega w kółko z dzikim entuzjazmem i od czasu do czasu udaje, że jego kij to pistolet maszynowy. Kiedy już

straciłam czucie w stopach i rozważam właśnie, czy nie pójść na pięć minut do samochodu, rozlega się okropny wrzask. Charlie biegnie do mnie, rycząc i zawodząc, z nosa cieknie mu krew. Wygląda na to, że gdy Harry walnął w piłeczkę, ta, ku jego zdumieniu, poszybowała w powietrze i spadając, huknęła Charliego w nos. To zresztą jedyne podanie, jakie udało się Charliemu odebrać przez cały trening.

Obejmuję Charliego, próbuję go uspokoić i nagle zauważam, że mój świeżo odebrany z pralni płaszcz wygląda, jakby brał udział w jakimś wypadku w rzeźni. Charlie histeryzuje i upiera się, że Harry zrobił to specjalnie, co jest oczywiście nieprawdą; biedny Harry snuje się gdzieś na końcu boiska, bliski płaczu. W końcu udaje mi się skłonić Charliego, żeby przyjął przeprosiny, a Harry gratuluje mu fajnego krwotoku. Charlie przeobraża się nagle w skrwawionego-ale-nie-pokonanego bohatera, i biegnie z powrotem na boisko. Wszyscy pozostali chłopcy klaszczą i Charlie jest zachwycony. Kiedy nareszcie jest już po wszystkim, jedziemy do domu. Nigdy więcej nie pozwolę mu grać w hokeja, bo rachunki za pralnię będą astronomiczne.

Charlie jest bardzo marudny przez cały wieczór i w kółko potwarza, że chyba ma złamany nos. Dzwoni do babci i dziadka, opowiada o swojej straszliwej sportowej kontuzji i dostaje wyrazy współczucia. Mama sugeruje, że powinniśmy zrobić prześwietlenie i w nieskończoność muszę ją zapewniać, że Charlie odrobinę przesadza i że jego nos wygląda zupełnie normalnie. Za to mój płaszcz nie wygląda. Mama uspokaja się wreszcie i mówi, że kiedyś zrobiłam jej dokładnie to samo rozharatanym podbródkiem. Bujałam się na huśtawce w ogrodzie i nagle postanowiłam z niej zejść głową naprzód. Podobno udało mi się kompletnie zniszczyć jej ulubiony różowy sweter z angory.

Edna zjawia się o siódmej rano, kiedy ja, niestety, wciąż mocno śpię. Zakrada się do mojego pokoju z filiżanką herbaty; na jej widok prawie dostaję zawału. Owszem, jest trochę za mała na włamywacza, a poza tym włamywacze zwykle nie przynoszą ci herbatki, ale zanim udaje mi się obudzić na dobre, przeżywam moment paniki. Edna idzie do kuchni zrobić mi grzankę; mówi, że nie powinnam wychodzić z domu bez śniadania. Ubieram się w pięć minut, walę drewnianą łyżką w alarm przeciwpożarowy,

w pośpiechu całuję Charliego na pożegnanie i uciekam do samochodu, zanim mój syn wymyśli jakieś wyjątkowo trudne pytanie, by mnie zatrzymać. W połowie drogi, już na autostradzie, orientuję się, że zapomniałam założyć kolczyki i włożyłam dwie różne skarpetki - czarną i granatową. Do diabła. Barney na pewno zauważy i będzie rzucać złośliwe komentarze.

Ruch jest dziwnie mały i do przedmieść Londynu docieram w rekordowym czasie. Postanawiam uraczyć się kanapką z bekonem w mojej ulubionej kawiarni, prowadzonej przez kobietę imieniem Maggie, w jednej z bocznych uliczek Deptford. Poznałam ją, kiedy kręciliśmy w pobliżu i nie zjawiała się furgonetka z zaopatrzeniem. Wchodząc do kawiarni zauważam, że podłoga jest mokra, ale ciut za późno, wykonuję długi poślizg, aż pod samą ladę. Żeby nie upaść na pysk* przytrzymuję się kasy i wszyscy zgadzamy się, że 1379,98 funtów to trochę wygórowana cena za bułkę z bekonem. Kawiarnia jest pełna robotników, którzy chwają mój pełen wdzięku ślizg. Maggie wyjaśnia, że świetnie się bawią, obserwując jazdy klientów pod ladę i namówili ją, by nie wycierała podłogi, żeby nie psuć im zabawy.

Kiedy siadam, do kawiarni wchodzi dwóch monterów British Telephones. Jeden z nich wykonuje imponujący ślizg i mężczyźni siedzący przy pobliskim stoliku podnoszą w górę serwetki, na których napisali 5.9, 5.8 i 6. Zaczynają wygłaszać komentarze, udając sędziów i mówiąc, że Iwan zrobił potrójny piruet z podwójnym wymachem. Monterzy z BT przyłączają się do zabawy i z niecierpliwością czekają, aż do kawiarni wejdzie następna ofiara. Okazuje się nią sprzedawca z pobliskiego kiosku z gazetami, który dostaje noty 5.9, 6.0. W końcu Maggie mówi, że musi wytrzeć podłogę, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę i wszyscy niechętnie godzimy się, że to chyba dobry pomysł. Wracam do samochodu i przekonuję się, że kiedy siedziałam w kawiarni, ruch bardzo się nasilił. Utykam w okropnym korku na Old Kent Road, spowodowanym przez dwóch kłócących się kierowców ciężarówek. W końcu docieram jakoś do Soho i do biura, spóźniona zaledwie dwadzieścia minut.

Jenny, recepcjonistka, bardzo się cieszy na mój widok, umawiam się więc na lunch z nią i ze Stef, asystentką Barneya. Dzięki temu będę na bieżąco z biurowymi plotkami i może wpadnę na trop, co tym razem kombinuje Lawrence. Lawrence jest Głównym Producentem. Ja jestem Producentem Pomocniczym, którego Bar-

ney wzywa na zdjęcia, bo nie cierpi pracować z Lawrence'em na planie. Lawrence jest świetny, kiedy trzeba się spotykać z agencjami, kombinować nowe zlecenia i czołgać się przed ważnymi osobami, ale jest do niczego na zdjęciach, bo za bardzo się przejmuje i trzęsie się nad Barneyem. Zwykle kończy się tym, że Barney dostaje ataku wściekłości i odsyła go do domu. Ja przychodzę do biura co dwa tygodnie, na zebrania, podliczać się trochę Barneyowi. Pracuję dla niego od lat: jest genialnym reżyserem, choć ma skłonność do gwałtownych wybuchów złości. Ale w końcu oni wszyscy tacy są, a Barney przynajmniej dostaje mnóstwo zleceń i ma jakieś pojęcie o swoim fachu. A to oznacza, że ja też pracuję regularnie.

Jenny ostrzega mnie, że Lawrence znów majstrował przy moim krześle. Bez przerwy coś przy nim grzebie, rzekomo po to, by je naprawić. A skutek jest taki, że w najmniej spodziewanym momencie moje siedzenie zjeżdża o jakiś metr w dół, a ja ląduję z kolanami pod brodą. Przeważnie trzymam wtedy kubek z kawą. Zamieniam swoje krzesło z tym, które stoi przy biurku Lawrence'a: wszystkie wyglądają tak samo, więc nie zauważy, dopóki chwilę w nim nie posiedzi. Jenny uważa, że to naprawdę świetny numer, a Stef przesuwa swój komputer, żeby mieć lepszy widok na biurko Lawrence'a.

Zjawia się Lawrence. Jak zwykle wita mnie przerażoną miną i pyta, dlaczego znów tu jestem. Nie podoba mu się, jeśli ktoś zbyt szybko zbliży się do Barneya. Bez przerwy usiłuje podkopać moją pozycję i wygryźć mnie stąd. Stoimy w recepcji, czekając, aż Jenny posortuje pocztę, kiedy do biura wkracza Barney.

- Chwała Bogu, że jesteś - mówi. Lawrence się krzywi. - Świetny kostium. Ale wiesz, że masz skarpetki nie do pary? - Lawrence uśmiecha się pogardliwie.

- Tak, Barney. Bardzo dziękuję, że zwróciłeś uwagę. Ubierałam się po ciemku, żeby nie obudzić Charliego. Chcesz skrytykować jeszcze jakiś element mojego wyglądu, czy możemy przejść do rzeczy?

Barney wybucha śmiechem i idzie na górę, do swojego imponującego gabinetu, który zajmuje całe pierwsze piętro budynku. Widzę, że Lawrence jest wściekły i nie rozumie, jak mogę w ten sposób zwracać się do Barneya, bo ile razy on próbuje tak do niego mówić, Barney zaczyna na niego wrzeszczeć. Stef biegnie za Barneyem, bo na górce jest nowy ekspres do kawy i szefnie umie

go obsługiwać. Jeśli nie będzie dość szybka, możemy mieć kawowy wodospad na schodach.

Lawrence piorunuje mnie wzrokiem i siada przy swoim biurku. Jenny przynosi mu kubek herbaty; właśnie mam iść na górę, kiedy krzesło robi, co do niego należy, i Lawrence łąduje z kolanami powyżej głowy, desperacko próbując uniknąć oblania się gorącą herbatą. Cudownie. Wyrażam swoje współczucie i mówię, że moje krzesło też tak robi; możliwe, że mają wadę konstrukcyjną. Na twarzy Lawrence'a maluje się wspaniała mieszanka furii i podejrliwości.

Idę na górę na naradę z Barneyem i przeglądam umowę dotyczącą reklamy owsianki. Scenariusz jest dość nijaki, pewnie tak samo jak produkt. Wczesnym rankiem facet wysiada ze swojej łodzi rybackiej. Idzie brukowanymi uliczkami maleńkiej rybackiej wioski, otwiera drzwi swojego domku, po czym widzimy go przy stole, w maleńkiej kuchni, jak wcina z miski owsiankę z błogim uśmiechem na twarzy. Barney oznajmia, że od wieków nie miał do czynienia z tak żalonym pomysłem, ale może uda mu się zrobić z tego coś, na co warto będzie popatrzeć. Ogarnia mnie straszne przeczucie, że to będzie wymagało jakichś skomplikowanych akcji z łodziami, ale staram się o tym nie myśleć.

Lawrence co chwilę przyłazi na górę i snuje się w pobliżu, w nadziei, że Barney zaprosi go na naradę. W końcu zirytowany do reszty Barney prosi go, by przyniósł nam po kubku herbaty. Trafiony, zatopiony. Lawrence przynosi nam herbatę, ale wolę nie ryzykować i nie biorę jej do ust, bo podejrzewam, że dołał do niej lizolu. Przez resztę ranka szamoczę się z komputerem i arkuszami z budżetem, modląc się, żeby krzesło Lawrence'a zapadło się jeszcze raz, bo Stef przegapiła to za pierwszym razem i jest wściekła. W końcu idziemy na lunch; zapoznają się z najświeższymi plotkami i wszystkimi wyczynami Lawrence'a z ostatnich dwóch tygodni. Najpierw poskarżył się Barneyowi, że Jenny zapomniała przekazać mu ważną wiadomość, chociaż powtarzała mu dwa razy, a potem usiłował zrobić Stef w zniknięcie scenariusza, który, jak się okazało, zabrał do domu. Kupił sobie też nowe spodnie z czarnego aksamitu i Barney poprosił go, by przetrulał się po perskim dywanie w jego gabinecie, bo sprzątaczką nigdy nie odkurza go dokładnie, a aksamit świetnie pozbiera wszystkie pyłki. Zgadzaemy się wszystkie trzy, że uwielbiamy Barneya. Wtedy Stef przypomina nam, że w zeszłym tygodniu Barney dostał ataku wście-

kłości, bo astronomicznie droga nowa włoska lampka do pracy, kiedy już postawił ją na biurku, nie wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Przyznajemy, że czasami potrafi być odrobinę męczący, ale przynajmniej od czasu do czasu bywa uroczy i jest cholernie dobrym reżyserem. W przeciwieństwie do Lawrence'a, który nie ma ani krztyny uroku, i poza tym jest zupełnie do niczego w kryzysowych sytuacjach, a przecież na tym polega bycie producentem.

Przez resztę dnia wykonuję setki telefonów, sprawdzając, czy ekipa jest osiągalna, i wysyłam całe tony e-maili. Godzinami łączę też po West Endzie, kupując najróżniejsze porcelanowe miski na owsiankę i kubki na mleko, bo Barney chce mieć wybór - a kiedy mówi, że chce mieć z czego wybierać, ma na myśli co najmniej dwadzieścia modeli. Po powrocie do biura zaczynam targować się z Lawrence'em o różne pozycje w budżecie. Barney pyta, o co się znowu kłócimy i Lawrence oskarża mnie, że żądam nieprawdopodobnych ilości sprzętu i że budżet tego nie pokryje. Kiedy kończy, orientuje się, że popełnił wielki błąd taktyczny. Barney rozpoczyna gniewną przemowę, w której zasadniczo chodzi o to, że to On decyduje, jakiego wyposażenia potrzebuje przy pracy i jeśli ja mówię, że czegoś potrzebujemy, to dlatego, że tak jest, do cholery. A jeśli Lawrence myśli, że zna się na tym lepiej, to może sam zrobić ten pieprzony film. Albo, jeszcze lepiej, może poszukać roboty w firmie, która robi główniane zlecenia za pół darmo. Wtedy się przekona, ile nagród będzie mógł sobie powiesić na ścianach gabinetu.

Docinek na temat nagród trafia w czuły punkt, bo Barney wygrał ich już całkiem sporo i Lawrence uznał, że porozwieszane w recepcji będą wyglądać imponująco. Barney stwierdził, że to żałosne i kazał przewiesić wszystkie na ścianę z tyłu, zarzucając mi kompletny brak subtelności.

W końcu Barney gna na górę i wszyscy przyczajamy się, dopóki się nie uspokoi. Lawrence jest na mnie wściekły i wciąż rzuca mi groźne spojrzenia. Ja jemu też rzucam. Idę na górę powiedzieć dobranoc Barneyowi i zastaję go na kanapie; w błogim nastroju ogląda sobie telewizję. Macha mi na pożegnanie, nie odrywając oczu od ekranu.

Kiedy docieram do domu, okazuje się, że Charlie już śpi. Edna mówi, że zasnął jak owieczka. Przypominam jej z przekazem, że kiedy jest ze mną, nigdy nie udaje owieczki. Wykończona padam do łóżka, budzę się jednak przemarznięta kilka minut później -

a przynajmniej takie mam wrażenie, bo tak naprawdę jest już siódma rano. Charlie śpi owinięty w moją kołdrę, chrapiąc głośno. Po chwili wylania się spod niej i oświadcza, że zapomniał mi o tym wcześniej powiedzieć, ale na dziś do szkoły musi zrobić model statku wikingów, z żaglem i wiosłami. Mówię mu, że chyba żartuje, ale odpowiada, że wcale nie i bardzo się denerwuje. Radzimy sobie najlepiej jak się da, mając do dyspozycji pudełko po płatkach, mazaki i długie, drewniane szpikulce do szaszłyków. Żagiel robimy z kawałka starej ściereczki do naczyń. W sumie wychodzi nam to całkiem niezłe, ale obeszląbym się bez takich wyzwania z samego rana.

Pani Pike jest zachwycona. Mówi, że praca domowa polegała właściwie na tym, żeby pomyśleć, jak zrobić model statku wikingów. Ale ten jest śliczny i trafi na klasową wystawę. Charlie jest bardzo zadowolony z siebie. Muszę pamiętać, żeby następnym razem skonsultować się z Kate, zanim zacznę robić w ostatniej chwili jakiś model. Jadę do domu i postanawiam kontynuować dziś temat „sztuka i rękodzieło”: resztką farby, która została mi po remoncie sypialni maluję stare, łazienkowe krzesło na jasnożółty kolor. Krzesło wygląda bardzo ładnie, zainspirowana, traktuję farbą również ohydnie zielone kafelki w łazience. Ciapię zawzięcie po całej powierzchni i z największym wysiłkiem zwalczam pokusę pomalowania ścian.

Idę na górę popracować trochę w gabinecie i dzwonię do Edny, by się upewnić, czy jutro zjawi się równie wcześnie, żebym mogła jechać do studia na zdjęcia owsianki. Potem pędzę na aromaterapeutyczny masaż do kobiety w sąsiedniej wsi, Kate mi ją poleciła. Masaż jest cudowny, chociaż nieszczególnie podoba mi się muzyka w tle - mnóstwo fletów i śpiewów wielorybów, które najwyraźniej przeżywają jakiś emocjonalny kryzys. Nie jestem pewna, czy osoba leżąca w samych majtkach i owinięta w ręczniki powinna sobie wyobrażać akurat wieloryby.

Masażystka mówi, że mam bardzo spięte ramiona i muszę się częściej relaksować. Uznaję, że to bardzo dobra rada i mówię jej, że gdyby zechciała odebrać Charliego ze szkoły i ugotować mu kolację, z pewnością wiele łatwiej osiągnęłabym stan idealnego spokoju. Kobieta daje mi buteleczkę pachnącego olejku i przykazuje, żebym dołała go sobie do dzisiejszej kąpieli. Wręcza mi również małą butelkę wody mineralnej, podkreślając, jak ważne jest uzupełnienie płynów. Obiecuję posłuchać jej rad i w drodze do

domu o mało nie wjeżdżam w żywopłot: posłusznie uzupełniam płyny, pociągając wielkie łyki z butelki i trzymając kierownicę jedną ręką, kiedy nagle na środku drogi, jakby znikąd, pojawia się samochód. Oczywiście volvo. Kierowcą jest wiekowy staruszek, który ledwie widzi cokolwiek znad kierownicy i wygląda jakby balansował na stercie poduszek. Mijając mnie, macha wesoło ręką, ja też mu macham. Na nieszczęście w ręce, którą macham, trzymam butelkę; skutek jest taki, że wewnątrz samochodu ocieka wodą, a moje spodnie wyglądają, jakby przydarzył mi się bardzo nieprzyjemny wypadek.

Kiedy jednak udaje mi się zmienić spodnie, rzeczywiście czuję się bardziej uspokojona niż zwykle. Postanawiam sprawdzić, czy zadziała to również na Charliego, który twierdzi, że nie jest zmęczony, odmawia kąpeli i chce jeszcze posiedzieć i pograć w wojnę. Nienawidzę grać w wojnę. Myślę, że powinna się raczej nazywać „szamotanina”. Masuję Charliemu nogi, co bardzo mu się podoba; błaga mnie, żeby pomasować mu również plecy. Rozkładam więc ręcznik na moim łóżku, Charlie kładzie się na nim i zaczynam masować mu plecy. Zасыpiamy oboje. Budzę się o dziesiątej i stwierdzam, że cały olejek, co do kropelki, wylał się z butelki i że jest nim przesiąknięta cała kołdra. Sprawdzam automatyczną sekretarkę, na której znajduję sześć wiadomości. Wszystkie dotyczątrzejszej pracy. Postanawiam się wykapać.

Woda jest bardzo gorąca i cała łazienka wypełnia się parą. Ostrożnie wchodzę do wanny i rozpieram się wygodnie, nastawiona na długie, miłe moczenie. Podziwiam świeżo pomalowane kafelki, kiedy nagle uświadamiam sobie, że nowa farba spływa powoli i zbiera się w żółtych kałużach na brzegu wanny, a w końcu zaczyna ściekać do wody. Wyskakuję z kąpeli i zaczynam gorączkowo wycierać farbę. Dwie ściereczki później orientuję się, że potrzebuję porządnej szmaty, idę po nią do kuchni, zostawiając żółte ślady na całym dywanie. Przez kolejne, potworne pół godziny w ruch idzie rozpuszczalnik, gumowe rękawice, płyn do czyszczenia dywanów i ogromny zasób przekleństw. Łazienka zostaje w końcu przywrócona do swojego zwykłego koloru, ale potrzebuję jeszcze zmywacza do paznokci, by usunąć plamy farby ze stóp, a butelka jest prawie pusta. Podeszwy moich stóp pozostają więc bladeżółte. Już nigdy w życiu nie pomaluję kafelków. Nie ma mowy.

Padam do łóżka kompletnie roztrzęsiona i budzę się chwilę później (choć to znów tylko złudzenie), słysząc wchodzącą Ednę.

Ubieram się na paluszkach i udaje mi się wyjść, nie budząc Charliego. Do studia docieram wcześniej, by skontrolować ostateczne wykończenie zbudowanego wczoraj planu filmowego, przedstawiającego kuchnię. Muszę sprawdzić, czy ludzie od scenografii nie natrafili na jakiś niespodziewany problem, który trzeba będzie rozwiązać, zanim zostanie ustawione oświetlenie. Barney ma się zjawić około dziesiątej i wpadnie w furię, jeśli wszystko nie będzie gotowe. Plan wygląda nieźle, z wyjątkiem jednego kredensu, który postawili w kompletnie nieodpowiednim miejscu. Mówię szczerze, co o tym myślę i odmawiam zapłacenia choćby grosza ekstra za przestawienie kredensu tam, gdzie powinien być. Ruszają w końcu z ociąganiem, mamrocząc coś pod nosem, i przesuwa-ją kredens na właściwe miejsce. Po planie zaczyna się plątać oświetleniowiec. Zjawia się również aktor i wyznaje, że tak naprawdę nie cierpi owsianki - chce mu się od niej rzygać - i ma nadzieję, że nie będzie musiał jej jeść. Szkoda, że nie wspomniał o tym na castingu, jako że całe dzisiejsze zdjęcia koncentrują się wokół niego, siedzącego przy stole i zjadającego z miski pyszną, gorącą owsiankę. Oczywiście tak naprawdę nie musi pochłonąć całych misek tego świństwa, ale i tak nie będzie łatwo, jeśli na sam widok zbiera mu się na wymioty.

Przychodzi reszta ekipy i zaczyna się wygłupiać, aż w końcu pojawia się Barney. Jak zwykle w nieskończoność wytrząsa się nad scenografią, po czym dostaje kompletnego świra z powodu kubka na mleko, odrzucając ten, który wybrał wcześniej. Wiedzia-łam, że tak zrobi i jestem bardzo zadowolona z siebie, bo przynio-łam wszystkie pozostałe modele, choć sam powiedział, że to strata czasu. Moje zadowolenie szybko się jednak rozwiewa, kiedy Barney oznajmia, że wszystkie kubki są do bani, a poza tym rybak i tak nie miałby kubka z białej porcelany, każdy idiota to wie. Wygląda na to, że będę musiała wsadzić kogoś do taksówki i po-ślać do HeaFs po nową kolekcję. Usiłuję skłonić Barneya, żeby podzielił się ze mną swoją wizją rybackiego kubka, kiedy nagle na tacy z kawą zafundowaną przez studio zauważa stary, wyszczer- biony niebieski kubek w paski. Stwierdza, że ten jest idealny. Chwała Panu. Pokój zostaje przywrócony.

Podczas kubkowego kryzysu ekipa zdążyła się znudzić. Kiedy wreszcie możemy zacząć, jest już prawie pora lunchu i wszyscy jęczą, że umierają z głodu. Kiedy mówię o tym Barneyowi, każe mi się przymnąć. Ekipa jęczy coraz głośniejsze. Trochę to niebez-

pieczne, bo jeśli szybko nie zadziałam, w końcu naprawdę zaczną rozrabiać, jak małe dzieci, kiedy są zmęczone i w końcu gryzą cię po rękach w najmniej spodziewanym momencie. Pytam Barneya, czy aby na pewno nie jest głodny, skoro tak się napracował przez cały ranek; na całe szczęście nie zauważa sarkazmu i godzi się zrobić przerwę na lunch. Ekipa rozchmurza się natychmiast, z wyjątkiem elektryka, Dave'a, który nie może znaleźć swoich papierosów, bo schował mu je Kevin. Załatwiam sprawę grożąc, Kevinowi, że dam mu klapsa, jeśli nie przestanie się wygłupiać. Okazuje się to grubym błędem, bo połowa ekipy zaczyna natychmiast opowiadać o swoich ulubionych fantazjach sadomaso i błaża o klapsa.

Barney, zupełnie nieświadom tego wszystkiego, oznajmia nagle, że chciałby jednak trochę popracować, jeśli ekipa raczy przestać się objać. Wszyscy błyskawicznie kończą jeść i rzucają się do akcji, chichocząc od czasu do czasu i nazywając mnie Żyletą. Klient nie zjawia się, co jest prawdziwym błogosławieństwem, a aktorowi udaje się nie zwymiotować, choć niewiele mu brakuje. W końcu dolewamy mu brandy do owsianki, żeby przestało go szarpać. Sposób okazuje się dość skuteczny; chwała Bogu uwijamy się w miarę szybko, bo zaczynają mu się szklić oczy. Jeszcze chwila, a urznąłby się kompletnie. Robimy przerwę na podwieczorek, po czym bierzemy się za robienie setek ujęć opakowania i miski z owsianką. Barney jest tym tak znudzony, że bez przerwy gdzieś łązi.

Kolejną przerwę robimy w porze kolacji, po czym usiłujemy doprowadzić zdjęcia opakowania do końca, zanim wybije magiczna godzina - północ, bo potem trzeba będzie płacić ekipie podwójnie. Ekipa stara się opóźnić sprawę jak się tylko da, wszystkim bardzo zależy na dodatkowej forsie. Ale i ja, i Barney znamy się na ich sztuczkach. W końcu mamy dość ujęć opakowania, by zadowolić nawet najbardziej wybrednego klienta i ekipa zaczyna znikać. Barney mówi, że zadzwoni do mnie jutro i że czeka na mnie w przyszłym tygodniu, w biurze, żebyśmy mogli zaplanować zdjęcia w Kornwalii. Mamy tam kręcić bardziej skomplikowane kawałki. Nie mogę się już doczekać - kombinacja łodzi, Barneya, angielskiej pogody i aktora, który nie lubi owsianki, zapowiada się wyjątkowo rozrywkowe

Wracam do domu i zastaję Ednę drzemiącą przy ogniu. Mówi, że dziś wieczorem Charlie znów był małą owieczką, i że podpisała

jego formularz ze zgłoszeniem na rajd, niech mu wyjdzie na zdrowie, ale czy nie wydaje mi się, że osiem kilometrów to kawał drogi? Oczywiście, że mi się wydaje - osiem kilometrów to cholerny kawał drogi. Nic nie wiem o żadnym rajdzie. Rano dzwonię do Kate, która oznajmia mi, że rajd jest zaplanowany na najbliższy weekend i że organizuje go komitet rodzicielski, więc udział jest w zasadzie przymusowy. Najwidoczniej pani Pike zapomniała rozdać nam formularze wcześniej. Mamy się spotkać o jedenastej przed wejściem do pubu, i zabrać ze sobą gumiaci i nieprzemakalne ciuchy. Genialnie.

W sobotę rano gromadzimy się przed pubem, by wyruszyć na naszą heroiczną wyprawę, w gumiakach i kurtkach, objuczeni plecakami pełnymi prowiantu. Zjawia się pani Harrison-Black i mówi, jak bardzo jej miło, że wszyscy zdobyliśmy się na taki wysiłek i że nie musimy się martwić, jeśli nie zdołamy ukończyć trasy - wystarczy, że przejdziemy tyle, ile zdołamy. Roger szepcze, że to bezczelność i że ktoś, kto ma taki wielki tyłek nie ma prawa robić ludziom wykładów na temat sprawności fizycznej. Sally mówi, że wzięła piersiówkę z brandy, na wypadek, gdyby Roger się załamał. Roger odpowiada że jeśli przez całą drogę ma słuchać sarkastycznych komentarzy, to równie dobrze mógł zostać w domu i poczytać sobie gazety.

Zawsze się tak przekomarzają, ale to czułe przekomarzanie, w przeciwieństwie do ohydnych docinków w stylu „a żebyś zdechl”, którymi raczą się inne pary. Sally i Roger poznali się na studiach i od tamtej pory są razem. Nigdy nie kłócą się na poważnie, nigdy nie byli w zakręcie i nigdy niczego nie żalowali. Wystarczy, żeby ich naprawdę znienawidzić. Roger jest notariuszem w miejscowej firmie, ale nie zarabia zbyt wiele, bo ciągle pomaga ludziom i nie zdiera z nich tyle, ile powinien. Sally uczy na pół etatu w miejscowej szkole średniej i bez przerwy jest wykończona. Opiekowanie się Williamem i Rosie i przygotowywanie opornych nastolatków do egzaminów końcowych z historii to dosyć męcząca kombinacja. Zapowiedziałyśmy jej kiedyś z Kate, że jeśli opowie nam jeszcze jedną historyjkę o nieprzystosowanej młodzieży, już nigdy nie staniemy obok niej na placu zabaw. Przynajmniej kiedy James i Charlie ufarbują sobie włosy na niebiesko i zaczną mówić nowym dialektem, zapożyczonym od dealerów z Detroit, będziemy miały miłą niespodziankę.

Ludzie powoli wyruszają, ściskając mapki z zaznaczoną trasą. Niektórzy z nich są Bardzo Gorliwi. Całe rodziny w jednakowych turystycznych kompletach, z wyposażeniem, które starczyłoby pewnie, by wspiąć się na Everest.

- Dobry Boże, spójrzcie na tego faceta. Ma taki bajer na rękę; no wiecie, taki, co to liczy tętno i pika, kiedy ma się dostać zawału.

- Roger, kochanie, myślę, że to raczej krokomierz.

- To znaczy co, sprawdza, czy się nie ma przerostu prostaty? Myślałem, że do tego potrzeba lekarza. Może też sobie taki sprawię, wygląda odłotowo.

- Zamknijże się wreszcie, Roger.

- Ale naprawdę, spójrz tylko na niego; truchta w kółko jak kompletny dupek. Przecież to tylko szkolny rajd. Nie mam słów.

Zgadamy się wszyscy, tym bardziej że Facet z Krokomierzem bez przerwy wrzeszczy na swoich dwóch synków, żeby nie zostawali w tyle. Wyglądają bardzo żałośnie.

- Kiedy się zatrzymamy na lunch?

Ledwie wyszliśmy z parkingu pod pubem, wyjaśniam więc Charliemu, że musimy przejść jeszcze kawałek. Moje słowa zostają przyjęte okrzykami oburzenia. Kate otwiera paczkę winogronowych gum, żeby zająć czymś dzieci, i pokój zostaje przywrócony. James, Charlie i William oznajmniają, że od winogronowych gum zrobili się pijani i zaczynają się zataczać. Przerwa między nami i resztą grupy powiększa się stopniowo; najbardziej przejęte rolę osoby, które wyruszyły w trasę zwawym truchcikiem, są teraz maleńkimi kropkami na horyzoncie. Szlak skręca gwałtownie w las. Podłoże jest coraz bardziej błotniste. Zapowiada się bardzo długi dzień.

Chłopcy mają już na swoich gumiakach tyle błota, że ledwie podnoszą nogi. Co chwilę zatrzymujemy się i oczyszczamy buty. Dzieci zaczynają narzekać i stopniowo ich kwękanie przybiera na sile. Roger zaczyna zabawę w „co widzę?” i oszukuje bezwstydnie, oświadczając, że widział tygrysa i czerwonoskórego. Dzieci prawie mu wierzą i nie odrywają oczu od gęstwiny. Postanawiamy zatrzymać się na odpoczynek, ale ziemia jest zbyt mokra, by można było na niej usiąść, usadawiamy się więc niepewnie na pniach zwalonych drzew, popijając kawę. Dzieci jedzą kanapki. Pociągamy wszyscy po łyku z piersiówki Sally i stwierdzamy zgodnie, że wiejskie okolice są bardzo piękne. Nagle Roger zjeżdża z pnia i siada w błotnistej kałuży; dzieci dostają ataku śmiechu i uznają,

że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziały. Na szczęście Roger nie jest z tych, co to się oburzają, kiedy zostają wyśmiani przez pięcioro dzieci i trzy kobiety. Doprawdy, wyjątkowo rzadki okaz faceta.

Informuje nas, że nawet majtki ma mokre, co wywołuje kolejny wybuch wesołości. W końcu Sally przestaje się śmiać i daje mu całusa. Dzieci uznają, że to obrzydliwe i zaczynają wydawać dźwięki, jakby było im niedobrze. Kate i ja wymieniamy zawiste spojrzenia. Ruszamy dalej o wiele szczęśliwsi i wyłaniamy się z lasu na otwartą przestrzeń. Mijamy jedną z rodzin w jednakowych ubraniach, w samym środku gwałtownej awantury. Rodzice klócą się bardzo głośno o to, kto zapomniał zabrać termosu z kawą, a dzieci - czyją kolej nieść mapę. Jedno z dzieci najwyraźniej wpadło twarzą w kałużę, gdyż od stóp do głów jest pokryte błotem. Prawie już widzimy główną grupę i mijamy kolejną rodzinę, w której nie dzieje się najlepiej.

William mówi, że może będzie jak w bajce o żółwiu i zającu, i to my w końcu wygramy. Chwalimy go, że tak mądrze to wymyślił, ale szanse na wygraną mamy raczej niewielkie, bo pewnie część z tych, którzy ruszyli truchtem, ukończyła już rajd i wraca teraz do domu wziąć zimny prysznic. Daję Williamowi marsa w nagrodę za pozytywne myślenie, Charlie oczywiście boczy się na mnie.

I wtedy zaczyna padać. Kolejne pół godziny przy pomina jakiś przerażający koszmar - prawie wszyscy są na granicy łez i ataku złości. Kończą nam się słodczy. Znajduję paczkę miętówek na dnie torby, niestety, nie ma w niej tego, czego naprawdę potrzebujemy - terenowego pojazdu z napędem na cztery koła. Na szczęście miętówki czynią cuda, przynajmniej na chwilę. William oświadcza, że dentysta zakazał mu jeść miętówki, bo to najgorsze cukierki na świecie. James i Charlie spoglądają na niego, jakby był sierotą z kraju ogarniętego wojną, a nie dzieckiem, którego rodzice prowadzą stanowczą politykę w sprawie słodczy. Roger opowiada, że kiedyś, kiedy był mały, ugryzł swojego dentystę, i wszystkie dzieci spoglądają na niego z podziwem. Roger pośpiesznie wdaje się w szczegółowe wyjaśnienia, że wiele lat temu było inaczej, a teraz dentyści są bardzo mili i dają naklejki. Dzieci wyglądają na niezbyt przekonane. Sally oznajmia, że następnym razem Roger sam może zabrać Williama do dentysty, a ja zastanawiam się głośno, czy oprócz zwykłych nalepek z Tomciem Białym Ząbkiem mają też takie z napisem „Ugryzłem dziś dentystę”.

Des7.cz wciąż pada, a my wleczymy się dalej. Szlak wiedzie teraz znów wzdłuż drogi, z drugiej strony wsi, i jego koniec mamy już w zasięgu wzroku. W końcu docieramy do mety. Pani Harrison-Black mówi:

- Och, dzięki Bogu. Mieliliśmy właśnie wysłać po was ekipę poszukiwawczą. Ha ha.

Kate rzuca jej jedno ze swoich specjalnych, piorunujących spojrzeń. Pewnie nauczyła się tego na pensji dla panien. Trudno uwierzyć, ale naprawdę była na pensji; matka koniecznie chciała ją tam wysłać, a jako że w praktyce oznaczało to sześć miesięcy flirtowania z instruktorami narciarskimi w Szwajcarii, Kate zgodziła się jechać. Najwyraźniej się opłacało, bo jest teraz bardzo dobra w rzucaniu piorunujących spojrzeń i nawet pani Harrison-Black cofa się o krok. Dzieci nagle odnajdują w sobie ogromne zapasy energii i biegną w kółko, witając się z kolegami. Zapraszam Kate, Sally i Rogera na kolację i proponuję, że zrobię pizzę. Kate mówi, że wypożyczy ze dwa filmy, a Sally z Rogerem obiecują przynieść butelkę wina. Wszystkie dzieci są szalenie podekscytowane, a Charlie życzy sobie baloniki, żeby było prawdziwe przyjęcie.

Pizza robi furorę. Chłopcy znikają na górze, w pokoju Charliego, by pobawić się klockami. Co chwilę słyszymy jakieś przytłumione hałasy, a bałagan w pokoju Charliego jest pewnie fenomenalny, ale staram się o tym nie myśleć. Phoebe i Rosie oglądają *Male kobiety* i są zachwycone. Jak zresztą my wszyscy, z wyjątkiem Rogera, który prychnął pogardliwie w najbardziej przestłozonych momentach. Twierdzi, że film tak naprawdę powinien mieć tytuł „Nudne kobiety” i dopytuje się, kiedy będzie jakaś strzelanina.

Film dobiega końca i wszyscy zbierają się do wyjścia. William dostaje ataku złości i czepia się kanapy, szlochając, że nie chce iść do domu. W końcu udaje mi się go przekupić - pożyczam mu kowbojski kapelusz, łuk i strzały, z którymi Charlie niechętnie godzi się rozstać, ale tylko pod warunkiem, że William będzie o nie dbał. William uroczyście przyrzeka, że będzie, po czym cała rodzina pakuje się do samochodu. Kiedy odjeżdżają uliczką, William macha przez okno kapeluszem. Teraz płaczem wybucha James. Oświadcza, że on też nie chce iść do domu i że to on chciał pożyczyć kowbojski kapelusz. Phoebe mówi mu, żeby nie zachowywał się jak głupi bachor i dostaje za to kopniaka. Kate wyprowadza ich

siłą do samochodu, podczas gdy Charlie podskakuje w miejscu, mówiąc, że Phoebe to najokropniejsza dziewczyna na świecie i zaślubiła na kopa. Każe mu się zamknąć, na co oświadcza, że jestem bardzo nieuprzejma. Mogłabym być o wiele bardziej nieuprzejma, ale postanawiam zignorować wszystkie jego protesty, ubrać go w piżamę i zapakować do łóżka, zanim zdąży wymyślić jakąś akcję dywersyjną.

- Mamusiu.
- Tak?
- Możemy jutro pójść na następny rajd?
- Nie.
- A możemy przynajmniej zjeść pizzę?
- Nie.
- Nienawidzę cię,-mamusiu.
- Dobranoc, Charlie.

Zasypia niemal w tej samej chwili, kiedy jego głowa dotyka poduszki. Wychodzę z pokoju na palcach, bo podłoga pokryta jest warstwą drobnych klocków. Lego są wszędzie, nawet w umywalce. Może jutro, kiedy nie będzie patrzył, uda mi się część wyrzucić. Z tą radosną myślą padam do łóżka i śnię skomplikowane sny o rajdach przez owsiankę, podczas gdy Barney wrzeszczy na nas, żeby się pośpieszyć, bo światło się zmienia. Mam nadzieję, że to nie jest zły omen - w przyszłym tygodniu zdjęcia.

3. *Seks, narkotyki i kielbaski w cieście*

Zdaje się, że odwiedził dzisiaj szkołę miejscowy policjant i wygłosił na apelu pogadankę na temat narkotyków. Charlie najwyraźniej wciąż jest pod wrażeniem i poucza mnie, siedząc w wannie.

- Mamusiu, ja powiem narkotykom nie, i ty też musisz.
- Oczywiście, Charlie.

Choć w tej chwili powiedziałabym zdecydowanie tak podwójnemu dżinowi z tonikiem.

- Dobrze. A jeśli ktoś proponuje ci środek odkurzający, musisz odmówić.
- Jak to środek odkurzający, kochanie? Przecież w tym chyba nie ma nic złego?

Chryste, teraz nie wolno mi będzie nawet spryskać mebli preparatem przeciw kurzowi bez wysłuchiwania wykładów na temat złego wpływu narkotyków.

- No wiesz, mamusiu, środek odkurzający to inaczej narkotyk i policjant powiedział, że czasem wygląda jak słodycze. Czy to nie okropne? Myślisz sobie, że to fajny cukierek, a to narkotyk. Więc nie wolno ci nigdy brać cukierków od nieznajomych, mamusiu, bo to może być środek odkurzający.

- Chyba miałeś na myśli środek odurzający, kochanie, nie odkurzający.

- A skąd wiesz? Ktoś próbował ci dać?

Charlie mruży oczy i spogląda na mnie przenikliwie, szukając w mojej twarzy śladów nadużywania narkotyków.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale widziałam w wiadomościach i z całą pewnością to się nazywa środek odurzający.

- Ale jak ktoś spróbuje ci dać, musisz odmówić i zawiadomić odpowiedzialnego dorosłego, na przykład panią Pike. Kogo zawiadomisz, mamusiu? Bo u ciebie w pracy, nie ma pani Pike prawda?

Nie, dzięki Bogu. Przed oczyma staje mi obraz pani Pike, która prosi wszystkich, żeby grzecznie usiedli, a Barney mówi jej, żeby się odpieprzyła.

- „Odpowiedzialny”, Charlie, nie „powiedziałny”. I ja jestem odpowiedzialnym dorosłym, więc nie muszę nikogo zawiadamiać.

Charlie jakoś nie wydaje się przekonany, że można mnie uznać za odpowiedzialnego dorosłego; szybko zmieniam temat, żeby uniknąć paskudnej sceny.

- To świetnie, kochanie, że słuchałeś tak uważnie i wiesz wszystko o narkotykach. Ten policjant mówił jeszcze coś?

- O tak, mnóstwo rzeczy. Powiedział nam, że nieznajomi są niebezpieczni i że jak się zobaczy nieznajomego, to wolno mu zrobić coś złego, a potem uciec. Nawet ugryźć.

Milknie, by ta niesamowita informacja w pełni do mnie dotarła. Widzę, że jest naprawdę podekscytowany perspektywą ugryzienia pierwszego nieznajomego, jakiego spotka. Muszę działać od razu, bo inaczej w niedalekiej przyszłości mogę mieć kłopoty z prawem.

- Nie wolno nikogo gryźć, Charlie, chyba że masz absolutną pewność, że jesteś w niebezpieczeństwie. Możesz wrzeszczeć, wierzgać i uciekać. To o wiele lepsze, niż kręcić się koło kogoś

i próbować go ugryźć. A zresztą bardzo rzadko się zdarza, żeby nieznajomy był groźny, więc nie przejmuj się za bardzo.

Mam nadzieję, że to odpowiednia taktyka. Nie cierpię tego rodzaju rozmów i wiem, że prędzej czy później przyśni mi się realistyczny koszmar, w którym Charlie zostaje porwany przez jakichś szaleńców i to będzie moja wina, bo powiedziałam mu, żeby ich nie gryzł. Tymczasem Charlie siedzi sobie spokojnie w wannie, śpiewając brzydkie piosenki własnego pomysłu. Myjemy mu włosy, przy czym zarzuca mi, że próbuję go utopić. Muszę w najbliższym czasie zapisać nas na wizytę u fryzjera; jego włosy są już tak długie, że ledwie widzi cokolwiek spod grzywki. Raz próbowałam ostrzyć go sama, ale kiedy skończyłam, nie wiadomo skąd pojawiła się cała masa dodatkowych kosmyków i efekt końcowy był taki, że Charlie wyglądał, jakby doznał potężnego wstrząsu elektrycznego.

W końcu kładę go do łóżka i zaczynam otulać kołdrą, ale nagle siada, a z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że ma mi do powiedzenia coś ważnego.

- Mamusiu, jadłeś kiedyś kiełbaskę w cieście?

-Tak.

- James miał takie w szkole, na lunch, i pozwolił mi ugryźć kawałeczek, i było świetne, chociaż nie posmakowałem za dobrze kiełbasy, bo James mi żałował. Mogę jutro dostać kiełbaski w cieście?

- Jutro nie, kochanie. Nie będę miała czasu, żeby pójść na zakupy.

- Możemy pójść na zakupy przed szkołą.

Ogarnia mnie silne przeczucie, że to sztuczka, pozwalająca wypróbować nową, zaaprobowaną przez policję technikę gryzienia.

-Nie, nie możemy. Ja muszę jutro iść do pracy i przychodzi Edna. Ale kupię parę kiełbasek, kiedy będziesz w szkole.

- No dobrze, ale kup takie porządne, duże, a nie te małe, bo są niedobre. Zrobiłem się strasznie głodny, mamusiu. Mogę coś przekąsić?

- Nie. Przestań mnie już zagadywać i połóż się. Pora spać. Słodkich snów, kochanie. - Wycofuję się szybko, zanim wymyśli, co by tu jeszcze powiedzieć.

Pół godziny później idę na górę, zaglądam, spodziewając się ujrzeć śpiące dziecko, ale kiedy otwieram drzwi, czerwony na twarzy Charlie mówi z wściekłością:

- Idź stąd, mamusiu. Kiwam sobie ptaszkiem.

Nie jestem pewna, jak na to zareagować. Konsekwentnie obstaję przy założeniu, że bawienie się ptaszkiem jest zupełnie w porządku w domowym zaciszu, choć niekoniecznie w Marks & Spencer, nawet w wyjątkowo długiej kolejce. Ale czasami czuję się strasznie nie fair, kiedy mu przerywam. Przed oczyma stają mi wizje terapii rodzinnej, podczas której jestem oskarżana o hamowanie jego rozwoju psychoseksualnego. Teraz uznaję, że najlepiej będzie po prostu to zignorować.

- Chciałam tylko powiedzieć ci dobranoc. Wiesz, że powinienś już spać.

- Nic nie szkodzi, mamusiu. Ja bardzo lubię mojego ptaszka. Pewnie też byś chciała takiego mieć.

Z ręką na sercu, nigdy nie snułam takich fantazji - no, może raz, późnym sobotnim wieczorem, kiedy skończył się dzin i czekoladki - ale oczywiście nie dzielę się tą informacją z Charliem.

- Nie, kochanie. Mnie się podoba to, co mam.

Zdaję sobie sprawę, że to żałosna i eufemistyczna obrona żeńskiej seksualności, ale jestem za bardzo zmęczona na coś bardziej konkretnego.

- Ja myślę, że ptaszki są o wiele lepsze. No wiesz, jak się ma dziurę na przodzie piżamy, to można sobie wystawić ptaszka. Ty nie możesz tak zrobić z tym, co masz, prawda, mamusiu?

Rzeczywiście nie mogę, chyba że jestem bardzo pijana. Ale przecież nie puszczę mu płazem tego afrotu.

- Nie, nie mogę. Ale gdyby wszyscy mieli ptaszki, w ogóle byś się nie urodził. Więc oba rodzaje są dobre. Mnie się podoba to, co mam, a tobie twój ptaszek, i bardzo dobrze. A teraz już śpij, idziesz jutro do szkoły.

Błagam Cię, Boże, niech on się nie chwali tą rozmową pani Pike.

Wracam na dół kompletnie wykończona i robię sobie filizankę herbaty, kiedy dzwoni Leila. Uważa, że to wszystko jest potwornie zabawne i przysięga, że „kiwanie” będzie jej nowym słowem tygodnia. Rozmowa schodzi na inne ulubione eufemizmy i w końcu dostajemy niemal konwulsji ze śmiechu. Nasi faworyci to „psipsiak” i „wacuś”. Obie uznajemy, że byłyby to bardzo ładne imiona dla postaci w serialu dla dzieci. W końcu wracamy do przyczyny jej telefonu - chciała zapytać, czy może nas odwiedzić w weekend, bo już zbyt długo nie widziała Charliego. Perspektywa

spędzenia dnia z Leilą jest wspaniała i nie zniechęca mnie nawet fakt, że przeważnie pół godziny po przyjściu pyta, kiedy Charlie idzie spać. Uwielbia go, ale szybko się nudzi; jej próg odporności na dziecięcą aktywność jest bardzo niski, jak zresztą większości moich znajomych, którzy nie mają dzieci. Podczas ostatniej wizyty dała się zaprząć do budowania z klocków lego i o mało nie wpadła w śpiączkę. Przeważnie ma też na sobie jakiś niesamowity ciuch, który Charliemu udaje się na trwałe zaplamić. Każę jej obiecać, że założy coś nadającego się do prania i umawiam się z nią na niedzielę. Potwierdzam też nasze spotkanie jutro wieczorem: wybieramy się na kolację, poplotkujemy sobie do woli, bez Charliego. Gdyby w niedzielę była ładna pogoda, moglibyśmy pojechać na plażę i Charlie wreszcie by się porządnie wybiegał, choć przy okazji pewnie przemoczyłby ubranie. Nie mogę się doczekać.

Edna ma się zjawić jutro bladym świtem, więc nastawiam budzik na wyjątkowo wczesną godzinę, zamierzam wstać i posprzątać kuchnię przed jej przyjściem. Budzę się pełna dobrych intencji, ale w końcu wciąga mnie podglądanie ptaków, które budują gniazdo w żywopłocie naprzeciwko okna. Wyłożyłabym im parę kawałków papierowego ręcznika na kołderki, ale podejrzewam, że wolą jednak swoje gałązki i słomę z pola sąsiada. Udaje mi się w porę opamiętać i popsikać płynem do czyszczenia kuchenne blaty, co ma sugerować niedawne gruntowne sprzątanie. I choć wiem, że Edna szybko się zorientuje w oszustwie, czuję się trochę lepiej. Jestem ubrana i gotowa do wyjścia już o wpół do ósmej, kiedy Charlie galopem przybiega na dół i zaczyna mi szczegółowo opowiadać swój sen o Egipcjanach. Uśmiechając się zdawkowo, usiłuję nie dopuścić do rozmowy o piramidach, aż w końcu Edna odwraca jego uwagę propozycją, że pokroi mu owoce na śniadanie i poobiera z nich wszystkie skórki. Charlie jest zachwycony, bo mnie zwykle nie chce się bawić w takie rzeczy. Idziemy całą gromadką do kuchni i Charlie tańczy z radości, wymieniając po kolei wszystkie owoce, które zamierza zjeść. W końcu decyduje się na ananasy i truskawki, a ja rejteruję w pośpiechu, zanim odkryje, że mamy tylko jabłka i starą zwiędłą pomarańczę.

Na autostradzie istny koszmar: zabójcza mieszanina ciężarówek, ulewnego deszczu i masy ludzi, rozpaczliwie usiłujących rozbić się o barierę między pasami ruchu i jak najszybciej trafić do szpitala. W pewnym momencie ląduję za jakimś starym pierni-

kiem w minimetro, jadącym osiemdziesiątką po środkowym pasie. Usiłuję go wyprzedzić, ale ponoszę sromotną porażkę. Ile razy próbuję zjechać na zewnętrzny pas, jakiś gnojek w bmw przyspiesza i nie chce mnie przepuścić. Wygląda na to, że utknęłam na dobre. W końcu tracę cierpliwość. Przyspieszam tak, że siedzę prawie na rurze wydechowej starego piernika, po czym zjeżdżam ostro na zewnętrzny pas, nie dając kierowcy bmw czasu, by mógł zablokować mi drogę. Gość jest wściekły i zaczyna mrugać do mnie światłami. Odpowiadam mu moją nową ulubioną sztuczką, Barney mnie nauczył. Włączam tylne światła przeciwmgielne, które wspaniale rozświetlają tył mojego samochodu, sugerując, że właśnie mam zamiar niespodziewanie się zatrzymać.

To strasznie głupio z mojej strony, nie powinnam dać się sprovokować do takich idiotycznych zagrywek, ale mam ogromną satysfakcję, widząc, że sztuczka podziałała. Kierowca bmw hamuje i zostaje w tyle. Pewnie uznał mnie za wariatkę, postanawiam więc potwierdzić jego podejrzenia, zjeżdżając z powrotem na środkowy pas, kiedy już udaje mi się wyprzedzić starego piernika w metro. Bmw natychmiast przyspiesza, już prawie mnie mijają, ale kierowca nie może się oprzeć, by nie zwolnić, kiedy zrównuje się z moim samochodem. Rzuca mi groźne spojrzenie; w odpowiedzi wystawiam środkowy palec, nie odrywając oczu od szosy przede mną. Paznokcie mam pomalowane fioletowym lakierem, co według mnie dodaje stylu wszelkim gestom. Bez patrzenia na niego wiem, że doprowadziłam go do furii. Genialnie.

W końcu docieram do Soho i na parking, gdzie odkrywam, że kilka wolnych miejsc zostało tylko na dachu. By do nich dotrzeć, muszę pokonać koszmarną, metalową rampę, która chwieje się, kiedy się na nią wjeżdża. Jakiś idiota w rangę roverze dojeżdża do połowy, ale traci odwagę i wycofuje się na wstecznym, powodując spore zamieszanie, bo za nim są dwa samochody. Jaki sens ma projektowanie samochodów z napędem na cztery koła. zdolnych do wjeżdżania na strome pochyłości, jeśli potem sprzedaje się je idiotom, którzy nie potrafią ich zaparkować? Wszystkie parkingi w Soho są okropne, ale pociąg kosztuje fortunę, jedzie godzinami, a po południu miałabym tylko dwie możliwości powrotu do domu: o piątej i piątej piętnaście. Potem musiałabym jechać przez Aberdeen. Jestem więc skazana na samochód. Udaje mi się wjechać po kiwającej się rampie i zaparkować. Kiedy docieram do biura, mam jeszcze dość czasu, by zorientować się, że zostawiłam

w samochodzie najważniejszą teczkę, ale nie dość, by po nią pójść. Cudownie.

Barney siedzi już w sali konferencyjnej, w fatalnym humorze. Okazuje się, że przyszedł wcześniej, próbował zrobić sobie kawy w swoim nowym ekspresie i oparzył sobie kciuk wrzątkiem, naciśkając nieodpowiedni guzik w nieodpowiednim momencie. Stef ostrzega mnie, że zachowuje się tak, jakby amputacja była jedynym wyjściem; dwa razy kazał jej się wynosić i zabierać ze sobą tę cholerną maszynę. Robię ogromne zamieszanie wokół jego kciuka, na którym widnieje raptem maleńki czerwony ślad, wyciągam z torebki plasterki z dinozaurem i proponuję, że zakleję mu palec, żeby „rana się nie zabrudziła”. Barney prawie daje się skusić, ale w końcu bierze się w garść i każe mi się odpieprzyć. W apteczce pierwszej pomocy znajdują maść antyseptyczną i upieram się, że posmaruję mu kciuk. Zużywam jakieś pół tubki. Barney jest zachwycony. Nasmarowany i usatysfakcjonowany odpowiednią dozą zainteresowania, rozchmurza się zupełnie. Całkiem jak Charlie - może tylko trochę mniej wrzeszczy i odrobinę bardziej przeklina.

Zaczynamy omawiać plany zdjęć w Kornwalii w przyszłym tygodniu, kiedy do sali wpada Lawrence. Nie cierpi, kiedy nie zaprasza się go na narady i pyta, czy go nie potrzebujemy. Szczera odpowiedź brzmiałaby „nie”, ale Barney nie może się oprzeć pokusie opowiedzenia mu o swojej straszliwej ranie. Lawrence stwierdza, że wie wszystko o poparzeniach: kiedyś sparzył sobie całą rękę wodą z czajnika i strasznie go bolało. Barney spogląda na niego z pogardą i pyta, skąd, na litość boską, wytrzasnął takie spodnie. Otóż Lawrence ma dziś na sobie spodnie z brązowej skóry - to naprawdę gruby błąd, bo kanapy w sali konferencyjnej też są kryte skórą, więc co kilka minut produkuje komiczne efekty dźwiękowe, ku swojemu ogromnemu zażenowaniu i ku zadowoleniu Barneya.

Pojawia się Ron, księgowy, i Barney idzie z nim na górę. Zamiast powiedzieć Stef, żeby się wynosiła, prosi ją, żeby zaparzyła herbaty. Pokój zostaje przywrócony i wszystkim udaje się chwilę popracować. Ja też muszę odbyć męczącą naradę z Ronem, który usiłuje wyjaśnić wydatki Barneya z ostatnich dwóch zleceń. Trwa to dość długo, bo system Barneya polega na wpychaniu rachunków do kieszeni i od czasu do czasu wrzucaniu ich hurtem do szuflady. Odkrywamy rachunki za najprzeróżniejsze rzeczy, których w ogóle nie pamiętam, muszę więc być bardzo kreatywna.

W końcu Ron puszcza mnie wolno, ale zapowiada, że może będzie musiał zadzwonić do mnie jeszcze w paru sprawach w ciągu najbliższych dwóch dni. Cudownie.

Na widok listy wiadomości na mojej sekretarce robi mi się słabo, więc wychodzę na ciastko. Przy okazji wypijam tyle kawy, że dostaję potężnej drżączki kofeinowej i przychodzi mi do głowy, że to może być zawał. Nagle przypominają mi się kielbaski w cieście na jutrzejszy lunch dla Charliego. Zaglądam do wszystkich eleganckich ciastkarni na Old Compton Street, ale wszędzie spoglądają na mnie jak na wariatkę i proponująco najwyżej *quiche* ze szpinakiem. W końcu wlokę się do M&S na Oxford Street i kupuję dwie paczki dużych zapiekanych kielbasek, zgodnie ze wskazówkami. Nie pozwalam sobie na kupowanie czegokolwiek innego, by nie spędzić paru godzin na zastanawianiu się, czego brakuje w lodówce. Kobieta przy kasie spogląda na mnie z współczuciem, zakładając widocznie, że przeżywam jakiś kryzys żywieniowy i mam zamiar zjeść na lunch osiem dużych kielbasek. Wracam do biura i stwierdzam, że lista wiadomości na mojej sekretarce jeszcze się wydłużyła, mobilizuję się więc i wykonuję całą masę telefonów. Udaje mi się umówić większość ekipy. W końcu orientuję się, że jest już prawie szósta, a ja nie zadzwoniłam do domu.

Edna ma się dobrze, za to Charlie nie bardzo. Nie smakowała mu pizza, którą Edna zrobiła na kolację i pyta, czy może się nie kłaść i obejrzeć *Buffy postrach wampirów*. Następują skomplikowane negocjacje, w wyniku których w końcu zgadza się pójść do łóżka o zwykłej porze, jeśli jutro będzie mógł obejrzeć *Buffy* na wideo, ze mną. Dzięki temu będę mogła odwracać jego uwagę łaskotaniem w szczególnie przerażających momentach. Denerwuje go to niesamowicie, ale przynajmniej nie budzi się potem z krzykiem w środku nocy. Edna nie potrafi obsługiwać magnetowidu - prawdę mówiąc ledwie zdołałam ją przekonać, że używanie mikrofalówki nie zniszczy jej trwałej. Muszę więc przeprowadzić długi instruktaż, wiedząc, że w efekcie i tak nagrają się światowe finały kręgli.

Spotykam się z Leilą w nowym, modnym klubie, gdzie umówiliśmy się na wczesną kolację. Przychodzi późniona, jak zwykle. Leila siedzi przy barze w cudownym kostiumie, który musiał kosztować fortunę. I rzeczywiście kosztował, ale Leila wygląda w nim tak bajecznie, że - jak słusznie stwierdza - i tak była to taniocha. Lokal jest pełen chudych jak szkielety młodych kobiet,

wyglądają tak, jakby wyszły z domu w bieliźnie. Wszędzie pełno koronkowych halek, bardzo wysokich obcasów i maleńkich sweaterków. Najwidoczniej kwiatowe wzory znów są modne, ale tylko w zjadliwych kolorach. I tylko pod warunkiem, że nosi się ósemkę. W pozostałych przypadkach wciąż mają wzięcie długie czarne żakiety. Czuję się, jakbym miała z osiemdziesiąt lat i przychodzi mi do głowy, że mój długi czarny żakiet nie jest dość długi. Ale czy powstrzyma mnie to od zjedzenia deseru? Nie ma mowy.

Nie piję alkoholu, bo mam prowadzić. Za to Leila na poważnie zabrała się za butelkę szampana i jest w świetnej formie. Przez restaurację przewija się cała masa ludzi z branży reklamowej, więc przy okazji odnawiamy mnóstwo przydatnych znajomości, choć trochę to męczące. Po raz kolejny przekonuję się, że moja umiejętność zapamiętywania imion ludzi nie jest tak rozwinięta, jak powinna być. Leila pamięta wszystkich, łącznie z imionami ich dzieci i zwierzaków. Ledwie udaje mi się przypomnieć sobie imię naprawdę miłej kobiety, z którą pracowałam w zeszłym roku - kończy się na tym, że przez pół wieczoru wisimy przy barze, wymieniając wszystkie wady reżyserów, mężczyzn w ogóle, naszych ud i fryzjerów, którzy zawsze za krótko ścinają ci włosy.

Kiedy wreszcie siadamy do stolika, zaczyna się bardzo skomplikowany proces zamawiania. Leila jest na nowej diecie i wolno jej jeść tylko jakieś dziwaczne zestawy potraw, ale jednocześnie stara się dopilnować, żebym ja zamówiła to, na co ona ma ochotę. Będzie wtedy mogła wyjadać moje danie i to się nie będzie liczyło, skoro go nie zamówiła. Wszystko idzie dobrze, dopóki nie dochodzimy do frytek, kiedy to proponuję, żebyśmy zamówiły dwie porcje. Leila złości się i oznajmia, że wcale nie trzymam się zasad gry. W końcu zgadzamy się na duży talerz. Na szczęście, kiedy przynoszą nam jedzenie, talerz okazuje się olbrzymi i ledwie mieści się na stole, więc wszystko jest w porządku. Mówię Leili, że mama wynajęła na tydzień willę w Hiszpanii i zaprosiła mnie i Charliego na ferie po Wielkanocy. To świetny sposób, żeby uniknąć wiosennych wichur i ulewnych deszczy. Mama ma ochotę na małe wakacje, a tato wymyślił sobie jakiś turniej golfowy, żeby nie musieć z nami jechać. Nie przepada za wyjazdami z dziećmi poniżej dziesiątego roku życia. Leila stwierdza, że takie ferie to świetny pomysł, i postanawia też zaplanować coś w tym stylu. Jak się okazuje, „coś w tym stylu” to według niej tydzień w Wenecji; proponuję jej, że się z nią zamienię, ale nie daje się namówić.

Stwierdza, że Charlie nudziłby się u Ciprianiego i postawiłby sobie za punkt honoru, by wpaść do Wielkiego Kanału. Ze smutkiem przyznając jej rację i obiecując przywieźć jej słomianego osiołka.

Przechodzimy do ogólnych plotek. W pewnym momencie Leila rozśmiesza mnie tak, że dławię się niemal na śmierć i kelner musi mnie klepać po plecach. Szczerze mówiąc, uważam, że nie musiał tłuc mnie tak mocno, ale w końcu się uspokajam. Leila stwierdza, że nie było jeszcze tak źle: mógł próbować zabiegu Heimlicha. Prawie żałuję, że tak nie było. Próba podniesienia mnie na pewno starłaby ten uśmiezek z jego twarzy. Deser jest bajeczny - nowa dieta Leili najwidoczniej zaleca jedzenie *creme briilee* - a kawa i rachunek zjawiają się bez zwykłego, półgodzinnego opóźnienia. Może kelner myśli, że znów się zacznę dławić. Leila upiera się, że zapłaci i każe mi przeznaczyć moją połowę na prezent dla Charliego, ale tylko pod warunkiem że będzie to coś łażliwego i plastikowego. W końcu wychodzi, bo za chwilę ma się spotkać ze swoim nowym facetem, wybierają się na dyskotekę. Nie potrafię sobie wyobrazić, skąd bierze tyle energii: sama ledwie mogę się dowlec na parking.

Winda nie działa. Kiedy wreszcie udaje mi się wdrapać na górę, brakuje mi tlenu i marzę tylko o tym, żeby się na chwilę położyć. Z nieba leje deszcz i metalowa rampa zrobiła się bardzo śliska. Dwa razy prawie się przewracam. W końcu docieram do samochodu i padam wykończona na siedzenie. Przydałaby mi się krótka drzemka, ale jakoś zwalczam pokusę. Żeby było mi wygodniej, ściągam biustonosz bez zdejmowania swetra, co wymaga najróżniejszych skomplikowanych wygibasów. Wyciągając biustonosz z rękawa zauważam, że samochód naprzeciwko nie jest już pusty. Mężczyzna na fotelu kierowcy gapi się na mnie niewidzącym wzrokiem, nie sądzę, żeby cokolwiek dostrzegął, bo usiłuje wymyślić, jak zjechać z rampy i nie ześlizgnąć się przy tym prosto na ścianę garażu. Za to kobieta na miejscu pasażera bawi się setnie.

Jazda do domu jest o wiele bardziej relaksująca niż podróż w przeciwną stronę. Obok mnie śmiga merc, jadący dobrze ponad sto sześćdziesiąt na godzinę. Jakies pięć minut później dostrzegam go na poboczu, w towarzystwie samochodu policyjnego. Hura. Drogówka nareszcie się na coś przydała. Wóz patrolowy jest oświetlony jak choinka na Boże Narodzenie, nie potrafię sobie wyobrazić, jakim cudem kierowca merca mógł go nie dostrzec.

Zakładam, że prowadzenie z taką prędkością po zewnętrznym pasie zaabsorbowało cały jego mózdzek. Kiedy docieram do domu, Edna drzemie przy kominku. Pamiętała, żeby zapalić lampy przed domem, więc nie przewracam się w rabatkę po wyjściu z samochodu, jak to zwykle bywa. Idealne zakończenie długiego dnia. Edna oznajmia, że Charlie był aniołkiem, co jest oczywistym kłamstwem, ale i tak miło usłyszeć coś takiego. Jest bardzo podekscytowana, bo magnetowid zadziałał. Postanawiam nie mówić jej, że nagrała zły kanał.

Kielbaski w cieście okazują się wielkim przebojem następnego ranka. Charlie oczywiście upiera się, żeby zjeść jednana śniadanie.

- Mamusiu, nie uważasz, że kielbaski są genialne?
- Wspaniale.
- Tak. I ten, co je wymyślił, zasługuje na medal, nie sądzisz?
- Tak. A teraz pośpiesz się i załóż skarpetki, bo się spóźnimy.
- Czy można dostać medal za takie rzeczy jak kielbaski w cieście?

-Charlie, nie wiem. Zakładaj skarpetki.

- No dobra, dobra, nie musisz krzyczeć. Ja tylko pytałem. Naprawdę, mamusiu, powinnaś się bardziej wyluzować.

Posyła mi anielski uśmiech, a ja mam wielką ochotę wsadzić mu kielbaskę do nosa.

- Kocham cię, mamusiu. Czy na podwieczorek też mogą być kielbaski?

- Tak, Charlie. Pewnie mogą.

Z okazji wizyty Leili zapisałam Charliego do fryzjera. Obiecałam mu też lunch w Pizza Express, by przekonać go, że da się wyjść z domu w sobotę rano bez oglądania całego repertuaru kreskówek. Nie jest zachwycony, ale ustępuje w końcu, kiedy mówię, że będzie mógł zjeść lody na deser. Fryzjerka, Trący, jest bardzo miła i pyta Charliego, jaką chciałby mieć fryzurę.

- Chcę druty. Wie pani, są bardzo modne.

Trący nie jest do końca pewna, co to są „druty”, ale jeśli chodzi mu o dredy, to niestety, jego włosy nie są dość długie.

- No dobrze, ale nie chcę za krótkich włosów, bo bardzo marzną mi uszy.

Trący bierze się za strzyżenie, a ja zaczynam czytać kolejny rozdział *Lwa, czarownicy i starej szafy*. Kiedy przyszliśmy tu ostat-

nim razem, zapomniałam zabrać książkę i w końcu musieliśmy się w nieskończoność bawić w „Co widzę?” Charlie wygrał, wymyślając słowo na G. co bardzo mnie zaniepokoiło. Poprosiłam go, byśmy dokończyli szeptem - okazało się, że odpowiedź brzmi „Gruba pani”. Książka jest więc o wiele bezpieczniejszą opcją. Docieram prawie do końca rozdziału, kiedy Trący oświadcza, że skończyła, ale nie ma nic przeciwko temu, żebym doczytała rozdział, bo to taka śliczna historia. Stwierdza też, że Królowa Śniegu to straszna krowa. Kończę więc czytać, podczas gdy Trący bardzo powoli zmiata niewidzialne włosy z szyi Charliego.

Leila przyjeżdża następnego dnia wczesnym przedpołudniem i stwierdza, że fryzura Charliego to najelegantsza rzecz, jaką w życiu widziała. Jedziemy do Whitstable. Ledwie wysiadamy z samochodu, Charlie pędzi nad brzeg morza i udaje mu się gruntownie przemoczyć ubranie w ciągu pięciu minut. Mam w samochodzie zapasowe ciuchy dla niego, ale wycucie czasu to najistotniejsza sprawa: jeśli przebiorę go zbyt wcześnie, przemoczy nowe ubranie, zanim wejdziemy do restauracji na lunch, a jeśli będę zwlekać za długo, wpadnie w hipotermię. Jego nogi już są bladofioletowe. Leila i ja plotkujemy sobie, siedząc na kamieniach, które - choć niezaprzeczalnie malownicze - po jakichś dwóch minutach robią się niewiarygodnie twarde. Leila ma na sobie różne odcienie kremu, a do tego wspaniałe, różowe, bardzo delikatne sandały. W zasadzie nie jest w stanie w nich chodzić, ale ma to gdzieś, takie są ładne. Zgadzam się z nią zupełnie i stwierdzam, że też takie chcę.

Nowy facet Leili wydaje się całkiem sympatyczny. Samotny, bez żadnych widocznych na pierwszy rzut oka psychologicznych problemów, nigdy nie był żonaty, nie ma żadnych nadprogramowych dzieci i zarabia fortunę. Jest też fantastyczny w łóżku i zna jedną bardzo zmyślną sztuczkę z językiem. Pracuje w ratuszu, ale Leila twierdzi, że nie jest ani trochę nudny. Wierzę jej całkowicie, zwłaszcza jeśli tej sztuczki z językiem nie oszczędza na specjalne okazje. Ma na imię James; Charlie oświadcza, że to bardzo dobre imię, takie samo jak jego najlepszego przyjaciela. Leila uważa, że to omen i jest tym bardzo przejęta. Przyznaje, że myślała już, jak świetnie James wyglądałby przy ołtarzu. To bardzo zły znak, bo zwykle nie zaczyna tak szybko snuć ślubnych fantazji. Pyta Charliego, czy zgodziłby się założyć kilt i asystować jej przy ślubie.

Charlie zgadza się, ale kiedy wyjaśniamy mu, co to takiego kilt, spogląda na nas, jakbyśmy obie zwariowały.

- Mamusiu, ty powinnaś wziąć ślub. Wtedy mógłbym mieć tatę. Dostawałbym wtedy więcej zabawek, nie?

- Niezupełnie, Charlie. Dostawałbyś tyle samo, tylko byłyby od nas obojga.

- Aha. Ale i tak myślę, że byłyby fajnie.

O Boże. Czy to znaczy, że moje małe biedactwo cierpi cały czas i tęskni do nieznanego ojca, a ja tego nie zauważyłam? Czuję się zdruzgotana własnym samolubstwem i przytulam syna. Leila rzuca mi zatroskane spojrzenie.

- Naprawdę chciałbyś mieć tatę, kochanie?

- No, trochę. Przydałby się jakiś fajny gość, no wiesz, tylko nie za gruby, i żeby nie był rudy.

Do diabła, to eliminuje mój ideał mężczyzny.

- Nie taki jak Homer Simpson, i żeby miał mnóstwo pieniędzy i psa. Wielkiego psa. I wtedy moglibyście chodzić do pracy na zmianę, i moglibyśmy mieć basen. Jak ja będę brał ślub, to nie w kościele, tylko w biurze.

- Chyba chodzi ci o urząd stanu cywilnego, Charlie.

- Tak. a jakbyś była za bardzo zmęczona jeżdżeniem na pływalnię, to on by mnie zabierał.

- Tak, kochanie, ale musiałbyś się dzielić wieloma rzeczami, a gdybyśmy wszyscy jechali samochodem, musiałbyś siedzieć z tyłu.

Charlie milknie, by rozważyć tę ogromną skazę w stworzonym przez siebie idealnym obrazku.

- No dobrze, to może tylko kupimy psa?

Leila krztusi się ze śmiechu, a ja czuję ogromną ulgę, że Charlie najwyraźniej nie tęskni aż tak bardzo do postaci patriarchy w swoim życiu. Teraz rusza galopem bawić się w piratów, co polega na wbieganiu w morze po kolana i wybieganiu z powrotem z głośnym wrzaskiem.

Nagle zaczyna padać, i postanawiamy się schronić w Barze Ostrygowym Whitstable. Leila nie może chodzić w nowych sandałach, więc dosłownie znoszą ją z kamieni; Charlie uważa, że to genialne. Zaklepałam wcześniej stolik, więc udaje nam się dostać do środka, ale lokal pęka w szwach, a kelnerka jest najwyraźniej na granicy hysterii. Charlie oświadcza, że umiera z głodu i zaczyna spoglądać tęsknie najedzenie na cudzych stolikach. Jeśli nie zadziałam szybko, zacznę podchodzić chyłkiem do obcych ludzi

i pytać, czy potrzebują swoich frytek. Udaje mi się skłonić kelnerkę, by przyjęła od nas zamówienie. W ostatniej chwili Charlie wtrąca swoim cienkim głosem, że chciałby homara. Każę mu się zamknąć i zadowolić rybą z frytkami, ale Leila ucisza mnie i oznajmia, że ona zapłaci, ponieważ dzieci należy zachęcać do odkrywania nowych smaków. Razem z homarem przyjeżdża maty sztylecik do kruszenia skorupy. Zachwycony Charlie zaczyna nim wymachiwać i używa go nawet do jedzenia frytek.

Leila i ja wkrótce jesteśmy pokryte fruującymi kawałkami homara, a ludzie przy sąsiednim stole przestają się pobłażliwie uśmiechać do małego chłopca, który tak dorośle się zachowuje, i zaczynają chować głowy. Wyrwam mu sztylet, wraca więc do noża i widelca, ale boczy się na nas, aż w końcu Leila pyta go, czy chciałby zjeść ostrygę. Owszem, chciałby, zamawiamy więc pół tuzina. Charlie połyka jedną z głośnym siorbnięciem i stwierdza, że to zupełnie jakby pić wodę morską, tylko bardziej gumiąstą. Pyta, czy mógłby dostać jeszcze jedną. Z jednej strony jestem zachwycona, że taki z niego eksperymentator, a z drugiej przerażona, że lada moment robi mu się niedobrze. Leila prosi go, by na zawsze zapamiętał, że pierwsze ostrygi jadł z nią. Potem wszyscy wcinamy fantastyczny deser lodowy. Charlie biegnie z powrotem nad morze bawić się w piratów, a my siedzimy przy stoliku, popijając kawę i obserwując go. Próbuję wyliczyć, czy będzie miał dość czasu, żeby się utopić, zanim zdążymy wyrwać się z restauracji i wyciągnąć go z morza. Uznaję, że zdołamy go uratować, ale tylko pod warunkiem, że Leila zdejmie swoje nowe sandały.

Restauracja jest pełna rodzin z małymi dziećmi. Niektóre siedzą sobie grzecznie i zadowolone żują kawałek chleba, od czasu do czasu wymachując nim w powietrzu. Ale niektóre są podawane z rąk do rąk jak kłopotliwe pakunki, wiercą się, próbują zejść na podłogę, rozrzucają chleb i ogólnie rozrabiają. Mówię Leili, że moim zdaniem to potwornie nie fair, że niektórym ludziom trafiają się grzeczne, nieruchawe szkraby, które potrafią godzinami siedzieć na miejscu, a reszta dostaje marudne półdiabłeta, które nie usiedzą nawet minutki. Kiedyś myślałam, że to po prostu kwestia nieodpowiedniego wychowania, ale wkrótce po urodzeniu Charliego przekonałam się, że to nieprawda. Jeśli dostaje ci się rozrabiająca, po prostu musisz się z tym pogodzić. Książki o opiece nad dziećmi powinny być pisane z tą myślą. Nieruchawe po roku będą zaczynały chodzić, ich pierwszym słowem będzie „tak”, a ulubioną

zabawką miś. Rozrabiaka po pół roku będzie już biegał, jego pierwszym słowem będzie „nie”, a wśród ulubionych zabawek znajdą się twoje włosy, zawartość torebki i telefon - ale tylko pod warunkiem, że akurat rozmawiasz. Kiedy płacimy rachunek, uśmiecham się ze zrozumieniem do kobiety, której maluch gustuje wyłącznie w cudzych frytkach.

Wreszcie za pomocą kombinacji przekupstwa i gróźb pakujemy Charliego do samochodu. Leila wymyśla wspaniałą historię o magicznych różowych sandałach, które potrafią przenieść właściciela w powietrzu w każde miejsce na świecie; w końcu jej sandały lądują na nogach Charliego, który życzy sobie lecieć do Nibylandii. Leila jest bardzo zadowolona z własnych talentów gawędziarskich, nie mówię jej więc, że przez kolejne pięć lat, ilekroć zobaczy się z Charliem, będzie proszona o kolejny rozdział tej samej historii. Ja wpuściłam się w podobną sytuację w zeszłym roku, kiedy to przekupiłam go opowiadką, żeby wrzucił kraba z powrotem do morza. Po jakichś sześciu tygodniach wieczornych próśb o kolejny odcinek Przygód Charliego Kraba zrozpaczona wymyśliłam katastrofę tankowca. Wszystkie kraby musiały wyemigrować ze skażonych okolic i nie zostawiły nowego adresu. Musiałam też kupić całą masę nowych kaset z bajkami, by wynagrodzić bolesną stratę.

Leila zostaje na podwieczorek. Kiedy już ma zamiar jechać do Londynu, Charlie upiera się, że musi usłyszeć kolejny rozdział Różowych Sandałów, bo inaczej nie pogodzi się z jej odejściem. Leila robi zdesperowaną minę i sugeruje, że mamusia może mu opowiedzieć następną przygodę, ale mamusia oświadcza, że nic nie wie na temat różowych sandałów i idzie pozmywać. Leila wykonuje bardzo niegrzeczny gest, ale ostatecznie usadawia się na kanapie i opowiada Rozdział Drugi. W końcu dostaje zezwolenie na wyjście i prawie biegiem rusza do samochodu.

Po skompletowaniu szkolnego mundurka na poniedziałek, przygotowaniu lunchu do szkoły, odbębnienu szkolnej czytanki, przedyskutowaniu kwestii obejrzenia *Star Trek* na wideo, po zastosowaniu niezliczonych sztuczek w celu odwrócenia uwagi i po długim Zawracaniu Gitary Charlie siedzi wreszcie w łóżku, z umytą głową, wyszorowanymi zębami i w piżamie. A ja jestem kompletnie wykończona.

- Mamusiu, mieliśmy fajny dzień, co?
- Tak, kochanie, ale teraz pora spać. Jutro idziesz do szkoły.

- Tak. Uwielbiam ostrygi, mamusiu. I homary. I Leilę. A ty, mamusiu?

- Tak, kochanie - potakuję, wycofując się do drzwi.

- Kiedy dorosnę, ożenię się z Leilą w biurze i będzie mogła przyjść w swoich różowych sandałach, i zjemy ostrygi na podwieczorek. A ty będziesz mogła przyjść i ugotować nam coś dobrego.

- Och, bardzo dziękuję. Charlie. A teraz spać.

- Tak. Ale nie będziemy jedli krabów, bo to okrutne. Mamusiu, możesz mi opowiedzieć specjalny odcinek mojej historii o Charliem Krabie, jak wyrusza szukać przygód z wielorybem i spotyka syrenę w różowych sandałach?

- Nie.

- To może jutro wieczorem?

- Nie.

Wywiązuje się gorąca sprzeczka, podczas której kołdra fruwa pod sam sufit. W końcu zmuszam go do pogodzenia się z faktem, że historie o krabie nie zostaną wskrzeszone, a Różowe Sandały pozostaną wyłącznym terytorium Leili. Obiecuję za to, że mogę wziąć pod uwagę wypożyczenie z Blockbuster's specjalnego filmu na jutrzejszy wieczór, jeśli skończy się to głupie zachowanie, a kołdra wróci do łóżka. Chciałabym znaleźć jakiś sposób na wygrywanie kłótni bez uciekania się do przekupstwa, ale skoro nie mogę zastosować pastucha elektrycznego, moje szanse są raczej mizerne. Mogę już przewidzieć jutrzejszą nieprzyjemną dyskusję: ja będę obstawać przy rodzinnych filmach Disneya, a Charlie będzie się upierał, że *Szpieg, który mnie pieprzył* będzie w sam raz. Schodzę na dół, zastanawiając się, jak „brzydki” może być *Szpieg, który mnie pieprzył* i do kogo mogłabym zadzwonić po informację, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę.

4. Seks, kłamstwa i kasetą wideo

Wychodzę z domu bardzo wcześnie: jadę do Kornwalii na zdjęcia do reklamówki owsianki. Edna ma się zająć Charliem do wieczora, kiedy to przyjadą mama i tato. Podróż jest piękna, ale wyczerpująca. Wszystkie drogowskazy są wyjątkowo bezużyteczne i udaje mi się wjechać w labirynt małych drózek,

prowadzących w zupełnie niewłaściwym kierunku. Przez drzewa rosnące wzdłuż szosy przebija światło słoneczne, więc co kilka sekund oślepiają mnie ostre promienie - coś w rodzaju naturalnego stroboskopu. Zastanawiam się, czy będę miała dość czasu, by się zatrzymać, zanim dopadnie mnie jakiś tajemniczy nerwowy atak. Nigdy nie wiadomo, jaki efekt może mieć migające światło na mój nieprzyzwyczajony mózg.

W końcu na dnie torebki znajduję okulary przeciwsłoneczne, które jednak mają tylko jedno ucho; drugie zniknęło w jakiś niewyjaśniony sposób. Bardzo starannie umieszczam je na nosie, używając image mniej więcej w stylu Jasia Fasoli. Śpiewam sobie do wtóru Arecie Franklin i za każdym razem, kiedy docieramy z Arethą do naprawdę czadowego fragmentu, okulary spadają.

Ostatecznie udaje mi się jednak zlokalizować Konwalię i hotel, który okazuje się jednym z tych ohydnych nowoczesnych budynków z szarego betonu, z ogromnym parkingiem pełnym samochodów. W końcu znajduję wolne miejsce, ale muszę iść piechotą całe kilometry do wejścia hotelu, taszcząc swoje walizki, bo to na pewno jedno z tych miejsc, w którym trzeba czekać sześć godzin, żeby przynieśli ci bagaż z samochodu, po czym dostarczający go do pokoju w chwili, kiedy jesteś właśnie jedną nogą pod prysznicem.

Hotel jest zapchany urzędnikami skarbowymi na konferencji. Wszyscy są niesamowicie podekscytowani. Jestem pewna, że Lawrence zameldował mnie tu specjalnie, wiedząc, że będzie pełno delegatów. Barney i reszta ekipy mieszkają w o wiele elegantszym hotelu na szczycie wzgórza, z widokiem na zatokę. Dla mnie podobno zabrakło pojedynczego pokoju, a przynajmniej tak twierdzi Lawrence. Miałam do wyboru dzielić pokój z kimś z ekipy, albo zamieszkać tutaj. W recepcji jest pełno facetów (i kilka kobiet) w granatowych garniturach, którzy witają się głośno i wymieniają wizytówki. Planuję wypaść się spokojnie, bez pobudek w środku nocy, a jutro przeprowadzić jeszcze ostateczną inspekcję, zanim po południu zjawi się Barney z ekipą. Będziemy mieli akurat dość czasu, żeby zacząć ustawiać plan zdjęciowy, ale za mało, żeby wpakować się w jakieś poważne kłopoty. Mam nadzieję. Ekipa filmowa i woda to niezbyt dobra kombinacja. Zastanawiam się, czy nie powinnam postawić w stan gotowości lokalnej straży przybrzeżnej.

Mój pokój jest nijaki i plastikowy, ale nie ma w nim dzieci, więc zasypiam natychmiast. Budzę się głodna jak wilk. Obsługa

hotelowa na pewno jest powolna i do niczego; biegnę na dół w starych dzinsach i w swetrze, by przekonać się, że restauracja jest pełna urzędników skarbowych w strojach koktajlowych. Błagam kelnera o jakiś stolik; ustępuje w końcu i oznajmia, że zapyta „tamtego dzentelmena”, czy nie będzie miał nic przeciwko, żebym się dosiadła. Chcę go powstrzymać, ale kelner pruje już na drugą stronę sali i pochyła się nad mężczyzną siedzącym samotnie przy oknie. Genialnie.

Podchodzę do stolika w przekonaniu, że to jakiś delegat na konferencję, tak niepopularny, że nikt nie chciał z nim usiąść i że jestem skazana na wykład o emeryturach. Z krzesła wstaje jednak niesamowicie przystojny facet. Dziękuję mu wylewnie, że zgodził się dzielić ze mną stolik, żałując jednocześnie z całej duszy, że mam na sobie tak tragiczne ciuchy. Facet radzi poczekać z tymi podziękowaniami, dopóki nie spróbuję zupy. Ma cudowny szkocki akcent, swego rodzaju skrzyżowanie Seana Connery'ego i Mela Gibsona w *Braveheart*. Uśmiecham się i zaglądam w menu, zgodnie z sugestią postanawiając unikać zupy. Urzędnicy skarbowi mówią coraz głośniej i zaczynają sobie opowiadać, że w ciągu następnych paru dni w przystani ma być kręcony film. Chodzą plotki, że ma się pojawić Tom Cruise. Niejestem pewna, czy Tom Cruise grywa akurat w reklamówkach owsianki, ale założę się, że gdyby grywał, byłby wspaniały. Choć pewnie trochę nadwerżyłby nam budżet.

Wszyscy są bardzo podekscytowani możliwością otarcia się z bliska o gwiazdy. Obiecują sobie, że pognają na przystań, kiedy tylko zaczną się zdjęcia może nawet uda im się zaprzyjaźnić z Tomem. Zapowiada się nieźle. Barney jest taki cierpliwy dla ludzi próbujących zyskać swoje pięć minut sławy. Mój towarzysz przedstawia się jako Mack - niejestem pewna, czy to jego imię, czy nazwisko, ale wołę nie pytać. On za to pyta mnie, co robię w Kornwalii. Postanawiam nie wspominać o mojej pracy, głównie dlatego, że mężczyźni przy sąsiednim stole najpewniej by mnie podsłuchali i zaczęli wyśpiewywać swoje popisowe numery, jak na castingu. Mówię mu, że zrobiłam sobie krótkie wakacje, a on zwierza mi się, że jest marszandem i że przyjechał zerknąć na dzieła kilku miejscowych artystów.

Kelner przynosi jedzenie - zupełnie przyzwoite, choć Mack widocznie jadał lepsze i jest serdecznie ubawiony swoimi marchewkami, powycinanymi w kwiatowe kształty. Opuściłam sobie

pierwsze danie, zabieram się od razu za stek z frytkami i sałatką. Nasza konwersacja toczy się kulawo; pozostali goście robią się coraz bardziej zadziorni i zaczynają się popisywać. Mack nie jest zadowolony i proponuje, żebyśmy kawy napili się w barze. Jego akcent jest boski, oddaję się więc fantazji, w której ma na sobie kilt, a potem ja mam na sobie kilt, a on nie ma na sobie nic. Muszę się wziąć w garść, albo zrobię z siebie kompletną idiotkę. Dostajemy rachunki. Kiedy wychodzimy z restauracji, kelner posyła mi obrzydliwy uśmiech i puszcza do mnie oczko. Okazuje się, że w barze jest jeszcze więcej uczestników konferencji, a jeden z nich próbuje nawet ożywić trochę atmosferę, tańcząc na stoliku.

Mack pyta, czy nie zechciałabym napić się kawy w jego pokoju, bo byłoby mu bardzo miło porozmawiać ze mną jeszcze chwilę, oczywiście bez żadnych ukrytych intencji. Zgadzam się z wielką radością i natychmiast myślę sobie, że powinnam być trochę bardziej oporna. W głębi duszy mam nadzieję, że będzie miał całe mnóstwo ukrytych intencji, ale to dopiero wtedy, kiedy uda mi się jakoś wrócić do pokoju i zmienić moją tragiczną, starą bieliznę. Przypomina mi się też, że nie użyłam żadnych perfum. Mack jest jeszcze przystojniejszy, kiedy stoi, jest bardzo wysoki i uśmiecha się bosko. Ma niesamowite, szare oczy i ciemne, kręcone włosy idealnej długości. Ani śladu kucyka czy kolczyków, czy jakichkolwiek innych gadżetów charakterystycznych dla marszandów - choć szczerze mówiąc nie znam właściwie żadnego marszanda, więc brak kucyka może być zupełnie normalny. Po dość niezręcznej chwili ciszy w windzie wchodzimy do jego pokoju. Okazuje się, że tak naprawdę to apartament z trzema kanapami i hektarami bladoniebieskiego dywanu. Nigdzie nie widać łóżka, ale z głównego pokoju wychodzą dwie pary drzwi, a także wyjście na balkon z widokiem na morze. Mack wyjaśnia, że skoro interes dobrze się kręci, pomyślał sobie, że może wynająć przyzwoity pokój. Zupełnie się z nim zgadzam; chciałabym tylko jeszcze przekonać Barneya do takiego sposobu myślenia.

Mack zamawia kawę i wdaje się w długą dyskusję z obsługą, usiłując się dowiedzieć, czy mogą nam przynieść ptifurki - nie, nie czekoladki, nie herbatniki, dobry Boże, czy nikt nie wie, co to są ptifurki? Tak, kawałki marcepana i małe ciasteczka. Dziękuję. Tłumaczy mi, że skoro w takim pośpiechu musieliśmy uciekać z restauracji, pomyślał, że mam ochotę na jakiś deser. Zapewniam go, że to świetny pomysł. Jego wyjaśnienie uspokaja mnie też bar-

dzo, bo zaczynałam się już zastanawiać, czy przypadkiem marcepan nie jest jakimś jego fetyszem.

Siedzimy sobie i gawędzimy, przyjeżdża kawa z małymi ciasteczkami, które prawie mogą uchodzić za ptifurki, a w minibarze odkrywamy brandy, która okazuje się idealnie zmrożona. Mack mówi mi, że w zeszłym roku się rozwiódł i że ma dwoje dzieci, Daisy i Alfiego. Pokazuje mi ich zdjęcia-są urocze. Alfie wygląda zupełnie jak Mack, tylko mniejszy i zabawnie rozczochrany. Ma na sobie kostium Batmana.

W samym środku tej niezobowiązującej pogawędki Mack wybucha nagle:

- Słuchaj, strasznie cię przepraszam, ale jestem do niczego w takich sytuacjach, a mam wielką ochotę cię pocałować. Prawdę mówiąc, ogromną. Nie masz nic przeciwko temu? Bo nie chcę robić błędnych założeń ani dostać w oko, więc jak będzie? - Rzucił mi niepowtarzalne, błagalne spojrzenie, któremu nie można się oprzeć - i wiem, że on o tym wie. Rozśmiesza mnie to tak bardzo, że Mack prawie się obraża, aż w końcu udaje mi się wykrztusić, że nie wyobrażam sobie nic miłszego. Wtedy mówi, że bez urazy, ale poczeka, aż przestanę się śmiać. Przystaję natychmiast.

To wspaniałe, jak szybko wpada się z powrotem w ten kołyszący rytm całowania. Byłabym zupełnie szczęśliwa, mogąc zostać na tej kanapie całą noc, ale Mack ma ogromną ochotę przenieść się do sypialni. Sytuacja rozwija się błyskawicznie. Moja odrażająca bielizna trzeciej klasy nie stanowi większej przeszkody dla dalszych działań, choć Mack spogląda na mój znoszony, wyszarzały stanik dość zagadkowym wzrokiem. Wyjaśniam mu, że mam też bardziej kobiece, satynowe, ale nie spodziewałam się, że dziś wieczorem będę prezentować bieliznę, a poza tym i tak wolę wygodne staniki. Chodzenie z biustem przytrzymywanym na siłę pod brodą nie jest wcale zabawne, a dekolty do pępka, owszem, są bardzo szykowne, ale lubią w nie wpadać okruszki, jeśli nie uważa się przy jedzeniu. Mack jest szczerze ubawiony pomysłem dekoltu do pępka i życzy sobie demonstracji, po czym zaczyna opowiadać przeróżne świństwa z tym swoim cudownym akcentem. W którymś momencie zasypiam wykończona i budzę się o piątej nad ranem, kompletnie zdezorientowana. Zamierzam wykraść się po cichutku, ale Mack budzi się i pyta, dokąd to się wybieram. Mówię, że koniecznie muszę wrócić do swojego pokoju, żeby się spokojnie wyspać. Mack godzi się niechętnie, żegnamy

się w nieskończoność i wychodzę z jego pokoju dopiero o wpół do siódmej.

Jestem bardzo zadowolona z siebie i czuję się bosko. Postanawiam, że prześpię się godzinkę, a dopiero potem będę się zastanawiać, skąd wziąć dość energii na cały dzień. Z tą myślą padam na łóżko w swoim pokoju, okazuje się jednak, że nie mogę zasnąć, bo ilekroć zamknę oczy, widzę powtórki z nocnej akcji. Bardzo niepokojący objaw. Zamawiam śniadanie i wchodzę pod prysznic. Niemal się pod nim topię, gdyż ogarnia mnie jakiś dziwny, częściciowy paraliż, nogi mam jak z galarety, a plecy bolą mnie jak diabli. Włosy splotły mi się w potężny supeł, chyba nie obejdzie się bez nożyczek. Na ramieniu mam zaczątki wielkiego siniaka, bo w pewnym momencie spadłam z łóżka i wylądowałam na własnych butach.

Do pokoju przyjeżdża ogromny dzbanek kawy i grzanka. Powoli zaczynam wracać do normy i coraz mniej przypominam istotę, która przeżyła trzęsienie ziemi. Mam właśnie zadzwonić do Leili i poprosić ją o sesję terapeutyczną, kiedy odzywa się moja komórka. Dzwoni Barney, w fatalnym nastroju. Prosi mnie, żebym pobiegła na przystań i sprawdziła, czy ta cholerna łódź jeszcze tam jest. Pod koniec rozmowy mam już całą długą listę różnych drobiazgów do załatwienia. Nie mam pojęcia, co zrobić z Maćkiem, ale nagle dzwoni telefon hotelowy: to on. Mówi, że chciał mi podziękować za cudowną noc. Znalazł też mój kolczyk w bucie i pyta, czy chcę go z powrotem, bo jemu nie bardzo z nim do twarzy. Zastanawiam się, jak zdobył numer mojego pokoju. Oczywiście cieszę się, że go zdobył, choć stawia to w niezbyt dobrym świetle kwestię hotelowych zabezpieczeń. Odpowiadam mu, że cała przyjemność po mojej stronie i flirtujemy w nieskończoność, i umawiamy się, że dziś wieczorem znów się spotkamy w hotelowym barze. Mack musi zerknąć na jakieś obrazy w St Ives i powinien wrócić koło dziewiątej. Ja mogę tylko mieć nadzieję, że o tej porze będę już w hotelu. Równie dobrze mogę być uzziemiona na przystani, odpierając ataki nadpobudliwych, żądnych sławy delegatów, prezentujących swoje popisowe numery.

Nie jestem pewna, co począć z ekipą, która będzie się tu płatać wieczorem i którą teoretycznie powinnam mieć na oku, ale postanawiam, że o to będę się martwić później. Może po prostu wyjaśnię wszystko Maćkowi i wy tłumaczę, że wczorajszy drobny podstęp wynikał ze zrozumiałej ostrożności. Dzwonię na chwilę do

Charliego, który oznajmia mi, że babcia jest głupia i kazała mu jeść Shreddies, więc za chwilę pewnie zwymiotuje. Babcia łapie za słuchawkę i mówi, że specjalnie o nie prosił; wręcz odmówił stanowczo zjedzenia czegokolwiek innego. Wyjaśniam, że często tak robi i przyznajemy obie, że to bardzo denerwujące. Proponuje, bym poszła za jej przykładem i kupowała tylko jeden rodzaj płatków, wtedy nie będzie miał wyboru. To przypomina mi, że do tej pory nienawidzę płatków, którymi mnie karmiła i zgadzamy się, że w gruncie rzeczy to nierozwiązywalny problem. W końcu pędzę na przystań i próbuję przekonać właściciela łodzi, by nie ruszał się z miejsca przez cały dzień, jednocześnie sprawdzając ukradkiem, ile ma kamizelek ratunkowych.

Barney i ekipa przybywają tuż po lunchu. Jak zwykle przy wyładowywaniu sprzętu wrzeszczą wniebogłosey, ale po kawałku udaje nam się ustalić, co będziemy robić jutro. Barney chce zacząć o świcie, żeby złapać światło wczesnego poranka, które według niego będzie magiczne. Ekipa nie jest zachwycona. Właściciel łodzi jest zachwycony jeszcze mniej i w kółko mnie pyta, czy Barney rzeczywiście mówi poważnie, że chce go tu widzieć o czwartej rano. Niestety mówi poważnie. W chwili, kiedy mamy właśnie skończyć pracę na dzisiaj, na przystań wjeżdża wielki czarny mercedes i kieruje się w naszą stronę. Chcę wysiąć gońca, by kazał mu spadać, ale przychodzi nam do głowy, że muszą to być ludzie z agencji, jak zwykle za wcześnie. Typowe. Samochód zatrzymuje się i wysiada z niego Lucy, producentka z agencji. Tiiż za nią idzie jakiś dziwacznie wyglądający facet-zapewne klient. Barney wygląda jakby lada chwila miał dostać apopleksji. Klient zachowuje się trochę nerwowo, ale ma zdeterminowaną minę.

Wiedzieliśmy, że Lucy ma przyjechać, ale nikt nie mówił nic o kliencie. Barney nie cierpi, kiedy zjawiasię klienci, bo zawsze zadają masę głupich pytań i cały czas trzeba koło nich skakać. Przeważnie wyjeżdżają też z „pomysłami”, które oczywiście są do kitu. Poza tym chcą, żeby ich produkt był bez przerwy na widoku, najlepiej wetknięty w sam środek każdego kadru. Barney jest znany z tego, że posyła klientów do diabła. Prawdę mówiąc, posyła do diabła również producentów z agencji, jeśli tylko zaczynają podsuwać mu pomysły. Słynna jest historia, na szczęście jeszcze sprzed mojej kadencji, kiedy to podczas zdjęć na plaży narysował patykiem linię na piasku i zapowiedział, że jeśli ktokolwiek-producent

czy klient - przekroczy tę linię, on jedzie do domu. Wszyscy pomyśleli, że to żart i przekroczyli linię. Pojechał do domu.

Mięknąmi nogi. Jest dla mnie oczywiste, że to jeden z numerów Lawrence'a. Lucy podchodzi do mnie pośpiesznie i mówi:

- Słuchaj, przepraszam za to, ale uparł się, żeby przyjechać wcześniej, a Lawrence powiedział, że cię zawiadomił i że nie ma problemu.

Barney spogląda na mnie piorunującym wzrokiem i pyta:

- Zapomniałaś mi o tym wspomnieć, czy jak? - Cudownie. Chcę mu wyjaśnić, że Lawrence jak zwykle nic mi nie powiedział, kiedy widzę, że otworzyły się drzwiczki z drugiej strony samochodu i wysiada z niego mężczyzna, który wygląda dziwnie znajomo.

To Mack. Blednie na mój widok i waha się przez chwilę, ale w końcu podchodzi do nas i zaczyna gawędzić z Barneyem, który najwyraźniej go zna. Odchodzą na nabrzeże rzucić okiem na łódź. Ja rozmawiam z Lucy i klientem, kompletnie pozbawionym jakiegokolwiek osobowości człowieczkiem, jednocześnie próbując wykombinować, jak poradzić sobie z tak nieoczekiwanym zwrotem wydarzeń. Lucy mówi, że Mack to nowy dyrektor kreatywny w agencji. To on dał nam to zlecenie i postanowił zrobić nam niespodziankę swoim przyjazdem, bo chciał zobaczyć Barneya w akcji. Idealnie. Mam ochotę zwierzyć się Lucy, jak ogromna jest ta niespodzianka, szczególnie dla mnie, ale opieram się pokusie, bo klient właśnie opowiada, że bardzo chciał przyjechać tu jak najwcześniej, by naprawdę mieć wszystko w garści i przekonać się, jak też zamierzamy wydać te wszystkie pieniądze. Przez dziesięć nerwowych minut usiłujemy go przekonać, że branie Barneya w garść nie byłoby rozsądne. W końcu Lucy postanawia zaryzykować i zabiera go, by chwilę porozmawiał z Barneyem, a ja gorączkowo sygnalizuję Barneyowi za jej plecami, żeby był miły.

Mack podchodzi do mnie chyłkiem.

- Do kogo machasz?

- Odpieprz się.

- Chryste, Annie, przepraszam za to wszystko. Słuchaj, po prostu zachowujmy się normalnie. Porozmawiamy o tym wieczorem.

- Odpieprz się i jedź kupić parę obrazów, co?

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale twoje słownictwo wydaje mi się dość ograniczone, skarbie.

- Odpieprz się.

- Urocze. Powiedz mi w takim razie, jak tam twoje małe wakacje nad morzem?

- Odpieprz się. Ja miałam lepszy powód, żeby kłamać. Mogłeś się okazać jakimś świrem. I prawdę mówiąc, jesteś świrem, więc miałam rację. Masz pojęcie, co mi zrobi Barney, jeśli się dowie? To takie nieprofesjonalne. A jeśli ekipa cokolwiek wyniucha, już po mnie.

- Tak, wiem. I dlatego proponuję, żebyśmy po prostu zachowali spokój. Porozmawiamy o wszystkim wieczorem. Dziewiąta, hotelowy bar. Nie spóźnij się.

Po czym zostawia mnie, gnojek jeden, i zaczyna popychać klienta z powrotem do samochodu, mówiąc mu, że wyjaśni wszystko w hotelu. Nam wszystkim zapowiada, że zobaczymy się jutro skoro świt.

Barney czuje, że coś się święci, ale ma to gdzieś, bo jest zajęty wściekaniem się - zginął właśnie jeden z najważniejszych elementów sprzętu. Biegnę w te pędy zażegnać kryzys. Reszta ekipy wygłupia się na nabrzeżu, chłopcy udają, że wpychają się nawzajem do morza. Proszę, żeby przestali, bo prędzej czy później ktoś naprawdę wpadnie, ale ignorują mnie kompletnie. Jeden z nich rzeczywiście wpada - Dave, elektryk - i musi zostać wyłowiony przez szypra, któremu najwyraźniej nie jest do śmiechu. Dave wyżyma kieszenie i wylewa wodę z kaptura. Ekipa i Barney mają świetną zabawę. Wszyscy wnoszą radosne okrzyki. W końcu przestajemy się miotać po przystani; Barney jest cały zadowolony, że możemy zacząć jutro zdjęcia z kamerą wycelowaną mniej więcej w kierunku, w którym wschodzi słońce. Całą bandą ruszamy do elegantszego hotelu, gdzie natychmiast zaczynamy nabijać potężny rachunek w barze.

Barney wybiera się do pokoju, mówiąc, że musi trochę podzwonić. Informuję go, że jestem wykończona i wracam do swojego hotelu, żeby się wyspać, ale gdyby mnie potrzebował, może zadzwonić do mnie na komórkę. Wygląda na to, że cała ekipa zamawia przekąski w barze i ogląda sport z satelity, więc mogę się wymknąć bez ryzyka, że połowa z nich polezie za mną, domagając się jedzenia.

Idę do swojego pokoju i natychmiast dzwonię do Leili, prosząc ją o awaryjną sesję terapeutyczną. Leila uważa, że cała historia jest bardzo zabawna.

- Słuchaj, Leila, to wcale nie jest zabawne, do cholery. Jeśli Barney się dowie, wpadnie w szal.

- Och, przestań. I tak zawsze wpada w szal. Umiesz sobie z nim radzić. Znasz zasady: możesz się pieprzyć z agencją, skoro masz ochotę, ale nigdy nie pieprz się z ekipą. A teraz opowiedz mi coś więcej o tym facecie.

- No więc, ma na imię Mack.

-Chryste. Chyba nie Mack MacDonald?

- Tak, zdaje się.

- Naprawdę nie rozpoznałeś Macka MacDonalda? Jest z Glasgow. Nazywają go Mackie Majcher i wszyscy się go śmiertelnie boją. Kiedyś, podczas jakichś ważnych negocjacji, które nie szły za dobrze, zagroził, że zadzga klienta. To on w zeszłym roku zrobił tę genialną kampanię Persilu.

- Co? Tę okropną, z dzieciakiem?

- Nie, idiotko jedna.,Tę z psem. To nowy współwłaściciel agencji BLG, która się teraz nazywa BMLG. Bates MacDonald Lightfoot i Grace. To ten MacDonald. Teraz ci świta? Jest fantastyczny. Genialny, twórczy facet, ale z pieniędzmi też sobie nieźle radzi. Płacąmu fortunę i musieli mu dać spory udział w agencji na przynętę, żeby go wyciągnąć z DDT. Na litość boską, teraz chyba już wiesz, kto to jest?

- Tak, oczywiście, Teraz kojarzę nazwisko, ale wczoraj wieczorem przedstawił mi się tylko imieniem, a poza tym to Lawrence jest od podlizywania się agencjom, wiesz dobrze. I nie pracujemy dla DDT, od kiedy Barney wyszedł wściekły z tamtych zdjęć i nie chciał wrócić. Skąd niby miałam wiedzieć, jak wygląda?

- No tak, zapomniałam o tym. W każdym razie teraz wiesz, jak wygląda, i to lepiej niż większość z nas. Teraz sobie przypominam, że poznałam go parę miesięcy temu na jakiejś imprezie i próbowałam z nim flirtować, ale równie dobrze mogłabym flirtować z kołkiem - surowy, bosko przystojny, ale kompletnie niewzruszony. Jest boski, kochana. Hura hura, w końcu poszłaś do łóżka z kimś, kto nie wygląda jak uchodźca.

Leila nigdy nie pochwałała mojego zamiłowania do nieopalonych i zamyślonych bohaterów klasy robotniczej, preferując raczej przystojnych idoli z tanich romansideł. Mack jest po trosze jednym i drugim.

- No dobra, Leila, ale co dalej? Mam się z nim spotkać w barze i jak znam życie, na pewno ktoś nas zobaczy. Zupełnie nie wiem, co mam robić. Nie wzięłam ze sobą żadnych przyzwoitych ciuchów, a na dodatek jestem kompletnie wykończona.

- Och, przestań. Spróbuj się zabawić. Jakie ciuchy masz ze sobą? Boże, mam nadzieję, że nie te okropne dżinsy.

Następuje dość bolesna wymiana zdań, podczas której Leila oświadcza, że nie ma pojęcia, dlaczego z uporem maniaczki chodzę po świecie ubrana jak goniec i że już wiele lat temu kazała mi wyrzucić ten koszmarny stary biustonosz. Ale w końcu rehabilituje się zupełnie. Jak zawsze.

- Całe szczęście, że jesteś taka ładna, bo poza tym jesteś beznadziejna. Załóż po prostu biały podkoszulek, tylko obcisły. Jeśli będzie trzeba, zepnij po bokach agrafkami. I tę okropną, skórzaną kurtkę, ale nie zapinaj jej. I najczystsze dżinsy, jakie znajdziesz. I nie zakładaj tej swojej wełnianej czapki. Ani tych ohydnych starych trzewików. Idź boso, jeśli będziesz musiała. Masz przerwy?

- Zamknij się, Leila. Mamy odbyć profesjonalną naradę i wyjaśnić sobie wszystko, żeby jutro nie było problemu.

- Tak, a potem będziecie się pieprzyć do utraty zmysłów. Masz przerwy?

- Tak. Mam w kosmetyczce paczkę na wszelki wypadek. Tę, którą kazałaś mi kupić w zeszłym roku.

- Świetnie. A nie są przypadkiem przeterminowane?

- Leila, ostrzegam cię.

- Dobra, dobra. No to bądź ostrożna, i baw się dobrze. Opowiedz mi wszystko, jak wrócisz do domu. Kocham cię, pa.

I rozłącza się. Dzwonię do mamy i rozmawiam chwilę z Charliem, który wyjątkowo idzie dziś później spać.

- Babcia zrobiła kielbaski na podwieczorek. Były świetne. O wiele lepsze niż twoje. Powinnaś je robić na patelni, tak jak babcia, mamusiu. A dziadek zabiera mnie jutro na ryby i może złapiemy rekina.

Mówię mu, że nie jestem pewna, czy w pobliskim jezioru są rekiny. Mój syn odpowiada, że zupełnie się nie znam na wędkarstwie i powinnam to zostawić jemu i dziadkowi.

Wciąż nie mam pojęcia, co powiedzieć Maćkowi, ale na wszelki wypadek zakładam na siebie zestaw, który zasugerowała mi Leila. Za pięć dziesięta schodzę na dół, znajduję sobie cichy kącik w barze i zamawiam potrójną wódkę. Cała zgraja urzędników skarbowych siedzi jeszcze w restauracji, więc w barze panuje błogi spokój. W końcu do baru leniwym krokiem wchodzi Mack, zamawia piwo, po czym siada obok mnie.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro. Po prostu nie chciałem przez całą noc gadać o cholernych reklamach. I nie przyszło mi do głowy, że możesz być producentem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wyglądam jak producent?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie jesteś wystarczająco szurnięta.

W głębi duszy jestem tym zachwycona, ale staram się niczego po sobie nie pokazać.

- W takim razie jakie masz sugestie? Co powinniśmy teraz zrobić? Bo według mnie powinniśmy udawać, że to wszystko nie miało miejsca i zająć się robotą.

Prawdę mówiąc, najego widok przyszło mi do głowy coś zupełnie odwrotnego, ale nie chcę wyjść na zbyt łatwą.

- No tak, myślałem ó tym. Ale widzisz, wcale nie chcę zapominać. Więc nie wydaje mi się, żeby to było dobre wyjście.

Z jednej strony jestem zachwycona, a z drugiej wściekła na niego. Chryste, traktuje mnie jakbym miała piętnaście lat. Jakby to do niego należała decyzja. Mam mu właśnie szczegółowo wytłumaczyć, jaki jest wkurzający, kiedy pochyła się i całuje mnie. Mocno. Zwieramy się w namiętym uścisku i w tym momencie do baru wchodzi dwóch ludzi z ekipy, George i Kevin.

Nieruchomieją w drzwiach i gapią się z otwartymi ustami.

- Ty popieprzony głupku, właśnie weszło dwóch gości z ekipy.

- Cholera.

George i Kevin siadają przy barze, udają, że nas nie widzą. Ale ja wiem, że widzieli, a oni wiedzą, że ja wiem.

- Mam. Ja pójde do swojego pokoju, a ty pogawędzisz z chłopakami i pójdziesz za mną - oświadcza Mack.

- I to ma być twój plan?

- Jasne, MoneyPENNY. I to cholernie dobry plan.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, ale w końcu, nie przezierając w słowa, oświadczam mu, że nie pójde za nim do pokoju jak dobrze wytresowany piesek, bo to będzie zbyt oczywiste.

- W takim razie będę musiał tu siedzieć i całować cię w najmniej spodziewanych momentach przez cały wieczór.

- Nie zrobiłbyś czegoś takiego!

- No to się jeszcze przekonasz.

- Dobra, dobra. Niech ci będzie. Idź do swojego pokoju, a ja spróbuję coś wymyślić, żeby chłopaki nie złapały za komórki, kiedy tylko stąd wyjdę.

-OK. Poczekam na ciebie przy windzie. Masz dziesięć minut. Albo wracam tutaj.

Co mówiąc, wstaje i wychodzi.

George i Kevin odwracają głowy w moją stronę i próbują udawać zdziwienie na mój widok.

- Czy to nie był Mack, ten gość z agencji? - pyta George. - Co ty mu zrobiłaś? Wyglądał na nieźle wkurzonego - parska w swoje go drinka w bardzo denerwujący sposób.

Wstaję i podchodzę do nich powoli. Wpatrując się twardo w George'a, zapowiadam mu, że jeśli piśnie o tym komukolwiek choćby słówko, zadzwonię do jego żony i powiem jej o tamtej kelnerce z Little Chef, z którą zadał się zeszłego lata. George bieleje na twarzy. Kevin chichocze, oświadczam mu więc, że jeśli on się wygada, też zadzwonię do żony George'a. Mam nadzieję, że to załatwi sprawę, jako że George jest o wiele większy od Kevina.

Wychodzę z baru i odnajduję Macka, wałęsającego się w pobliżu windy. Kobieta z recepcji rzuca mu bardzo wymowne spojrzenia. Przyjeżdża winda, wsiadamy i Mack zaczyna mnie całować. Bawię się świetnie, kiedy nagle winda się zatrzymuje i przyłączają się do nas jacyś starsi państwo. Nie chcę zostać aresztowana za nieprzyzwoite zachowanie w hotelowej windzie - pomijając już wszystkie inne konsekwencje, dowiedziałaby się o tym komitet rodzicielski - gromię więc Macka wzrokiem, by się opamiętał. Dojeżdżamy na jego piętro i wysiadamy. Kiedy drzwi się zamykają, słyszymy, że starsi państwo wybuchają śmiechem, ale Mack najwyraźniej zupełnie się tym nie przejmuje. Kiedy tylko znajdujemy się w bezpiecznym miejscu, po drugiej stronie drzwi jego pokoju, mnie też przestaje to obchodzić.

Po jakimś czasie stwierdzamy, że oboje umieramy z głodu, zamawiamy więc kanapki i kawę, po czym próbujemy wykombinować, jak poradzimy sobie podczas zdjęć, które zaczynają się za kilka godzin. Stwierdzamy, że będziemy musieli improwizować i mieć nadzieję, że George i Kevin będą trzymali dzioby na kłódkę. Ostatecznie wlokę się do swojego pokoju o wpół do trzeciej. Nie mam pojęcia, jak uda mi się zachować przytomność przez następnych dwanaście godzin, skoro ledwie mogę mówić, a co dopiero pracować. Miotam się po pokoju, nie mogąc się zdecydować, w co się ubrać (wiem, że będzie potwornie zimno), kiedy dzwoni telefon.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś fajna i że chciałbym się z tobą spotkać w Londynie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To tak na wszelki wypadek, gdybym nie miał okazji powiedzieć ci tego później.

Wydaje się dość zażenowany własną wylewnością i natychmiast odkłada słuchawkę. Jestem zachwycona i nagle czuję w sobie o wiele więcej energii niż przed chwilą.

Przychodzi po mnie kierownik planu, Johnny, i o trzeciej pięćdziesiąt pięć jesteśmy już w hotelu Barneya. Barney, który podskakuje radośnie w recepcji, spogląda na mnie i mówi:

- Boże, kochanie, wyglądasz, jakbyś się pieprzyła całą noc.

O mało nie dławię się swoją kawą w styropianowym kubeczku, którą Johnny zdobył jakimś czarodziejskim sposobem, ale Barney trąkocze już o planach na cały ranek - po prostu przywitał mnie w swój zwykły, czarujący sposób. Szyper wygląda, jakby miał za chwilę zamarznąć, ale za to furgonetka z prowiantem zjawiała się punktualnie, więc wszystkie najważniejsze rzeczy są na miejscu. Pogoda też jest ładna, choć morze wydaje się dość wzburzone.

O dziwo, wszystko idzie jak z płatka. Udaje nam się zrobić wszystkie potrzebne ujęcia aktora schodzącego z łódki w świetle wczesnego poranka, choć, jak zwykle, słońce wschodzi w zupełnie nieprzewidzianym miejscu, i trzeba w gorączkowym pośpiechu, w ostatniej chwili poprzestawiać sprzęt. Nikt nie wpada do wody i wszystko wygląda nieźle, kiedy Barneyowi przychodzi nagle do głowy, że byłoby fajnie mieć ujęcie łodzi wracającej do przystani. Twierdzi, że będzie to wyglądać świetnie, światło jest wspaniałe, więc właśnie to teraz zrobimy. Aktor nieszczęśliwie ma ochotę wyruszać w morze, szyper zresztą też, ale Barney nalega, w końcu udaje nam się ich przekonać, że nie potrwa to długo. Na łódź wsadzamy Chrisa, pierwszego asystenta, z radiem, żeby Barney mógł mówić załodze, czego sobie życzy. Chris też nie jest zachwycony i stwierdza, że na łodziach zawsze rzyga.

W chwili, kiedy wyruszają w morze, zjawiają się Mack z Lucy i klientem, wyjaśniamy im, co się dzieje. Klient ma pewne wątpliwości i chce wiedzieć, czy to będzie dodatkowo kosztować. Mack mówi: „Och, na litość boską!” i Barney spogląda na niego z lekkim podziwem. Lucy pogania klienta, chce mu dać śniadanie i trochę go ugłaskać. My wszyscy tłoczmy się w doku, obserwując,

jak łódź wypływa poza falochrony, gdzie zaczyna niepokojąco rzucać się na falach. Zdużone krzyki Chrisa dobiegające przez radio sugerują, że nie jest to beztraskie żeglowanie.

- Cholera, ależ tu huśta, szefie, możemy już wracać? - W tle słychać przytłumione przekleństwa.

Fale zaczynają się robić naprawdę duże; prawdę mówiąc, wygląda to tak, jakby zanośliło się na jakiś niewielki sztorm. Niebo jest fantastyczne, słońce przedziera się przez chmury i rzuca ostre snopy światła na morze. Maleńka łódka, podskakując na falach, wpływa przez wrota do przystani. Barney jak zwykle miał rację: to rzeczywiście wygląda genialnie. Łódź podpływa bliżej, ale Barney stwierdza, że muszą wypłynąć jeszcze raz, bo słońce się schoowało w najważniejszym momencie. Przez radio dobiega nas potok przekleństw, kiedy Chris oznajmia tę nowinę szyprowi.

Zauważam z przerażeniem, że klient przyniósł własną kamerę wideo i stoi tuż za Barneyem, próbując kręcić nad jego ramieniem. W końcu przewija taśmę i gapi się na nagranie. Jestem pewna - tak samo zresztą jak Lucy i Mack - że zaraz zaczniesz zadawać pytania. Barney odwraca się i wbija w niego mordercze spojrzenie. Lucy i ja stajemy po bokach klienta, Mack łapie go pod ramię i udaje nam się odprowadzić go do samochodu, gdzie zaczyna bredzić coś, że światło nie było wystarczająco jasne. Wpuszczamy się w najróżniejsze techniczne detale, niektóre zupełnie zmyślone, i w końcu przekonujemy go, żeby przestał się martwić. Lucy zapewnia go, że jeśli nie będzie mu się podobało, zawsze możemy wyciąć ten kawałek z ostatecznej wersji filmu. Mówi to szeptem, bo gdyby Barney ją usłyszał, wpadłby w szal. W końcu Mack proponuje kawę i zasypuje klienta pytaniami o jego śliczną kamerę i wszyscy troje odchodzą spacerkiem w dobrych nastrojach. Genialnie. I nikt by się nie zorientował, że Lucy i Mack udają, gdyby nie to, że za plecami klienta wykonują nieprzyzwoite gesty.

Łódź wypływa na otwarte morze i wraca jeszcze trzy razy, zanim udaje nam się złapać odpowiednią kombinację słońca i chmur. Podskakująca na falach łódka wygląda tak, jakby miała nie dotrzeć do przystani. Potem Barney każe załodze pływać w kółko w samej przystani, prawie przybijając i odpływać z powrotem, bo trzeba nakręcić idealnie i to ujęcie. Aktor zdążył już zwymiotować, a szyper jest wściekły. W końcu mamy to, czego chcemy, ale teraz Barney życzy sobie, by łódź podpłynęła pod sam pirs, żebyśmy mogli nakręcić, jak aktor rzuca z niej linę.

Aktor nie ma na to ochoty i stwierdza, że na castingu nikt nie mówił nic o rzucaniu lin, ale mówimy mu, żeby wziął się w garść, albo Barney każe mu z powrotem wypłynąć na morze. To go przekonuje i potulnie rzuca linę niezliczoną ilość razy. Morze zaczyna się robić naprawdę wzburzone i przy bodajże dziesiątej powtórcie potężna fala uderza w łódź, wypychając ją na betonowe nabrzeże. Rozlega się okropny trzask. Szyper daje całą wstecz i odsuwa łódź od pirsu, ale szkoda już się stała: reling na dziobie jest połamany i zwisa żałośnie na burtę. Wszyscy mówią: „O cholera”, po czym szybko odwracają wzrok, udając, że są zajęci czymś innym.

Po krótkiej ciszy przez radio odzywa się Chris.

- Ehm, szefie, ten facet naprawdę się teraz wkurzył. Wcale nie przesadzam. Mamy już dość, żeby dać na dzisiaj spokój? Bo nie chcę być tym, który rąn powie, że pan kazał to powtórzyć jeszcze raz.

Barney zgadza się, żeby przybili naprawdę. Tłoczmy się wszyscy wokół kamery i staramy się nie patrzeć na łódź. Zaczyna padać i fale robią się gigantyczne. Łódź w końcu cumuje i wściekły szyper rusza w naszą stronę, rzucając groźne spojrzenia. Jest ogromny - do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy - i wszyscy kulimy się za Barneyem. Kiedy jest już tuż tuż, przez falochron przedziera się ogromna fala i zalewa nas wszystkich. Barney jest przemoczony od stóp do głów i stoi tak, ociekając wodą, z wyciągniętą ręką, mówiąc:

-Niech pan posłucha, strasznie mi przykro. - Na szczęście na ten widok szyper wybucha śmiechem, ubawiony do łez.

Obiecujemy zapłacić za uszkodzenie łodzi i zapraszamy go na drinka w hotelu. Przyjmuje zaproszenie, ale pod jednym warunkiem: mamy mówić wszystkim, że to Chris sterował. Rybak mówi, że to jego port macierzysty i jeśli rozejdzie się wieść, że wjechał własną łodzią w falochron, nie przeżyje tego. Zwołuję ekipę i upewniam się, czy wszyscy znają oficjalną wersję. Kiedy już mija pierwsze rozczarowanie, że Barney nie dostał w nos, wszyscy zaczynają nabijać się z Chrisa, że taka z niego oferma - wpakował się na falochron. Zaczynamy się zbierać i planujemy grupową ewakuację do hotelu z zamiarem wysuszenia się i upicia tak szybko, jak to tylko możliwe.

Klient przesiedział większość całej akcji w samochodzie i Lucy oznajmia nam, że już się znudził. Chce wracać do Londynu. Mack pyta, czy może się z nami zabrać do hotelu, bo za żadne skarby nie

chce wracać z tym idiotą. Barney godzi się skwapliwie i zabiera Macka ze sobą do swojego samochodu; domyślam się, że Maćkowi niezupełnie o to chodziło, ale stara się robić dobrą minę. Zaczyna opowiadać Barneyowi, że zawsze chciał z nim pracować i po prostu musiał tu przyjechać, by zobaczyć geniusza przy pracy. Barney gładko łyka komplement i kiedy samochód rusza, widzimy, że wręcz promienieje z zadowolenia.

Ekipa pakuje sprzęt w rekordowym czasie, bo zrobiło się potwornie zimno i siąpi coraz mocniej. Kiedy wracamy do hotelu, mam pewność, że jestem w pierwszym stadium hipotermii, ale gorąca kawa i brandy natychmiast mi pomagają. Mack mówi, że George i Kevin rzucali mu bardzo dziwne spojrzenia i bez przerwy chichotali. Nie mam czasu odpowiedzieć, bo Barney zaczyna snuć plany na popołudnie. Musimy nakręcić scenę, kiedy aktor wychodzi z przystani i idzie brukowanymi uliczkami do frontowych drzwi domku - aczkolwiek niekoniecznie w ulewnym deszczu. Wygląda na to, że to popołudnie będzie stracone, więc planujemy zacząć jutro bladym świtem. Jeśli wciąż będzie padało, będziemy musieli sobie jakoś poradzić.

Barney oświadcza, że idzie spać, a reszta ekipy je lunch w restauracji, więc Mack i ja idziemy na filiżankę kawy do baru. Mack ma wyjechać za jakieś dwie godziny, ale mówi, że mógłby wymyślić jakiś pretekst i zostać jeszcze jedną noc. Z żalem odrzucam jego propozycję, bo jeśli nie prześpię się choć trochę w najbliższym czasie, przestanę funkcjonować. Ostatecznie umawiamy się, że porozmawiamy, kiedy oboje będziemy już w domu. Nagle do baru wchodzi George i Kevin i siadają, obserwując nas. Zaczynam zapisywać coś w notesie, żeby wyglądało, że to spotkanie w sprawach zawodowych. Mack wydiera kartkę papieru, pisze coś na niej i składa na pół, po czym wstaje od stolika, mrugając do mnie tak, by chłopcy tego nie widzieli. Kiedy wychodzi, czytam liścik; okazuje się, że to jego numer do domu, na komórkę, na pager, adres e-mail i bezpośredni numer do biura. Mam ochotę wybiec z baru i zadzwonić do Leili, żeby zapytać, co myśli na temat takiego gestu. Niestety, do baru wchodzi aktor i muszę się nad nim użalać, bo się zamoczył, nie lubi łądzi, wymiotował aż dwa razy, poza tym na castingu nikt nic nie wspominał o rzucaniu liny, a teraz ma pęcherz na dłoni. George i Kevin chichoczą za jego plecami i robią wszystko, żeby trudno mi było zachować powagę.

Kiedy nareszcie siedzę już bezpiecznie w zaciszu swojego pokoju, dzwonię do domu. Charlie wrócił właśnie z wyprawy na ryby, bardzo zadowolony z siebie, bo złapał pstrąga.

- To fantastycznie.

- Tak. Właściwie to dziadek miał go na wędce, ale powiedział, że potrzebuje moich silnych ramion do pomocy. No wiesz, starzeje się już. A babcia nam usmaży tego pstrąga, i mamy też lody. Zostawić ci trochę?

- Nie, dziękuję, kochanie. Zjedzcie wszystko. Ja mogę zjeść następnym razem.

- Dobrze. Kiedy wracasz do domu?

- Jutro wieczorem, kochanie.

- A będzie niespodzianka, jak wrócisz?

Kusi mnie, żeby powiedzieć: tak, twoja matka będzie w stanie śpiączki i z dziwnymi śladami na plecach. Ale wiem, że tak naprawdę chodzi mu o zabawkę, następują więc długie negocjacje, co by to mogło być. Już wcześniej kupiłam zestaw lego, żeby uniknąć stresu szukania czegokolwiek na stacji benzynowej. Ale oczywiście on tego nie wie, wymienia więc wszelkie możliwe warianty, w cenach od dziesięciu do grubo ponad tysiąca funtów.

Udaje mi się chwilę przespać, po czym kontaktuję się z Barneyem, który oznajmia, że skoro wciąż leje, mam się z nim spotkać jutro o ósmej rano. Sam ma teraz zamiar pooglądać trochę telewizję i pójść spać, a ekipa tańczy w barze hokey-cokey* i chla na umór. Mnie też wolno pójść spać, ale dopiero kiedy powiem Chrisowi jasno i wyraźnie, że od tej pory mają kupować gorzałę za własne pieniądze. Załatwiam tę sprawę i padam do łóżka; w ostatniej chwili przypominam sobie jeszcze, żeby zamówić budzenie na siódmą rano. Rano wszystko idzie bardzo dobrze, choć zauważają nas delegaci z hotelu i oczywiście próbują wałęsać się dokładnie po tym kawałku brukowanej uliczki, po którym ma iść aktor. Kiedy jednak Tom Cruise się nie zjawia, szybko się zniechęca. W końcu udaje nam się nawet uprosić właścicieli sąsiednich domków, żeby przestali wyglądać z okien i machać.

Do domu docieram dopiero o północy i po krótkiej rozmowie z mamą i tatą padam do łóżka. Mama mówi, że dzwonił jakiś miły mężczyzna i obiecał, że zadzwoni jeszcze raz, jutro. Mam nadzieję, że był to Mack, a nie hydraulik, który miał naprawić

* Grupowy taniec pod przewodnictwem wodzireja.

kran w ogrodzie i w ogóle się nie zjawił. Dzwoni telefon. To Mack.

- Cześć.

- Cześć. Czekaj no, skąd masz mój domowy numer?

-Zadzwoiłem do Lawrence'a. Boże, on jest naprawdę ułomny. Powiedziałem, mu, że zostawiłem ważną teczkę w hotelu i chciałem cię zapytać, czyjej nie znalazłaś.

- Och, bardzo sprytnie.

-Jasne, Moneypenny. I całkiem sam to wymyśliłem. Mały śpi?

-Tak.

- Bardzo dobrze. W takim razie możemy sobie uciąć miłą, długą pogawędkę.

-Nie, nie możemy. Muszę iść spać.

- Bo wiesz, ja świetnie umiem rozmawiać przez telefon.

- Tak, nie wątpię. Ale za sekundę usnę, więc trochę by było szkoda.

- No dobrze. Słuchaj, gdybym zaproponował ci kolację, to znowu zaczęłabyś tak strasznie przeklinać?

- Odpieprz się.

- Urocze. Właśnie tego się obawiałem. Prawdę mówiąc, wystarczyłoby zwykle „tak” lub „nie”.

- No dobra. Dwa razy tak.

- Świetnie. Piątek wieczór. Na Wielkanoc mam u siebie dzieciaki, więc dopiero za dwa tygodnie. Przyjdź po mnie do pracy o ósmej, a ja cię zabiorę na kolację do Ivy. Masz małą czarną? No wiesz, to dość elegancka knajpa.

- Dobra, dobra, już kumam. W piątek o ósmej. Chcesz zabrać moją małą czarną na kolację. Przyślę ci przez gońca. Szpilki też chcesz pożyczyć?

- O tak, szpilki, jak najbardziej.

- OK. Już zapisuję. Czarna kiecka, szpilki, prześlę ci do biura na ósmą. A teraz rozłącz się i pozwól mi spać.

- Słodkich snów.

Jeśli ten związek ma wypalić, będę go musiała nauczyć, żeby kończył rozmowy telefoniczne mówiąc „do widzenia” . a nie po prostu odkładając słuchawkę. Zасыpiam w radosnym nastroju, kombinując, w co dokładnie mam się ubrać. Jedyna mała czarna, jaką mam, jest już bardzo stara i dwa numery za mała - wszystko przez urodzenie Charliego i niezliczone paczki czekoladowych hobnobsów. Mogę ją założyć, owszem, ale nie mogę w niej siadać,

więc niezbyt nadaje się na kolację, chyba że pójdziemy na szwedzki bufet. Zadzwońię do Leili i umówię się z nią na awaryjny rajd po sklepach.

Przez następne kilka dni nadganiem domowe obowiązki i odbywam niekończące się narady z Barneyem, który montuje film z Konwalii. Twierdzi, że to będzie dzieło sztuki, jeśli tylko uda mu się przekonać pieprzonego klienta, że nie można wsadzić dwudziestosekundowego ujęcia pieprzonego opakowania w trzydziestosekundowy film. Stoję właśnie w Safeway's, usiłując uspokoić Barneya, kiedy moja komórka zaczyna pikać, sygnalizując oczekującą rozmowę. Do tej pory nie zdawałam sobie nawet sprawy, że moja komórka ma taką opcję i nie mam pojęcia, co się z tym robi. Wciskam jakiś tajemniczy guzik, który sprawia, że pani Jenkins z komitetu rodzicielskiego nagle włącza się w rozmowę z Barneyem. Żeby pozbyć się jej z linii, muszę w końcu obiecać, że upiekę wielkanocne ciasteczka na kiennasz słodczy, który odbędzie się ostatniego dnia przed feriami. Barney jest wściekły.

- Kim była ta szurnięta baba, która nawijała o ciastkach? Do cholery, kup sobie nowy telefon.

Odbywam też całąmasę rozmów z Leilą i Kate na temat ewentualnych niebezpieczeństw grożących mi, jeśli nawiążę gorący romans z Maćkiem (gdyby rzeczywiście w grę wchodził romans). Obie z całego serca doradzają mi, bym użyła sobie jak najwięcej, póki mam szansę, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się trafi następna okazja. Aleja wciąż rozpamiętuję kwestię zagrożeń, jeśli krótki romansik zamieni się w coś bardziej trwałego. Po pierwsze martwię się, jak zareaguje Charlie, a po drugie wiem, że mama natychmiast pogrąży się w krainie weselnych fantazji, jeśli szepnę choćby słówko o jakimkolwiek facecie. Sama przyłapuję się na tym, że śnię na jawie, wyobrażając sobie Macka w najbardziej nieprawdopodobnych sceneriach i dostaję ataków paniki na samą myśl, że go znów zobaczę. Zdążyłam już zapomnieć, jakie to wszystko skomplikowane. Bardzo, bardzo się staram o tym nie myśleć, ale nie udaje mi się.

Cała rodzina przychodzi do mnie na świąteczny obiad. Mama i tato kupili Charliemu największe wielkanocne jajo, jakie w życiu widziałam. Prawdę mówiąc, dokładnie takie, jakiego mama nie chciała kupować nam, kiedy byliśmy małe. Moja mądra siostra

Lizzie kupiła drugie, takie samo. Parę dni temu zaproponowała, że to ona urządzi w tym roku święta, ale nie przyjąłam jej oferty. Oboje z mężem są architektami i mieszkają w czymś, co można by nazwać rajem minimalistów-ogromnym, zaadaptowanym magazynie w Whitechapel. Całe mieszkanie jest utrzymane w różnych odcieniach bieli i zabieranie tam Charliego jest dla mnie po prostu zbyt dużym stresem. Teraz żałuję, że się nie zgodziłam, bo czekoladowe plamy na białych kanapach słusznie by się jej należały za to, że kupiła takie wielkie jajo. Opowiadam Lizzie o Maćku; stwierdza, że najwyższy czas, żebym się trochę zabawiła i pyta, kiedy może go poznać. Nie jestem pewna, czy ja sama jeszcze się z nim spotkam, jeśli w dalszym ciągu będę tak panikować, błagam ją, żeby zmieniła temat, zanim dostanę palpacji serca. Zaczynamy rozmawiać o jej pracy. Jej ostatni klienci są bardzo bogaci, ale kompletnie szurnięci i bez przerwy zmieniają zdanie.

- Naprawdę, doprowadzają nas do szału. Jeśli jeszcze raz każą nam przerabiać plany kuchni, powiem robotnikom, żeby zamurowali ich w składziku.

- Świetny pomysł. Jeśli to zrobisz, nie będziesz się mogła po prostu opędzić od nowych klientów.

- Tak, ale byłoby warto.

Charlie zjada tak dużo czekolady, że po lunchu zastanawiam się, czy nie dać mu czegoś na uspokojenie. Idziemy pospacerować po lesie i odkrywamy, że wszędzie rosną bajecznie pachnące dzwonki leśne. Charlie musi koniecznie porozmawiać z owcami na pobliskim polu - pełno tam małych owieczek, które podskakują jak Zebedee z *Zaczarowanej karuzeli*. Mama zaczyna opowiadać nam, co zamierza spakować na nasze wakacje w Hiszpanii, do których zostało już tylko kilka tygodni.

- Myślisz, że warto byłoby zabrać mój opiekacz do tostów? Jest bardzo lekki.

Lizzie i ja wymieniamy spojrzenia, bo obie wiemy, że nie żartowała. Próbujemy ją przekonać, żeby nie zabierała ze sobą elementów wyposażenia kuchennego, bo samolot nie oderwie się od ziemi. Wracamy do domu i zjadamy specjalne ciasteczka, które Charlie upiekł na podwieczorek. Trochę przypominają czekoladowe gniazdko, niektóre bardziej, niektóre mniej, ale są przepyszne. Wszyscy zjadamy ich o wiele za dużo i robi nam się niedobrze, po czym cała rodzina rejteruje w pośpiechu, zanim Charlie dostanie kolejnego cukrowego kopa. Przez dwie koszarne godziny usiłuję

go powstrzymać przed wyrządzeniem poważniejszych szkód. W końcu jest tak wykończony, że zdobywa się ledwie na słaby protest, kiedy pakuję go do łóżka.

- Mamusiu, to był fajny dzień, co?

- Tak, kochanie. Ale teraz już śpij.

- Tak, i te ciasteczka, które upiekłem, były świetne, prawda?

- Tak.

- Mógłbym piec ciastka i je sprzedawać, tak jak ty w szkole. Ale mógłbym zatrzymać sobie wszystkie pieniądze i kupić psa, prawda, mamusiu?

- Nie, nie mógłbyś. Dobranoc, Charlie.

- Nienawidzę cię, mamusiu. Naprawdę. Dobranoc.

5. *Hiszpański blues*

Nadchodzi nareszcie dzień mojej kolacji z Maćkiem i od rana Jestem bardzo zdenerwowana. Na szczęście Kate zaproponowała, żeby Charlie został u niej na noc.

- Włożyłam piżamę i całą resztę do torby. Jego ulubiony cyk też. Prawie już z niego zrezygnował, ale dziś może go chcieć.

- Dobra. Chociaż wątpię, czy w ogóle będą spać.

- Też prawda. Dzięki, Kate. On się strasznie cieszy. Zrewanżuję ci się kiedy tylko zechcesz.

- Dobrze wiedzieć. Tak czy inaczej James jest zachwycony. Rano był taki podekscytowany, że nawet posprzątał swój pokój. A teraz słuchaj: idź i baw się świetnie. Charliemu nic nie będzie. Obiecuję, że do ciebie zadzwonię, jeśli zacznie wymiotować albo coś.

- OK. Chociaż to mnie raczej będzie niedobrze. Jestem taka zdenerwowana, że to aż śmieszne. Ale tak dawno nie byłam na prawdziwej randce. Wiesz, co mam na myśli.

- Na pewno będzie super. Och, coś mi się przypomniało. Pomyślałam sobie, że może zechcesz je założyć. Zawsze przynosiły mi szczęście. No, oczywiście z wyjątkiem Phila. - Mówiąc to, z bardzo zażenowaną miną podaje mi małe pudełeczko z czarnej skóry. W środku leży para przepięknych klipsów z zielonymi kamieniami. Ogarnia mnie przerażające przecucie, że mogą to być prawdziwe szmaragdy.

- Boże, są piękne. Ale jak znam życie, zgubię jeden, albo coś w tym rodzaju.

- Nie bądź głupia. Chcę, żebyś je założyła. Przynajmniej moje klipsy pójdą na gorącą randkę.

Ściskam ją serdecznie i obiecuję zadzwonić później. W końcu pędzę do miasta, żeby spotkać się z Leilą. Daję jej się zaciągnąć do niezliczonych sklepów i w końcu znajdujemy małą czarną, w której nie wyglądam, jakbym była w szóstym miesiącu ciąży z trojaczkami. Sukienka jest z czarnego aksamitu i kosztuje majątek. Kupuję też parę fantastycznych, czarnych zamszowych butów na tak wysokich obcasach, że właściwie nie mogę w nich chodzić. Ale są śliczne. Potem Leila upiera się, żebyśmy poszły sobie zrobić paznokcie i zaczyna wykład na temat bielizny, wywołując pogardliwy uśmiezek manikiurzystki. W końcu zgadzam się kupić nowy biustonosz, żeby się wreszcie zamknęła. Czuję się w nim jak kurczak związany do pieczenia. Czuję też, że wzbiera we mnie chęć buntu, więc pytam Leilę, dlaczego nie mogę założyć czegoś normalnego. Jak się Maćkowi nie podoba, to niech się odchrzani.

- Nie bądź śmieszna. Idziesz do Ivy, a nie do Burger Kinga. Poza tym najwyższa pora, żebyś kupiła sobie jakieś ładne ciuchy. Idealna mała czarna zawsze się przyda. A jeśli Mack nie okaże się Panem Właściwym, zostanie ci przynajmniej sukienka.

- Pewnie tak, ale chodzi o to, że ja nie chcę Pana Właściwego. Ja chcę Pana Sobotnia Noc.

- Gdyby mężczyzna tak powiedział, uznałabyś go za gnojka.

- Gdyby mężczyzna tak powiedział, to byłby gejem, więc nie gadaj głupot. Wiesz o co mi chodzi. Podoba mi się moje życie takie, jakie jest. Nie mam ochoty zwracać sobie głowy całym tym siedzeniem prosto i noszeniem niewygodnych biustonoszy. Jeśli to wypali, będzie skomplikowane i męczące, a jeśli nie wypali, będzie żalosne i tragiczne. Tak czy inaczej - przegrywam. Powinam była zostać w domu.

- No dobra, moja mała optymistko. Zadzwon do niego i powiedz, że odwołujesz kolację, bo nie chce ci się siedzieć prosto. Ja cię zabiorę na kolację do Ivy. Będziesz się mogła garbić do woli i ubrać w podkoszulek. A teraz już nie jęcz, bo zacznę krzyczeć.

Leila musi wrócić do pracy, więc jemy lunch w jej gabinecie. Zamawia sushi i niemal w chwili, kiedy odkłada słuchawkę, wchodzi sekretarka, niosąc małe tacki i pałeczki. Nie mogę dociec, czy przez cały czas trzyma w biurku gotowe porcje sushi (a jeśli tak, to

czy można je bezpiecznie jeść), czy może dostawcy w tej okolicy wyjątkowo się uwijają. Proszę o widelec, bo nienawidzę jeść pałeczkami: wymyślono je chyba specjalnie po to, żeby człowiek wyglądał albo jak kompletny idiota, albo jak cwany skurczybyk, który ćwiczył godzinami. Po jedzeniu leniuchuję przez dłuższy czas, czytając kolorowe pisma. Leila tymczasem biega po biurze, wrzeszczy na ludzi i odbywa niezliczone rozmowy telefoniczne - za każdym razem jest czarująca i wydaje się, że gawędzi ze starym przyjacielem, po czym odkłada słuchawkę i mówi:

- Co za palant.

Jakimś cudem nasuwa mi to na myśl Lawrence'a. Kusi mnie, żeby zajrzeć do biura i troszkę go zdenerwować. Ale Barneya nie ma, więc nie mam pretekstu. Dzwonię do Charliego i dowiaduję się, że uwielbia mieszkać u Jamesa i że mieli na podwieczorek kiełbaski i colę, więc jest wniebowzięty, ale nie może ze mną dłużej rozmawiać, bo bawi się właśnie z Jamesem we wspólną grę, która, z tego co słyszę, polega na bieganiu z wrzaskiem po całym domu. Szczęściara z tej Kate. Przebieram się w gabinecie Leili i drepczę na parking w moich nowych butach, zapakować torby do samochodu. Chodzenie okazuje się prawdziwym wyzwaniem. Zaczynam żałować, że moje nowe buty nie mają bocznych kółeczek, jak rowerek Charliego. Udaje mi się wrócić do Leili w jednym kawałku, choć w drodze muszę się przytrzymać jednej latarni i dwóch ogrodzeń.

Klipsy Kate wyglądają cudownie z moją nową kiecką i Leila upiera się, żebyśmy wyskoczyły na szybkiego drinka, trzeba przecież uczcić moje przeobrażenie. Przyznaję jej się, że prawie nie mogę chodzić w moich nowych butach, każe mi więc maszerować w tę i z powrotem po gabinecie i udziela praktycznych wskazówek. Wychodzi na to, że trzeba odgiąć głowę do tyłu, wypiąć pierś i wypchnąć biodra do przodu, co mi się prawie udaje, ale do tego jeszcze ścisnąć pośladki i wciągnąć brzuch, co nie udaje mi się zupełnie. Idziemy do pobliskiego baru; po drodze dwa razy o mało się nie przewracam i muszę się napić wódki, żeby się uspokoić. Leila zaczyna mi opowiadać o Jamesie i o tym, jak genialnie rozwija się sytuacja.

- Potrafi mnie rozbawić i jest świetny w łóżku. Czegoż więcej może chcieć dziewczyna?

-Nie wymyślę niczego na poczekaniu. Powiedziałaś mu już o ślubie?

- Jeszcze nie. A poza tym odechciało mi się tych wszystkich kościelnych ceregieli. To takie mało subtelne. Ale myślę, że błogosławieństwo w jakimś magicznym miejscu byłoby miłe. Gdzieś na odludziu, na przykład na Saharze.

- Leila, nie mam zamiaru podróżować z karawaną przez Saharę tylko po to, żeby trzymać ci kwiatki.

- No to może nie Sahara. Ale jakieś egzotyczne miejsce, ze wspaniałym oświetleniem, żeby fotki fajnie wyszły. Może Barney mógłby pstrykać.

- Świetny pomysł. Jeśli naprawdę chcesz robić dwadzieścia sześć powtórek ślubu, na pewno zdołam go namówić.

Leila, jak zwykle, spotyka znajomych; z jednym z nich prześpała się nawet w zeszłym roku. Jestem pewna, że gdyby skoczyła ze spadochronem w sam środek amazońskiej dżungli, po pięciu minutach wpadłaby na dwóch starych znajomych i jednego byłego kochanka. Dajemy się wciągnąć w długą, hałaśliwą rozmowę. Nagle z przerażeniem stwierdzam, że jest za pięć ósma i już jestem spóźniona. Leila pomaga mi wstać i wysyła kelnera po taksówkę. Ścisza mnie tak serdecznie, że niemal się przewracam, życzy mi szczęścia i oznajmia wszystkim, że wybieram się na randkę, jakiej nie miałam od wieków. Cały bar życzy mi szczęścia. Czasami mam ochotę ją walnąć, ale taksówka już czeka i nie mam czasu podziękować jej, że podzieliła się szczegółami mojego żalowanego życia prywatnego z bandą nieznajomych.

Do agencji Macka przyjeżdżam o ósmej dwadzieścia. To zupełnie nie w moim stylu, więc nawet mi się to podoba - taka jestem niby wyluzowana. Mack chodzi w tę i z powrotem po recepcji zupełnie niewyluzowany, czuję więc, że mam lekką przewagę. I całe szczęście, bo prawie wypadam z taksówki na chodnik dokładnie w chwili, kiedy Mack spogląda w moją stronę. Udamę, że zamierzałam wysiąść w ten właśnie sposób i płacę taksówkarzowi. Mack rusza uśmiechnięty w stronę obrotowych drzwi i zaczyna popychać od wewnątrz. Mnie udaje się popchnąć w odwrotnym kierunku, więc całe ustrojstwo zatrzymuje się z dygotem. W końcu Mack robi krok do tyłu i drzwi wykonują szybki obrót, w wyniku czego zostaję wystrzelona z wielką prędkością do recepcji. Udamę mi się zwolnić tuż przed biurkiem recepcjonisty. Nie przewracam się, chwala Bogu, ale niezupełnie tak planowałam swoje *entree*.

Mack przygląda mi się wyjątkowo długo, po czym pyta z dziwnym uśmiechem:

-Zawsze katapultujesz się do budynków w taki sposób? A tak przy okazji - świetna sukienka.

- Dziękuję. Ujeżdżam te buty dla jednej przyjaciółki i ciągle trochę brykają. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, upierałeś się przy czarnej sukience, o ile pamiętam. Mam dzinsy w samochodzie. Zawsze mogę się przebrać.

-Nie, nie, zostań w sukience. No, przynajmniej, dopóki jemy.
- Szczerzy zęby w uśmiechu. Ochroniarz siedzący za biurkiem recepcjonisty kaszle i upuszcza gazetę. Mack rzuca mu piorunujące spojrzenie. - Słuchaj, mój samochód jest na dole, więc może jedźmy na tę kolację, chyba że wolisz wycieczkę po biurze.

-Nie, nie trzeba. Nie jestem pewna, czy te buty mają ochotę na wycieczki. Jedzenie to chyba lepszy pomysł.

Przyjeżdża winda. Mack wyjaśnia mi, że czaił się w recepcji, bo Bill, ochroniarz, obdarzony jest inteligencjądeski do prasowania. W dodatku nie lubi używać telefonu, więc każdemu, kto zjawia się po szóstej po południu, wmawia, że poszukiwana osoba poszła już do domu. Zjeżdżamy na podziemny parking. Atmosfera jest tak elektryzująca, że trudno mi normalnie oddychać. Mack co chwilę spogląda na mnie, po czym spuszcza wzrok na swoje stopy. Drzwi windy otwierają się i idziemy do jego samochodu. Okazuje się, że to szare bmw, jedno z tych, co to wyglądają, jakby mogły zawieźć cały Bundesbank na lunch. Mack wygrzebuje z kieszeni kluczyki i naciska guzik pilota; w odpowiedzi samochód wykonuje krótki układ dyskotekowy, łącznie z mruganiem światłami. W końcu słyszymy kliknięcie zamka, a światła zapalają się na dobre.

- Proszę proszę, istny agent 007.

- Tak, ale nie dotykaj żadnych guzików, bo pošlesz nas na orbitę.

- No dobra. Mogę prowadzić?

Mack waha się przez sekundę, błędnie odrobinę, ale w końcu mówi:

-Jasne. A co? Jesteś jakąś maniaczką motoryzacji czy jak?

- Nie, po prostu chciałam zobaczyć twoją minę.

- Bardzo śmieszne. W takim razie proszę bardzo, ale ostrzegam, że jeśli wjedziesz nim w ścianę, nie będę z tobą rozmawiał przez cały wieczór.

- Myślałam, że takie samochody zawsze mają do kompletu sfera, wiesz, takiego małego człowieczka w czapce z daszkiem.

Mack robi zażenowaną minę.

- Nie mów mi, że naprawdę masz szofera. Gdzie jest? W bagażniku?

- To nie jest szofer. To firmowy kierowca. Powiedziałem mu, że dziś go nie potrzebuję, skoro ty prowadzisz. Prawdę mówiąc, dzięki niemu zaoszczędzamy fortunę na taksówkach.

- No jasne. Czysta oszczędność.

- Ale to prawda. A poza tym był w zestawie, kiedy zacząłem tu pracować. Okaż mi odrobinę zaufania: sam nie wybrałbym takiego samochodu ani nie zatrudniłbym kierowcy. Ale nasz prezes ma zamiłowanie do tego typu bzdur. A skoro on ma kierowcę, my wszyscy też musimy mieć.

- Co. cała firma? Czy tylko góra? Bo jeśli wszyscy dostają bmw i kierowcę, to jutro składam tu podanie o pracę. Mogłabym być twoją wierną pomocnicą. W głębi duszy pewnie marzysz o kimś takim.

- Przez cały wieczór będziesz taka złośliwa?

- Prawdopodobnie. Jestem zdenerwowana.

- Ja też.

- To jak, zaczniemy od początku?

- Co?

- Chodź tu, to ci pokażę.

Mack szczerzy zęby i wyraźnie się rozluźnia.

- Jeśli masz zamiar zrobić to, co myślę, to wolałbym poczekać, aż wyjedziemy z parkingu i znajdziemy się poza zasięgiem kamer ochrony, jeśli pozwolisz. Inaczej biedny Bill dostanie zawału.

- Racja. Czy ty na pewno umiesz tym jeździć?

- Zamknij się i wsiadaj.

Wyjeżdżamy z parkingu ze zdumiewającą szybkością. Rozpieram się w fotelu i rozkoszuję faktem, że dla odmiany wozi mnie ktoś inny. Z odtwarzacza CD wybucha nagle straszliwy jazgot, bardzo głośna muzyka z wrzaskami w stylu „Zatłukę cię, dziwko”. Mack hamuje i w pośpiechu wyjmuje płytę.

- Przepraszam. Słuchałem tego dzisiaj rano. Potrzebne mi do reklamówki, którą kręcimy w przyszłym tygodniu. Okropieństwo, co?

- No, raczej nie można sobie przy tym pośpiewać... Chyba że ktoś nienawidzi kobiet i ma poważny problem z narkotykami.

- Dokładnie. Idealnie opisałaś naszego klienta. To jak, naprawdę chcesz iść na tę kolację?

- Tak.
 - Do diabła.
 - Ta kiecka kosztowała fortunę. Czemu nie miałyby pójść na kolację do eleganckiej restauracji?
 - A nie możemy po prostu podrzucić sukienki do lwy i pojechać do domu?
 - Nie. Leila kazała mi obiecać, że zanotuję nazwiska wszystkich sławnych osób, jakie zobaczę.
 - Leila?
 - Leila Langton. To moja przyjaciółka. Znasz ją?
 - Chryste, oczywiście, że znam. Jest przerażająca. Masz więcej takich przerażających przyjaciółek?
 - Całe kopy. I wcale nie jest przerażająca. Jest fajna.
 - Nie, jeśli myślk że próbujesz podkraść jej klienta.
 - Och, to wszystko wyjaśnia. Powiedziała, że mam się nie martwić, jeśli pojawi się w pewnym momencie i wyciągnie cię na słówko.
- Mack wybuchła śmiechem. Nagle zjeżdża na bok i zatrzymuje samochód.
- To co zamierzałaś mi pokazać na parkingu?

Nie dojechaliśmy na kolację. Prawdę mówiąc, ledwie dojechaliśmy do domu Macka. Skończyło się na tym, że zamówiliśmy pizzę o drugiej w nocy. Cudownie być w Londynie, gdzie można zamawiać jedzenie o drugiej w nocy. Cudownie być w łóżku Macka. Cudownie, cudownie. Sukienka okazuje się wielkim sukcesem, buty w ogóle tracę z oczu, a mój nowy biustonosz zostaje nagrodzony stwierdzeniem, że wart był zachodu, ale wkrótce zostaje usunięty jako zupełnie nadprogramowy i niepotrzebny element. Zapomniałam już, jak to miło spędzać długie godziny w łóżku z seksownym mężczyzną, zamiast siedzieć na kanapie z pilotem i paczką hobnobsów, choć to oczywiście o wiele bardziej męczące. Namiętne igraszki trwają w nieskończoność, a w przerwach rozmawiamy i rozmawiamy.

W końcu wypelzamy z łóżka w sobotę, w porze lunchu. Stwierdzam, że niedługo muszę wyjechać, jeśli mam dotrzeć do domu i przebrać się, zanim odbiorę Charliego. Mack przeraża mnie pomysłem, że odwiezie mnie do domu i przedstawi się Charliemu, a potem odurzymy go narkotykami, żeby poszedł wcześniej spać.

Wyjaśniam mu, że Charlie raczej nie ucieszy się, widząc mnie z nieznanym i prawdopodobnie nie zechce wsiąść do samochodu, nie mówiąc już o braniu narkotyków. Ostatecznie decydujemy więc, że sama pojedę do domu, a Mack zjawi się później.

Jadę do domu kompletnie oszołomiona. Kate wystarcza jedno spojrzenie.

- Rany. On musi być niesamowity.

- Tak, i przyjeżdża dziś wieczorem na powtórkę z rozrywki. Myślisz, że powinnam bardziej nad sobą panować?

Kate spogląda na mnie i obie wybuchamy śmiechem.

- O Chryste, zapomniałam. Twoje klipsy. Boże, nie mam pojęcia, gdzie są.

Dzwonię do Macka z komórki i proszę go, żeby ich poszukał. Mack oddzwania pięć minut później i mówi, że jeden znalazł pod łóżkiem, a drugi na schodach. Pyta też, czy to prawdziwe szmargady, bo jeśli tak, to je sobie zatrzyma. Wyjaśniam Kate, że jej klejnoty są bezpieczne. W tej chwili ze schodów zbiega galopem Charlie i omal mnie nie przewraca, a potem przytulamy się długo. Charlie opowiada mi o wszystkich wspaniałych rzeczach, które robił. Jestem pewna, że nie są tak cudowne jak to, czym ja się zajmowałam, ale oczywiście nie mówię tego. Na jego liście jest między innymi picie coli w łóżku i rzucanie mokrymi gąbkami w śpiącą Phoebe, a potem uciekanie i chowanie się w ogrodzie. Już, już mam wyrazić oburzenie, ale okazuje się, że Phoebe sama wymierzyła sprawiedliwość za pomocą węża ogrodowego i dlatego torba Charliego jest pełna mokrych ubrań. Dziękuję Kate i obiecuję spotkać się z nią na kawie przy najbliższej, wolnej od dzieci okazji.

Charlie, zupełnie wykończony, ogląda grzecznie film na wideo i od czasu do czasu opowiada mi co lepsze kawałki pobytu u Jamesa. Chętnie godzi się nawet na wcześniejszą kąpiel i kolację. Mówię mu, że będę miała gościa dziś wieczorem.

- Czy to Leila?

- Nie, to nowy znajomy. Ma na imię Mack.

- Tak jak Donald?

- Niezupełnie. Tak czy inaczej, pewnie zaśnie, zanim przyjdzie. Ale jeśli nie będziesz spał, przyprowadzę go, żeby się przywitał.

- No dobrze. Mamusiu, piłaś kiedyś colę?

- Tak, a co?

- Mogę dostawać colę do szkoły? Jest świetna.
- Charlie, znasz szkolne zasady. Woda albo sok.
- To strasznie głupie. A możemy się jutro napić coli przy obiedzie? Jutro jest weekend.

- Tak, pewnie tak. Zobaczymy. A teraz chodź, położymy cię do łóżka. - Mam nadzieję, że od razu pójdzie spać. Kiedy jest bardzo zmęczony, zwykle zasypia wcześniej, ale bywa odwrotnie - długo nie może zasnąć, wierci się i podskakuje jak nakręcony. Wykradam się z pokoju. Charlie gawędzi ze swoją kolekcją pluszowych zabawek, opowiada, jaka fantastyczna jest cola.

Mack zjawia się o dziewiątej. Przynosi kolację - i całe szczęście, bo nie mam w domu nic do jedzenia i musielibyśmy się zadowolić serem i krakersami. Jemy przy kominku. Mack żali się, że mojej wsi nie ma na jego mapie. Żeby znaleźć drogę, musiał kierować się kompasem i konsultować z jakimś szaleńcem w miejscowym warsztacie. Stwierdzam uszczypliwie, że plan Londynu nie obejmuje wiosek w Kent, a on rzuca we mnie salami. Wywiązuje się niewielka bitwa najedzenie, po czym zaczynamy się całować. Nagle drzwi otwierają się z hukiem i do salonu wchodzi Charlie. Spogląda przelotnie na Macka i stwierdza:

- O, macie tort.

Rzeczywiście, mamy tort, bardzo wykwintny, czekoladowy, z całomasączekoladowych kędziorków na wierzchu, wciąż jeszcze w białym pudełku z eleganckiej ciastkarni w Soho. Mack się przedstawia, aja stanowczo odmawiam zgody najedzenie tortu w środku nocy. Zgadzam się jednak przechować go do jutra w lodówce.

Odprawiam Charliego z powrotem do łóżka. Wydaje się zupełnie niezainteresowany, kim jest ten obcy mężczyzna siedzący na podłodze w salonie, ale ja i tak czuję się, jakbym została przyłapana na nieodpowiednim zachowaniu. Nigdy wcześniej nie przyprowadzałam nikogo do domu. Nie powiem, żebym miała wiele okazji kogokolwiek gdziekolwiek przyprowadzać, ale w tych kilku przypadkach, kiedy pojawiała się taka możliwość, zawsze wolałam iść do tego kogoś albo do hotelu. Z Maćkiem jest jakoś inaczej, sama nie wiem dlaczego. Nie wiem, czy to wszystko nie okaże się tylko weekendowym flirtem, jeśli tak, nie chcę w to mieszać Charliego. Na schodach przeżywam drobne załamanie i wyjaśniam Maćkowi, że czuję się trochę przytłoczona tą sytuacją. Mack mówi, że mnie rozumie i że może sobie iść, jeśli tego chcę. Oczywiście nie chcę. Robię kawę i stwierdzam, że najlepiej bę-

dzie zostać tam, gdzie jesteśmy, z zabarykadowanymi drzwiami; jeśli Charlie znów się przyplącze, dostaniemy przynajmniej jakieś ostrzeżenie. Około trzeciej nad ranem podłoga w salonie okazuje się wreszcie zbyt twarda, a kanapa zbyt wąska, potykając się, idziemy w ięc do mojej sypialni i na środku łóżka zastajemy Charliego, śpiącego w pozycji rozgwiazdy. Mack uśmiecha się i mówi, że prześpi się na kanapie, a ja powinnam się położyć z Charliem, żeby obudził się przy mnie. Uważam, że to urocze. Mówię mu to, po czym łądujemy z powrotem w salonie, czepiając się kurczowo kanapy, dopóki oboje nie spadamy. O świcie wlokę się wreszcie do łóżka, kompletnie rozbita, ale szczęśliwa.

Budzę się razem z Charliem, przerażająco żwawym jak na tę wczesną porę. Gna do salonu i włącza telewizor, zanim mam czas go powstrzymać, więc biednego Macka budzą ryczące kreskówki. Dzięki Bogu ma własne dzieci i telewizja od samego świtu to dla niego nie pierwszozna. Charlie wydaje się zupełnie niezmiyszany obecnością Macka. Pyta go tylko łaskawie, czy zgadza się, że shreddies są obrzydliwe i że nikogo nie powinno się zmuszać do jedzenia tego świństwa. Mack odpowiada, że to zależy, co według mnie jest doskonałą odpowiedzią. Charlie chce wiedzieć, od czego zależy, więc Mack wyjaśnia:

- Od tego, czy twoja mama zamierza właśnie dać ci miskę shreddies. Gdybym powiedział, że smakują jak tektura, wyrzuciliby mnie z domu. - Charlie jest zachwycony. Ja też.

-Nie martw się. Jeśli ci wyjść do ogródka, możesz mieszkać w moim domku. Ma drzwi i w ogóle.

- Dobrze wiedzieć. Dzięki, Charlie.

Nie mam serca wyjaśniać, że „domek” to w rzeczywistości brudna stara szopa, pełna błota i patyków. Charlie znika w krainie kreskówek, proponuję więc Maćkowi, żeby przespał się jeszcze chwilę w moim łóżku, kiedy ja będę się kąpać i robić śniadanie.

Postanawiamy pójść na lunch do pubu, zanim Mack wróci do Londynu. Charlie bawi się grzecznie w ogródku pubu z jakimś kundlem, który wziął się nie wiadomo skąd, ale wydaje się bardzo przyjazny. Mack i ja rozmawiamy; dowiaduję się, że on też czuje się odrobinę ogłuszony, ale wcale nie ma ochoty wracać do domu i zastanawia się, czy nie zamówić nowej kanapy *extra large*, by dostarczono ją do mnie na przyszły weekend. Tu wyłaniają się jednak pewne komplikacje. Chcemy umówić się na przyszłą sobotę, albo jeszcze wcześniej, jeśli to możliwe, ale do Macka

przychodzą dzieci, a ja nie chcę znów porzucać Charliego. Stacja benzynowa na autostradzie nie wydaje się odpowiednim miejscem na romanse. W końcu postanawiamy, że porozmawiamy o tym później, bo przecież musi być jakieś rozwiązanie, i jedziemy do domu: my wracamy do czytania gazet, a Charlie bierze się za puzzle. Mack wyjeżdża ostatecznie w porze podwieczorku. Charlie jest pochłonięty programem przyrodniczym i ledwie macha na pożegnanie, a Mack i ja przez dwadzieścia minut żegnamy się w kuchni. Oboje przyznajemy, że to był wspaniały weekend. Mack obiecuje, że zadzwoni za parę dni, kiedy będzie wiedział, jakie ma plany.

Kiedy jego samochód znika na końcu uliczki, czuję potężny skurcz w żołądku, ale i ogromną ulgę, bo kombinacja Macka i Charliego z jakiegoś powodu kompletnie wysysa ze mnie siły. Delikatnie wypytyjąc Charliego podczas kąpieli, dowiaduję się, że według niego Mack jest w porządku, ale że woli Leilę, bo ona przynosi zabawki, a nie tylko ciasto. W następnej chwili dyskutujemy już o tym, dlaczego wszystkie pasty do zębów, które kupuję, smakują jak rzygi. W końcu, po zaledwie dwóch próbach ucieczki, Charlie idzie spać z mieczem w dłoni i plastikowym hełmem na głowie.

Dzwonię do Leili, zdać jej relację. Leila stwierdza, że wszystko wygląda wspaniale. Jest też ekspertem od rozszyfrowywania takich zdań, jak: „Zadzwoń do ciebie za parę dni”. Ja zdążyłam już zapomnieć, jakie to wszystko jest skomplikowane. W rzeczywistości przypomina to trochę łamanie kodu Enigmy. Na przykład ja myślę, że jeśli nie zadzwoni do piątkowego popołudnia, to znaczy, że jest gnojkiem. Leila mówi, że wcale niekoniecznie: może mieć jakieś dawniejsze zobowiązania. Przechodzimy do kwestii mojej reakcji, jeśli jednak zadzwoni. Wrzeszczenie „Dzięki Bogu! Od trzech dni siedzę przy telefonie!” jest beznadziejne i gwarantuje katastrofę. I nie wolno mi dzwonić do niego, bo to by znaczyło, że jestem zdesperowaną, napaloną idiotką. Muszę po prostu zachować spokój. A jeśli to możliwe, pozwolić odbierać automatycznej sekretarce, żeby w razie czego móc odtworzyć wszelkie wiadomości Leili i razem z nią opracować właściwą odpowiedź.

Czuję się tak, jakby nagle przeniesiono mnie w dawne czasy: jakbym znów miała naście lat i czekała, aż zadzwoni Gary Johnson i zaprosi mnie na szkolną dyskotekę. Oczywiście nie zadzwonił, więc teraz żałuję, że o tym pomyślałam. Postanawiam, że mimo genialnych wskazówek Leili po prostu odbiorę telefon, kiedy Mack

zadzwoń, a jeśli nie zadzwoń do środy, ja zadzwonię do niego i zapytam, o co, do cholery, chodzi. Leila twierdzi, że to beznadziejne, ale może się jeszcze okazać, że mam rację: jest właśnie w połowie nowej książki, która dowodzi, że gierki i udawanie to błąd i że powinno się słuchać własnego instynktu. Nie jestem pewna, czy to dobra rada, bo mój instynkt mówi mi, że powinnam się schować pod kołdrą na jakieś sześć miesięcy. Mówię Leili, że tak naprawdę to nie wiem nawet, czy chcę, żeby zadzwonił, bo życie i tak jest już wystarczająco skomplikowane. Leila nie przyjmuje tego do wiadomości i stwierdza słodkim głosem, że jeśli nie przestanę opowiadać takich żalonych głupot, przyjedzie do mnie zaraz specjalnie po to, żeby dać mi w gębę.

Charlie budzi się w środku nocy i pędem przybiega do mojego łóżka. Miał okropny sen, że lis zjada Buzza i Woody'ego. W końcu musimy pójść na dwór z latarką i upewnić się, czy króliki jeszcze żyją. Są bardzo zadowolone, że widzą nas w środku nocy i urządzają nam małe przedstawienie kabaretowe, biegając w tę i z powrotem po szopie i rozrzucając słomę. Kładę Charliego z powrotem do łóżka, ale muszę głaskać go po plecach ze dwadzieścia minut; w końcu uspokaja się i zasypia. Budzę się kilka godzin później, zmęczona, jakbym w ogóle nie spała. Charlie jest bardzo marudny i niewiele trzeba, żeby doprowadzić go do płaczu czy ataku złości. Wpadam na genialny pomysł: ubierzemy się, wypuścimy Buzza i Woody'ego na wybieg i zjemy śniadanie, obserwując ich zabawy. Charlie bardzo chce puścić je całkiem wolno, żeby mogły biegać po ogródku i zdeptać wszystkie rośliny. Udaje mi się go jednak przekonać, że ziemia jest mokra po nocnym deszczu i mogłyby zaziębić sobie łapy w tym błocie, bo nie mają kaloszy. Charlie jest gotów pozyczyć im swoje.

Mack dzwoni w poniedziałek i we wtorek, i w środę. Leila stwierdza, że widocznie nie czytał odpowiednich książek, bo zaczyna się zachowywać jak klasyczny świr, który prześladowa kobiety. Spotkanie w najbliższy weekend okazuje się zbyt trudne do zaaranżowania, ale umawiamy się na następny. Lizzie zgadza się zostać na noc, bo Matt wyjeżdża na konferencję. Jest bardzo podekscytowana i zaczyna układać całą listę wspaniałych zajęć z Charliem. Jej plan obejmuje pływanie, pieczenie ciasta i chodzenie na długie spacerki. Plan Charliego natomiast obejmuje kupowanie zabawek i wypożyczanie nieodpowiednich filmów z Blockbuster's. Ja spędzam cały dzień w biurze w Londynie, ale

udaje mi się oprzeć pokusie i nie dzwonię do Macka, żeby zapytać, czy chce się ze mną umówić na lunch. Poza wszystkimi innymi powodami mam za dużo roboty z różnymi nowymi zleceniami. Barney jest cały wesolutki, bo każdy, kto ogląda jego kornwalijski film, pieje z zachwytu i nazywa go miniaturowym klasykiem.

Lizzie przychodzi w sobotę w porze podwieczorku i zostaje powitana przez całą górę układanek, które Charlie wyjął specjalnie na jej cześć. Następuje gorąca debata, kiedy dokładnie mogą pojechać do Blockbuster's. Nie czekam, aż kawałki puzzli zaczną fruwać w powietrzu, tylko wychodzę i przyjeżdżam do Macka wcześniej, niż planowałam. Otwiera mi drzwi, ociekając wodą, owinięty w ręcznik. Wita mnie pocałunkiem i zaprasza pod prysznic. Nie mam dość odwagi, żeby rozebrać się przed nim w jasnym, dziennym świetle, więc zmuszam go, żeby zgasił lampy w łazience, po czym przewracam się jak długa. W końcu udaje mi się jednak dotrzeć do kabiny prysznicowej - ogromnej, z marmuru i matowego szkła, z całą masą igieł wody tryskających z każdej strony i panelem pełnym guzików. Obściskując się namiętnie z Maćkiem, przyciskam niechętny jeden z nich, i igły wodne zamieniają się natychmiast w potężne bicz, które prawie nas przewracają. Trochę jakbyśmy grali w *Tragedii Posejdona*. Mack jedną ręką przywraca poprzednie ustawienie, a drugą przesuwam mnie w kąt najbardziej oddalony od guzików. Wychodzę spod prysznica jakieś pół godziny później, bardzo szczęśliwa, a także bardzo, bardzo czysta.

- Jezu. To było fantastyczne. Wydałem na ten prysznic fortunę, ale wiedziałem, że się kiedyś przyda. Jestem głodny jak wilk. Na co masz ochotę? Chińskie czy włoskie?

- Myślę, że raczej chińszczyzna.

- Świetnie. Zaraz zadzwonię. Zjemy tutaj.

Przyniesione jedzenie różni się trochę od zwykłych pięciu pojemniczków z cynfolii, dostarczonych przez chłopaka na skuterze. Zjawia się kelner z niezliczonymi paczuszkami w izolacyjnych torbach, i w żadnej z nich nie ma ryżu smażonego na starym oleju. Nakłada jedzenie do miseczek, po czym wyczarowuje pałeczki, serwetki i mały wazonik z orchideami. Stół wygląda pięknie; facet zapalił nam nawet świeczki. W końcu pyta, czy chcemy, żeby podawał jedzenie. Mack mówi, że dziękuje, ale sami sobie poradzi-

my. Kelner wychodzi, ściskając w ręce dwudziestofuntowy banknot.

- Nie powiesz mi chyba, że to wszystko kosztowało tylko dwadzieścia funtów?

- Kochanie, to był tylko napiwek. Mam u nich otwarty rachunek. Uwierz mi, nie chciałabyś wiedzieć, ile to kosztuje. Nawet ja nie chcę wiedzieć.

Mack bierze sobie widelec, mówiąc, że pałeczki to tylko przebiegła sztuczka, by podawać mniejsze porcje, a przy okazji upokarzać klientów. Mogłabym naprawdę polubić tego faceta. Rozmawiamy o muzyce i odkrywamy wspólną namiętność do Motown, Mahlera, Sinatry, Elvise Costello i włoskiej opery, ale tylko pod warunkiem, że soprany nie są zbyt krzykliwe. W końcu tańczymy przy piosenkach Sinatry, ale taniec szybko przemienia się w namiętny uścisk na kanapie, kiedy okazuje się, że żadne z nas nie potrafi tańczyć przy *New York, New York*.

Wiele godzin później padamy wreszcie do łóżka. Kiedy się budzę, długo obserwuję śpiącego Macka. Naprawdę mogłabym go bardzo polubić i mam nadzieję, że to wszystko nie skończy się łzami.

Podziwiam właśnie krzywiznę jego ramienia, kiedy otwiera jedno oko i mówi:

- Na litość boską, przestań się tak na mnie gapić i zrób coś pożytecznego, MoneyPENNY. Jak mi zrobisz filizankę kawy, będę twój na wieki.

- Wstrząśnięta, nie zmieszana?

Mack wybucha śmiechem, a ja idę na dół zrobić kawę, ubrana w jego szlafrok, o wiele ładniejszy niż mój. Zastanawiam się, czy uda mi się go przeszmurować, kiedy będę wychodzić. Dzwonię do Lizzie, jest wykończona. Charlie namówił ją, żeby wypożyczyła *Szczęki* i oczywiście się przeraził. Przez pół nocy przekonywała go, że wielki szary rekin nie potrafi wpłynąć po schodach.

Zjadamy śniadanie w łóżku i wstajemy dopiero w porze lunchu. Biorę szybki prysznic, przekonawszy najpierw Macka, żeby poszedł zaparzyć kawy i żeby nie szedł za mną do łazienki, bo inaczej utknę tam na parę godzin. Kiedy wychodzę, mówi:

-Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem, dobrze? I powiesz mi, jak ci się chodzi w moim szlafroku.

- Do diabła. Myślałam, że nie zauważysz.

Tak długo całujemy się na pożegnanie, że na chodniku gromadzi się niewielki tłumek.

Do domu docieram na podwieczorek i zdaję Lizzie krótką relację w kuchni.

- Wygląda na to, że jest wspaniały.

- Bo jest.

- No to chyba można ci pogratulować, co?

- Tak, chyba tak. To znaczy tak, oczywiście. To wszystko mnie trochę przerasta. I jestem naprawdę wykończona.

- Tak, ale to miły rodzaj wykończenia. Nie taki jak po prasowaniu.

-Nie, Lizzie. To stanowczo o wiele lepsze od prasowania.

Charlie jest zachwycony, że mnie widzi. Przez cały rano piekli z Lizzie tort, przy czym mój syn zjadł większość lukru. Zaparzam sobie filiżankę herbaty, a po wyjściu Lizzie zaganiam Charliego do kąpieli. Po krótkim szorowaniu udaje mi się usunąć lukier z jego rąk i nóg. Kolację zjadamy przy telewizji; zgadzam się też, żeby spał w moim łóżku. Zasypia w końcu o wpół do dziesiątej po długim Zawracaniu Gitary. Dzwonię do Macka, który mówi, że słuchał jeszcze raz *New York, New York* i wydaje mu się, że opracował układ taneczny, który wypadłby świetnie, gdybyśmy jeszcze kiedyś chcieli się bawić w Ginger i Freda.

Rozmawiam z Leilą i Kate: obie stwierdzają, że Mack wygląda na wspaniałego faceta. Nie jestem pewna, czy potrafię sobie dać radę ze wszystkimi implikacjami tego faktu, postanawiam więc za dużo nie rozmyślać i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Oczywiście rozmyślam przez wiele godzin, aż mi się niedobrze robi. Niedługo mam wyjechać z mamą do Hiszpanii na ferie. Mack musi w ten weekend pracować, a w następny odwiedzajągo dzieci. Pyta mnie, czy chcę przywieźć Charliego i zostać z nim na noc, ale myślę, że jeszcze za wcześnie, by angażować w to wszystko dzieci. Poza tym mam do załatwienia milion spraw przed wyjazdem, więc spotkamy się, kiedy już wrócę z Hiszpanii. W głębi duszy wcale nie mam ochoty jechać, ale wiem, że rzucanie wszystkiego, kiedy tylko na horyzoncie pojawia się mężczyzna, nigdy nie jest dobrym pomysłem, niezależnie od tego, jak bardzo wydaje się kuszące. A poza tym mama by mnie zabiła.

- Przynajmniej będę miała opalone nogi, kiedy wrócę.

- Wolałbym, żebyś miała białe nogi i nigdzie nie wyjeżdżała.

Dokąd dokładnie się wybieracie?

- Do Lanzarote. Tylko nie wyzywaj mnie od snobów. Nie zniosłabym kolejnych deszczowych ferii.

-Zapowiada się nieźle. Czy mój szlafrok też jedzie?

- Tak, prawdopodobnie.

- Świetnie. Zaprogramuję go pilotem, żeby na ciebie uważał.

- Nie bądź głupi: Z Charliem w moim pokoju i mamą w sąsiednim? Jedyna rzecz, na którą trzeba będzie uważać, to moje ciśnienie.

- Twoja komórka będzie działać w Hiszpanii?

- Nie. Głównie dlatego, że jej nie zabieram. Inaczej Barney dzwoniłby codziennie.

- Też racja. Kiedyś tego próbowałem, ale agencja przysłała do hotelu posłańca z nowym telefonem.

- Chryste. Tylko nie mów o tym Barneyowi.

Gatwick. Szósta trzydzieści rano. Zapowiada się bardzo długi dzień. Mama ma ogromną walizę, do której spakowała całą kolekcję hermetycznych pojemników najedzenie-twierdzi, że na pewno się przydadzą. Wzięła też ogromną apteczkę, którą taszczy ze sobą w podręcznym bagażu, choć nie mam pojęcia, na co komu osiem kilometrów bandaża, jeśli samolot wpadnie do morza. Charlie wpakował do swojego plecaka tyle różności, że nie jest w stanie się wyprostować. Uparł się też, że założy swoją ulubioną czapkę; niestety, okazało się, że chodzi mu o jasnożółtą czapkę z pomponem, którą babcia zrobiła mu na drutach. W zestawieniu z jego nowymi krótkimi spodniami prezentuje się to dość dziwnie, ale Charlie uważa, że wygląda cool. Cóż, przynajmniej nie zgubił go w tłumie.

W sklepie bezcłowym przeżywam chwilę rozterki, bo nie mogę wykombinować, czy Lanzarote leży na terenie Unii Europejskiej i czy mogę skorzystać z ulg celnych. Wyobrażam już sobie, jak kupuję bezcłowe papierosy, zostają wzięta na kontrolę osobistą, po czym spędzam całe ferie w jakimś koszmarze w stylu *Midnight Express*, maltretowana przez miejscową policję. W końcu podchodzi do mnie sprzedawczyni z jasnopomarańczową twarzą, fioletowymi powiekami i niebieskimi włosami, spryskuje mnie ohydnyimi perfumami i pyta, czy może w czymś pomóc. Zapewnia mnie, że mogę kupować bezcłowe towary, kupuję więc papierosy

i butelkę Chanel, by zabić jakoś ten okropny zapach, od którego zaczynają mi już łzawić oczy.

Lot jest koszmarny. Niepowtarzalny zestaw par na przemian klócących się zajadle i tłukących swoje dzieciaki nie sprzyja relaksowi. Odkrywamy też, że linie lotnicze wymyśliły nowy sposób umilenia podróży: fotele są tak blisko jeden za drugim, że tylko dzieci poniżej dziesięciu lat mogą w nich siedzieć bez wykręcania sobie stawów biodrowych. Czucie w stopach tracę jeszcze przed startem. Jedzenia nie da się nawet opisać, ale Charliemu podobają się te wszystkie małe paczuszki. Otwieraje kolejno, po czym odmawia zjedzenia czegokolwiek. Mama stwierdza, że jej kurczak jest paskudny i że napije się tylko herbaty, jeśli w ogóle ją podadzą. Okazuje się jednak, że gorące napoje są podawane wyłącznie na pięć minut przed lądowaniem. Mama co prawda ma przekąski w swojej przepastnej torbie, ale wydobycie jej spod siedzenia zajmuje nam dobre dziesięć minut. Przy okazji tacka Charliego wylatuje w powietrze, dzięki czemu plastikowe sztucce i paczuszki masła lądują na ludziach siedzących przed nami. Są zachwyceni.

Idę do toalety, głównie po to, żeby rozprostować nogi. Mam nadzieję, że po powrocie nie będę potrzebować chirurgicznej rekonstrukcji kolan. Samolot zaczyna podchodzić do lądowania. Wygląda to, jakbyśmy mieli lądować w morzu i Charlie zaczyna się niepokoić. Zapewniam go, że wszystko będzie dobrze, bo samolot ma specjalne nadmuchiwane poduchy, jak poduszki, więc jeśli pilot nie trafi w pas startowy, po prostu dopłyniemy do lotniska. Słyszę, jak kobieta siedząca za nami mówi do męża: „Czy to nie wspaniałe, Trevor? O wszystkim pomyśleli, prawda?” Lądujemy bez pomocy nadmuchiwanego poduchy; w trakcie manewru kapitan ogłasza, że mamy pozostać na miejscach, nie rozpinąć pasów, nie otwierać szafek i nie narażać współpasażerów na wstrząs mózgu. W razie poważniejszych obrażeń załoga będzie mogła przeprowadzić szybką ewakuację dopiero, kiedy samolot zupełnie się zatrzyma.

W nieskończoność czekamy na bagaż, po czym przechodzimy kontrolę celną i nie zostajemy aresztowani. W końcu wpadamy na bandę ludzi w jaskrawych, bistorowych imitacjach strojów ludowych-coś w rodzaju komitetu powitalnego. Blask, jaki rzuca zestawienie oranżu i amarantu jest niemal oślepiający, a kiedy odbieram Powitalny Prezent, w moje palce strzela iskra

elektryczna. Udaje mi się znaleźć kolejkę po odbiór zarezerwowanych samochodów. Wszyscy strasznie się awanturują o pięć tysięcy peset, które mają wpłacić jako depozyt za benzynę. Kiedy przychodzi moja kolej, proponuję, że zapłacę piętnaście tysięcy peset, ale tylko pod warunkiem, że dadzą nam lepszy samochód. Pozostali pasażerowie spoglądają na mnie urażeni, a jeden pan usiłuje mi nawet wyjaśniać, że wystarczy dać pięć tysięcy. Nauczyłam się tej sztuczki od Barneya, który twierdzi, że to zawsze działa. Nie wolno tylko próbować tego z Niemcami, bo mogą sobie pomyśleć, że się nabijasz i dadzą ci starego volkswagena „ogórka”.

Pracownik wypożyczalni uśmiecha się i wręcza mi kluczyki do nowiutkiego renault laguna kombi. Wszyscy inni dostają renault clio i patrzą na nas ponuro, kiedy idziemy na parking. Samochód jest bardzo szykowny, z setkami przycisków oznaczonych niezrozumiałymi symbolami. Bóg jeden wie, co ma znaczyć \pm , postanawiam go nie wciskać, bo mogłoby się okazać, że na przykład pompuje poduszki powietrzne. Podczas jazdy ciągle zapominam, gdzie jest dźwignia zmiany biegów. Próbując wrzucać biegi lewą ręką, natrafiam na elektryczne opuszczanie szyb i powoduję miniaturowy huragan. Charlie jest zachwycony.

Willę znajduję zupełnie przypadkiem, choć udaję, że cały czas wiedziałam, gdzie jadę. Mama jest pod wielkim wrażeniem, ale nie może odpiąć swojego pasa bezpieczeństwa, który najwyraźniej się zaciął. Szarpie się z nim, usiłując go rozpiąć, kiedy nagle zauważam, że nie ma Charliego, który wysiadł z samochodu, założył plecak i zniknął we frontowych drzwiach willi. Wymieniamy z mamą przerażone spojrzenia. Nagle słyszymy jego okrzyk: „Tu jest basen!”, a po chwili potężny plusk. Gnamy w stronę basenu. Charlie wskoczy! do wody nie zdjawszy plecaka i poszedł na dno jak kamień. Mam już wskakiwać za nim, kiedy wylania się na powierzchnię bez plecaka, i oznajmia, że woda jest świetna. Łapię go za kołnierz i zaczynam długi wykład, jak niebezpieczne jest wskakiwanie do basenów, a już szczególnie z plecakiem. Mam szczerą nadzieję, że to naprawdę nasza willa i że za moment nie zjawi się właściciel z policją. Wyciągamy walizki z samochodu i rozpakowujemy się, a potem ruszamy na spacer wzdłuż głównej ulicy, która ciągnie się przez całą miejscowość. Znajdujemy pizzerię; lody na deser zostają podane z zimnymi ogniami. Charlie jest wniebowzięty.

Powoli przyzwyczajamy się do wakacyjnego trybu życia; codziennie rano pływamy, a w porze sjeisty próbujemy odpoczywać, choć Charlie uważa, że to idiotyczny pomysł.

- Tylko niemowlaki chodzą spać w dzień.

- Nie w Hiszpanii. Wszyscy ucinają sobie drzemkę, kiedy robi się gorąco, a za to wieczorem chodzą spać o wiele później.

- Jak późno?

- Och, koło dziewiątej albo dziesiątej.

Charlie rozważa to przez chwilę, po czym próbuje się położyć i zasnąć, ale wstaje po pięciu minutach, kiedy ja właśnie zaczynam drzemać, i mówi:

- Nic z tego. Nie mogę spać i koniec.

Zaczynamy grać w zwierzaki z alfabetu: polega to na tym, że wybiera się jakąś literę, a potem wymienia nazwy zwierząt. Charlie upiera się, że omik liczy się jako zwierzę na O, a bycza wiewióra na B. Ostatecznie bierzemy się za rysowanie.

By liźnąć trochę kultury, jedziemy na wycieczkę do domu Césara Manrique, lokalnego malarza i rzeźbiarza. Dom jest bardzo piękny; ze wspaniałymi, wulkanicznymi sadzawkami, ogrodami i z wystawą dzieł sztuki we wnętrzu. Charlie nie zwraca uwagi na sztukę, spotyka za to w kawiarni kociaka i karmi go lodami. Razem z całą kawiarnią podziwia z zachwytem kocie błazeństwa i wiem, że zapamięta je o wiele lepiej niż obejrzone dzieła. Sądzę zresztą, że nie on jeden. Odnajdujemy toalety i odkrywamy na drzwiach metalowe płaskorzeźby. Figura kobiety ma wielkie piersi; męska jest pomalowana na jasnozielono i sterczy z niej wieszak na ubrania w kształcie siusiaka. Prawdę mówiąc, o mało nie tracę przez niego oka. Wyklucie sobie oka siusiakiem na drzwiach toalety chyba nie byłoby zbyt przekonujące dla pracowników firmy, w której wykupiliśmy ubezpieczenie. Charlie uważa, że rzeźby na drzwiach to najfajniejsza rzecz, jaką widział w życiu, i nalega, żebyśmy je sfotografowali dla pani Pike.

Powoli osuwam się z samochodem, ale wciąż zdarzają mi się koszarne chwile zaćmienia, kiedy przez ułamek sekundy mam wrażenie, że ja siedzę na miejscu pasażera, a Charlie prowadzi. Wizyta w miejscowym hipermarkecie okazuje się prawdziwym wyzwaniem: Charlie chce kupować wszystko, co dziwnie wygląda, bo na pewno jest pyszne, a mama upiera się przy produktach brytyjskich. Ostatecznie na kolację jemy mielonkę, puree ziemniaczane instant i pełnoziarniste ciastka. Charlie dostaje do picia

colę. Oczywiście wypija o wiele za dużo i zaczyna z wrzaskiem biegać po domu.

Mama proponuje, żeby dać mu klapsa.

- Proszę, nie krępuj się. Ale nie sądzę, żeby go to uspokoiło - odpowiadam.

- Nie mów do mnie takim tonem. Chciałam tylko pomóc.

- Jasne. A bicie ma załatwić sprawę, tak? Nie powinien pić tyle coli. Ani zjadać tyle ciastek.

- Och, oczywiście. Mogłam się domyślić, że to moja wina. Teraz dzieci już nie bywają niegrzeczne, co? Mają tylko podwyższony poziom cukru albo alergię najedzenie.

- Mamo...

W tej chwili Charlie przerywa swój wariacki galop i mówi:

- Mamusiu, przestań być taka okropna dla mojej ukochanej babuni.

Mam ogromną ochotę wyjaśnić mu, że jego ukochana babunia namawia mnie na klapsa, ale jakoś się powstrzymuję.

- Zamknij się, Charlie. Zachowujesz się nieznośnie. Przestań biegać i chodź do kąpieli.

- Nienawidzę cię, mamusiu. I babcia też.

Babcia uśmiecha się złośliwie, ale mówi:

- Nie bądź niegrzeczny, Charlie. Chodź. Urządzimy ci miłą kąpielkę.

Zostaję sama, wściekła i pohańbiona.

Mama zjawia się po chwili i mówi, że Charlie siedzi w wannie i nie chce przestać chlapać, więc może zechciałabym użyć swoich łagodnych metod wychowawczych. Wchodzę do łazienki, wyciągam korek i mówię Charliemu, żeby natychmiast wyłaził, bo mam już dość.

- Czego dość, mamusiu?

- Charlie, nie przeciągaj struny. Przestań chlapać i wychodź. Albo jutro nie będzie żadnych lodów. W ogóle.

Niejestem pewna, czy przekupstwo to oficjalnie uznana służbna metoda wychowawcza, ale NSPCC nie prowadzi przeciw niej żadnej kampanii, więc przypuszczam, że ujdzie w tłuoku.

Później, kiedy Charlie już śpi, a my siedzimy na balkonie, popijając herbatę, mama mówi:

- Przepraszam za tamto. Byłam po prostu trochę zmęczona.

- Och, daj spokój, mammo. Nic się nie stało. Wiem, że potrafi być denerwujący. No, nawet bardziej niż denerwujący. Czasami

załużę, że nie ma specjalnych pilotów do dzieci. Można by je wtedy na chwilę wyłączyć.

Mama uśmiecha się.

- Ty byłaś o wiele gorsza.

- Dziękuję, mamo.

Muszę natychmiast zmienić temat, zanim zaczniesz swoje historie pod tytułem „Kiedy byłaś mała”. Jeśli jeszcze raz będę musiała wysłuchać, jak to pastor przyszedł na herbatę, a ja zjadłam pod łóżkiem całą torbę karmelków i zarzygałam dywan w salonie, zacznę krzyczeć.

- Jeśli chcesz, ja mogę jutro gotować. Zrobiłabym spaghetti.

- Nie, chcę, żebyś porządnie wypoczęła.

- Nie ma sprawy, mamo. Lubię gotować.

Oczywiście to kłamstwo w żywe oczy, ale nie chcę, żeby spędziła całe ferie w kuchni. Prawdę mówiąc, nawet nieźle gotuje, ale za granicą ma zaufanie tylko do puszek bo „zawsze wiadomo, co jest w puszcze z peklowaną wołowiną”. Niestety.

- No dobrze, byłoby miło. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, ja i ojciec. I wspaniale sobie radzisz z Charliem.

- Dziękuję, mamo.

Jedziemy na wycieczkę do parku wulkanicznego na wyspie. Charlie jest bardzo podekscytowany i chce wiedzieć, czy opony nam popękają, jeśli wjedziemy na gorącą lawę, a mama robi się dziwnie cicha. Całymi kilometrami jedziemy po czymś, co kiedyś było lawą, pejzaż jest niesamowity. Na szczycie góry jest ogromny parking. Mama nie chce wsiąść z samochodu; mówi, że wzięła ze sobą termos z herbatą i woli sobie posiedzieć i poczytać książkę. W końcu udaje mi się ją przekonać, żeby poszła z nami - wmawiam jej, że jeśli chce się zamknąć samochód, kiedy ktoś siedzi w środku, uruchamia się alarm. Wyruszamy ścieżką prowadzącą do parkingu i przyłączamy się do grupki ludzi zgromadzonych wokół kilku niewielkich dziur w ziemi. Pracownik parku stoi przy jednej z nich z wiadrem wody. Ogarnia mnie niewyraźne przeczucie, że to jeden z tych pokazów, kiedy jedynym efektem jest małe obłoczki pary i dzieci strasznie się nudzą. Mężczyzna wlewa jednak do dziury całe wiadro i nagle, bez ostrzeżenia, z ziemi wystrzela potężny strumień pary, wysoki na jakieś piętnaście metrów. Wszyscy wrzeszczą, mama upuszcza aparat, a Charlie chowa głowę pod moją bluzę.

Wszyscy dochodzą w końcu do siebie i zaczynają się śmiać. Charlie wyłania się spod bluzy i mówi: „Powiedz mu, żeby tak zrobił jeszcze raz”. Okazuje się, że facet nie robi nic innego, tylko wlewa w dziurę wiadra wody w pięciominutowych odstępach, więc oglądamy gejzer jeszcze cztery razy. W końcu Charlie łaskawie zgadza się czegoś napić w bardzo stylowej kafejce, zbudowanej na szczycie wulkanu. Zakładam, że muszą tu mieć jakiś system wczesnego ostrzegania, nie ryzykowałiby przecież zmiecenia kawiarni wraz z gośćmi przez strumień lawy, mama jednak woli nie marudzić zbyt długo przy kawie - tak na wszelki wypadek. Potem odkrywamy małą kamienną chatkę, zbudowaną nad czymś, co przypomina wielkie palenisko. Podchodzimy bliżej i okazuje się, że naprawdę jest to wielki żelazny grill, umieszczony nad dziurą prowadzącą wprost do wnętrza wulkanu. Temperatura jest tak wysoka, że można piec całe kureczaki, a kiedy spogląda się w dół, można zobaczyć wyraźny czerwony blask. Udaje mi się w porę przytrzymać Charliego za kaptur i wyjaśnić mu, że wspinanie się na grill dla lepszego widoku nie jest najlepszym pomysłem, bo, pomijając już wszystko inne, roztopią mu się sandały.

Powoli przyzwyczajamy się do życia w wolniejszym tempie, a ja znów odkrywam uroki wylegiwania się na słońcu i popijania dzinu. Raj. Kupuję wielkiego, nadmuchiwanego wieloryba, żeby Charlie mógł się bawić w basenie. Pompowanie trwa wiecznie i dwa razy jestem bliska omdlenia. Za sprawą mamy Charlie bez przerwy chodzi oblepiony kremem ochronnym z filtrem 200, przez co przypomina trochę tych świrów, którzy przepływają kanał La Manche pokryci grubą warstwą gęsiego tłuszczu. Dzwonię do Macka w połowie tygodnia - mnóstwo o nim myślałam. Oddalenie od domu daje mi zupełnie nową perspektywę. Tęsknię za nim, ale jednocześnie znów zaczynam popadać w totalną panikę i najchętniej wróciłabym do etapu krótkich randek. W końcu docho-
dzę do przekonania, że cała sprawa jest z góry skazana na niepowodzenie. Nie mogę zrozumieć, co on we mnie widzi. Ale może po prostu wypiałam za dużo dzinów z tonikiem.

Pierwsze dziesięć minut rozmowy upływa nam na uroczym flirtowaniu, nagle jednak przerywam żalonym stwierdzeniem:

- Ehm, Mack. zastanawiałam się.
- O Boże. Nie powinnaś tego robić, wiesz o tym.

-Nie, myślałam sobie tylko... no wiesz, próbowałam wymyślić, co ty właściwie we mnie widzisz.

Chryste, nie mogę uwierzyć, że naprawdę to powiedziałam.

- No, po pierwsze masz mój szlafrok. Wystarczy?

-Nie.

- Do diabła. Hmm, potrafisz mnie rozbawić. To dość ważne.

- No tak, ale tak sobie myślałam i wymyśliłam, że taki facet jak ty nie wybiera przeważnie takich kobiet jak ja.

- Co to znaczy taki facet jak ja?

- Cały czas otoczony przez piękne, młode kobiety, które nie mają dzieci, a za to mają płaskie brzuchy. I nogi jak żyrafy. Nie wiem, czy ktoś ci to już mówił, ale jesteś niesamowicie przystojny.

- Dziękuję, Quasimodo.

- Odpieprz się.

-Cudownie, znów zaczynasz przeklinać. Rozmawiałaś może z tą swoją przyjaciółką, Leilą?

- Nie, i możliwe, że właśnie w tym tkwi problem. Wiem, że gdybym do niej zadzwoniła, kazałyby mi wziąć się w garść.

-Coraz bardziej ją lubię. Słuchaj, nie wiem, kim są te kobiety, które niby mają mnie otaczać. Bo te, które spotykam, potrafiłyby przepić starego marynarza i prawdę mówiąc odrobinę mnie przerażają. No, nawet bardziej niż odrobinę. Nie mam czasu na całe to zawracanie głowy z seryjnymi randkami, a poza tym jestem w tym do niczego. Przykro mi, jeśli sprawy potoczyły się trochę za szybko, ale ja nie lubię tracić czasu. Podobasz mi się. Jesteś silna i dobrze się z tobą bawię.

- Silna? Bo jeśli chodzi ci o noszenie na głowie worka ziemniaków, to tego też nie potrafię.

-Nie, i przestań mi przerywać. Chodzi mi o to, że nie potrzebujesz się na nikim wieszać. I wiesz co, to zabawne, ale nie spotkałem jeszcze żadnej superpięknej kobiety, która nie byłaby choć odrobinę próżna. I żadna z nich nie jest sexy. Ani odrobinę. Uwierz mi.

- Wiesz co? Powinieneś pracować w reklamie. Jesteś niezły w technikach perswazyjnych. Już mi lepiej.

- Świetnie. To jak, mam tę pracę?

- Powiedzmy może tak: całkiem nieźle, James, całkiem nieźle.

-I chwała Bogu. Przez chwilę się martwiłem. Słodkich snów, kochanie.

I odkłada słuchawkę. Wolałabym, żeby tego nie robił. Wracam do willi z bardzo głupim uśmiechem na twarzy. Wygląda na to, że ten śliczny nowy szlafrok jeszcze trochę u mnie pobędzie.

6. *Wszy, mężczyźni i 101 dalmatyńczyków*

Powrotna podróż z Hiszpanii jest koszmarna. W samolocie siedzi za nami rodzinka z niemowlakiem, a przed nami rodzinka z ciut większym niemowlakiem. Obydwa bachory wrzeszczą przez całą drogę. Większy dzieciak odpuszcza na chwilę, ale tylko po to, by podkraść swojej matce jedzenie. Dostaje klapsa i zaczyna wrzeszczeć od nowa. Mam wrażenie, że NSPCC powinno przeprowadzać krótkie szkolenia dla załóg wszystkich czarterowych lotów.

Charlie jest bardzo ucieszony powrotem; biega po całym domu, dotykając wszystkich zabawek i podrzucając kołdry, jak jakieś małe zwierzątko zaznaczające swoje terytorium. Dzwoni Kate i mówi, że pogoda była ohydna i że nie chce mnie oglądać, dopóki nie zblednie mi opalenizna. Dzwoni również Mack i oświadcza, że chce mnie zobaczyć natychmiast, umawiamy się jednak dopiero na przyszły weekend. Potem dzwoni Lizzie.

- Kazała wam jeść mielonkę?

-Tak.

- Wiedziałaś. Rany, kiedy wreszcie przejdzie jej ta obsesja na punkcie mięsa z puszek?

-Nie mam pojęcia, ale im szybciej, tym lepiej.

- Doprowadzała cię do szału?

-Nie, była nawet całkiem miła. Tylko jednego wieczoru miałyśmy małą scenę, kiedy Charlie zaczął brykać, a ona chciała dać mu klapsa. Czy raczej żeby mu dała.

- O rany, to musiało być niezłe.

-No. Miałyśmy szczerą wymianę zdań, ale potem napiłyśmy się grzecznie herbatki i wszystko było w porządku.

- To dobrze. Widzieliście coś ciekawego?

- Nie bardzo. Pojechaliśmy obejrzeć wulkan i dwadzieścia minut musiałam wyciągać mamę z samochodu, ale poza tym to był tydzień cudownego lenistwa. Charlie świetnie się bawił i mama chyba też.

- To dobrze. Szczęściara z ciebie. Ja mało nie zwariowałam przez tych cholernych ludzi i ich zasraną kuchnię.

- O rany. Charlie przywiózł ci naprawdę gustowny prezent. Może to ci poprawi humor?

-Jeśli jest tak gustowny jak ten koszmarny osioł, którego przywozłaś z Turcji, to raczej nie.

Leje bez przerwy, więc moja opalenizna błędnie szybko. Charlie wraca do szkoły, ale uporczywe ulewy oznaczają, że nie może się porządnie wyhasać na powietrzu. Wszystkie dzieci robią się marudne i po całym dniu spędzonym w malej klasie, gdzie do dyspozycji mają tylko wilgotne pudło z kolekcją starych, zniszczonych gier planszowych i kilka woreczków z grochem, wieczorem sana granicy hysterii.

Mack wymyślił nowy plan na weekend, żebyśmy mogli się spotkać. Umówił się, że odbierze Daisy i Alfiego w piątek i odwiezie ich z powrotem w sobotę po południu, a potem przyjedzie do nas i resztę weekendu spędzi tutaj. Nie mogę się powstrzymać i pytam, co o tym wszystkim myśli jego była żona, Laura. Mack mówi, że rozstali się w przyjacielskiej atmosferze i że to ona zaproponowała separację. Teraz kończy kurs homeopatii - coś, co zawsze chciała robić, ale Mack się z niej wyśmiewał. Znalazła sobie też cudownego nowego mężczyznę, Troya, który jest zieleńcem i nawet w zimie nosi sandały. Mack uważa go za kompletnego głupka, ale dzieciaki go lubią.

Laura i Troy mają wielką ochotę iść w piątek na wykład o zastosowaniach roślin spotykanych w żywopłotach i dzięki temu chętnie godzą się na plan Macka, choć ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wymyślił to wszystko. Szczególnie kiedy dodaje, że gdybym potrzebowała niewielkiej dawki belladonny, to wie, gdzie ją zdobyć. W głębi duszy czuję ogromną ulgę, że nigdzie w pobliżu nie czai się zgorzkniała była żona, tym bardziej taka, która studiuje zastosowanie roślin z żywopłotu.

Dziś rano szkoła Charliego bierze udział w mszy - chodzą do kościoła raz w każdym półroczu. Charlie się boczy, bo twierdzi, że jest poganinem. Mówię mu, że zawsze może przecież zostać w szkole pod opieką sekretarki i odrobić matematykę, uznaje więc, że może jednak pójść. Podjeżdżamy pod maleńki, stary kościół, stojący na końcu wąskiej dróżki; po obu jej stronach rozciągają się

pola i ostatnie deszcze zamieniły ją w istne bagno. Tuż po wyjściu z samochodu Charlie wpada w wielką kałużę. Robię co mogę, ale mam do dyspozycji tylko chusteczkę, i Charlie wygląda, jakby przed chwilą brał udział w błotnych zapasach i przegrał wszystkie rundy. Zza chmur wyłania się słońce i okolica zamienia się w scenę z powieści Thomasa Hardy'ego. Właśnie za takie chwile Kocham wieś: wszystko wokół jest piękne, ponadczasowe i uspokajające. Z wyjątkiem błota.

Pani Harrison-Black wyznaczyła samą siebie do roli kościelnego i denerwuje wszystkich, przypominając im w wejściu, by wycierali nogi. Wszystkie dzieci siadają rzadkami w ławkach z przodu i zaczynają się wiercić. Rodzice siadają z tyłu; udaje mi się usiąść z Kate i Rogerem, który oznajmia, że Sally kazała mu bardzo uważać na Williama, bo rano dorwał się do pudełka z ciastkami i zjadł całą paczkę czekoladowych herbatników. I rzeczywiście, tłucze jakiegoś małego chłopca w głowę swoim śpiewnikiem z hymnami. Pani Pike niczego nie widzi; wygląda, jakby zasnęła, a może po prostu się modli. Roger posyła synowi przeszywające spojrzenia. Daremnie. W końcu podchodzi na paluszkach do przednich ławek, podnosi Williama z siedzenia i porywa na dwór, by zapobiec trwałym uszkodzeniom mózgu u jego kolegi.

Nasłuchujemy, czy z zewnątrz dobiegnie nas mówiący wszystko odgłos razów, ale na szczęście Roger postanawia zastosować Rozsądne, choć Stanowcze Podejście i wraca po kilku chwilach. William trzyma go za rękę i wydaje się o wiele spokojniejszy. Siada z nami i skupia się na bujaniu nogami w przód i w tył, za każdym razem niemal kopiąc w ławkę z przodu. Zjawia się pastor i podejmuje brawurową próbę przystosowania mszy dla dziecięcych potrzeb. Pyta wszystkich co się dzieje, kiedy wsadzimy do ziemi ziarenko. Dzieci spoglądają na niego pustym wzrokiem, aż wreszcie jeden mały chłopczyk podnosi palec do góry i pyta:

- Wyrośnie z niego zaczarowana fasola? - Pewnie ma nadzieję, że dzisiejsze kazanie okaże się bajką „o Jacku i zaczarowanej fasoli”. Pastor wyjaśnia bardzo łagodnie:

- No, to też. Ale właściwie chodziło mi o to, że z maleńkich żołędzi wyrastają zaprawdę potężne dęby - na co dzieci odpowiadają chórem:

- Aha.

Pastor zaczyna kazanie i w nieskończoność truje o tym, jak ważne jest, byśmy byli dobrzy i mili i że wszyscy powinniśmy już

dziś zasiać w sobie ziarna tego, czym chcemy stać się jutro. Przed moimi oczyma rozwija się właśnie błoga wizja, w której znajduję paczkę nasion przemieniających mnie w Cindy Crawford, kiedy dzieci wstają nagle i zaczynają „śpiewać” *Wszystkie Twe dary jasne i czyste*. Przy organach siedzi bardzo stara pani; jej interpretacja hymnu nie jest szczególnie żywiłowa, więc dzieci kończą śpiewać jakieś trzy minuty przed nią.

Pastor odmawia modlitwę i dziękuje dzieciom, że tak grzecznie zachowywały się w domu bożym. Wszyscy rozglądają się wokół siebie, jakby sam Bóg miał się lada chwila wyłonić zza chrzcielnicy. W końcu dzieciaki ruszają pośpiesznie między ławkami i tworzą potężny zator przy drzwiach, próbując jak najszybciej wydostać się z powrotem na słońce i pobiegać chwilę, zanim rodzice zdążą zaciągnąć do samochodów i odwieźć do szkoły. Jeden z tatusiów wrzeszczy: „Na rany Chrystusa, wsiadaj wreszcie do samochodu!” w chwili, kiedy z kościoła wychodzi pastor. Roger i ja wybuchamy śmiechem, a Kate opowiada, że kiedyś podczas dożynek zrobiła coś dokładnie w tym stylu, stojąc tuż za naszym pastorem. Była tak zawstydzona, że zrobiła się czerwona na twarzy i pani Taylor zapytała ją, czy się dobrze czuje. Proponuję, że zawiozę Williama i Rosie z powrotem do szkoły, żeby Roger mógł wracać do pracy. Roger spogląda na mnie z uwielbieniem i prawie biegiem rusza do samochodu. William i Charlie siedzą z tyłu, wygłaszając niegrzeczne komentarze na temat pastora. Rosie siedzi z przodu i wyznaje mi, że kiedy dorośnie, w ogóle nie będzie miała żadnych dzieci. A jeśli nawet, to na pewno nie chłopców. Bo wszyscy przecież wiedzą, że chłopcy są głupi. Na szczęście chłopcy są zbyt zajęci zniesławianiem pastora, by cokolwiek usłyszeć.

Przez resztę przedpołudnia usiłuję uporządkować stertę rachunków, wyciągów bankowych i różnych innych denerwujących kawałków papieru, które jakimś cudem zjawiły się w ciągu ostatnich paru dni. Dzwoni Barney i opowiada mi o dwóch nowych scenariuszach: obydwa dotyczą psiego żarcia, są do zrobienia w studiu i pochodzą z agencji Macka.

- Świetnie, Barney. Przyda mi się robota. Właśnie oglądałam mój wyciąg bankowy.

- To duży błąd. Powinnaś je po prostu wrzucać do kosza, tak jak ja.

- Jeśli te zlecenia wypalą, nie będę się musiała martwić.

- Oczywiście nie zaszkodziło nam pewnie, że pieprzysz się z dyrektorem kreatywnym.

- Że co proszę?

- Oj, nie zgrywaj niewiniątka. Mówię o tobie i Maćku MacDonaldzie. No wiesz, o tym facecie, który zjawił się ostatnio na zdjęciach, a ty o mało nie zemdlałaś, kiedy wysiadł z samochodu. Przecież nie jestem kompletnie ślepy.

- Ależ jesteś, Barney. Nie pamiętasz już tamtych zdjęć w Walii, kiedy cała ekipa poprzekładała ubrania i założyła kurtki tył naprzód? Nie zorientowałeś się, dopóki nie założyli kapturów na głowy i nie zaczęli się przewracać.

- To było zupełnie co innego. Poza tym Lawrence mi powiedział.

- Jezu, co jest z tym facetem? A tak właściwie to co ci powiedział? No już, przyznaj się. Niczego nie zauważyłeś.

- Nie gniewaj się na mnie. Ja wcale nie narzekam. Był już najwyższy czas, żebyś znalazła sobie kogoś do zabawy, kiedy Charlie idzie spać.

- Odwal się, Barney.

- Ja tylko żartowałem. Uważam, że to wspaniale. Tylko nie zapomnij powiedzieć panu MacDonaldowi, że ta historia z teczką w hotelu była dość mało subtelna, nawet jak dla Lawrence'a. Wiesz, jaki on jest. Prawdopodobnie zadzwonił do hotelu i wysłał szpiegów.

- To jeszcze bardzo świeża sprawa. Chciałam ci powiedzieć, kiedy już będzie o czym mówić. Wiem, że uwielbiasz ludzi z agencji-

- Akurat ten jest w porządku. Zamieniliśmy parę słów w samochodzie i wyglądało mi na to, że facet zna się na rzeczy.

- Chcesz powiedzieć, że nazwał cię geniuszem.

- No tak, to też, ale to przecież tylko oznaka dobrego gustu. Nie ma w tym nic złego.

- To jak, nie będziesz mi bez przerwy brzęczał za uszami na ten temat?

- Ależ oczywiście, moja droga. Będę jęczał i narzekał jak zawsze, a jeśli on zjawi mi się kiedykolwiek na planie i zacznie się szarogęsić, jesteś zwolniona. Ale poza tym życzę ci wszystkiego dobrego. Och, byłbym zapomniiał: Lawrence'owi powiedziałem, że wiedziałem o tym od samego początku i że bardzo mi się to podoba. Strasznie się wściekł.

-Jesteś genialny, Barney. Dzięki.

-Cała przyjemność po mojej stronie. Kiedy się zjawisz w biurze?

- W piątek. Może być?

- Świetnie. Mamy tu kolejny gówniany scenariusz, jakaś gazowana oranżada czy coś takiego. Pomysł do bani, ale może uda mi się coś z tego zrobić. Zapowiada się miła robótka, w scenariuszu jest fortepian zjeżdżający ze schodów. Będzie ogromny budżet.

- Barney, powiedziałam ci już, że nie robię z tobą więcej żadnych zleceń, które wymagają kaskaderskich wyczynów. Koniec, kropka. Ciągle miewam koszarne sny o tamtym helikopterze.

-Nie, to nic w tym rodzaju. Muszę tylko wymyślić, jak zatrzymać fortepian, kiedy już zjedzie na dół. Reszta to kaszka z mleczkiem.

Kiedy dzwoni Mack, mówię mu o mojej pogawędce z Barneyem. Proponuje, że pójdzie do Lawrence'a i da mu w nos. Pokusa jest wielka, ale nie zgadzam się. Właściwie czuję ulgę, że Barney już wie, bo to oznacza, że wie całe biuro. Nie będę musiała krzyć się z telefonami, a w razie potrzeby mogę wezwać dziewczyny na pomoc. A na dodatek Mack najwyraźniej zupełnie nie przejmuje się faktem, że Lawrence krąży po Londynie, roznosząc plotki - to też mi się podoba. Dzwonię do Leili, żeby podzielić się z nią nowinami. Jest zachwycona i oświadcza, że teraz jesteśmy już oficjalnie parą i przy pierwszej sposobności powinniśmy wydać bankiet. Odpowiadam jej, że prędeż wyklulałabym sobie oczy, na co stwierdza, że spodziewała się takiej odpowiedzi.

W piątek muszę się związać z robotą jak w ukropie, bo terminy zdjęć psiego żarcia uległy nagle zmianie i klienci chcą mieć gotowe filmy jak najszybciej. Przez cały dzień rozliczam budżety i wyklócam się z Lawrence'em. Do domu wracam o dziesiątej, kompletnie wykończona, i słucham sprawozdania Edny. Charlie był dziś wieczorem takim aniołkiem, że aż obiecała mu poprosić mamusię, żeby zabrała go jutro rano na basen. Ma nadzieję, że się nie pogniewam, ale to był jedyny sposób na wyciągnięcie go z wanny. Robimy sobie po filiżance herbaty i Edna opowiada mi o najnowszej prośbie syna o pożyczkę. Tym razem zachciało mu się nowego samochodu. Gnojek.

W nocy Charlie zakrada się do mojego łóżka i wierci się tak bardzo, że nie śpię prawie w ogóle. Wstaję w paskudnym nastroju i oświadczam, że nie ma mowy o żadnym pływaniu. Zaczyna się bocyć, więc tracę cierpliwość i mówię mu, że jest marudnym bachorem, na co oczywiście wybucha płaczem. Żeby mu to wynagrodzić, przez następne pół godziny czytam mu nudną książkę o borsukach. W końcu bierze się za budowanie jakiejś potężnej konstrukcji z lego. Kiedy przyjeżdża Mack, budowa wciąż trwa. Ja jestem zajęta gotowaniem kolacji, więc Mack zostaje zaprzęgnięty do budowania zamku z klocków, znosi to jednak bardzo dobrze. Udaje mu się nawet dokonać czegoś, co mnie nie udało się przez całe popołudnie: przekonać Charliego, żeby przestał wystrzeliwać „kule armatnie” (czyli drobne klocki) do kominka, podpowiadając mu, że powinny leżeć w specjalnej skrzyni w zamku, bo trzeba je zachować, aż nadciągną wrogowie.

Po kolacji wdaję się z Charliem w długą dyskusję, w wyniku której pozwalam mu wyjątkowo posiedzieć do późna - tak naprawdę siedzi tylko pół godziny dłużej, ale jest przekonany, że to już północ. Zasypia natychmiast, ledwie dowlókłszy się na piętro. Kiedy wracam na dół, widzę, że Mack też śpi; postanawiam go nie budzić. Jestem właśnie w połowie zmywania, kiedy wchodzi do kuchni.

- Przepraszam. Dzieci mnie wczoraj wykończyły.

- Nie szkodzi. Chcesz może jeszcze kawy?

- Prawdę mówiąc, chciałbym się wyspać. Pewnie nie zgodzisz się, żebym spał w łóżku, co? To znaczy, chciałbym spać z tobą. Obudzić się przy tobie. No wiesz, takie tam.

- Zgoda. Ale nie zdziw się, jeśli Charlie wparuje do nas o świącie.

- Nie ma sprawy. Spróbuję o tym pamiętać.

To urocze, kiedy tak kładziemy się razem do snu, jak dwoje dorosłych ludzi. Moja nowo nabyta opalenizna robi prawdziwą furorę i okazuje się, że Mack wcale nie jest zmęczony. Zasypiam wiele godzin później, w jego ramionach, bardzo szczęśliwa, ale i trochę niespokojna. No bo jeśli wpadnie tu Charlie i dozna szoku na widok Macka w moim łóżku? Rzeczywiście, przychodzi tuż po wschodzie słońca, po czym po prostu spycha Macka na bok i wskakuje w środek. Mack kwituje to cichym pomrukiem, ale widocznie zdarzało mu się już wcześniej, że mali chłopcy kuksali go w żołądek, bo nawet się nie budzi. Wszyscy drzemimy jeszcze chwilę,

aż nagle Charlie zrywa się z łóżka, wrzeszcząc: „Kreskówki!” i rusza pędem na dół, by nie stracić ani sekundy więcej. Ja też wstaję, żeby zaparzyć kawę; kiedy wracam, okazuje się, że Mack siedzi w wannie i podśpiewuje.

Istna sielanka. Piję spokojnie kawę, kiedy nagle do kuchni wpada Charlie.

- Mamusiu, wiedziałas, że Mack siedzi w naszej wannie i nie ma na sobie ubrania?

O Boże. Czuję, że od odpowiedzi na to pytanie będzie zależał cały dalszy rozwój psychiczny Charliego.

- No, to chyba nic złego? Mack chyba może się wykapać, co?

- Tak, pewnie, że może. Ale kiedy wszedłem do łazienki, przykrył swojego ptaszka.

Załóżę się.

- No tak, to chyba też nic złego. Niektórzy ludzie są trochę wstydlivi w takich sprawach, Charlie.

- Tak, wiem. Ale on używał mojej myjki, mamusiu. Powiedz mu, żeby nie używał mojej myjki.

Czuję, że to decydujący moment: muszę być stanowcza, ale jednocześnie okazać mu wsparcie.

-Charlie, nie bądź niemądry. Wieczorem możesz sobie wziąć nową myjkę z łazienkowej szafki. Nie ma o co lamentować. A teraz mi powiedz, czy chcesz chrupiący bekon i jajecznicę czy sam chrupiący bekon?

Charlie wrzeszczy: „Bekon!” i gna z powrotem na górę, skąd dochodzi mnie jego głos:

- W porządku, Mack. Możesz umyć sobie siusiaka moją myjką. Mamusia powiedziała, że da mi później czystą.

W końcu do kuchni wchodzi Mack z szerokim uśmiechem na twarzy.

-Obiecuję, że następnym razem przyniosę sobie własną myjkę. Rany, o mało nie dostałem zawału. Co się stało z zasuwką na drzwiach? Zdjęłaś ją specjalnie, żeby straszyć gości, czy co?

- Charlie ciągle się zamykał. Raz nawet o mało nie zadzwoniłam po straż pożarną, więc w końcu zdjęłam zasuwkę. Przepraszam.

-Nie ma sprawy. Alfie przechodził kiedyś fazę obserwowania mnie w wannie, więc jestem raczej przyzwyczajony. Jemu też się nie podobało, kiedy używałem jego myjki, ale czasem robiłem to specjalnie. To wkurzające, jak ktoś się tak na ciebie gapi.

Ranek płynie cicho i spokojnie, choć przez cały czas musimy się uchyłać przed fruującymi klockami lego. Mack czyta gazety, a ja gotuję. Mogłabym się do tego przyzwyczaić. Udaje mi się niczego nie przypalić i Mack stwierdza, że od wieków nie jadł lepszego lunchu. Wiem, że kłamie w żywe oczy, chyba że wszystkie eleganckie restauracje w Londynie całkiem zeszyły na psy, ale i tak miło z jego strony, że to mówi. Idziemy na spacer do lasu i Charlie próbuje wytropić bażanty, wskakując z nienacka w krzaki i klaszcząc. Jest zdumiony, że nie udaje mu się wypłoszyć ani jednego. Nagle Mack pyta go, czy chciałby w następny weekend przyjechać do miasta i zostać na noc w jego domu, bo będą też Alfie i Daisy, może być niezła zabawa. Jestem trochę oszołomiona tym zaproszeniem, ale zgadzam się i mówię, że na pewno będzie fajnie. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że poznanie jego dzieci to kolejny kamień milowy w naszym związku i nie wiem do końca, czy jestem na to gotowa. Ale jednocześnie cieszę się, że zapytał. Charlie odpowiada, że chętnie pozna Alfiego, ale nie przepada za dziewczynami, bo są głupie i ciągle szepczą. Mack oczywiście się z nim zgadza, a ja udaję, że mnie to zdenerwowało. Charlie jest zachwycony.

Mack wychodzi po podwieczorku i jadąc uliczką, trąbi jak wariat. Charlie uważa, że to genialne, podejrzewam jednak, że sąsiedzi mogą mieć inne zdanie. Potem bez końca męczymy się z pracą domową. Charlie upiera się, że chce rysować wikingów z karabinami maszynowymi, choć ja stanowczo twierdzę, że po pierwsze to historyczny fałsz, a po drugie na pewno nie o to chodziło pani Pike, kiedy kazała opisać weekendowe zajęcia. Wieczorem dzwonię do Leili i Kate, które zgadzają się, że poznanie dzieci to kolejny ważny etap, obfitujący w najróżniejsze pułapki i na pewno niełatwy. Ale znaczy to też, że Mack myśli poważnie. Kładę się spać oszołomiona i zdeorientowana, ale bardzo szczęśliwa.

Kilka następnych dni wypełnia mi gorączkowa bieganina w pracy, bo zlecenia na psie żarcie zostały zatwierdzone i zdjęcia są zaplanowane na przyszły tydzień. Na szczęście scenariusze nie mają nic wspólnego z Maćkiem, więc nie muszę jeszcze z nim pracować. Przedstawicielem agencji jest tym razem jeden z młodych podwładnych Macka, niejaki Paul. W biurze odbywamy z Barneyem niekończące się narady, na które Lawrence oczywiście

usiłuje się wkręcić, stosując przeróżne żalosalne preteksty; kończy się na tym, że Barney każe mu się odpieprzyć. Paul zjawia się na castingu i okazuje się przemiłym facetem. Mówię to Maćkowi, który natychmiast zaczyna się dąsać. Ma nadzieję, że gorące randki z personelem agencji podczas zdjęć nie wejdą mi w zwyczaj, bo jeśli tak, to będzie się musiał niespodziewanie zjawić i sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Ze szkoły przychodzi list z zawiadomieniem, że sporo dzieci z klasy Charliego ma gnidy. Natychmiast łapię za grzebień i szampon; oczywiście Charlie też ma. Wprawdzie znajdują tylko trzy, ale według ulotki wszy rozmnażają się ze zdumiewającą prędkością, więc do rana może być siedem milionów. Robi mi się niedobrze i dwa razy sama myję głowę. Bardzo się staram nie pokazać swojej odrazy Charlieemu, ale niepotrzebnie się martwię. Jest zachwycony - nazywa je swoimi gnidkami i chce je trzymać w butelce i uczyć sztuczek. Protestuję stanowczo, po czym spędzam koszarne pół godziny w Boots, kupując całą baterię szamponów na gnidy. Postanawiam nabyć wszelkie żenujące produkty za jednym zamachem i zaopatruję się w prezerwatywy. Kobieta przy kasie rzuca mi bardzo dziwne spojrzenie.

Dzwonię do Macka na jego bezpośredni numer do pracy. W słuchawce odzywa się burkliwie:

- Co tam?

-Jaki uroczy sposób rozpoczynania rozmowy. Musisz mi powiedzieć, gdzie się nauczyłeś takiej techniki.

- A , cześć, kochanie.

Wydaje się bardzo ucieszony, że mnie słyszy. To miłe. Ciekawa jestem, czy będzie równie zadowolony, kiedy mu powiem, że może mieć gnidy.

- Słuchaj, dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że Charlie jakimś cudem złapał gnidy, więc powinieneś jak najszybciej urządzić sobie sesję z grzebieniem.

Przez długą chwilę w słuchawce panuje cisza.

- O rany, zdaje mi się, że nie jesteś zachwycony tą wiadomością. No, powiedzże coś.

- Tak, tak, przepraszam. Myślałem sobie tylko, jakie urocze bywa życie z małymi dziećmi.

-Nie musisz mi mówić. Gdybyś chciał, pewnie udałoby mi się namówić Charliego, żeby je dla ciebie sportretował. Jest zachwycony.

- Proszę cię, nie przejmuj się mną zupełnie. Wiesz co, teraz sobie przypominam, że moje dzieciaki teżje miały w zeszłym roku. Laura próbowała oleju pokrzywowego czy czegoś tam, ale w końcu dała za wygraną i musieliśmy sprowadzić ze Stanów jakiś specjalny środek, bo to była wyjątkowo twarda, wielkomiejska odmiana gnid, nic ich nie ruszało. Ale Charlie ma na pewno jakiś łagodniejszy, wsiowy gatunek - trochę owczego łajna i będzie po wszystkim.

- Och, przestań. Jesteś okropny. A skoro już o tym mowa, to powinnam ci powiedzieć jeszcze jedno.

- Nie mów, niech zgadnę. Grzybica?

-Nie, ale kiedy mnie zobaczysz następnym razem, mogę mieć nową fryzurę, coś w stylu Demi Moore z tego filmu o żołnierzach. Bardzo by ci przeszkadzało, gdybym była łysa?

- Myślę, że trochę tak. Chyba że będziesz robić pompki w kuisym szlafroczku. To by mi się mogło spodobać.

- Bardzo śmieszne. Ty masz przynajmniej krótkie włosy. A ja przeżyłam koszmar w Boots, kupując szampon na gnidy i całe tony prezerwatyw.

- Czyżbyś miała plany na weekend?

-No, mam nadzieję. Ale on może zmienić zdanie, jak się dowie o gnidach.

- Wątpię. Nie sądzę, żeby kilka małych weszek dało radę go zniechęcić.

- Nie mógłbyś podać więcej szczegółów? Poprawiłbyś mi humor.

- Z przyjemnością, kochanie, ale prawdę mówiąc, mam tu w tej chwili coś w rodzaju zebrania zarządu, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, oddzwonię do ciebie w tej sprawie.

- Jasna cholera, Mack, dlaczego nic nie powiedziałaś?

-Naprawdę muszę już kończyć, skarbie. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

I odkłada słuchawkę. Sprawy wyglądają całkiem nieźle: nawet gnidy go nie zrażają.

Charlie jest bardzo podekscytowany perspektywą weekendu w Londynie u Macka i chce wiedzieć, czy nie będziemy przypadkiem w okolicy Hamleys. Odbywam z Maćkiem długą dyskusję, bo nie wiem, czy to dobrze, jeśli przy pierwszym spotkaniu z Alfem

i Daisy Charlie zarazi ich gnidami. Uznajemy jednak, że skoro używaliśmy kilka razy toksycznego szamponu, wszystko powinno być w porządku. Wyruszamy do Macka w sobotę rano; w drodze Charlie angażuje się w jakąś długą, skomplikowaną zabawę, która przemienia samochód w statek kosmiczny. Oczywiście on jest kapitanem i bez przerwy wydaje mi polecenia, żebym strzelała z laserowych dział w inne samochody, a na autostradzie przeszła na napęd nadprzestrzenny. W końcu sama zaczynam żałować, że samochód nie jest wyposażony w lasery. Byłby to świetny sposób na ciężarówkę.

Dojeżdżamy na miejsce dokładnie w chwili, kiedy Mack zjawia się z dziećmi, postanawiamy więc wszyscy pojechać na lunch do Pizza Express. Alfie i Charlie natychmiast znajdują wspólny język i pograżają się w długiej dyskusji na temat *Gwiezdnych Wojen* i Pokémonów. Alfie wygląda jak miniaturowy Mack i może dzięki temu natychmiast się do niego przekonuję. Daisy jest bardzo cicha i czujna; upiera się, że chce siedzieć koło Macka i odpychając Alfiego, przewraca go na podłogę. Dalej lunch przebiega już bez incydentów. W drodze powrotnej siadam z tyłu z chłopcami, za co Daisy obdarza mnie bladym uśmiechem aprobaty. Poza tym stara się udawać, że w ogóle nie istnieje. Zupełnie zrozumiałe, nie zmienia to jednak faktu, że ten weekend będzie mi się dłużył w nieskończoność.

Mack ma piękny dom na Notting Hill: hektary podłóg z desek, najnowocześniejsze zestawy telewizyjne (udaje mi się naliczyć pięć różnych pilotów) i tak dalej. Ale nie jest to mieszkanie projektowane z myślą o dzieciach - najważniejsze klocki lego zawsze giną w szparach między deskami, a tupot biegających dzieci przypomina odgłos stada bizonów, gnającego dnem kanionu. Kuchnia jest wyposażona wyłącznie w podstawowe sprzęty, a lodówka, jak się okazuje, pełna jest coli i piwa. Postanawiam zrobić zakupy na kolację i zabrać ze sobą chłopców, żeby Daisy mogła przez chwilę mieć Macka dla siebie. Dostaję kolejny bledziutki uśmiech.

Chłopcy drepczą ze mną grzecznie, skuszeni obietnicą lodów w drodze powrotnej. W nieskończoność krążę po sklepie i kupuję ogromne ilości jedzenia. Kiedy przychodzimy do domu, okazuje się, że Mack i Daisy oglądają film na wideo. Chłopcy uznają, że film jest dla dziewczyn i żądają, by zmienić go na coś ze strzelaniem. Zostawiam Macka, niech sam rozwiąże ten problem, a sama

idę poupychać jedzenie do lodówki. W końcu odbywamy w kuchni szeptaną naradę co do planów na jutro. Mack obstaje przy Hamleys, a ja, chcąc im dostarczyć bardziej inteligentnej rozrywki, optuję za Muzeum Nauki. Kończy się tym, że całujemy się, podpierając kuchenne drzwi, żeby nie zgorszyć dzieci, siedzących w pokoju obok.

- Naprawdę mi się to podoba.

- Mnie też.

- Nie, chodzi mi o to, że ty i Charlie jesteście tutaj.

- Tak, ja też się cieszę. Ale zdaje się, że Daisy nie jest szczególnie zachwycona.

- Rzeczywiście. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest taka zaborcza. Mała złościca.

- Tak, ale nic na siłę. Możemy jutro wyjechać wcześniej, żebyś mógł spędzić z nimi trochę czasu sam na sam.

- Zgoda, ale to dopiero po Hamleys. Obiecałem Charliemu, że zerkniemy na laserowe działa.

- Jezu, pani Pike będzie bez szans.

Z salonu dobiega nas głośny trzask. W ferworze bitwy na miecze Alfitemu udało się zrzucić ze stołu filiżankę po kawie i szklankę. Podłoga jest usłana odłamkami porcelany i szkła. Obaj chłopcy mają bardzo strapione miny, a Daisy wygląda na zdenerwowaną. Mack krzyczy przez chwilę, aż Charlie wybucha nagle płaczem i mówi, że nie jest przyzwyczajony, kiedy się na niego krzyczy, że to nie jego wina i że chce jechać do domu. Alfie idzie w jego ślady i szlocha, że to niechcący, a Daisy robi się bardzo blada i też jest bliska płaczu.

Mack mówi „O Chryste” i wydaje się, że nie ma pojęcia, co dalej, więc obejmuję i przytulam Charliego, pokazując Maćkowi, żeby zrobił to samo ze swoją dwójką. W końcu orientuje się, o co mi chodzi. Alfie i Daisy podchodzą do niego niepewnie, siada więc na kanapie i przytula dzieci. Pokój zostaje przywrócony. W końcu wygłaszamy pogadankę, że z filiżankami i szklankami trzeba bardzo uważać. Charlie proponuje nawet, że zapłaci za stłuczone rzeczy ze swojego kieszonkowego, co jest bardzo miłe z jego strony, z wyjątkiem jednego drobiazgu: nie ma żadnego kieszonkowego. Owszem, próbowaliśmy, ale bez przerwy wyklócał się ze mną, dlaczego nie może dostać awansu pieniędzy za kolejny tydzień. Proponuję, byśmy zaczęli przygotowywać kolację: Alfie i Charlie mają być moimi pomocnikami. Obaj są tym zachwyceni i z zapalem

biorą się za krojenie warzyw w bardzo dziwne kształty za pomocą tępych noży, które znalazłam w szufladzie ze sztuccami. Reszta kuchennych noży to przerażające narzędzia z nierdzewnej stali, wyglądają, jakby mogły w ułamku sekundy odrąbać mały palec.

Kolacja udaje się świetnie i nawet Daisy stwierdza, że jedzenie jest w porządku. Potem zaczynają się kąpiele i pakowanie dzieci do łóżek; wszystko razem ciągnie się godzinami. W końcu daję za wygraną i kładę się na łóżku z Charliem, głaszcząc go po plecach, dopóki nie zasypia. Wiem, że powinnam być bardziej stanowcza i po prostu zostawić go samego, ale łóżko w zapasowej sypialni jest olbrzymie i Charlie wydaje się w nim taki maleńki. Kiedy schodzę na dół, okazuje się, że Daisy jeszcze nie śpi, a Mack ma zrozpaczoną minę. Nie chcę dać się w to wciągnąć i proponuję, że zrobię kawę. Z kuchni słyszę, jak Mack namawia Daisy, żeby poszła jednak na górę i spróbowała zasnąć. Mała w końcu ustępuje i przez kolejne pół godziny pijemy sobie spokojnie kawę. Postanawiam spać z Charliem w sypialni dla gości, między innymi dlatego, że w łóżku Macka śpi Alfie, któremu udało się przekraść do sypialni ojca, kiedy nikt nie patrzył. I pewnie lada chwila dołączy do niego Daisy. Na razie śpi co prawda na piętrowym łóżku w małej sypialni, którą Mack umeblował dla dzieci, ale jest mało prawdopodobne, by została tam całą noc.

-Niezupełnie to miałem na myśli, kiedy zapraszałem cię do siebie na weekend.

- Na razie chyba musimy się tym zadowolić. Najważniejsze, że dzieci są szczęśliwe.

- Tak, pewnie tak. Ale miałem nadzieję, że będziemy mieli trochę czasu dla siebie. Przepraszam, że na nich nawrzeszczałem. Nie jestem zbyt dobry w rozwiązywaniu kryzysowych sytuacji z dziećmi.

- Wiem, zauważyłam.

- Moi rodzice nie zawracali sobie głowy przytulaniem. Prawdę mówiąc, zawsze woleli nam dać porządnego klapsa. Nie zrozum mnie źle, kochali nas, ale nie różnili się od innych rodziców z naszej okolicy. Nie bardzo wiem, jak sobie poradzić, kiedy coś idzie nie tak. Zwykle wyręczała mnie w tym Laura.

Robi zatroskaną minę; uważam, że to urocze.

- Nic nie szkodzi, Mack. Przecież wolno ci krzyczeć. Tyle tylko, że wszyscy się trochę zdenerwowali. Nic się nie stało. Uwielbiają cię, więc raczej sprawdzasz się w roli ojca.

Mack czuje wyraźną ulgę; kończy się na tym, że przez chwilę rozrabiamy na kanapie, a potem idziemy do naszych oddzielnych sypialni, pełnych śpiących dzieci. Jestem bardzo szczęśliwa, że weekend płynie bez histerycznych scen, ale i tak czuję się odrobinię przytłoczona tym wszystkim. Nie wydaje mi się, żebym była stworzona do roli „dziewczyny taty”, a już z pewnością nie do roli macochy. Leżę w łóżku, usiłując wymyślić, do czego właściwie jestem stworzona, kiedy nagle Charlie budzi się z płaczem i mówi, że miał koszmar, w którym się zgubił i nie mógł mnie znaleźć. Tulę go, starając się nie zagłębiać zbyt w znaczenie jego snu. Miewał już kiedyś podobne, choć w moim życiu nie było wtedy ani śladu mężczyzny. Ale cieszę się, że byłam przy nim, kiedy się obudził.

Muzeum Nauki okazuje się strzałem w dziesiątkę, choć ja osobiście uważam, że byłoby o wiele ciekawszym miejscem, gdyby wypożyczali tu energicznych nastolatków, którzy biegaliby z dziećmi po ekspozycjach; wtedy ja nie musiałabym udawać, że interesują mnie zasady działania maszyn. Lunch zjadamy w kafejce, płacąc za niego fortunę, a potem wyruszamy do Hamleys, gdzie Mack wydaje zawrotne sumy pieniędzy na zabawki dla siebie i dla dzieci. Do Macka wracamy taksówką i po szybkiej filizance herbaty ja i Charlie wyruszamy do domu. Charlie i Alfie żegnają się jak najlepsi kumple, Daisy jest wyraźnie zadowolona, a Mack mówi, że zadzwoni później. Bardzo miło jest znaleźć się znów sam na sam z Charliem, który przez całą drogę opowiada mi, że Hamleys to naprawdę najlepszy sklep na całym świecie i że Alfie może przyjść najego urodziny, ale Daisy nie, bo jest głupia. Mack dzwoni i mówi, że według niego ten weekend był wielkim sukcesem, bo Alfie powiedział, że ugotowałam dobre spaghetti, a Charlie jest świetny. Nawet Daisy stwierdziła, że spaghetti było w porządku. Sprawia mi to nedorzecznie wielką przyjemność. Mam tylko nadzieję, że żadne z nich nie złapało wszy.

Następnego ranka Edna przychodzi bardzo wcześnie, dzięki czemu udaje mi się dotrzeć do studia niemal o świcie. Kręcimy reklamówkę psiego żarcia. Zjawia się treser z czterema małymi dalmatyńczykami, które są urocze, ale przerażająco nadpobudliwe. Niedługo potem zaczynają się schodzić najróżniejsi właściciele psów ze swoimi szczeniakami; wszyscy są bardzo wymagający

i zupełnie nie panują nad psami, które biegają w kółko i robią straszny jazgot. Jeden gryzie nawet elektryka, który przyjmuje to ze stoickim spokojem, mówiąc:

- Tylko mnie uszczyptał, pewnie się chciał pobawić.

Zapowiada się bardzo długi dzień. Mamy już dwadzieścia szczeniaków, czworo upierdliwych właścicieli i jednego zdesperowanego tresera, który zaczyna konstruować specjalną klatkę, żebyśmy mogli utrzymać zwierzaki w jednym miejscu dłużej niż dwie sekundy. Jak się okazuje, klatka jest ogromna; ale potrzeba jeszcze całej godziny i trzech ludzi z ekipy, żeby to cholerstwo przestało się kiwać, bo na razie przebywanie w niej grozi śmiercią lub kalectwem. Kiedy jest już gotowa, mieszczą się w niej wszystkie psy razem z treserem, który siada w środku na kocyku i próbuje uspokoić szczeniaki, śpiewając im. Cała ekipa jest oczarowana; dziwna metoda zdaje się skutkować, bo wszystkie szczeniaki kładą się na podłodze i gapią na tresera ze zdumieniem. Zjawia się Barney i pyta:

- Co on wyprawia, do cholery? - ale na szczęście facet go nie słyszy. Plan jest gotowy, przymierzamy się więc do pierwszego ujęcia. Sprawa wygląda mniej więcej tak: kobieta wchodzi do swojej kuchni, wsypuje nową suchą karmę do miski swojego małego dalmatyńczyka, aż tu nagle do kuchni przez psie drzwiczki wpadają całe hordy małych skurczybyków. Nic nadzwyczajnego. Lektor mówi: „Szczeniaki to kochają. Ty to pokochasz. I sąsiedzi też. Następnym razem kup lepiej dużą paczkę”.

Barney i John, operator kamery, zaczynają się kłócić; John uważa, że jeśli kamera będzie się przesuwać zbyt szybko, podążając za czarno-białymi szczeniakami biegnącymi po czarno-białych płytkach, obraz zacznie migać. Barney uważa, że to bzdury. W końcu decydują, że zrobią to metodą Barneya, ale nakręcają wolniejszą wersję, na wypadek, gdyby John miał rację.

- Ale jeśli nie będzie migalo przy szybkich sekwencjach, to będziesz miał poważne kłopoty, John.

John zaczyna się wycofywać. Nie twierdził, że obraz na pewno będzie migał, tylko że może migać. Dyskusja trwa, a w tym czasie dwie właścicielki wdają się w kłótnię, czyj szczeniak ma większe szanse zając pierwsze miejsce na zbliżającej się wystawie. W rezultacie jedna z kobiet odchodzi nadąsana, twierdząc, że jeszcze nigdy w życiu nikt jej tak nie obraził. Widzę, jak łapie trzy szczeniaki i rusza wściekła do drzwi. Próbuje ją przekonać, żeby

została, ale jest nieugięta. Kiedy zawiadamiam Barneya, że teraz mamy już tylko siedemnaście piesków, pyta:

-Chryste, dlaczego jej nie zatrzymałaś?

Przez jakiś czas szczeniaki są zachwycone miskami pełnymi jedzenia, ale w końcu wszystkie są tak nażarte, że zaczynają pokładać się po kątach i drzemać. Z wyjątkiem jednego małego zapaleńca, ochrzczonego przez nas imieniem Świnka, który niezadowolony wpada przez psie drzwiczki i pochłania żarcie jak nawiedzony. Uznajemy, że to nasz jedyny pewniak i zaczynamy kręcić, jak wymachując ogonem, skacze radośnie na swoją „panią”. Wtedy jak na złość inne szczeniaki budzą się z drzemki i przyłączają do zabawy. Barney mówi:

- Do cholery, gdzie się podziewa Cruella de Mon, kiedy jest potrzebna? - na co kolejna właścicielka obraża się i grozi, że sobie pójdzie.

W końcu udaje nam się nakręcić wszystko, ale zajmuje to o wiele więcej czasu, niż zakładaliśmy. W końcu zahaczamy o nadgodziny, co niezmiernie cieszy ekipę, ale doprowadza do szału Barneya. Ludzie z agencji przez cały czas zachowywali się bardzo grzecznie, a Paul zdołał nawet zabawić dwa zbiegłe szczeniaki, zanim wypadły ze studia. Klient zjawia się na krótką chwilę, ale znika zaraz, kiedy pieski zaczynajągo szczypać po kostkach. Barney wychodzi, mamrocząc pod nosem coś o cholernych psach. W planach jest jeszcze jeden film dla tego samego produktu, tym razem wersja dla większych psów; w scenariuszu bernardyn wyla muje drzwi, by dostać się do kuchni i do miski z żarciem. Lektor ma powiedzieć: „Zostaw drzwi otwarte. Tak będzie rozsądniej”. Jakoś wcale mi się to nie uśmiecha i w głębi duszy mam nadzieję, że klientowi się to nie spodoba. Mam jednak przeczucie, że moje nadzieje są próżne i ani się obejrzymy, jak wylądujemy tu z powrotem, osaczeni przez bernardyny.

7. Przyjęcie

Charlie wraca ze szkoły, ściskając w ręce zaproszenie na przyjęcie urodzinowe. Jest dziko podekscytowany, bo jubilat, Jack, obiecał, że będzie magik, cola i zimne ognie. Dzwonię do

mamy Jacka, Clare, by podpowiedziała mi coś w sprawie prezentu i mówię jej, że Charlie jest zachwycony magikiem i zimnymi ogniami. Clare pyta: „Jakim znów magikiem?” Okazuje się, że w planach miała raczej głuchy telefon i galaretkę, ale teraz będzie musiała przemyśleć sprawę, bo inaczej kompletnie zrujnuje Jackowi reputację. Przyznajemy obie, że mali chłopcy są beznadziejni. Obiecuję jej, że zadzwonię do Kate i zapytam, czy nie znają jakiś magików, którzy byliby osiągalni w najbliższym terminie.

Kiedy dzwonię do Kate, okazuje się, że Clare już z nią rozmawiała, ale Kate nie może jej pomóc. Już dawno zdecydowałyśmy, że w tym roku urządzimy Charliemu i Jamesowi wspólne przyjęcie, ma się odbyć za dwa tygodnie. Kate wynajęła za grube pieniądze miejscową pływalnię, a kafejka na piętrze ma zapewnić urodzinowy poczęstunek. Wolno nam przynieść własny tort, ale wszystko inne musimy kupić w kafejce po bardzo wygórowanych cenach. Ale za to - i to jest naprawdę fantastyczne - biorą na siebie całe sprzątanie po imprezie i dmuchanie balonów, a nawet zapewniają osobę do pomocy. Genialnie. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować, grunt, że nie będę musiała zbierać rozwalonego tortu z dywanu w salonie.

Kate musi też urządzić w przyszłym miesiącu przyjęcie dla Phoebe, a to już bardziej skomplikowana sprawa. Phoebe podpowiedziała tylko, że James ma zakaz wstępu i że ona umrze, jeśli nie będzie mogła się umalować i założyć wysokich obcasów. Ostatnio trochę jej odbiło na punkcie makijażu. Kate zaczęła nawet chować swoją kosmetyczkę na dnie szafy, żeby udaremnić zapędy córki, która usiłuje wychodzić z domu ucharakteryzowana jak Pat Butcher z *EastEnders*. W przypiływie natchnienia wpadam na genialny pomysł: Kate może przecież zamówić wizażystkę z salonu piękności, żeby przyszła na przyjęcie i zrobiła profesjonalny makijaż Phoebe i jej koleżankom. Potem Kate mogłaby im wszystkim zrobić zdjęcia. Kate biegnie powiedzieć o wszystkim Phoebe. Po dziesięciu minutach oddzwania i oznajmia mi, że nadąsana Phoebe przemieniła się w ekstatycznie szczęśliwą Phoebe i że jestem zaproszona na jej przyjęcie jako honorowy gość, ale tylko jeśli obiecuję, że nie przyprowadzę Charliego.

Wygląda na to, że kręcimy jednak drugą reklamówkę psiego zarcia. Barney popada w coraz większą histerię, bo Lawrence umówił mu niezliczoną ilość spotkań z właścicielami bernardy-

nów i teraz przyłażą do biura, żeby Barney mógł obejrzyć psy. Spędzam długie godziny przy telefonie, usiłując poumawiać studio i ekipę, a Mack grozi, że przyniesie na plan parę kotów, żeby trochę ożywić atmosferę. Jesteśmy umówieni na ten weekend, ale zapowiadam mu, że jeśli jeszcze raz wspomni o kotach, może w ogóle nie wyjeżdżać z Londynu.

Odbieram Charliego ze szkoły i wchodzę właśnie do domu, kiedy dzwoni telefon. Charlie biegnie, żeby odebrać i dopada słuchawki przede mną.

- O, cześć, Barney.

Chryste.

- Tak, u mnie wszystko w porządku, dziękuję. Chcesz usłyszeć mój nowy świetny dowcip?

O Chryste Panie.

- Jak nazwiesz osła, który ma tylko trzy nogi?

Następuje długa pauza.

- Kulas.

Macham do Charliego jabłkiem i mówię mu, że zaczęły się kreskówki. Charlie rzuca słuchawkę i gna z jabłkiem do salonu.

- Cześć, Barney.

- Zdaje mi się, że twój syn i dziedzic właśnie nazwał mnie kutasem.

- To tylko niewinne dziecię, Barney. Nie wie, co mówi.

- Jest dosyć pyskаты jak na niewinne dziecię, zupełnie jak jego mama. No, nieważne. Przejdźmy do rzeczy. Załatwiłaś już ekipę?

- Tak, przefaksowałam ci wszystko parę godzin temu.

- Świetnie. Zerknę na to, kiedy wrócę do biura. Lawrence załatwił jeszcze więcej tych cholernych psów, więc nawiałem. Pogadamy później.

Biedny Lawrence. Prawie mnie kusi, żeby do niego zadzwonić i ostrzec, że Barney się nie zjawi i nie obejrzy jego piesków. Ostatecznie uznaję jednak, że lepiej trzymać się od tego z daleka. Dzwonię tylko z ostrzeżeniem do Stef, bo jeśli nie będzie ostrożna, Lawrence na pewno spróbuje odbić to sobie na niej. Wchodzi Charlie i pyta, czy Barneyowi spodobał się jego dowcip, odpowiadam, że bardzo się spodobał, ale następnym razem to ja odbieram telefon.

- Dobrze, mamusiu, ale lubię rozmawiać z Barneyem. Jest bardzo miły.

Mogłabym wymienić mnóstwo osób, które byłyby gotowe zeznać pod przysięgą, że jest wręcz odwrotnie, ale postanawiam nie rozwiewać jego złudzeń.

Nadchodzi dzień urodzin Jacka. Podrzucam Charliego na przyjęcie o trzeciej po południu. Sporo dzieci już się pojawiło, a Clare jest na granicy hysterii. Jack biega w kółko, wykrzykując coraz bardziej piskliwym głosem „Mam magika! Mam magika!” i wyrzucając prezenty przybywającym gościom. Tato Jacka wydziera mu je z rąk, mówiąc: „Umówiliśmy się, że otworzysz prezenty później, pamiętasz?!” Wygląda na to, że lada chwila rozegra się dramatyczna scena, wycofuję się w pośpiechu, zanim zaczną się wrzaski.

Kate wpada do mnie z Phoebe na filiżankę herbaty. Włączamy mały film na wideo, a same wykradamy się na dwór, na potajemnego papierosa. Stwierdzamy zgodnie, że czujemy się jak niegrzeczne nastolatki popalające na przystankach. Staramy się nie palić przy dzieciach; pomijając już wszystkie inne powody, ich przemądrzale poucanki są nie do zniesienia i obie wolimy już sterczeć w ogródku, na przenikliwym zimnie, w płaszczach i czapkach, byle tylko zapalić w spokoju. Naprawdę żałosne. Mówię Kate, że już mniej nerwowo podchodzę do sprawy Macka, ale wciąż nie bardzo wiem, co jest tak naprawdę grane.

- Chciałabym włączyć przewijanie na podglądzie i zobaczyć, co z tego będzie za pół roku.

- Staraj się o tym nie myśleć i baw się jak najlepiej, dopóki masz okazję. To może nie potrwać pół roku. Och, przepraszam.

- Nie szkodzi. Ja po prostu nie bardzo potrafię zachować spokój i czekać na rozwój wypadków.

- Wiem, ja też. To dlatego tak kiepsko mi idzie robienie na drutach. No dobra, a co jest w nim najlepsze? Oczywiście oprócz tego, co oczywiste.

- Naprawdę dobrze się przy nim bawię.

- To bardzo ważne. Phil nigdy nie potrafił mnie rozbawić. No, w każdym razie przez ostatnie lata. Czasami chichotałam na jego widok, ale nie robił tego celowo.

- A co u niego?

- Jest tak samo wkurzający jak zawsze. Ostatnio wpadł na pomysł, że podrzuci mi swoje dziecko na weekend, a oni wyjadą sobie chwilę odpocząć. Możesz w to uwierzyć? Pomijając już wszystko inne, ta mała jest odrażająca. Nawet Phoebe była ład-

niejsza od niej, chociaż wyglądała jak burak. I dlaczego, na litość boską, nazwali ją Szafran? No wiesz, miała dość poważną żółtaczkę, kiedy się urodziła - była jasnożółta. Równie dobrze mogli ją nazwać Żonkil. Phil mówi, że chcą mieć następne, i to jak najszybciej. Boże, jak je nazwą? Kolendra?

- Może Bazyli, gdyby był chłopiec.

Na tę myśl zaczynamy chichotać. Miło wreszcie widzieć Kate roześmianą, bo przez cały zeszły rok prawie w ogóle się nie śmiała. Sama chciała mieć jeszcze jedno dziecko z Philem, zanim jej oświadczył, że jest stara i nudna i że zostawiają dla dwudziestoletniej piękności imieniem Zelda, która była modelką na jego zajęciach malarskich. Tak naprawdę miała na imię Sandra, ale postanowiła przemianować się na Zeldę, kiedy stała się taka artystyczna. W każdym razie uznała, że Phil jest wspaniały i rozumiała, jak ważna jest dla niego twórczość. Phil jest księgowym, i to nie najlepszym. Ciągłe traci klientów, bo zapomina na czas wysłać ich PIT-y.

- Ale są też dobre wiadomości. Zelda, zdaje się zaczyna mieć już Phila powyżej uszu. Phoebe opowiadała, że kiedy byli u niego ostatnio, Zelda dwa razy kazała mu się zamknąć i powiedziała, że jeśli chce być twórczy, mógłby ugotować lunch, żeby ona mogła się przespać. Wiesz, może jeszcze będzie mi jej żal.

Milkniemy na chwilę, by te niespodziewane wieści dotarły do nas w pełni, po czym stwierdzamy chórem:

- Ale nie na tyle, żeby niańczyć Szafran przez weekend.

Wreszcie nadchodzi pora, by odebrać chłopców. Ogłuszający wrzask bandy rozhukanych dzieci mało nas nie zwała z nóg. Magik gorączkowo pakuje swój ekwipunek. Wygląda, jakby zbierało mu się na płacz. Wrzeszczące dzieciaki gonią po salonie jego królika, a jakaś dziewczynka koniecznie chce zabrać do domu czarodziejską różdżkę. Clare próbuje odwrócić jej uwagę słodyczami, ale mała jest bardzo zdeterminowana.

Zauważam Charliego i łapię go za bluzę na plecach, żeby przestał biegać, lato Jacka z miną desperata wręcza nam torbę słodyczy i kawałek tortu. Podróż do domu upływa dość spokojnie, bo Charlie jest zajęty jedzeniem słodyczy. Nagle bez ostrzeżenia wyrzuca swój kawałek tortu przez okno samochodu. Mówię mu, że mógł poważnie zranić jakiegoś pieszego latającym tortem, ale nie daje się zbić z tropu i stwierdza, że przecież nikt nie szedł, a za to borsuki będą zachwycone, bo wszyscy wiedzą, że borsuki uwielbiają tort. Więc

to bardzo fajnie, że może je poczęstować tortem na kolację. Czasami naprawdę bardzo żałuję, że nie uznaję bicia.

Próbuję dać mu na kolację coś, co nie zawiera cukru, żeby zrównoważyć urodzinowe jedzenie. Charlie zjada tylko dwa krakersy z małym kawałkiem sera, po czym oznajmia, że jest pełny i że pięknie, jeśli wmuszę w niego jeszcze coś. Potem bez końca bawi się w wannie i opowiada o magiku, który wyciągnął Jackowi z ucha długi kij z chorągiewkami. Wyczarował też królika i całą masę małych paczuszek z cukierkami, i zrobił mnóstwo wspaniałych zwierząt z balonów, które wydawały niegrzeczne odgłosy, kiedy wypuszczał powietrze. Magik widocznie doskonale znalazł swoją widownię, bo niegrzeczne odgłosy wytwarzane przez balony zawsze robią furorę wśród dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Zgadzam się, że wszystko rzeczywiście było wspaniałe i nonszalancko wspomniani, że może wpadnie do nas Mack. Charlie wydaje się kompletnie niezainteresowany tą wiadomością i pyta, czy Pan Szałowe Gacie (zdaje się, że to nazwisko magika) mógłby przyjść na jego przyjęcie na basenie. Mówię mu, że raczej nie, bo królik by mu się zamoczył, i na szczęście jest to wystarczający argument.

Jakimś cudem zasypia prawie natychmiast, dzięki czemu zostaje mi pół godziny, żeby spokojnie doprowadzić do porządku dom i siebie przed przyjazdem Macka.

Mack wygląda na wykończonego. Dzieci były bardzo rozbrzykane, a Alfie w drodze powrotnej zarzygał całe tylne siedzenie w samochodzie. Mack jechał autostradą z pootwieranymi oknami i zmarł tak bardzo, że stracił czucie w rękach - a przynajmniej tak twierdzi. Obiecuję zrobić co w mojej mocy, by pomóc mu się rozgrzać, więc barykadujemy drzwi fotelem i lądujemy na kanapie. W końcu wracamy na chwilę do rzeczywistości, żeby zjeść kolację. Pijemy właśnie kawę i winszujemy sobie „bezdzielnego” wieczoru, kiedy Charlie zaczyna walić w drzwi; mamy go natychmiast wypuścić, bo boli go brzuch i miał zły sen.

Wpuszczam go do salonu; pyta, dlaczego drzwi były zamknięte, po czym zaczyna opisywać swój sen, w którym Pan Szałowe Gacie zjawił się w ogródku i próbował ukraść Buzza i Woody'ego. Mack myśli chyba, że Pan Szałowe Gacie to nowe przezwisko, jakie nadał mu Charlie, bo mówi, że nigdy by nie ukraść niczych królików. Kiedy mu wyjaśniam, że chodzi o magika, na jego twarzy odmalowuje się wyraźna ulga. Mówię Charliemu, że pójde

zagrzać mu kubek mleka, a on w tym czasie powinien poleżeć na kanapie, ale tylko pięć minutek, bo potem ma zmykać do łóżka. Kiedy wracam, zastaję Charliego zwiniełego na kolanach Macka, który tłumaczy mu, że jeśli ma zamiar wymiotować, to niech koniecznie celuje w gazetę. Charlie oznajmia, że tak właściwie to brzuch go już nie boli, ale i tak potrzebuje ciepłego mleka, bo bardzo się wystraszył.

Pije mleko najwolniej, jak się da, i mówi, że na pewno będzie miał kolejny straszny sen, ale tym razem może to być sen o tym, że zjadają go wampiry, bo miał już taki w zeszłym tygodniu. Kończy mi się cierpliwość i odprowadzam go z powrotem na górę. Rzucając go na łóżko i zapowiadam złowieszczo, żeby nie ważył się więcej wstawać, co doprowadza go do płaczu. Spuszczam więc z tonu i głaszczę go przez chwilę. W końcu się uspokaja, a ja wracam na dół. Mack zdążył już zasnąć na kanapie. Budzi się wystraszony.

- Co, o Boże, chyba nie wymiotował?

- Nie, śpi jak suseł. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nic nie szkodzi. Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie jestem taki zmęczony. To chyba przez to, że ostatnio jeżdżę w tę i z powrotem tą autostradą.

- No cóż, prowadzi pan bardzo skomplikowane życie, Panie Szałowe Gacie.

- Miałem nadzieję, że może o tym zapomniałaś.

- Nie. Myślę, że do ciebie pasuje. Mam zadzwonić w poniedziałek do twojej asystentki, żeby zawiadomiła całe biuro? To świetna ksywka.

- Ani mi się waż. A skoro już mowa o biurze: firma urządza weekendową imprezę dla pracowników w eleganckim hotelu. Rano trochę gadania o zawodowych sprawach, a potem kolacja w sobotę, ale reszta czasu wolna. Chciałabyś pojechać? Hotel podobno jest niesamowity.

- Brzmi świetnie, ale muszę sprawdzić, czy mama i tato mają ochotę spędzić weekend z Charliem. To chyba nie ten weekend, kiedy ma urodziny?

- Nie, to dopiero w sierpniu. I możesz go zabrać, jeśli chcesz. Dowiedziałem się wszystkiego. Mają apartamenty, opiekunki i tak dalej.

Jestem bardzo wzruszona, że sprawdził możliwości pobytu z dzieckiem. Ale doskonale zdaję sobie sprawę, że będziemy się

wszyscy bawić o wiele lepiej, jeśli Charlie zostanie w domu z babcią i dziadkiem.

- A co ja mam robić, kiedy ty się będziesz udzielał zawodowo?

- Zdaje się, że żony i dziewczyny mają się bratać przy okazji wizyty w salonie piękności, czy coś w tym rodzaju. Dowiem się, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję uprzejmie. Nie wyobrażam sobie nic gorszego, niż banda zawodowych żon w salonie piękności. Jakoś nie jestem stworzona do udawania damy. Już się widzę, jak spędzam cały weekend na rozmowach o prywatnych szkołach albo najlepszych miejscach do jeżdżenia na nartach, kiedy ty będziesz sobie siedział w barze i rozmawiał o interesach.

- Jeszcze czego. A poza tym to nie są żadne damy. No, może kilka, ale reszta jest zupełnie normalna, przynajmniej na takie wyglądały na ostatniej imprezie.

- Hmm, zobaczymy. Tak czy inaczej, najpierw muszę się martwić o przyjęcie Charliego. Zdecydowałeś już, czy się zjawisz? - W głębi duszy mam nadzieję, że postanowił jednak nie przyjść, bo wtedy mogłabym się skoncentrować wyłącznie na moim synu. Okazuje się, że Mack musi spędzić ten weekend z Daisy i Alfiem, bo potem Laura zabiera ich do swojej matki i nie będzie się z nimi widział przez dwa tygodnie. Zaczynamy rozmawiać o możliwości wspólnego wyjazdu w sierpniu, ze wszystkimi dziećmi, ale próby ustalenia odpowiadającego nam obojgu terminu kompletnie nas wykańczają. W końcu idziemy do łóżka na wół śpiąc, budzimy się jednak w środku nocy i odkrywamy, że wróciła nam energia.

Niedzielę spędzam na gromadzeniu sił na nadchodzący tydzień i przekonywaniu Charliego, że nie mam ochoty chodzić na spacer w deszczu, bo wskakiwanie w kałuże to nie jest ulubiona rozrywka dorosłych. Mack wychodzi po podwieczorku, odprowadzany głośnymi protestami Charliego, który koniecznie chce z nim grać w scrabble'a. W końcu ja muszę obiecać, że z nim zagram, a Mack odjeżdża, szczerząc zęby z radości, że udało mu się w porę umknąć.

Zdjęcia z bernardynami okazują się o wiele gorsze, niż sobie wyobrażałam. Tym razem treser nie próbuje śpiewać psom, zbyt

zajęty namawianiem właścicieli, żeby przestali się kłócić. Właściciele są podobni do swoich psów-mają niesamowite fryzury i ponure gęby. Wszystkie psy przeokropnie śmierdzą. Dwa z nich, które znieawidziły się od pierwszego wejrzenia, warczą na siebie groźnie. Ich właściciele muszą siedzieć w przeciwległych kątach studia. A poza tym psiska ślinią się nieprawdopodobnie. Specjalistka od makijażu nie chce się nawet do nich zbliżyć.

- Ja tu niejestem od wycierania zaślinionych psich pysków. Ja mam dyplom, pracowałam z naprawdę sławnymi ludźmi.

Barney chce ją wylać z miejsca, na szczęście udaje mi się go powstrzymać, bo przecież ktoś musi zrobić makijaż aktorce grającej właścicielkę pieska. Kobieta jest bardzo odważna i zupełnie jej nie przeszkadza, że ze wszystkich stron obskakują bernardyny - i dobrze, bo nie potrafilibyśmy ich powstrzymać. Nikt z ekipy nie chce się zbliżyć do psów, kończy się więc na tym, że ja wycieram między ujęciami kapiącą z pysków ślinę. Psiskom jest bardzo gorąco pod tyłoma reflektorami i trzeba je wyprowadzać na spacer. Jeden z nich wrywa się na parking, o mało nie przewracając klienta, który właśnie przyjechał. Klient nie jest zadowolony; dopytuje się, gdzie jest treser tego zwierzęcia i dlaczego po całym parkingu wałęsają się psy.

W końcu mamy już wystarczająco dużo ujęć psów biegnących po kuchennej podłodze i przechodzimy do tej części, w której mają wyważyć drzwi. Z początku psy nie chcą skakać na drzwi, ale kiedy już załapują, o co chodzi, nie chcą przestać. Wszystkim jest bardzo gorąco, psy zaczynają być rozdrażnione. A przebywanie z pięcioma rozdrażnionymi bernardynami w małym dusznym studiu, obwieszonym masą lamp i z plątaniną kabli na podłodze nie jest specjalną frajdą. W końcu stwierdzamy, że gdybyśmy chcieli jeszcze coś nakręcić, trzeba by pozabijać i wypchać wszystkie zwierzaki. Podejrzewamy jednak, że właściciele mogliby to zauważyć, więc ogłaszamy koniec zdjęć. Wychodząc Barney oświadcza bardzo głośno:

- Annie, zanotuj to: jeśli kiedykolwiek zasypie mnie lawina i będę potrzebował pomocy, nie zyczę sobie być ratowany przez żadnego pieprzonego bernardyna.

Ekipa łapie się za brzuchy ze śmiechu, a rozwścieczeni właściciele napadają na mnie. Dwa psy, które od początku miały ochotę się pozabijać, dostrzegają przy tym szansę wyrwania się właścicielom i postanawiają wykorzystać ją jak najlepiej.

Z najdalszego kąta studia dobiega nas okropny warkot, psy szepiają się w kulę fruującego futra. Właściciele biegną je rozdzielić. W końcu przytomny stolarz wylewa na bestie wiadro wody, co powstrzymuje je za ledwie na ułamek sekundy; wystarcza to jednak właścicielom, by złapać je za obroże i odciągnąć od siebie. Okazuje się, że mokre bernardyny są jeszcze gorsze niż suche. Wygląda na to, że nigdy nie pójdziemy do domów. Ostatecznie jednak właściciele zaczynają wychodzić, a my pakujemy się po woli. Nagle znów wybucha zamieszanie, kiedy jeden z elektryków wyje:

- Cholerne psy! Któryś narobił mi do skrzynki z narzędziami!

Wszyscy stwierdzamy zgodnie, że nigdy, przenigdy nie będziemy już pracować ze zwierzętami.

Nadchodzi w końcu dzień podwójnego przyjęcia urodzinowego. Charlie wstaje o szóstej i upiera się, że chce jeść śniadanie w kąpielówkach. Dzwoni Kate i mówi, że James robi dokładnie to samo. Zapraszam ją i dzieciaki na lunch, na który mają też przyjechać moi rodzice i Lizzie. Przynajmniej wypełnimy jakoś dzień, zanim o trzeciej zacznie się przyjęcie. Charlie uważa, że to genialny pomysł i zaczyna biegać po schodach w tę i z powrotem, podskakując jak piłka. Namawiam go, żeby pomógł mi robić sałatkę na lunch, sieka więc pomidory z takim entuzjazmem, że zamieniają się w papkę. Przenoszę go do sałaty, ale w porę zauważam, jak wyciska do miski z wodą ogromne ilości płynu do naczyń, żeby wszystkie listki były naprawdę czyste, musimy więc zaczynać wszystko od początku. Ja piekę kurczaka, a Kate obiecała przynieść szynkę jako swój wkład w posiłek. Od piekarnika w kuchni robi się potwornie gorąco, a w końcu Charlie parzy sobie rękę o drzwiczki i wpada w histerię.

Oparzenie jest maleńkie, ale wsadzam mu rękę pod zimną wodę, żeby się nie powiększyło, po czym idę na górę do łazienki, poszukać antyseptycznej maści. Charlie idzie za mną, jęcząc głośno, i wchodzi prosto w uchylone drzwi łazienki, rozcinając sobie wargę. Zaczyna szlochać, a widząc, że krew cieknie mu po podbródku, wybucha głośnym płaczem.

- Nie będę mógł pójść na moje przyjęcie.

- Oczywiście, że będziesz mógł, kochanie. To tylko maleńkie skaleczenie. Zaraz przestanie krwawić.

Przytulam go, ale łzy wciąż płyną mu po policzkach i bardzo uważa się nad sobą.

- Myślę, że mogę potrzebować podpaski, mamusiu.

Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób miałyby mu pomóc podpaska. Mam mu ją przylepić na twarz, czy co?

- Co masz na myśli, kochanie?

- No wiesz, to takie z bandaża, co się zakłada na rany, jak w *Oстрыm dyżurze*.

Nie miałam pojęcia, że oglądał *Ostry dyżur* czy w ogóle którykolwiek z seriali o pogotowiu. Ale wiem, że Edna je uwielbia, co może tłumaczyć sprawę.

-Zdaje się, że chodzi ci o opaskę uciskową, Charlie. To rodzaj opatrunku, który zakłada się na bardzo duże skaleczenia, ale nie na takie małe ranki na wargach.

Chociaż jeśli dalej będzie tak jęczał, to może spróbuję.

- No tak, ale masz taką opaskę, mamusiu? Przecież mogę stracić całą krew przez wargę i wtedy nie będę mógł pływać na moim przyjęciu.

I znów zaczyna szlochać. Kiedy smaruję mu maścią dłoń, słyszymy, że przyjechali Kate, Phoebe i James. Charlie gna na dół cudownie uleczony ze swoich ran.

Mama i tato przyjeżdżają z ogromnym zestawem lego. Charlie jest zachwycony, dziękuje im bardzo ładnie, i pędzi z Jamesem na górę, zabrać się za budowanie. Lizzie i Matt przywożą kolejne wielkie pudło klocków, pasujących do fortecy, którą kupili dziadkowie, a oprócz tego koszmarny karabin, który wydaje z siebie nieznośne, piskliwe dźwięki. Lizzie przeprasza, ale Matt był pewny, że Charliemu będzie się podobało. I miał rację. W końcu muszę wyjąć z karabinu baterie, żebyśmy mogli w spokoju zjeść lunch. Mama i Lizzie upiekły tort, tak ogromny, że muszą go przynieść z samochodu we dwie. Waży chyba tonę, a na wierzchu jest napis z niebieskiego lukru: „Wszystkiego najlepszego, Charlie i James”. Dobrze, że jest taki wielki, bo według ostatnich szacunków na przyjęcie ma przyjść jakieś czterdzieścioro dzieci z rodzicami lub dziadkami.

Na szczęście nie musimy się martwić o urodzinowe paczki dla gości, bo nikt ich nie robi w tej okolicy. W zwyczaju jest tylko kawałek tortu i torba słodczy. Lizzie jest pod wrażeniem i mówi, że jej londyńskie przyjaciółki wydają fortunę na urodzinowe paczki i rywalizują ze sobą, jeśli chodzi o zawartość. Wszystko idzie

dobrze. Wyruszamy trzema samochodami, ale jakimś cudem pierwszy samochód w kolumnie prowadzi tato, który jako jedyny nie zna drogi na pływalnię. Następują bardzo skomplikowane manewry na wąskich uliczkach, aż w końcu Kate obejmuje przewodnictwo i wskazuje drogę.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, wokół nas gromadzą się goście. Chłopcy przyjmują prezenty, które musimy im natychmiast zabierać, żeby nie otwierali na parkingu. Osoba do pomocy okazuje się niską nastolatką, wyglądającą na jakieś dwanaście lat, co nie wróży zbyt dobrze. Potrafi jednak imponująco wrzeszczeć; dzieciaki błyskawicznie ustawiają się w dwóch równych rzędkach i mówią jej, co chcą jeść na podwieczorek. Dziewczyna zagania je do przebieralni i już po chwili wszystkie bawią się w basenie, skacząc ze zjeżdżalni umieszczonej na specjalnej, nadmuchiwanej wysepce. Mama i tato siedzą na galerii dla gości i robią całą masę zdjęć. Jest też czterech ratowników, stoją w każdym rogu basenu i przyglądają się bardzo uważnie, czy wszystkie dzieci, które wystrzeliły ze zjeżdżalni na wysepce, wypływają powrotem na powierzchnię. Wszyscy mają długie tyczki, podtykające każdemu, kto wygląda na tonącego. Są naprawdę czujni, jestem pod wrażeniem. Kate zresztą też. Gratulujemy sobie, że wszystko idzie tak dobrze, i nagle widzimy, że właśnie wyciągają jakiegoś chłopca, biedak kurczowo trzyma się kija, kaszle i pluje, i wygląda jakby wypił ładnych parę litrów wody.

Biegniemy sprawdzić, czy nic mu nie jest, ale kiedy odzyskuje oddech, wydaje się zupełnie zadowolony. Za to ratownicy są bardzo bladzi i mówią, że na każdym przyjęciu trafia się jeden taki, ale ten przynajmniej nie wymiotował. I dobrze. Personel pływalni najwyraźniej ma spore doświadczenie w wyciąganiu rozhukanych dzieci z wody: spuszczają po prostu powietrze z wyspy i krzyczą „Wychodzimy!” Rozlega się chóralny jęk, ale dzieci robią, co im się każe. Zjawia się pomocnica i odprowadza je do szatni. Okazuje się to tak skomplikowane, jak przewidywałyśmy, ale w końcu wszystkie dzieci zostają dopasowane do ubrań i siedzą na górze w śmiesznych czapeczkach, wcinając frytki. Tort okazuje się wielkim sukcesem, a Charlie i James robią się różowitcy na twarzach, kiedy śpiewamy im *Happy birthday*.

W polowie poczęstunku zjawia się Phil z małą Szafran. Oczywiście się spóźnił i Kate jest wściekła. Szafran zaczyna płakać i Phil próbuje wetknąć ją komuś do potrzymania, ale nie ma głu-

pich, nikt się nie da zrobić. Phil stwierdza w końcu, że chyba już pójdzie, ale przyjedzie później, żeby pogadać z Jamesem w spokoju. James, zdaje się, nie ma nic przeciwko temu, ale Kate jest wkurzona i mówi, że nie ma pojęcia, po co Phil w ogóle się fatygował. W końcu uspokaja się jednak i przyznaje, że przynajmniej się zjawił, a to jest najważniejsze dla Jamesa. Może i tak, ale uważam, że zachował się jak bezmyślny palant; tym bardziej że to Kate zorganizowała całą imprezę, a on miał tylko zjawić się na czas.

Zaczynają przyjeżdżać rodzice, by odebrać swoje lekko wilgotne, rozwrzeszczane dzieci, które twierdzą zgodnie, że świetnie się bawiły. Jadę do domu kompletnie wykończona, ale i z uczuciem ulgi, że impreza się udała i obyło się bez ryków. Kate zabiera Jamesa i Phoebe prosto do domu; zanim wsiedli do samochodu, James zdążył już rozpakować kilka prezentów. Charlie otwiera swoje, kiedy tylko dojeżdżamy do domu, i jest zachwycony każdym z nich. Rzuca mi się w oczy, że w większości przydadków najbiedniejsi rodzice kupili najdroższe prezenty. Zauważyłam to już kiedyś i zawsze dziwnie mnie to wzrusza. Mama mówi, że było tak samo, kiedy ja byłam mała. Pewna bogata matka wyprawiła córkę na jedno z moich przyjęć z paczką cukierków i balonikiem owiniętym w wytworny papier. A za to Ivy, która w ogóle nie miała pieniędzy i pracowała jako sprzątaczką na trzech etatach, żeby jakoś związać koniec z końcem, przysłała swoją córeczkę z nowiutką lalką Cindy i z ubrankiem dla niej, uszytym z błyszczącego szyfonu. Przypominam sobie to szyfonowe ubranko i pogrążam się we wspomnieniach dawno zagubionych lalek i ich ubranek, aż w końcu tato mówi:

- Na litość boską, co trzeba zrobić w tym domu, żeby dostać filizankę herbaty?

Kusi mnie, żeby odpowiedzieć „Postaw czajnik na gazie”, ale powstrzymuję się.

Przez resztę weekendu pomagam Charliemu otrząsnąć się z urodzinowego podniecenia. Dzwoni Mack i oczywiście zostaje uraczony opowieścią, jak genialnie było na przyjęciu. Potem rozmawia ze mną i mówi, że jego przyjaciel, Graham, urządza bankiet w przyszły piątek i chciałby mnie poznać. To bardzo miło z jego strony, ale tego samego wieczoru jest szkolny piknik.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wolisz iść na szkolny piknik niż pójść ze mną na szalenie elegancki bankiet?

- W zasadzie tak.
 - Kochanie, naprawdę bym chciał, żebyś ze mną poszła.
 - Wiem, ale Charlie bardzo się cieszy na ten piknik. Będą zawody w przeciąganiu liny i nawet ćwiczyliśmy razem z Kate. W zeszłym roku wygrała męska drużyna, więc teraz my musimy wygrać.
 - Och, w takim razie to zupełnie co innego. Teraz rozumiem, dlaczego cię tam ciągnie. A jak właściwie ćwiczyacie przeciąganie liny, jeśli wolno zapytać?
 - Kate uwiązała linę do starego pniaka w swoim ogrodzie i próbujemy go wyrwać. Ciągle się przewracam, ale chyba jestem trochę silniejsza.
 - Nigdy nie spotkałem kobiety, która próbowałaby wyrwać stare pniaki. To dla mnie kompletna nowość. Ależ ty masz bogate życie!
 - Zamknij się. Tak czy inaczej, nie cierpię bankietów. Mam już powyżej uszu sosu z fenkułów. A ten piknik to oficjalna impreza komitetu rodzicielskiego, więc jeśli się nie zjawię, wpiszą mi nieusprawiedliwioną nieobecność i wyznaczana parę miesięcy do pilnowania zgubionych rzeczy. Będę godzinami segregować brudne skarpetki.
 - No dobrze, dobrze. Ty idź na piknik, a ja pójdę na fenkuły.
- Ale słyszę wyraźnie, że nie jest zadowolony. Chyba nie lubi rezygnować ze swoich planów. Niestety, będzie musiał się przyzwyczaić, bo naprawdę nie cierpię bankietów. Rehabilituję się, mówiąc, że Charlie zrobił porządek w swoich kartach z Pokemonami i odłożył wszystkie dodatkowe dla Alliego. Mack jest bardzo ucieszony, mówi, że zdążył już wydać masę forsy na karty, i wszelkie nowe darmowe dostawy są mile widziane.

Ostatniego dnia roku szkolnego jadę po południu do szkoły; trzeba zabrać kostium do wuefu, bluzę do malowania i całe sterty rysunków i malunków. A także świadectwo Charliego, które rozśmiesza mnie niemal do łez. Stara dobra pani Pike najwyraźniej ma do niego słabość i robiła co mogła, żeby cenzurka była jak najlepsza. Otóż mój syn wspaniale czyta, jest w czołówce klasowej, jeśli chodzi o matematykę, bardzo się stara, ale trudno mu skupić uwagę i nigdy nie załapał do korka, o co chodzi w robieniu na drutach, ale za to ulepił śliczną łódkę z gliny. U dołu pani Tay-

lor dopisała: „Tak trzymać”, ale okazuje się, że napisała to samo na prawie wszystkich świadectwach. Widocznie chciała wyrazić swoje pozytywne nastawienie, próbując jednocześnie zaoszczędzić sobie pracy, co uważam za zupełnie zrozumiałe.

Umawiam się z Kate, że przyjedzie po nas później swoim samochodem i wszyscy razem wrócimy do szkoły na piknik. Na szczęście nie pada, przez cały dzień było gorąco i słonecznie, więc nie potrzebujemy ekwipunku na brzydką pogodę, jak w zeszłym roku. Daję Charliemu normalny podwieczorek, bo jest głodny jak wilk, a potem będzie zbyt zajęty bieganiem z kolegami, żeby jeść. Dzięki sprytnym manewrom w okolicach szkolnej bramy udało mi się w tym roku uniknąć przygotowywania jedzenia, ale obiecałam przywieźć trochę wina i kiełbasek. Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, oddaję jedzenie w odpowiednie ręce, po czym rozkładamy z Kate koce na boisku. Zjawiają się Sally i Roger z dziećmi i wszyscy usadawiamy się z butelkami wina i colą. Boisko zasnuwa dym z rozpalanego grilla. Z dwóch głośników bucha muzyka, a nauczyciele próbują podzielić dzieci na drużyny do wyścigów. Już jakiś czas temu szkoła zrezygnowała z dnia sportu na rzecz połączenia szkolnej olimpiady z wieczorną imprezą komitetu rodzicielskiego. Wszyscy zgadzają się, że to o wiele lepsze niż siedzenie w upale i patrzenie, jak małe dzieci przegrzewają się w swoich kostiumach gimnastycznych.

Zaczynają się wyścigi i w prawie każdym Charlie przybiega ostatni. Kiedy rozpoczyna się wyścig z jajkiem na łyżce, gawędzi w najlepsze z Jamesem przez dobrą minutę, aż pani Pike podbiega, żeby ich popędzić. Zupełnie się tym jednak nie przejmują. William odnosi większe sukcesy: wygrywa jeden wyścig, a w kolejnym zdobywa drugie miejsce. Charlie z Jamesem okazują się całkiem niezli w wyścigu na trzech nogach, głównie dlatego, że nawet nie próbują biec i idą sobie spokojnie po bieżni, pokonując w ten sposób prawie wszystkich, którzy rozpoczęli w zawrotnym tempie i natychmiast się poprzewracali. Nauczycielom udaje się tak wszystko urządzić, że każde dziecko zdobywa jakąś nagrodę, co naprawdę wymaga dużego sprytu, szczególnie że większość pierwszorocznych maluchów biegnie w kompletnie niewłaściwym kierunku, albo w ogóle.

Kiedy medale są już rozdzielone, prowadzący ogłaszają rozpoczęcie zawodów w przeciąganiu liny; pierwsza rozgrywka to Mężczyźni kontra Kobiety, tak jak w zeszłym roku. Okazuje się.

że mamy tajną broń w postaci matki trójki dzieci od niedawna chodzących do naszej szkoły. Jest zbudowana jak mały czołg i raz uczepiwszy się liny, nie popuści nawet o centymetr. Wszystkie zdejmujemy buty i podwijamy spodnie albo zatykamy kiecki za paski, by pokazać, że traktujemy sprawę poważnie, po czym łapiemy za linę i ciągniemy tak mocno, jak tylko możemy. Pozostałe kobiety zagrzewają nas do walki i wykrzykują obelgi pod adresem mężczyzn. Czuję się jak prawdziwa wojowniczką. Kate stoi za mną, a Sally z przodu. Roger odważnie zdobywa się na nieśmiały okrzyk dopingu, ale wszyscy mężczyźni piorunują go wzrokiem.

Wygrywamy pierwszą rundę, mężczyźni wygrywają drugą, i kiedy zaczyna się trzecia, finałowa runda, atmosfera staje się bardzo napięta. Wszystkie ciągniemy desperacko, aż nagle Kobieta Czołg zdobywa się na potężne szarpnięcie i wszyscy faceci się przewracają. My oczywiście też, ale najpierw przeciągamy linę na tyle daleko, że można ogłosić nasze zwycięstwo. Wspaniale. Biegamy w kółko, wrzeszcząc i gratulując sobie nawzajem. Szczególnymi wyrazami szacunku obdarzamy nową członkinię naszej drużyny, która robi się jasnorożowa na twarzy, słysząc te wszystkie komplementy. Dzieci mają bardzo zawstydzone miny i odwracają się plecami, nie chcą patrzeć jak ich własne matki robią z siebie kompletne idiotki. Kilku mężczyzn dąsa się i żąda rewanżu, ale my świętujemy zwycięstwo i nie dajemy się podpuścić. Kątem oka dostrzegam znajomo wyglądający samochód, zaparkowany na skraju boiska-wielkie bmw, dokładnie takie samo jak Macka. Podchodzę bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć, i rzeczywiście: drzwiczki się otwierają i z samochodu wysiada Mack.

Całuje mnie namiętnie na powitanie, aż po całym boisku rozchodzi się natychmiast fala komentarzy. Czuję, że kiedy następnym razem wpadnę do wiejskiego sklepiku po karton mleka, będę się musiała nieźle tłumaczyć.

-Nie mogłem się oprzeć, to przeciąganie liny zapowiadało się tak podniecająco. Siedziałem tu i patrzyłem na ciebie i resztę dziewczyn. To był naprawdę świetny widok. Zostawisz spódnicę wetkniętą za majtki? To bardzo pociągające, ale możesz się przeziębć.

-Zamknij się. Przyjechałeś w samą porę na konkurencję Tu-byłcy kontra Przyjezdni. Każdy, kto nie mieszka we wsi przynajmniej od pięciu lat, zostaje przewleczony wokół boiska przez miejscowych. Chodź, spodoba ci się.

- Nie, nie mógłbym. Jestem wyszkolonym zabójcą, Money-penny, i mogłoby dojść do nieprzyjemnych scen. O, jeszcze jedna kobieta ze spódnicą wetkniętą w majtki - chyba cię zna.

- Tak, to Kate. - Kate podchodzi do nas i spogląda na Macka, więc dokonuję prezentacji. Zauważam, że witając się poprawia spódnicę. Robię to samo. bo - pomijając wszelkie inne powody - zaczyna być trochę chłodno. Zapraszamy Macka, żeby siadł z nami na naszym kocyku i przyłączył się do zabawy.

Mack przywiózł ze sobą bardzo wytworny wiklinowy kosz, zapakowany przez kogoś obdarzonego o wiele lepszym gustem niż my - pełno w nim boskich maleńkich torcików i ciastek, jest też butelka szampana z prawdziwymi kieliszkami i elegancki nieprzemakalny koc.

- Nie wiedziałem, czy wolno przynosić własne jedzenie. Mam nadzieję, że to jest w porządku?

- W porządku? To fantastyczne. Ale muszę kupić trochę rzeczy ze stoiska komitetu rodzicielskiego, bo inaczej wszyscy się na nas obrażą.

Zostawiam Kate z Maćkiem i podchodzę do stoiska z sałatkami, gdzie stoję twarzą w twarz z rządkiem bardzo spiętych pań, pilnujących swoich misek. Robię co trzeba, prosząc każdą z nich o porcję i komplementując smakowity wygląd wszystkich sałatek. Gdyby miejscowy oddział Ligi Kobiet prowadził zajęcia z robienia sałatek na konkursy, ta banda zapisałaby się choćby jutro. Pani Harrison-Black dogląda grilla, pokrzykując od czasu do czasu na dwóch mężczyzn, którzy doskonale radzą sobie bez niej. Kupuję kilka kiełbasek, i w poczuciu spełnionego obowiązku wracam na nasz kocyk, gdzie Mack rozdziela właśnie swoje szalenie drogie ciasta między Charliego, Jamesa i Williama-chłopcy pałaszują, jakby od tego zależało ich życie. Charlie nie jest ani trochę zdziwiony widokiem Macka; pokazuje mu swój świeżo zdobyty medal i biegnie się bawić. Mack rusza odnieść koszyk do samochodu. Kate unosi kciuk do góry.

- Nie powiedziałas mi, że jest taki przystojny.

- No wiesz, nie lubię się przechwalać.

- A masz czym. Cale boisko ślini się na jego widok. Dobra robota.

Do rozmowy przyłącza się Sally.

- Rzeczywiście, jest uroczy.

Roger dodaje:

- Wygląda na pocziwego kolesia - co nas rozśmiesza. W końcu Kate mówi:

- Uwaga, wraca.

Z głośników znów rozlega się głośna muzyka i ludzie zaczynają tańczyć. Nad boiskiem porozwieszano sznury kolorowych lampek, ludzie wypijają o wiele za dużo i wydaje im się, że potrafią tańczyć twista jak w czasach Chubby Checkera. Oczywiście nie potrafią, ale zupełnie im to nie przeszkadza. Słońce zachodzi i dzieci zaczynają przysypiać; rodzice, którzy chętniej zatańczą przed powrotem do domów, kładą się na tylnych siedzeniach samochodów. Pani Pike wypila sporo wina i teraz wykonuje coś w rodzaju solowej wersji hokey-cokey, ale wygląda na szczęśliwą, więc nie mamy zamiaru jej przeszkadzać. Kilku tatusiów organizuje wieczorny mecz futbolowy, który wygląda bardzo pociesznie, bo większość z nich ma trochę w czubie i ciągle się przewraca. Dzieci, które jeszcze nie śpią, z Charliem i Jamesem na czele, świetnie się bawią, wbijając niezliczone gole - Roger zgodził się stać na bramce, bo myślał, że sobie chwilę posiedzi. Mack mówi, że jest do niczego, jeśli chodzi o piłkę, a poza tym ma nieodpowiednie spodnie. To stwierdzenie rozśmiesza mnie tak bardzo, że muszę go przeprosić i przyznać, że jestem trochę pijana. Mówi, że zauważył i udaje obrażonego, ale nagle mnie całuje, co jest bardzo miłe, ale nie uchodzi uwagi pani Harrison-Black.

Muzyka zmienia się nagle na powolne pościelowy i Mack pyta mnie, czy mam ochotę zatańczyć. Prawdę mówiąc, wolałabym położyć się na kocyku i troszkę się zdrzemnąć, ale skoro przejechał taki kawał, czuję się w obowiązku przynajmniej z nim zatańczyć. Idziemy na boisko, pod kolorowe lampiony. Zaczynam się właśnie wczuwać w sytuację i dobrze bawić, kiedy zniemacka podchodzi do nas pani Harrison-Black, klepie Macka w ramię i mówi:

- My się chyba nie znamy.

Mack spogląda na nią z niechęcią i odpowiada:

- Rzeczywiście. Nie znamy się - po czym wykonuje gwałtowny obrót, prowadząc nas na drugi koniec boiska. Jestem tak zachwycona, że ledwie mogę mówić i w nagrodę daję mu całusa, który okazuje się trochę bardziej namiętny, niż planowałam, ale wtedy muzyka milknie. Wracamy do naszego koca i widzimy, że Kate nianczy Charliego i Jamesa, którzy prawie śpią. Mack kładzie Charliego na tylne siedzenie swojego samochodu, podczas gdy ja opowiadam wszystkim o jego cudownym pierwszym spo-

tkaniu z panią Harrison-Black. Postanawiamy wyjechać, zanim zachce jej się Rundy Drugiej. Mack odwozi nas do domu. Kładę Charliego prosto do łóżka, a potem Mack wyzywa mnie na kolejny pojedynek w przeciąganiu, tyle że tym razem koldry. I znów wygrywam. Idealny koniec idealnego dnia.

8. *Nad morzem fajnie jest*

Zrobiło się niesamowicie gorąco, a kombinacja upału i Charliego, którego trzeba zabawiać, kompletnie mnie wykańcza. Stwierdzam - nie po raz pierwszy zresztą - że po prostu nie mam tego czegoś, co pozwala radzić sobie z dzieckiem na wakacjach. Mam już powyżej uszu napełniania godzinami dmuchanego basenu w ogródku i dobierania odpowiedniego zestawu zabawek tylko po to, żeby Charlie mógł nawrzucać do wody błota i trawy i oświadczyć, że chce oglądać filmy na wideo. Próbujemy zabawić się w plener malarski z plakatówkami i gąbkami - po chwili farba jest wszędzie, a Buzz i Woody mają tęczkowe futerka. Nie mam nawet pretekstu, żeby jechać do biura i chwilę odpocząć w spokoju, bo Barney wyjechał do swojej willi we Francji.

Lawrence postanowił wykorzystać tę okazję, by zmienić system prowadzenia biura tak, żeby we wrześnie nikt nie mógł niczego znaleźć. Będzie zachwycony, kiedy wszyscy będą go musieli pytać, gdzie co jest. Przesuwa też biurka w różne miejsca, wypróbując nowe ustawienia. Cokolwiek wymyśli, jestem pewna, że w dalszym ciągu będę miała zjeżdżające krzesło. Na wszelki wypadek zabrałam do domu wszystkie moje teczki i notatki, żeby nie mógł ich zgubić podczas przeprowadzki. Wciąż jest tym bardzo zdenerwowany.

Postanawiam odrestaurować naszą sadzawkę - spędzam wiele godzin w centrum ogrodniczym i w końcu wydaję masę forsy na pompę i kabel. Różne ważne części pompy bez przerwy odpadają i znikają w błocie na dnie sadzawki. Charlie uważa, że całe to przedsięwzięcie to świetna zabawa i pomaga mi, nabierając wiaderkiem wodę ze stawku i chlustając nią po całym ogrodzie. Ja balansuję na brzegu sadzawki, usiłując poprawić wodospad, zbudowany z głazów i mniejszych kamieni. Dwa razy wpadam do

wody i jestem całkiem przemoczona. Podłączam kabel do gniazda w garażu i wracam pędem, by podziwiać końcowy efekt. Niestety pompa okazuje się o wiele potężniejsza, niż sądziłam: prąd wody rozwała kamienie i wymywa rośliny, a fontanna tryska dziesięć metrów w górę. Po kilku godzinach truchtania w tę i z powrotem udaje mi się w końcu ustawić wszystko jak należy i siadam z Charliem, by podziwiać rybki pluskające się w wyjątkowo czystej wodzie i słuchać szmeru fontanny.

Zaczynam się właśnie relaksować, kiedy pompa znów pokazuje, kto tu rządzi, i wchodzi na najwyższy bieg. Charlie i ja jesteśmy przemoczeni, a wodospad znów wywraca wszystkie rośliny. Charlie biega w kółko, wrzeszcząc z zachwytu, a ja tracę panowanie nad sobą, wyciągam pompę i tłukę nią przez chwilę o mur ogrodu. Ten zabieg, o dziwo, okazuje się skuteczny - od tej pory pompa funkcjonuje normalnie i nie udaje więcej Niagary. Zapraszam Kate, by się pochwalić, i moje dzieło robi na niej stosowne wrażenie. Jutro Kate ma wyjechać na wakacje do domku swojej ciotki, Stelli, w Dorset. My mamy dojechać do niej na długi weekend. Jeździliśmy już wcześniej do tego domku i dzieci bardzo się cieszą, że odwiedzą stare śmiecie. Mam tylko nadzieję, że dojadą bez zwykłego, trzygodzinnego błędzenia. Kate zapisała nam bardzo szczegółowe instrukcje.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, jakim cudem wylądowałaś w Portsmouth. Tak czy inaczej, masz tu rozryśowaną trasę pod same drzwi, naprawdę nie możesz zabłądzić. Myślisz, że tym razem uda ci się dojechać przed zmrokiem?

- Możliwe, ale niczego nie obiecuję.

Oczywiście znów docieramy do domku po zmroku. Zgubiłam wskazówki Kate na jakiejś stacji benzynowej i musiałam polegać na własnych umiejętnościach czytania map. Zaczynam się już orientować w Portsmouth i tym razem udało mi się nie utknąć w kolejce na prom. Charlie i James rozpakowują zabawki, robiąc straszny bałagan, Kate gotuje kolację, a ja w tym czasie rozładowuję samochód. W końcu siadamy na kanapie, żeby pooglądać z dziećmi filmy na wideo, i wypijam za dużo dżinu. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak dowcipna jest *Mary Poppins*. Dajemy sobie z Kate spokój z próbami położenia dzieci do łóżek o rozsądnej porze i ostatecznie wszystkie idą spać grubo później niż

zwykle, razem z nami. Charlie i ja dzielimy ogromne łóżko, staromodny, mosiężny rupieć, który skrzypi niewiarygodnie i kiwa się lekko na boki. Charlie jest tym zachwycony. Materac ma pośrodku ogromny dół, Charlie mości się wygodnie i mówi, że to zupełnie jak gniazdo. Ja czepiam się kurczowo brzegu i staram się nie grzechotać za głośno ramą, bojąc się, że brzęczenie mosiężnych elementów zaalarmuje całą okolicę. Budzę się w nocy niezliczoną ilość razy, przyduszana przez Charliego, kiedy zjeżdżam do dołka. Próbuję wydrapać się z niego z powrotem, ale łóżko robi taki hałas, że w końcu postanawiam pójść na dół, żeby trochę odpocząć.

W kuchni zastaję Kate nad filiżanką herbaty. Jej łóżko też ma w środku dół; dzieciaki zjechały na nią i poczuła, że się udusi, jeśli nie wstanie. Zaparza więcej herbaty i wychodzimy z domu w samych szlafrokach. Ogród wygląda bardzo pięknie, więc zostajemy na dworze, popijając herbatę.

- Co masz ochotę dzisiaj robić? Idziemy na plażę i wracamy tu na lunch, czy urządzimy sobie piknik?

- Mam już po dziurki w nosie wszelkich pikników, a przecież to dopiero drugi tydzień wakacji.

- Ja też. No dobra, to może plaża, a potem lunch w pubie?

- Teraz gadasz do rzeczy.

Spędzamy kilka godzin na plaży. Dzieci biegają, chlapią się w morzu i budują zamki z piasku. Potem idziemy do pubu na kanapki z krabami i lemoniadę.

- Mamusiu...

- Tak, Charlie?

- Następnym razem powinniśmy kupić piwo imbirowe i będziemy jak Sławna Piątka. Bo jest nas pięcioro.

Jesteśmy z Kate oczarowane jego spostrzeżeniem i planujemy najtutro przygody w stylu Sławnej Piątki. Chcemy urządzać w ogrodzie poszukiwanie skarbów i tajemniczy spacer, kiedy udamy, że się zgubiłyśmy i dzieci będą musiały odnaleźć drogę do domu. Zaczyna padać, rozgrywamy więc godną zapamiętania partię w Monopol - napięcie sięga zenitu, kiedy okazuje się, że Charlie i James nie chcą płacić, kiedy zatrzymają się w czyimś hotelu, a Phoebe schowała połowę pieniędzy Jamesa pod planszą.

Poranne poszukiwanie skarbów jest strzałem w dziesiątkę, głównie dzięki genialnemu pomysłowi Kate, żeby zapisywać wskazówki szyfrem - dzieci muszą je odczytać, posługując się książką z szyframi, którą James przywiózł ze sobą. Chłopcy bawią się

w poszukiwanie skarbów przez całe popołudnie, chowając zabawki i udzielając sobie nawzajem tajemniczych wskazówek w rodzaju „Jest pod kanapą”. Po podwieczorku postanawiamy, że pójdziemy łowić kraby; kupujemy w wiejskim sklepiku bekon na przynętę i trzy szpulki żyłki, a potem całymi godzinami stoimy na mostku nad strumieniem, który wpada do morza. Łapiemy pięć małych brązowych krabów i jednego o wiele większego, czarnego, który siedzi w wiaderku między Charliem i Jamesem i wzbudza ogromny podziw przechodzących dzieci. W końcu wypuszczamy kraby i idziemy na rybę z frytkami do genialnej knajpki na plaży, którą Kate zna od dzieciństwa.

Może to i nie są najwspanialsze wakacje, ale wszyscy dobrze się bawimy - nawet ja i Kate, mimo zwykłej, codziennej harówki przy gotowaniu, zmywaniu i planowaniu posiłków dla trójki dzieci, które za każdym razem zjadają niemal tyle, ile same ważą. Po kolacji dzieci bawią się na plaży, a my pijemy kawę. Kate zwierza mi się, że nienawidziła wakacji z Philem. Twierdzi, że zawsze przekształcały się w zabójczą kombinację dzikich awantur i nocnych usiłowań Phila, by naprawić sytuację. Zdawało mu się, że wszystko załatwi, wskazując na nią, kiedy już prawie zasypiała. Zachwycające.

- A jak tam Mack?

- Świetnie. Ale strasznie komplikuje mi życie.

- Wiesz co, nigdy nie sądziłam, że to powiem, aleja naprawdę lubię być sama z dziećmi. To o wiele fajniejsze niż życie z Philem.

- Wiem o co ci chodzi. Nie zrozum mnie źle, nie chcę stracić Macka. Prawdę mówiąc, to istny cud, że w ogóle go znalazłam. Ale po prostu nie wiem, czy piszę się na to wszystko. Mieszkanie razem, cała ta monotonia, po prostu tego nie widzę.

- Czyżby coś już mówił na ten temat?

- Nie, dzięki Bogu. Jeszcze za wcześnie. Ale nie mogę się opędzić od myśli, że jeśli kiedyś dojdziemy do tego etapu, to naprawdę nie wiem, co zrobić. Pomijając już wszystko inne, jakoś nie wyobrażam sobie, żeby mógł mieszkać ze mną, na wsi, a ja nie chcę mieszkać w Londynie.

- Moglibyście mieszkać trochę tu, trochę tam.

- Pewnie tak. Chyba poradziłabym sobie z czymś takim.

W każdym razie nie chcę go stracić, tego jestem pewna.

- Naprawdę go lubisz, co?

- Tak, jest wspaniały.

Kate wydaje odgłos, jakby jej było niedobrze od tej słodyczy.

- Tak czy siak najpierw musimy przetrwać nasze wspólne rodzinne wakacje. Mack zarezerwował hotel w Kornwalii. Mamy apartament z trzema sypialniami, wideo, satelitę i wszelkie inne bajery. Są dwa baseny i przygodowy plac zabaw, i całe hordy opiekunów do dzieci. Ale mam przecucie, że to będzie cięższa praca, niż się Maćkowi wydaje. Samo układanie ich do łóżka będzie koszmarem. Zakładam, że z Alfiem i Charliem będzie w porządku, ale nie jestem pewna co do Daisy.

-Chcesz parę podpowiedzi, jak sobie radzić z dziewczynami?

- Bardzo proszę.

- Musisz ją przekupić. To dokładnie tak samo jak z chłopcami, tylko użyj lakieru do paznokci i kosmetyków. Możliwe, że będzie tobą za to gardzić, ale przynajmniej będzie się zachowywać przy stole, uwierz mi.

O Boże, teraz jestem jeszcze bardziej zdenerwowana. Próbuję wyjaśnić to Maćkowi, kiedy rozmawiam z nim następnego dnia, ale on stwierdza:

- Och, nie bądź śmieszna, wszystko będzie dobrze. Dzieciaki się lubią, a jedyna osoba, o którą musisz się martwić, to ja; przeważnie trochę mnie nosi na wakacjach. Leniuchowanie nie najlepiej mi wychodzi. Ale jestem pewien, że masz mnóstwo nowatorskich pomysłów, jak mnie zabawić, prawda, Moneypenny?

- Prawdę mówiąc, nie mam, chyba że lubisz poszukiwanie skarbów.

- Uwielbiam poszukiwanie skarbów.

Ale mówi to całkowicie nieodpowiednim tonem, który sugeruje, że ma na myśli raczej jakąś erotyczną grę z zastosowaniem jedwabnej opaski na oczy, a nie buszowanie w hotelowym żywopłocie w poszukiwaniu torebki cukierków i pudełka kredek.

- Mack, ja mówię poważnie. Będziemy musieli zabrać jakieś gry i gadzety do zabawiania dzieciaków.

- Kochanie, ten hotel właśnie dlatego kosztuje tak cholernie dużo. Gwarantują, że zdejmą ci dzieci z głowy na cały czas pobytu. Moja asystentka opracowała z nimi plan zajęć, przy którym nawet najbardziej żywiołowy dzieciak będzie wykończony do podwieczorku.

- Posłuchaj, nie zrozum mnie źle, ja też chętnie spędzę trochę czasu bez dzieci. Prawdę mówiąc, o niczym innym nie marzę. Ale

nie uważasz, że to lekka przesada zabierać je na wakacje, a potem zostawiać z obcymi przez cały tydzień?

- Nie, nie uważam. Nie za cenę, jaką sobie winszują. Peter i Georgia byli tam w zeszłym roku. Georgia mówiła, że przez cały tydzień w ogóle nie widywali dzieci.

Peter to jeden z ważniaków z agencji Macka, a jego żona Georgia jest według Macka wstrętną, nowobogacką zdziurą, ciągle jęczy i narzeka, a w towarzystwie bez przerwy ośmiesza Petera i upija się w żenujący sposób.

- Mówiłeś, że Peter to dupek, a Georgia to okropny babon, który powinien zostać wysterylizowany zaraz po urodzeniu.

- No tak, może i mówiłem. Boże, jaka ty jesteś czasem męcząca. Tak czy inaczej, poznasz ich w przyszły weekend i będziesz mogła o wszystko wypytać. A tak przy okazji - wszystko już zaklepane. Myślę, że powinniśmy wyjechać w piątek, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wieczorem jest jakaś sesja, na której mam powiedzieć parę słów.

- Chyba nie będzie problemu. Rodzice i tak przyjeżdżają w piątek, więc mogę się z tobą spotkać w Londynie, jeśli chcesz.

- Genialnie.

- Jakie ciuchy mam zabrać na ten weekend? Nigdy jeszcze nie byłam na takiej firmowej imprezie. Barney jakoś nie jest przekonany do tego typu rzeczy.

- Przede wszystkim weź swoją aksamitną sukienkę. Najlepiej zabierz wszystkie swoje eleganckie kiecki.

- Mack, mam tylko dwie. A jedna z nich jest tak ciasna, że nie mogę w niej usiąść. Będą tam bufetowe posiłki?

Mack wybucha śmiechem.

- Weź obie, i tę nową bluzkę. Uwielbiam ją.

Rzeczona bluzka to fatalaszek z czarnego szyfonu, prezent od Leili. Pokazałam ją Maćkowi, kiedy ostatnio przyjechał na weekend i zapytałam go, czy nie jest zbyt odważna, żeby nosić ją poza domem. Leila przysięga, że nosi się takie rzeczy wyłącznie z czarnym biustonoszem pod spodem i raczej nikt nie pomyśli, że wybierasz się na casting do filmu porno. Nie byłam jednak do końca przekonana i chciałam usłyszeć niezależną opinię. Dzięki reakcji Macka nabrałam pewności, że jeśli chcę w niej chodzić na imprezy organizowane przez komitet rodzicielski powinnam jednak mieć pod spodem podkoszulek, a na wierzchu sweter, tak na wszelki wypadek.

Kiedy wracamy z Dorset do domu, muszę zmierzyć się z całą stertą brudnych ciuchów. Charlie bardzo się nudzi, bo nie ma Jamesa, z którym mógłby się bawić przez cały boży dzień, i nie może się już doczekać przyjazdu babci i dziadka. Ostatecznie zamiast się pakować na mój weekendowy wyjazd muszę bawić się z nim w piratów i dostaję w oko plastikowym kordelasem. Charlieemu jest bardzo przykro, że mnie niechcący zranił, ale w końcu jakoś go pocieszam, przykładając sobie do oka mokrą myjkę. Wołałabym nie jechać na wytworny firmowy weekend z podbitym okiem. Mack uważa, że to bardzo śmieszne i proponuje, żebym założyła przepaskę na oko, co będzie wyglądać bardzo tajemniczo i sexy. Stwierdzam, że jest kompletnie szurnięty.

Zgodnie z umową spotykam się z nim w biurze, na szczęście bez przepaski, po lunchu z Leilą. Leila uparła się, że przejrzy zawartość moich bagaży. Skończyło się to długim rajdem po sklepach w celu dokonania niezbędnych zakupów w ostatniej chwili. Posiadam teraz wyszywany paciorkami kardigan i koronkową koszulkę. Przez większą część lunchu rozmawiamy o aktualnym stanie jej romansu z Jamesem, który zaczął coś przebąkiwać o wspólnym zamieszkanui. Leila nie może się zdecydować. Z jednej strony chce poczekać do czasu, kiedy będzie już miała obrączkę na palcu, a z drugiej ma ochotę na jazdę próbną - warto się przekonać, czy James nie doprowadzi jej do szału, kiedy tylko zamieszkają pod wspólnym dachem. Wyjeżdżają na dwa tygodnie do Francji i Leila mówi, że spróbuje się przez ten czas zdecydować. Mam stale nosić ze sobą komórkę, żeby mogła do mnie zadzwonić w razie awarii.

Dojeżdżamy z Maćkiem do wytwornego hotelu, który okazuje się rzeczywiście baaardzo wytworny. Jest to piękna, stara rezydencja, otoczona hektarami parku, z ogromnymi połaciami podłóg ze starego dębu i wyposażona w bardzo eleganckie, nowoczesne meble. W pokojach genialnie zestawiono perkal i skórzane obicia, a sypialnie są niesamowite, z białą lnianą pościelą i ogromnymi łazienkami. Rzucamy bagaże i idziemy na spacer. Obok budynku jest piękny, obramowany szarymi, łupkowymi płytkami basen; woda jest podgrzewana do idealnej temperatury, tak że nad powierzchnią unosi się lekka mgielka. Kiedy przechodzimy obok, z wody wychodzi jakaś anorektyczka. Mam wrażenie, że to sławna modelka, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Dobrze by jej zrobił stek z frytkami, ale wątpię, żeby miała to w planach. Na

parkingu stoją rzędy porsche i mercedesów, a także cała flota bmw, takich samych jak Macka. Widocznie przyjechała już reszta personelu firmy.

Idziemy spacerkiem z powrotem i niechcący wchodzimy w sam środek firmowego koktajlu. Nagle do okien przyciąga wszystkich odgłos helikoptera lądującego na pobliskim placu. Wyłaniają się z niego trzej mężczyźni i ruszają podjazdem do hotelu, bardzo zadowoleni ze swojego spektakularnego przybycia. Oczywiście i oni są z agencji. Podchodzą do nas i zaczynają gawędzić z Maćkiem, tłumacząc mu, jak to wygodnie mieć pod ręką lądowisko w Battersea.

- Wskakujesz w starego gruchota i jedziesz z koksem.

Chyba raczej jedziesz do Rygi, jeśli można wierzyć mojemu krótkiemu doświadczeniu z helikopterami. Kilka lat temu, zmuszona przez Barneya, spędziłam dwa dni w powietrzu, przy kręceniu reklamówki jakiegoś cholernego kleju do tapet w Miami.

Mack przedstawia mnie i jeden z Latających Chłopców mówi:

- Ty pewnie też masz często do czynienia z helikopterami, co Annie? - Pozostałych dwóch zaczyna rechotać.

- Nie bardzo. Kilka lat temu miałam zlecenie, przy którym używaliśmy helikopterów. Ale tamte były o wiele większe i pilotowali je weterani z Wietnamu, kompletnie szurnięci. Czułam się, jakbym przez dwa dni tłukła się w automatycznej suszarce. Niezapomniane wrażenia.

Mack jest zachwycony, tak samo jak większość stojących w pobliżu osób, które zaczynają chichotać i odwracać głowy. Latający Chłopcy nie są zadowoleni.

Biegniemy do naszego pokoju, żeby się przebrać do kolacji; Mack musi też zabrać jakieś teczki i dokumenty. Rozlega się pukanie do drzwi i do pokoju wpada jakaś waźniara z agencji z rozkładem zajęć. Okazuje się, że wyobrażenia Macka na temat miłego weekendu niezupełnie pokrywają się z planami agencji. Za dziesięć minut zaczyna się pierwsze zebranie.

- Cholera. Powiedziałem, że nie mam zamiaru się udzielać, a te gnojki wyznaczyły mnie do prowadzenia spotkania. Słuchaj, muszę tam iść i to załatwić. Poradzisz sobie?

- Jeśli tylko mam obsługę hotelową i wannę do dyspozycji, czuję się jak w raj.

- No dobrze. Spotkamy się na dole, o wpół do dziesiątej, i pójdziemy na kolację.

Wanna jest tak ogromna, że dwa razy niemal idę pod wodę. Potem niechcący wciskam łokciem włącznik jacuzzi i wanna zaczyna produkować bąble, które sięgają mi nad głowę. Wygląda to trochę jak we wczesnych odcinkach *Doktora Who*. Udaje mi się wywalczyć drogę na brzeg, po czym godzinami wycieram podłogę ręcznikami. W końcu muszę się ubierać w gorączkowym pośpiechu. Postanawiam wypróbować mój nowy kardigan i czarną koronkową koszulkę, razem z najelegantszymi czarnymi spodniami. Kardigan ma całą masę maciupkich czarnych guziczków - zapinanie trwa w nieskończoność. Schodzę na dół spóźniona dziesięć minut i zastaję w barze tłum ludzi. Wszystkie kobiety mają na sobie supereleganckie kreacje. Dostrzegam Macka, ukrytego w najdalszym kącie baru, ale w tej chwili wszyscy wyruszają do jadalni. Siada się według planu i Mack ląduje z daleka ode mnie, z całym dowództwem.

Kolejnych parę godzin - a przynajmniej takie mam wrażenie - spędzam na pogawędce z bardzo irytującą kobietą o imieniu Sophie. Wydaje się wyjątkowo dobrze poinformowana i zapoznaje mnie z funkcją i krótkim zawodowym *resume* wszystkich osób siedzących przy stole. Potem zaczyna opowiadać o prywatnych szkołach. Wypijam trochę za dużo i okazuje się, że bezmyślne potakiwanie przychodzi mi coraz łatwiej. Kolacja kończy się wreszcie i Mack podchodzi do mnie, bardzo zadowolony z siebie.

- Właśnie odbyłem fascynującą rozmowę ze starym Batesem.

- Domyślam się, że to dobra nowina.

- Tak. To prezes. Muszę przyznać, że ten kardigan jest bardzo twarzowy.

- Dziękuję.

- A najbardziej mi się podoba to koronkowe pod spodem. Ale mam jedną małą prośbę: obiecaj, że nie usiądziesz koło starego. Dostanie przez ciebie kolejnego zawału.

Zerkam w dół i widzę, że mój kardigan się porozpinał, a koronkowa koszulka ledwie przykrywa mi biust.

- O cholera.

Zaczynam gorączkowo zapinać guziczki. Mack śmieje się i mówi:

- Chodźmy popływać. Chyba że chcesz tu zostać i jeszcze przez chwilę popisywać się wdziękami.

- Nie, dziękuję bardzo.

Wykradamy się do pokoju i łapiemy kostiumy kąpielowe. Basen jest jasno podświetlony, klęby pary buchają w ciemność. Nie jestem pewna, czy pływanie po pijanemu to najlepszy pomysł, ale okazuje się, że jest wspaniale i w końcu zaczynamy się całować. W wyjątkowo namiętym momencie spoglądam przypadkiem w górę i zauważam, że jesteśmy obserwowani z tarasu przez jakieś dwadzieścia osób. Udają, że nas nie widzą, ale Mack pozdrawia ich głośno i zaprasza, by też przyszli popływać. Dwóch czy trzech panów wydaje się całkiem chętnych, ale kobiety nie dają się podpuścić. Mack uważa, że to bardzo zabawne, ale ja nie mogę się pozbyć wrażenia, że zostałam surowo osądzona i uznana za niegodną przez szanujące się żony i partnerki.

Moje przypuszczenie okazuje się trafne, kiedy następnego ranka przy kawie zostaję obrzucona zimnymi spojrzeniami. Rozpoczęła się druga runda zaplanowanych zebrań, a dla „osób towarzyszących” wykupiono całą masę najróżniejszych zabiegów upiększających. Większość kobiet jest ubrana w bardzo wytworne sportowe kostiumy z lycry i wygląda, jakby wybierała się na profesjonalny trening. Ja mam na sobie białą koszulę, workowate lniane spodnie i ciemne okulary na kaca i wyglądam, jakbym wybierała się z powrotem do łóżka. Panadol jakoś nie chce zacząć działać. Zdaje się, że przegapiliśmy z Maćkiem śniadanie-kolejny wspólny, firmowy posiłek - a Mack opuścił już dwa spotkania. Zupełnie się tym nie przejmuje, a kiedy jakaś nadgorliwa młoda kobieta proponuje, że pożyczycy mu swoje notatki z porannych sesji, każe jej się odwalić i pójść zabawić.

Wlokę się z powrotem na górę, żeby się przespać. W porze lunchu spędzam znów na dół w poszukiwaniu herbaty i gazet. W bibliotece odkrywam niewielką grupkę kobiet, które śmieją się i palą papierosy. Dziewczyny w moim typie. Okazuje się, że one też są na liście żon i towarzyszek, ale były już wcześniej na tego typu imprezach i starają się nie rzucać w oczy, najchętniej ukrywając się w najbliższym barze. Spędzam uroczę popołudnie, plotkując w barze hotelowym. Wypijam o wiele za dużo; jedna z kobiet opisuje właśnie swoją teściową, rozśmieszając nas do łez, kiedy do baru wchodzi Mack z dwoma innymi mężczyznami. Wszyscy trzej robią odrobinę przestraszone miny na nasz widok. Oznajmiam nam, że zebranie właśnie się skończyło i mają wolne do kolacji. Rozmawiamy jeszcze chwilę, ale kiedy są z nami faceci, konwersacja jest o wiele mniej zabawna.

- Mam nadzieję, że nie opowiadałaś tej bandzie świńskich dowcipów.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że jedna z nich to żona prezesa. Mogłem się domyślić, że zwąchasz się z najgorszym towarzystwem.

Kolacja jest o wiele mniej sztywna, bo plan rozmieszczenia gości przy stole zniknął w tajemniczych okolicznościach, dzięki czemu Mack i ja siedzimy z moimi nowymi znajomymi i ich towarzyszami. Przy aperitifach poznaję Petera i Georgię i przekonuję się, że Georgia naprawdę jest tak straszna, jak twierdził Mack. Opowiada mi o hotelu, do którego się wybieramy:

-Naprawdę, prawie nie widywaliśmy dzieci przez cały weekend. Oczywiście zabraliśmy też nianię, ale właściwie jej nie potrzebowaliśmy. To było super. - Mack odciąga mnie na bok, dzięki czemu nie muszę wysłuchiwać monologu o Toskanii, do której jadą w tym roku. Mam ochotę zadzwonić z ostrzeżeniem do Włoskiej Izby Turystycznej.

W końcu lądujemy w barze i siedzimy tam do późnej nocy, grając w grę wymyśloną przez Helen, żonę prezesa - coś w rodzaju „co widzę?” tylko dla dorosłych. Okazuje się, że Mack jest świetny w kalamburach, a Helen i ja wygrywamy butelkę brandy w dziwnej wersji „dwudziestu pytań”, dotyczącej najnowszych kampanii reklamowych. Mack zgłasza sprzeciw, bo dwie z reklam, o których była mowa, nakręciliśmy z Barneyem, ale zostaje zakrzyczany i musi odpokutować za to, że nie umie przegrywać. Przenosimy się na basen i Mack przepływa całą długość kompletnie ubrany - na dodatek uważa, że to szalenie zabawne. Mogę tylko mieć nadzieję, że rano też będzie taki wesolutki.

Większą część niedzieli spędzamy w łóżku, czytając gazety. Rozmawiam z Charliem i dowiaduję się, że babcia znów popełniła tragiczną pomyłkę przy wyborze płatków na śniadanie-tym razem poszło o cheerios - ale poza tym mój syn świetnie się bawi przez cały weekend. Zjadamy z Maćkiem lunch w łóżku, a po południu moczymy się w wannie, całkowicie zalewając podłogę w łazience. Wyjeżdżamy zaraz po podwieczorku. Żegnamy się czule z naszymi nowymi przyjaciółmi i w ostatniej chwili udaje nam się uciec przed straszną Georgią. Jeszcze słyszymy, jak warczy na Petera, żeby się pospieszył. Przesypiam większą część drogi powrotnej, a kiedy jesteśmy już w Londynie, Mack pomaga mi wydostać samochód z parkingu agencji, używając swojej specjalnej karty, która otwiera wszystkie drzwi.

- Dzięki za cudowny weekend.
- Cała przyjemność po mojej stronie, Moneypenny. To jak, przyjeżdżam po ciebie w przyszły piątek i wyruszamy. Dzieciaki, walizki i valium. Zrozumiano?
- Tak jest. I jeszcze wiaderka, łopatki i siatki na ryby. Charlie nigdzie się ostatnio nie rusza bez swojej siatki na ryby. To dość utrudnia zakupy w Safewayu.

Dojechawszy do domu odkrywam, że Charlie rozbił obóz w ogródku. Spał w nim zeszłej nocy. Moi rodzice za to prawie nie spali, bo co chwilę wyglądali przez okno i sprawdzali, czy nic mu nie jest. Skończyło się na tym, że dziadek spał z nim w namiocie, dostał kręczu szyi i teraz mówi z głową przechyloną na bok, jak papuga. Mama odwaliła prasowanie i wysprzątała dom. Muszę chyba częściej wyjeżdżać. Rodzice całują nas w nieskończoność, a kiedy odjeżdżają, Charlie biegnie uliczką za samochodem. W końcu wraca do domu i oświadcza, że umiera z głodu. Robię jajka na bekonie i zjadamy je w namiocie. Popełniam straszna głupotę i włączam pompę w sadzawce - oczywiście przełącza się na najwyższe obroty i o mało nie przewraca namiotu potężnym strumieniem wody. Charlie jest oburzony, a przywrócenie jego obozu do poprzedniej świetności zajmuje nam całe wieki.

Pakowanie się na wakacyjny wyjazd z Maćkiem jest nie lada zadaniem. Charlie chce zabrać wszystkie swoje zabawki, ale w końcu ogranicza się do jednego plecaka i siatki na ryby. Ale ubrania i inne niezbędne rzeczy zapełniają ogromną walizę, a potem przez, całą drogę i tak przypominam sobie, co zapomniałam zabrać. Dzieci siedzą dość grzecznie na ogromnej tylnej kanapie samochodu Mac-ka, z miejscami dla trzech osób i trzema pasami bezpieczeństwa. Cała trójka słucha różnych bajek na walkmanach, przysypiając co chwila i sprzecząc się niegroźnie od czasu do czasu. Ale nikomu nie robi się niedobrze i zatrzymujemy się tylko dwa razy. Stacje benzynowe są koszarne, jak zwykle. Mack spędza mnóstwo czasu na flipperach. Szusuje po stokach na symulatorze jazdy na nartach, a dzieci obserwują go i wykrzykują użyteczne wskazówki, w rodzaju: „Ty idioto, właśnie wjechałeś w urwisko!” Potem oczywiście też chcą się przejechać i wszyscy troje uzyskują lepszy wynik niż Mack.

Do hotelu docieramy w porze podwieczorku. Do apartamentu wprowadza nas niesamowicie służalczy typ, który okazuje się asy-

stentem dyrektora. Bez przerwy nazywa mnie madame i koniecznie chce mnie zapoznać z działaniem wszystkich pilotów. Jeden jest przeznaczony specjalnie do rozsuwania i zasuwania zasłon. Dzieci biegają z wraskiem po pokojach, aż w końcu wybiegają na balkon, odkrywają basen i zaczynają błagać, żebyśmy poszli popływać. W tej chwili, jak za sprawą czarów, do drzwi puka jakaś kobieta i oznajmia, że przysłała zabrać dzieci na pierwszą lekcję pływania. Przyznaję z podziwem, że wszystko jest świetnie zorganizowane. Odzywa się telefon; dzwoni asystentka Macka, żeby sprawdzić, czy dojechaliśmy bezpiecznie. Wiedziała, że Mack na pewno zgubi plan pobytu, więc właśnie faksuje go do hotelu i recepcja zaraz przyśle go nam na górę. Pyta też, czy chcemy mieć faks w pokoju, bo można go bez problemu podłączyć. Chryste. Dochodzę do wniosku, że przez te wszystkie lata potrzebowałam po prostu dobrej asystentki.

Przy podwieczorku studiuje rozkład zajęć, z którego wynika, że codziennie mamy spędzać z dziećmi co najwyżej pół godziny dziennie. Wspólna chwila dla całej rodziny została zaplanowana na ostatni dzień, ale tu też na wszelki wypadek opracowano alternatywną możliwość, gdyby i tego było dla nas zbyt wiele. Proponuję, żebyśmy porozmawiali z dziećmiakami przy kolacji i przekonali się, co mają ochotę robić. Mack uważa, że to bardzo zły pomysł, ale w końcu ustępuje. Dzieci wracają z basenu, przebieramy je i wszyscy razem schodzimy na kolację. Jadalnia jest ogromna i pełna w niej rodzin, które najwyraźniej nie są przyzwyczajone do wspólnych posiłków. Wszędzie widać wysokie krzeselka z bobasami, które rozrzucają wokół jedzenie. Pewien mężczyzna wygląda, jakby był w stanie szoku - siedzi bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń, podczas gdy mała dziewczynka na jego kolanach grzebie mu w talerzu i częstuje się wszystkim, co jej się podoba. Rodzice przy sąsiednim stoliku są pogrążeni w nieprzyjemnej dyskusji na temat brokułów, a ich synek siedzi ze zdeterminowaną miną i założonymi na piersi rękami.

Okazuje się, że to kolacja dla dzieci. Kolacja Tylko Dla Dorosłych będzie podawana później. Brzmi to tak, jakby jedzenie miało być powycinane w jakieś nieprzyzwoite kształty, albo coś w tym stylu - rozśmiesza mnie to do łez. Dzielę się tym przypuszczeniem z dziećmi, są zachwycone. Za to Mack jest o wiele mniej zadowolony i pyta, czy moglibyśmy się pospieszyć, bo przez ten cały hałas rozboleła go głowa. Jemy pizzę i lody, a potem przeglądamy rozkład zajęć na kilka

następnych dni. Dzieci bardzo się cieszą ze wszystkich proponowanych atrakcji; obiecujemy im też kilka wycieczek na plażę. Bógjeden wie, ile to wszystko kosztuje. Zaproponowałam Maćkowi, że pokryję część kosztów, ale nie chce o tym słyszeć. I całe szczęście, bo podejrzewam, że zemdlałabym na widok rachunku.

Dzieci widujemy tylko podczas lunchu, bo całe dnie spędzają na pływaniu, zabawach i przeróżnych grach. Dwa razy idę z nimi, sprawdzić, jak wyglądają ich zajęcia, i stwierdzam, że są świetnie zorganizowane. Charlie i Alfie uczą się nurkować - prawie - i wspaniale się bawią. Daisy wykazuje trochę mniej entuzjazmu. Na pewno byłaby o wiele szczęśliwsza, gdybym pojechała do domu i zabrała ze sobą chłopców. Zgodnie z obietnicą spędzamy popołudnie na plaży i Mack angażuje się w budowanie ogromnego zamku z piasku z Charliem. Alfie biega do morza i z powrotem, przynosząc wodę do wypełnienia fosy. Ja leżę sobie na kocu z Daisy, która nagle stwierdza:

- Masz strasznie wielki tyłek, Annie.
- Hm, no tak. Chyba mam.
- Moja mamusia jest o wiele chudsza od ciebie.

Z jednej strony jestem przerażona, że już w tym wieku hołduje hasłu „Najważniejsza jest figura”, a z drugiej oburzona, że jest tak beczelna. Trochę mnie też irytuje informacja, że w zestawieniu ze zwiewną Laurą wyglądam jak krowa.

- Tym lepiej dla niej. Tęsknisz za nią trochę?

- Tak. Nawet bardzo. - Daisy przygryza wargę i spogląda na swoje sandałki.

- No pewnie, że tak. Może do niej zadzwonisz, kiedy wrócimy do pokoju? A potem ubierzemy się wystrzałowo do kolacji. Mogłabyś pożyczyć mój lakier do paznokci.

Oczy błyskającej z zachwytu, ale szybko się maskuje. Dzięki Bogu, że Kate udzieliła mi wskazówek.

Kolacja okazuje się kompletną katastrofą. Przez ostatnich kilka dni Mack coraz bardziej się nudził. Świetnie się bawiliśmy i mieliśmy mnóstwo okazji, by się kochać ukradkiem, co było wspaniałe, ale wyczuwam, że ma dość bycia Tatusiem Na Wakacjach. Każdego ranka dzwoni do biura, żeby sobie poprawić humor, ale w porze podwieczorku znów jest skwaszony.

Schodzimy na kolację razem z dziećmi, bo poprzedniego dnia jedliśmy sami. Daisy ma na paznokciach nowy srebrny lakier,

Mack oczywiście nic nie zauważa. Kazała mi obiecać, że mu nie powiem, choć w duchu marzy o tym, żeby zauważył i zachwycił się. Parę razy próbuję mu o tym szepnąć na ucho, ale nie zwraca na mnie uwagi. Restauracja jest przepelniona dziećmi i Mack nie jest specjalnie zachwycony, że musi przebywać wśród tego chaosu. Zaczyna narzekać na mały wybór potraw i wpada w złość, kiedy podany melon okazuje się za zimny. Widocznie leżał wiele godzin w lodówce i jest prawie zamrożony. Mack odsyła go z powrotem, choć Alfie zdążył zjeść prawie całą porcję.

Przyjeżdża danie główne - makaron jest rozgotowany, a na dodatek Mack zauważa smugi na swoim kieliszku. Przywołuje kelnera, nastoletniego chłopaka, który najwyraźniej pracuje tu tylko przez wakacje i nie jest powołany do kariery w sektorze usługowym.

- Bardzo mi przykro z powodu makaronu, ale niestety nie mogę nic na to poradzić. Czy pan sobie życzy, żebym mu przyniósł nowy kieliszek?

Mack mruży oczy i mówi przerażającym głosem:

- Nie, proszę mi zawołać kierownika. Już.

Kiedy zjawia się kierownik, Mack zaczyna wściekłą tyradę, która ucisza całą salę. Kierownik niemal się przed nim czołga, byle go tylko udobruchać. Obiecuje nam świeży makaron, a tymczasem na stole zjawia się butelka szampana i czyste kieliszki. Czy szanowny pan ma jeszcze jakieś życzenie, które bylibyśmy w stanie spełnić?

Napięcie w jadalni opada, a Mack promienieje triumfem. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że świetnie się bawił, co potwornie mnie denerwuje.

- No to pokazałeś klasę, co, James? Wstrząśnięte, nie zmieszane? Akurat.

- Och, nie zaczynaj, do cholery.

Słyszę, że Charlie zachłysnął się z oburzenia. Daisy i Alfie zapadają się głębiej w krzesła i spoglądają na własne stopy.

- Ze co proszę?

- Dobrze słyszałaś. Tym ludziom należało się, żeby ich ustawić.

Jego oczy rzucają błyskawice. Przez całe wakacje nie widziałam, by był taki ożywiony.

- Jeśli masz zamiar czerpać frajdę z terroryzowania kelnerów, to proszę bardzo. Ale mnie z tego wyłącz. Bo widzisz, to nie jest

chyba godne pochwały. Ci ludzie nie mogą się odwrócić i powiedzieć ci, żebyś się odpieprzył, prawda? Chociaż pewnie bardzo by chcieli. J wiesz co? Zrobię to za nich. Pieprz się, Mack. Przestraszyłeś dzieci i zepsułeś im wieczór. Myślę, że Charlie i ja zjemy kolację na górze, a ty możesz sobie tu siedzieć i wściekać się do woli. Och, a tak przy okazji, może raczyłybyś spojrzeć na Daisy. Specjalnie dla ciebie pomalowała sobie paznokcie. Przepraszam, Daisy, ale nie sądzę, żeby sam zauważył, prawda, kochanie? Wyglądają ślicznie, ale tatuś jest zbyt zajęty gnębieniem ludzi, żeby zauważyć.

Mack gapi się na mnie z lekko uchylonymi ustami. Zbiera się do kontrataku, ale nie ma okazji, bo wychodzę z restauracji, trzymając za rękę Charliego, który odrobinę opóźnia moje efektowne wyjście. Wszyscy kelnerzy rzucają mi spojrzenia wyrażające dozągną wdzięczność, a kierownik obdarza mnie promiennym uśmiechem. Przez cały czas sterczał przy drzwiach, uważnie nasłuchując.

- Kolacja do pokoju, proszę pani? Zaraz się tym zajmę. Na koszt firmy, to będzie prawdziwa przyjemność. Proszę iść na górę, zaraz się panią zajmimy. - I kłania się.

Jezu. Ale narobiłam. Sądzą Charliego i tłumaczę mu, że dorośli czasem się kłócą, a potem wszystko jest w porządku. I że nie może używać brzydkich słów tylko dlatego, że ja to zrobiłam. Przyjmuje to do wiadomości, ale wygląda na zmartwionego. Na szczęście zjawia się kolacja i Charlie zauważa deser: ogromne lody. Jest też cola i ogromna misa frytek. Rzuca się na jedzenie jakby głodował od wielu dni, i wygląda na zupełnie zadowolonego z życia. Ja wypijam duży dzin z tonikiem. Później urządzam mu kąpiel i kładę się w jego łóżku, żeby poczytać mu bajki. Mack nie zjawia się bardzo długo. Prawdę mówiąc, nie wiem, co mam mu powiedzieć, kiedy się wreszcie pokaże. Leżę w łóżku i usiłuję czytać Charliemu, jednocześnie rozmyślając o możliwych wariantach rozmowy z Maćkiem, co wpływa bardzo niekorzystnie na moje umiejętności lektorskie; Charlie zaczyna się żalić, więc próbuję bardziej się skoncentrować. Kończy się na tym, że zasypiam. Budzi mnie Mack, delikatnie potrząsając za ramię.

Wychodzę z nim na balkon. Alfie i Daisy śpią - Mack mówi, że chciał ich mieć z głowy, zanim mnie obudzi. Jest prawie północ i wyglądam na wykończonego.

- Przykro mi, Annie.
- I powinno być.
- Nie jestem zbyt dobry w przepraszaniu.
- Zauważyłam. Ale mam też dobre wieści: jeśli od tej pory pozwolisz mnie zamawiać jedzenie, przekonasz się, że personel hotelu uznał mnie za ulubionego gościa. Kiedy wypadłam z jadalni, kierownik o mało mnie nie ucałował. Dzieciaki doszły jakoś do siebie?

- Nie od razu. A tak przy okazji - co cię napadło, żeby pozwolić Daisy malować paznokcie? Wyglądają okropnie.
- Tak, wiem. Ale to część mojego podstępnego planu. Drobne przekupstwo. Może przestanie mi mówić, że mam o wiele więcej tyłek niż Laura.
- No tak.
- Nie przejmuj się, lakier zejdzie. Dopilnuję, żeby nie miała pełnego makijażu i butów na obcasie, kiedy będziesz ją odwoził do domu.
- Lepiej by było. Laura jest dość surowa w takich sprawach. Nie produkują przypadkiem homeopatycznych lakierów do paznokci?

- Nie wydaje mi się. Ale to cholernie dobry pomysł. Sprzedałyby się jak ciepłe bułeczki.
- W każdym razie przepraszam. Po prostu trochę mnie nosi, kiedy siedzę po całych dniach na tyłku i nie mam nic do roboty.
- Zauważyłam. Ale nie możesz się wyładowywać na innych, a już szczególnie nie na własnych dzieciach.
- Wiem. Czy możemy już przestać rozmawiać o moich wadach? Prawdę mówiąc, niezbyt mnie to bawi. Porozmawiajmy dla odmiany o twoim wielkim tyłku.

Przez resztę wakacji Mack zachowuje się idealnie. Personel hotelowy drepce wokół niego na paluszkach, niczym wokół jakiegoś niebezpiecznego niewypału; za to mnie kierownik wciąż traktuje jak najbliższą przyjaciółkę, biegnąc, by się ze mną przywitać, ile razy przechodzę przez recepcję. Daisy twardo maluje paznokcie srebrnym lakierem, dopiero ostatniego dnia przerzuca się na fioletowy. Całe wieki zajmuje mi zmycie go przed powrotną podróżą, ale mała przyjmuje to z pogodą. Alfie i Charlie zostają prawdziwymi przyjaciółmi i całymi godzinami krążą wokół hotelu ze swoimi siatkami na ryby, próbując łapać owady. Kiedy się pakujemy, Charlie wyznaje mi, że chętnie zabrałby Alfiego z nami

do domu i że Mack też mógłby z nami trochę pomieszkać, ale Daisy nie, bo jest dziewczyną.

Bardzo się cieszę z powrotu do domu. Wakacje były wspaniałe, z wyjątkiem tego jednego epizodu, bez którego mogłabym się obejść. Zwierzam się Leili, że choć Mack jest cudowny (jeśli pominąć rzadkie wybuchy złości) to spędzenie z nim i ze wszystkimi dziećmi tak długiego czasu było dość męczące i że trochę tęsknię do etapu okazjonalnych randek. Leila przyznaje, że pierwsze randki zawsze są najlepsze, ale prawdziwe życie tak nie wygląda, a Mack i tak jest idealnym facetem dla mnie. Na wakacjach wszyscy się ze sobą kłóćą, a dodatkowa atrakcja w postaci dzieci jeszcze potęguje napięcie. Ona i James też się potężnie pokłócili w jakimś klasztorze na odludziu - Leila odjechała wynajętym samochodem i zostawiła go, bo ją zdenerwował. Uspokoila się, dopiero, kiedy wróciła do willi. Pojechała po niego z powrotem, ale okazało się, że zdążył już wezwać taksówkę i wydał fortunę, płacąc za dojazd do willi. Podobno boczył się przez trzy dni. Przyznajemy zgodnie, że wakacje to tak naprawdę ciężka praca i że powinniśmy o tym pamiętać, kiedy następnym razem zaczniemy się pakować.

W przyszłym tygodniu zaczyna się rok szkolny, więc wyciągam mundurki Charliego, żeby wszystko było gotowe. Nie mieści się w większość swoich szkolnych ubrań, wyruszam zatem na poszukiwania i odwiedzam niezliczone sklepy, ale mundurki są już wyprzedane. W Marks & Spencer mają tylko spodnie dla cztero-latków i jeden pulower w nieodpowiednim kolorze. Widocznie inne matki, te bardziej zorganizowane, kupiły wszystko wiele tygodni temu, a personelowi M&S nie przyszło do głowy, że te mniej zorganizowane mogą chcieć kupić szkolny mundurki kilka dni przed rozpoczęciem roku. Gnojki. W końcu udaje mi się wytropić dwie pary spodni, a bluzy z logo szkoły dostaję od nieszczęsnej kobiety, która zgodziła się przygotować uniformy dla komitetu rodzicielskiego i teraz ma dom pełen bluz i kostiumów gimnastycznych.

Popelniam wielki błąd, mówiąc mamie o moich problemach z zakupami. Dwa dni później przychodzi spora paczka z parą ogromnych szkolnych spodni, wykonanych z jakiegoś niezniszczalnego materiału. Kupiła je w tym samym sklepie, w którym

kupowała mundurki dla mnie i dla Lizzie. Mówi, że specjalnie wzięła takie duże, żeby Charlie miał miejsce na rośnięcie. Spędziłam w szkole długie lata ubrana w sukienki za duże o trzy numery, żeby było miejsce na rośnięcie. Postanowiłam, że Charlie nie będzie cierpieł takiej doli i że nigdy nie każę mu nosić spodni, które trzepoczą wokół kolan, więc chowam je głęboko. Dzwonię do mamy, żeby jej podziękować i okazuje się, że ma dla mnie więcej wspaniałych wieści: otóż znalazła śliczną, granatową wełnę i robi Charliemu na drutach kardigan do szkoły. Wyjaśniam jej, że zeszłej zimy próbowałam go namówić na kardigan, żeby było mu cieplej, kiedy zepsuło się ogrzewanie w szkole i dzieci siedziały w klasach w kurtkach i czapkach. Ale stanowczo odmówił i oświadczył z całą powagą, że chłopcy nie noszą kardiganów.

Mama przyjmuje tę wiadomość zaskakująco dobrze, mówiąc, że zrobiła dopiero jeden rękaw i może z łatwością zrobić z tego normalny sweter. Żaden problem. Całe szczęście, że zadzwoniłam. Pyta, czy pod szyją ma być okrągło czy w serek. Zamawiam w serek, bo maleńkie sweterki, które zrobiła dla Charliego, kiedy był niemowlęciem, były tak ciasne pod szyją, że musiałam niemal znieczulać go miejscowo, żeby mu je założyć. To bardzo miło z tej strony, a długi do kolan sweter z rękawami do samej ziemi bardzo się przyda, kiedy zacznie padać śnieg. Wyjaśniwszy sprawę swetra, mama zaczyna mi opowiadać bardzo obrazowo o obrzydliwej operacji swojego sąsiada. Dopiero po chwili orientuję się, że tak naprawdę chodzi o psa sąsiada. Zgadzam się z nią, że to zdumiewające, jak szybko zdrowieją zwierzęta, i kończę rozmowę, by nie zdążyła zapoznać mnie z najnowszymi faktami na temat sąiadki i jej histerektomii. Już i tak wiem o tym więcej, niż bym chciała.

9. Jądro ciemności

Jesień zagościła na dobre. Minęło już stadium mglistej, łagodnej j pogody i płodnej obfitości; nastaly zimne poranki i wieczory i codzienne słoty. Mack jest w Tokio - prowadzi negocjacje w sprawie jakiejś intergalaktycznej kampanii reklamowej samochodów. Twierdzi, że to istna katorga, bo jego potencjalni klienci co chwilę zbijają się w kupę i szwargoczą niewiarygodnie szybko po japońsku,

a on musi stać i czekać jak idiota. I nigdy nie wie, kiedy przestać się kłaniać, a to bardzo ważne, przestać we właściwym momencie, bo inaczej można się tak kłaniać godzinami.

Leila siedzi w Nowym Jorku, próbując złowić wielkiego amerykańskiego klienta, a Kate użera się z Jamesem i Phoebe, którzy paskudnie się przeziębili. Po całych dniach leżą na kanapie, domagając się głośno napojów i smakołyków. Ja jestem roztrzęsiona i w złym humorze, co zawsze jest sygnałem, że lada moment dopadnie mnie megaprzeziębienie. Oczywiście Charlie zarazi się w momencie, kiedy będę zupełnie do niczego i będę musiała zwlec się z łóżka bóleści, żeby pielęgnować jego. Wspaniale.

Charlie wykluwa swoje przeziębienie w ciągu nocy, więc nie posyłam go do szkoły. Spędza dzień wyciągnięty na kanapie, kwękając i oglądając filmy na wideo. Noc przespia w moim łóżku, skopując co dziesięć minut kołdrę i od czasu do czasu budząc się, by zażądać picia - ale nie byle jakiego picia; zadowala go wyłącznie ciepły sok. Wstaję więc, podgrzewam mu sok, a kiedy wracam do łóżka, Charlie oczywiście mocno śpi. Kończy się na tym, że do rana tłukę się wściekła po kuchni. Rano nie jest mu ani trochę lepiej. Jedziemy do lekarza przyjmującego w przychodni w sąsiedniej wsi. Lekarz zbywa nas zwykłą gadką: wirusowe przeziębienie, uzupełniać płyny, dawać calpol, nie ma potrzeby stosować antybiotyków i proszę się już odwalić, bo w poczekalni mam trzydzieścioro emerytów, a chciałbym pójść do domu przed zmrokiem. Charlie przysypia, marudzi i kwęka i ogólnie rzecz biorąc, strasznie mnie irytuje. Nie nadaję się na pielęgniarkę i godzinami gadam z Kate przez telefon, która zgadza się ze mną, że przeziębione dzieci są nie do zniesienia.

Następnego dnia Charlie wciąż źle się czuje, jest rozpalony i senny. Nie narzeka nawet, kiedy daję mu calpol, choć przeważnie muszę mu przy tym niemal podważać zęby. Dzwonię do przychodni i odbywam długą i burzliwą dyskusję z recepcjonistką, która w końcu zgadza się przysłać lekarza na domową wizytę, jeśli obiecuję, że nigdy więcej do niej nie zadzwonię. Lekarz przyjeżdża koło dziesiątej; wyjaśniam mu, że Charlie wygląda na poważnie chorego. Doktor ogląda go nieuważnie, a potem robi mi krótki wykład, że bycie matką polega między innymi na opiekowaniu się dziećmi w chorobie; powinnam się tym zająć i nie zawracać mu głowy. Dziękuję mu bardzo wylewnie za zrozumienie, aż spogląda na mnie jak na wariatkę i wychodzi w pośpiechu, mamrocząc

coś, że domowe wizyty zamawia się do nagłych wypadków, a nie do dzieci z najzwyczajszym przeziębieniem. Bardzo żałuję, że Charlie nie zebrał się w sobie na tyle, by puścić porządnego pawia na doktora podczas badania - biedactwo leżał tylko z żalospnąminą.

W porze lunchu Charlie wciąż śpi na kanapie. Jest bladoszary. Od czasu do czasu podszczypuję go delikatnie i sprawdzam, czy reaguje - wypracowałam tę technikę, kiedy był jeszcze malutki. W pewnej chwili zauważam na jego szyi coś, co wygląda jak dwie maleńkie kropki narysowane czerwonym długopisem i strach chwyta mnie za gardło. Próbuję sobie wmówić, że to farba albo ślady po mazaku, ale w głębi duszy wiem, że tak nie jest. Ogarnia mnie pokusa, by udawać po prostu, że ich nie widziałam. To prawie jak fizyczny ból; mijająminuty, aja siedzę sparaliżowana strachem i nie potrafię zdecydować, co robić. Czuję się, jakby wpadł na mnie jakiś wielki, niewidzialny obiekt. W końcu stwierdzam, że muszę wezwać lekarza, ale nie chcę zostawiać Charliego samego. Kiedy obejmuję go i biorę na kolana, wymiotuje na kanapę, ale nie budzi się. To przeraża mnie do reszty; zwykle straszliwie marudzi, kiedy mu niedobrze.

Dopadam do telefonu, wlokąc ze sobą Charliego, bo nie chcę zostawiać go nawet na sekundę. Wciąż się nie budzi i nagle dociera do mnie, że jest półprzytomny, może nawet w śpiączce. Przed oczyma staje mi wizja, jak siedzę do końca życia przy jego łóżku, puszczając mu piosenki z *Króla lwa* i modląc się, żeby się obudził. Dzwonię do przychodni, ale recepcjonistka nie jest zainteresowana, co mam do powiedzenia, zaczynam wrzeszczeć, a wtedy ona odkłada słuchawkę. Dzwonię jeszcze raz i mówię tak spokojnie, jak tylko potrafię, że Charlie jest chyba nieprzytomny i że jeśli nie połączy mnie z doktorem w ciągu pięciu sekund, przyjadę tam i pobiję ją. To nareszcie skutkuje i baba łączy mnie z lekarzem.

Na szczęście to ten sam, który był u nas dziś rano. Mówię mu, że Charlie wygląda mi na nieprzytomnego; przestraszony lekarz obiecuje, że zaraz przyjedzie. To jakieś dziesięć minut jazdy, ale mnie wciąż się zdaje, że powinnam coś zrobić, udzielić pierwszej pomocy, wykonać jakiś ważny zabieg, którego nie mogę sobie przypomnieć. Siadam w końcu na podłodze, tuląc Charliego i pograżając się coraz głębiej w bólu i strachu, który zdaje się dusić nas oboje jak ciężki koc. Przyjeżdża doktor, rzuca jedno spojrzenie na Charliego i czerwone kropki na jego szyi, po czym robi mu

największy zastrzyk z penicyliny, jaki w życiu widziałam. Wygląda to jak zastrzyki w głupich komediach - wielka igła i strzykawa pełna przezrystego płynu. Lekarz wbija igłę w udo Charliego i naciska tłok naprawdę mocno, ale Charlie nawet się nie porusza. Lekarz zaczyna grzebać w swojej torbie, odnajduje komórkę i wyciąga karetkę, podkreślając z naciskiem, że jest lekarzem i że to bardzo pilne. Tłumaczy bardzo szczegółowo, jak do nas dojechać. W jego głosie słychać strach, zauważam też, że trzęsą mu się ręce.

Siedzimy na podłodze: ja tulę i kołyszę Charliego, a lekarz trzyma go za rękę, próbując ukradkiem sprawdzać tętno. Pytam go, czy myśli, że to zapalenie opon mózgowych - ta nazwa czaiła się gdzieś głęboko w mojej świadomości, choć byłam zbyt przerażona, by zdać sobie z tego sprawę, dopóki nie wypowiedziałam tego na głos. Doktor kiwa głową. Spogląda na mnie i widzę w jego oczach strach. Charlie jest wciąż w piżamie, bladobłękitnej w białe paski; liczę je raz za razem, kiedy tak siedzimy całe wieki w milczeniu, dopóki nie dochodzi do nas dźwięk syreny. Jest siedemnaście białych pasków i szesnaście bladoniebieskich. Karetka podjeżdża i lekarz zaczyna rozmawiać szeptem z kierowcą. Niosę Charliego na podjazd. Jest tak ciężki, że ledwie mogę go unieść, ale nie chcę go oddać nikomu innemu.

Jazda karetką jest niesamowita. Sanitariusz nie dotyka Charliego, ale podaje mi maskę tlenową, żebym przytrzymała ją przy twarzy, siedzę więc, trzymając go na kolanach i usiłuję nie spaść na podłogę, ile razy karetka wchodzi w zakręt. Sanitariusz nie odzywa się. Możliwe, że nic nie może zrobić, a może jest po prostu kiepskim sanitariuszem, ale naprawdę chciałabym, żeby coś powiedział, dodał mi otuchy. Zjeżdżamy z głównej trasy do szpitala. Ruszam na izbę przyjęć; spodziewam się ekipy ekspertów biegnących truchtem na nasze spotkanie, ale drzwi są zamknięte i wszystko wygląda dziwnie pusto. Kładą Charliego na wózek i zostawiają w korytarzu. W końcu zjawia się pielęgniarka i mówi „Parawan numer trzy”, ale kiedy odsuwamy zasłonę, widzimy na łóżku jakiegoś mężczyznę. Spogląda na nas z oburzeniem, odpowiadam mu takim samym, groźnym spojrzeniem; znów стоимy w korytarzu, pielęgniarka waha się, co zrobić. Mijają minuty, a Charlie wygląda jeszcze gorzej niż w domu.

Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. W końcu dociera do mnie, że muszę coś zrobić, zbieram więc energię do kolejnej awantury i grożę, że zaskarżę szpital, jeśli ktoś nie zawoła

natychmiast pediatry. Łapię przechodzącego lekarza i żądam, żeby coś zrobił. Zgadza się zerknąć na Charliego, uważając mnie widocznie za upierdliwą matkę i mając nadzieję, że zaraz puszcze jego krawat. Mówię mu, że podejrzewam zapalenie opon mózgowych i nagle akcja nabiera tempa. Pielęgniarka mamrocze, że to nie jej wina, bo nikt jej nie powiedział, i rzuca mi wściekle spojrzenie. Mam już zacząć wrzeszczeć, kiedy na końcu korytarza pojawia się jakiś człowiek. Robi straszne zamieszanie, krzyczy na pielęgniarki i ogólnie zachowuje się jakby był właścicielem tego całego interesu. Uznaję, że to pewnie wyczekiwany specjalista. Albo bardzo elegancki pijak.

To rzeczywiście lekarz specjalista. Rzuca okiem na Charliego i zaczyna wrzeszczeć jeszcze głośniej. Przechodzimy na OIOM. Jakby znikąd zaczynają się pojawiać starsze pielęgniarki w niebieskich uniformach, z różnymi medycznymi aparatami. Lekarz, który przedstawił mi się jako pan O'Brien, żąda jak najwyższego wieszaka pod kroplówkę; pielęgniarki nie mogą znaleźć odpowiedniego, muszę więc stanąć przy Charliem, trzymając nad głową torbę z jakimś płynem i ściskając ją tak mocno, jak tylko zdołam, podczas gdy pan O'Brien wykrzykuje polecenia. W ciągu kilku sekund na piersi i nogach Charliego pojawiają się przerażające, czerwono-fioletowe, podobne do siniaków plamy; reszta jego skóry jest jasnoszara. Rozcięli mu pizamę, leży więc teraz nagi na białym prześcieradle, wydając z siebie nieartykułowane jęki, kiedy wbijają w niego igły. Widok jest tak straszny, że ledwie mogę oddychać.

Pielęgniarki ciągle próbują mnie namówić, żebym poszła posiedzieć w poczekalni, ale widziałam w telewizji za dużo filmów, żeby dać się na to nabrać - wiem, że jeśli tam pójde, stanie się coś straszego. Odmawiam i zostaję z Charliem, trzymając go za rękę i błagając w duchu, żeby się obudził; proszę tylko pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do moich rodziców. Pan O'Brien znika na chwilę, po czym wraca i mówi, że wezwał specjalistyczny zespół z Guy's Hospital w Londynie, bo takie przypadki są niezwykle rzadkie i wymagają konsultacji ekspertów. Ekipa ma przylecieć helikopterem.

Stoimy i czekamy w milczeniu. Charlie jest już cały pokryty koszmarnymi sińcami i wygląda jak po jakimś przerażającym wypadku. Nagle drzwi otwierają się z trzaskiem i do sali wchodzi najniższy lekarz, jakiego w życiu widziałam, ubrany w jasnopomarańczowy

kombinezon lotniczy, a za nim dwie pielęgniarki, też w kombinezonach. Rozlega się okropny trzask, kiedy otwierają ortalionowe torby pozapinane na rzepy, i zaczynają podawać sobie igły, leki, wypełniać formularze i zadawać mi pytania.

Wszyscy pozostali lekarze i pielęgniarki stoją pod ścianami i przyglądają się w pełnym uszanowania milczeniu. Napięcie zaczyna powoli opadać. Zjawia się dyrektor szpitala, przedstawia się i przyłącza do widowni. Kiedy nowy doktor uznaje, że opanował sytuację, zwraca się do mnie. Mam wrażenie, że przemawiał już w ten sposób do wielu przerażonych matek. Mówi, że nazywa się Steve Johnson i że ma zamiar zabrać Charliego na dziecięcą oddział intensywnej terapii w Guy's. Charlie ma jechać karetką, co będzie dla niego mniej ryzykowne niż helikopter. W tej chwili jest stabilny, ale jego stan może się bardzo gwałtownie pogorszyć i możliwe, że trzeba go będzie podłączyć do respiratora. Plamy na skórze to posocznica, rodzaj zakażenia krwi, i zdarza się bardzo często w tego typu przypadkach. Najbliższe dwanaście godzin zdecyduje o wszystkim.

Nie wolno mi jechać karetką z Charliem, bo nie będzie dla mnie miejsca, proponuje więc, żebym już w tej chwili wyruszyła do Guy's i obiecuje, że spotkamy się na miejscu. Jeszcze raz podkreśla, że mam nie panikować, jeśli zobaczę Charliego podłączonego do respiratora; to tylko mała rurka i można ją łatwo wyjąć. Uśmiecha się, próbując dodać mi otuchy, po czym znów poświęca całą uwagę Charliemu. Potakuję, słuchając tego wszystkiego, ale tak naprawdę mam ochotę powiedzieć: Nie panikować? Żartujesz, czy jak, do cholery? Do wyboru mam wrzaski i szloch albo cichą histerię w kącie, ale nie mogę nie panikować. Nie ma takiej możliwości. Może tobie wsadzimy rurę do gardła i tobie nabijemy takich strasznych siniaków - wtedy będziesz sobie mógł nie panikować do woli, a my z Charliem pójdziemy do domu. A ci wszyscy ludzie, którzy gapią się na moje nagie dziecko, niech się z łaski swojej odpięrzą i zostawią nas samych. Czuję ogromną potrzebę, by dać komuś w dziób albo coś rozwalić. Mam ochotę zrobić straszną scenę. Czy ci ludzie nie widzą, co się dzieje? Jak mogą być tacy spokojni? Czuję się kompletnie obezwładniona przez strach i gniew.

Mam rozpaczliwie wielką ochotę wyjść z tej sali i po prostu iść przed siebie, aż dotrę gdzieś, gdzie będę mogła klapnąć na ziemię jak kupa szmat. Ale nie mogę zostawić Charliego; po prostu

wiem, że słyszy, jak bez końca powtarzam jego imię. Mówię w kółko: „Jestem tutaj, mamusia tu jest, wszystko w porządku, mamusia tu jest, wszystko w porządku” - aż mnie samej robi się od tego niedobrze. Chcę się upierać, że pojedę w karetce, a z drugiej strony chciałabym po prostu uciec, co sprawia, że czuję się potwornie winna i samolubna. Mam też okropne przecucie, że nie chcę mnie w karetce na wypadek, gdyby nagle musieli przeprowadzić jakiś paskudny zabieg. Nawet nie chcę myśleć, na czym by to miało polegać.

Przyjechali rodzice. Widzę, że mama płakała, a tato jakby się skurczył, jest blady i przerażony. Chyba nigdy przedtem nie widziałam go przestraszonego, może raz, kiedy wjechałam na rowerze do rzeki. Stoi na środku sali, powtarzając w kółko, prawie szeptem „Biedne dziecko”, a mama tylko skubie chusteczkę i z rozpaczą wpatruje się w Charliego. Doktor podchodzi do taty, żeby z nim porozmawiać i ustalają, że powinniśmy już wyruszyć do Guy's, żebyśmy byli na miejscu, kiedy przyjedzie karetka. Tato zapewne się domyśla, że nie będę w stanie patrzeć, jak wywożą Charliego z sali.

Nie mogę zostawić Charliego tak bez słowa, a nie chcę się z nim żegnać, w końcu bełkoczę coś, że jadę teraz z dziadkiem, że zobaczymy się w szpitalu i że wszystko będzie dobrze. Niewiele mi brakuje do kompletnego załamania. Tato chwytą mnie za rękę i wywleka z sali. Mama ma zostać z Charliem, dopóki karetka nie będzie gotowa, a potem pojedzie do domu po rzeczy. Nie mam pojęcia, jakie to mają być rzeczy; ona też nie. Ale to nieistotne. Po prostu nie mogłabym go zostawić, gdyby nie było przy nim mamy. Widzę, że pozbierała resztki jego piżamy i stoi tak, zwijając je i rozwijając, i szepcze coś do niego.

Jazda do Guy's to istny koszmar; ruch jest nieprawdopodobny, a na dodatek fatalnie błędny. Ogarnia mnie nieprzeparta ochota, by taranować samochody, które zajeżdżają nam drogę i nie chcą przepuścić, a tato prowadzi jeszcze bardziej agresywnie niż zwykle. Wyprowadza dwie taksówki i piętrusa tak brawurowymi manewrami, że obojgu nam dech zapiera. Czuję narastającą panikę. Dociera do mnie, że nie jestem w stanie wytrzymać tak daleko od Charliego. Mój mózg wypełniają przerażające wizje tego, co może się z nim dzieć, kiedy my tu stoimy w korkach. Znajduję komórkę w torebce - nie pamiętam, żebym w ogóle brała torebkę. Może doktor poda ją sanitariuszowi.

Dzwonię do szpitala, gdzie mówią mi, że Charlie jest w drodze do Guy*s i że kiedy wyjeżdżał, jego stan był stabilny. Potem dzwonię do biura Leili i proszę, by przekazano jej wiadomość. Dzwonię też do Kate, która wybucha płaczem. Nie jestem w stanie wyliczyć, która godzina jest w Tokio, a zresztą i tak nie mam siły na więcej rozmów, siedzę więc w milczeniu, kiedy tato przezdiera się przez korki. W końcu odnajdujemy szpital, ale musimy zaparkować parę kilometrów od bramy. Zrobiło się już ciemno i bardzo zimno. Tato daje mi swoją kurtkę. Widzę, że trzęsie się z zimna, ale udaje, że mu gorąco i nie chce jej z powrotem. Żałowna z nas para, kiedy tak brniemy przez ciemne ulice, próbując odnaleźć wejście do szpitala. Kierując się strzałkami, docieramy na dziecięcy oddział intensywnej terapii, ale Charliego jeszcze nie ma. Przed oczyma staje mi koszmarny obraz desperackiej operacji na poboczu autostrady, ale w tej samej chwili drzwi oddziału otwierają się na oścież i wjeżdża Charlie na wielkim łóżku, podłączony do najróżniejszych kabli i rurek, ale - chwała Bogu - bez respiratora.

Lekarze i pielęgniarki otaczają go całą grupą i zaczynają poprawiać urządzenia i kroplówki. My stoimy z boku, wdzięczni, że aż tyle osób zajmuje się naszym małym chłopczykiem. Plamy na jego ciele wydają się teraz odrobinę mniejsze, ale jego widok, kiedy leży taki maleńki i chory, to zbyt wielki szok dla taty, który wybiega nagle z sali, mówiąc, że idzie poszukać czegoś do picia. Myślę, że po prostu płacze. To nie do zniesienia. W jakiś sposób łzy taty dobijają mnie do reszty i sama zaczynam płakać, trzymając Charliego za rękę. Doktor Johnson zauważa to i kładzie mi dłoń na ramieniu. Mówi, że wszystko idzie dobrze, sińce się zmniejszają i musimy po prostu czekać.

Przyjeżdżają Lizzie i Matt, więc tato postanawia pojechać po mamę. Przyrzeka, że zadzwoni później. Obejmuje mnie i Lizzie i rusza korytarzem, prawie biegiem.

Lizzie była przy narodzinach Charliego. Była pierwszą osobą po położnej, która trzymała go na rękach. Jest przerażona. Nie rozmawiamy ze sobą; siedzimy tylko i patrzymy na Charliego. Charlie budzi się w pewnym momencie i mówi: „Mamusię?” zupełnie jakby mnie szukał, chociaż patrzy prosto na mnie - przeraża nas to śmiertelnie i powoduje ciąg potwornych myśli. Zastanawiam się, jak to zniosę, jeśli obudzi się ślepy. Krótka odpowiedź brzmi: nie zniosę. Składam Bogu najróżniejsze śluby i obietnice,

przrzekam być lepszym człowiekiem, cokolwiek, byle tylko Charliemu dane było przetrwać to wszystko. To naprawdę śmieszne, bo zaczynam każdą obietnicę stwierdzeniem, że właściwie to nie jestem wierzącą osobą, ale to nie ma nic wspólnego z Charliem, który nie mówił poważnie, że jest poganinem. Nagle przychodzi mi do głowy, że jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to może być dla niego dość denerwujące, dodaję więc, że zrobię wszystko, czego zażąda, jeżeli tylko Charliemu nic się nie stanie i że to przecież nie jego wina, że ma matkę ateistkę. Jeśli to wszystko potrwa jeszcze trochę, to chyba zwariuję do reszty.

Przychodzi jakiś człowiek w garniturze i przedstawia się jako administrator szpitala. Mówi, że dzwoniła do niego z Nowego Jorku niejaka Leila, która stwierdziła, że szpital ma nie szczędzić żadnych kosztów na leczenie jej chrześniaka. Podziękował jej i wyjaśnił, że na intensywnej terapii nie ma żadnych dodatkowych, prywatnych udogodnień, a Charlie jest pod opieką jednego z najlepszych zespołów lekarskich na świecie. Mówi też, że Leila zostawiła wiadomość: cały czas jest pod komórką i prosi o telefon, bo odchodzi od zmysłów. Administrator podaje mi karteczkę z numerem. Lizzie idzie na poszukiwania telefonu, który można by przyciągnąć do łóżka Charliego - komórki są niedozwolone, bo mogą zakłócić pracę urządzeń. Kiedy wreszcie udaje mi się połączyć, Leila wybucha płaczem i szlocha w słuchawkę, że natychmiast wraca do domu. W końcu jakoś ją uspokajam i mówię, że to nie wchodzi w grę, bo i tak nic nie może zrobić. Przrzekam zadzwonić do niej, jak tylko będę miała jakieś wiadomości. Proszę ją, żeby namierzyła Macka w Tokio, obiecuje mi, że się tym zajmie. Dodaje, że i tak ma wracać jutro wieczorem i zadzwoni, kiedy tylko dotrze do domu. Znowu zaczyna płakać.

Charlie ma teraz własną pielęgniarkę, która siedzi na stołku w nogach łóżka i cały czas go obserwuje. Co chwilę ogląda jego dłonie i stopy, aż w końcu nie wytrzymuję i pytam ją, dlaczego to robi. Wyjaśnia, że w niektórych przypadkach dochodzi do niedokrwienia w najbardziej oddalonych od serca odcinkach i mogą wystąpić komplikacje. Przypominam sobie mętnie, że czytałam kiedyś o jakiejś nieszczęsnej kobiecie, która przy zapaleniu opon mózgowych straciła palce u rąk i nóg. Ogarnia mnie kolejna fala przerażenia. Przez następną godzinę masuję Charliemu stopy.

Doktor Johnson znowu do nas zagląda i wydaje się zadowolony ze stanu Charliego. Rozmawiając z nami, cały czas głaszcze Charliego

po ręce. Mówi, że gdyby sprawy miały przybrać naprawdę zły obrót, nastąpiłoby to już do tej pory. Twierdzi, że rokowania są bardzo dobre. Nie chcę myśleć, jak miałby wyglądać ten „zły obrót”. Nic gorszego już bym nie zniosła. Doktor mówi, że najbliższe godziny są decydujące, ale byłby zdziwiony, gdyby rano wszystko nie wyglądało o wiele lepiej. Wygląda na kompletnie wykończonego i chcę mu jakoś podziękować, ale nie potrafię znaleźć słów.

Lizzie pyta, czy nie chciałabym pójść na kawę, a ona i Matt posiedzą z Charliem. Wychodzę i znajduję poczekalnię dla rodziców - jest tu czajnik i przedziwna kolekcja kubków i słoików rozpuszczalnej kawy. Uderza mnie myśl, że ci wszyscy, którzy tu przychodzą, są tu na tyle długo, żeby kupić słoik kawy, ale za krótko, żeby ją zużyć. Nie wiem - dlaczego tak mnie to przeraża; nie chcę używać tych kubków i tej kawy, jakby były w jakiś sposób skażone. W pokoju jest jeszcze małżeństwo - oboje wyglądają na zdruzgotanych - i kobieta, która siedzi na krześle w kącie i płacze rozpaczliwie, cicho, jakby płakała od wielu godzin. Nie jestem w stanie na to patrzeć, nie chcę wiedzieć, co się stało ich dzieciom. Daję się ponieść samolubnemu instynktowi. Chcę tylko usiąść w ciszy, napić się kawy i myśleć o Charliem. Wychodzę i odnajduję automat z kawą i pokój, gdzie mogę zapalić papierosa.

Siedzę w brzydkiej, małej palarni, gapiąc się na własne stopy. Nagle do pomieszczenia wchodzi młoda pielęgniarka, siada i zapala gorączkowo papierosa. Wygląda na wykończoną. Chcę być uprzejma, zagajam więc, że pewnie bardzo ciężko pracować z tak chorymi dziećmi. Okazuje się, że to duży błąd. Pielęgniarka rozpoczyna przerażającą opowieść, jak to w Boże Narodzenie musiała zawieźć zmarłą dziewczynkę do kostnicy, a jej mama biegła za nią korytarzem z różowym kocykiem, bo nie chciała, żeby mała zmarła.

- To dziwne - mówi. - Rodzice często tak robią. Nie chcą, żeby ich dzieci zmarły.

Czuję, że serce mi się kurczy ze strachu i pędzę z powrotem na oddział. Lizzie i Matt siedzą po obu stronach łóżka Charliego, trzymając go za ręce. Zajmują miejsce Matta, ale oszczędzam im opowieści o zmarłym dziecku.

W pewnej chwili wchodzi pielęgniarka i mówi, że jest do mnie telefon. Dzwoni Mack. Słysząc go, jakby był milion kilometrów ode mnie, a na linii jest jakieś dziwne echo - brzmi to trochę,

jakbyśmy rozmawiali w jaskini. Mack mówi, że przekazano mu wiadomość o chorobie jego synka i kazano zadzwonić na podany nowojorski numer. W końcu udało mu się złapać Leile, która wyjaśniła, że nie chodzi o Alflego, a o Charliego. Nic nie mówi, ale i tak wiem, że czuje się winny - na pewno odetchnął z ulgą, że to nie Alfie. Proponuje, że przyleci do domu, jeśli go potrzebuję. Głos zaczyna mu się trząść, więc pocieszam go, że rokowania są dobre. Mówię też, że w życiu nie byłam bardziej przerażona i oczywiście chciałabym, żeby wrócił, ale nic tu nie poradzi, a ja chcę tylko siedzieć z Charliem, dopóki się nie obudzi. Obiecuję zadzwonić do niego, jak tylko będę miała jakieś nowiny. W końcu Mack mówi, żebym wracała do Charliego. Żegnamy się.

Nie mam pretensji do Macka, że poczuł ulgę na wiadomość, że chodzi o Charliego. Doskonale go rozumiem. Sama przyłapuję się na myśli, że chciałabym, żeby to był Alfie. Jestem przerażona, jak łatwo przyszłoby mi prehandlować Alfiego za własne dziecko.

Personel zmienia się na dyżurze i nasza nowa pielęgniarka, Karen, proponuje, żeby Lizzie i Matt pojechali do domu trochę się przespać. Kładę się na niskim polowym łóżku, które ustawiono dla mnie w sali. Charlie wciąż jęczy cicho, chcę go przytulić, ale wtedy w urządzeniach monitorujących włączają się alarmy. Karen wyłącza je, mówiąc, że Charlie wygląda na spokojniejszego, kiedy go przytulam i że będzie go miała na oku. Nie chcę się z nim kłaść do szpitalnego łóżka, bo wydaje mi się to jakoś nie w porządku, więc w końcu biorę go ze sobą na polowe łóżeczko - co jest kompletną głupotą, jako że łóżko jest male. potwornie niewygodne i niezbyt stabilne. Ale przynajmniej mogę go przytulać. O trzeciej nad ranem Karen wychodzi po herbatę i grzankę dla **mnie**; zjadam, leżąc obok Charliego, upuszczając okruchy najego głowę i patrząc, jak oddycha. Ostatni raz piłam herbatę i jadłam grzanki w szpitalu, kiedy Charlie się urodził. Chciałabym się przespać, ale boję się zamknąć oczy.

Z samego rana lekarze przychodzą na obchód. Wszyscy mówią, że Charlie zrobił niesamowite postępy i że możemy się teraz przenieść do zwykłego pokoju, gdzie będzie pod obserwacją. Jeśli jego stan się nie pogorszy, za kilka dni będziemy mogli go przenieść z powrotem do naszego szpitala. Wszyscy są niezmiernie zadowoleni, bez przerwy dotykającego stóp i uśmiechają się. Sińce na skórze Charliego są już prawie niewidoczne i dwa razy

prawie się obudził. Chciałabym, żeby oni wszyscy sobie poszli, bo uczucie ulgi robi się tak przytłaczające, że mam ochotę płakać.

Mamroczę podziękowania i wbijam wzrok w Charliego, dając im do zrozumienia, że chciałabym z nim zostać sama. Nikt się jednak nie obraża. Lekarze wychodzą, dotykając po kolei mojego ramienia, jakby chcieli mnie uspokoić. Nagle Charlie otwiera oczy i pyta:

- Dlaczego na suficie jest Piotruś Pan?-Ogarnia mnie strach, że to objaw jakiegoś uszkodzenia mózgu, ale kiedy spoglądam w górę, widzę Piotrusia Pana, Wendy i Kapitana Hooka. Obrazki są na wszystkich ścianach i całym suficie, ale przedtem ich nie zauważyłam. Charlie zasypia z powrotem, ale uśmiecha się leciutko. Siedzę obok, płacząc cicho. Chwilę potem zjawia się Lizzie. Mówię jej, że Charlie się obudził i zobaczył Piotrusia Pana. Ona też zaczyna płakać.

Przenosimy się do zwykłego pokoju - cudownie mieć wreszcie drzwi, żeby móc odciąć się od reszty szpitala. Mamy też telewizor i łazienkę, a Lizzie zorganizowała telefon. Potrzebujemy mnóstwa drobnych, które Lizzie wyczarowuje z torebki. Przyniosła też bajgle z wędzonym łososiem i termos kawy. Charlie budzi się na chwilkę, zupełnie przytomny. Jest słaby, ale upiera się, że chce usiąść. Serce mi się ściska, kiedy widzę, jak go to męczy. Zasypia z powrotem niemal natychmiast, ale odzyskał już prawie normalny kolor skóry. Otwierają się drzwi i pielęgniarka wpuszcza posłańca w kombinezonie motocyklowym. Kurier ma przesyłkę od Leili i ściśle instrukcje, że ma ją oddać wyłącznie do rąk własnych - inaczej Leila go zabije. Wielka paczka zawiera dwie butle wody mineralnej, eleganckie czekoladki, bladoliliowy szal z kaszmiru, kilka miniaturowych buteleczek wódki i dżinu, pistolet na wodę w kształcie dinozaura, plastikowy karabin maszynowy i dwie paczki czekoladowych ciastek. Idealnie. Wypijam jedną wódkę, wypróbowując karabin. Lizzie wychodzi do pracy, ale obiecuje, że wróci później.

Zjawia się kolejny posłaniec, tym razem z ogromnym, pluszowym osłem i kartką z biura, z życzeniami wszystkiego najlepszego. Osioł ma na szyi tabliczkę, na której Barney napisał: „Mam na imię Kulas”. Nie mogę uwierzyć, że zapamiętał ulubiony dowcip Charliego. Wybucham płaczem. Dzwonię do niego i dowiaduję się, że Leila go o wszystkim zawiadomiła i że dzwonił do niej co

dwie godziny, by sprawdzić, jak się sprawy mają, bo nie chciał zawracać mi głowy. Nie mogę się powstrzymać i płaczę w słuchawkę, co Barney znosi bardzo dzielnie. Mówi, że mam prawo być w szoku, ale że najgorsze już minęło; Charlie i ja potrzebujemy teraz tylko dużo spokoju i wypoczynku. Przypominam sobie jak przez mgłę, że kilka lat temu jedno z jego dzieci przechodziło jakąś poważną chorobę, z której wywiązało się zapalenie płuc i wszystko razem trwało wiele tygodni. Barney jest bardzo spokojny i dodaje mi otuchy, a właśnie tego najbardziej potrzebuję. Opowiada, że nawet Lawrence jest przejęty i zaoferował się, że pójdzie kupić osła. Musiał odwiedzić całą masę sklepów, zanim znalazł najzwyczajszego pluszowego osła.

Po rozmowie z Barneyem czuję się o wiele lepiej. Dzwonię do biura Leili. Nie bardzo wiem, która jest teraz godzina w Nowym Jorku, ale podejrzewam, że jest środek nocy, proszę ich więc, żeby zadzwonili do niej o jakiejś przyzwoitej porze, podziękowali za paczkę i przekazali dobre nowiny. Próbuję złapać Macka, ale jego hotel nie potrafi go zlokalizować, zostawiam tylko wiadomość. Charlie budzi się i mówi, że chce pić. Mogę mu teraz podać pyszną wodę mineralną, zamiast ohydnej, letniej kranówki z plastikowego dzbanka przy łóżku. Charlie pije kubek za kubkiem, aż nagle zauważa karabin. Jest zachwycony i natychmiast odkrywa, że zabawka wydaje ohydne dźwięki. Potem dostrzega pistolet na wodę i każe go sobie napełnić, po czym zalewa wodą cały pokój. Oblewa też pielęgniarkę, która wtyka głowę zza drzwi, żeby sprawdzić, jak się miewamy. Zasypia, ściskając mocno w jednej ręce pistolet, a w drugiej karabin.

Przyjeżdżają rodzice. Tato niesie ogromny kosz owoców, zza którego widać mu tylko ręce i nogi, kiedy wtacza się przez drzwi. Mama przyniosła tyle jedzenia, że można by nakarmić cały szpital; kupiła też w M&S kilka kompletów bielizny do spania. Charlie jest zachwycony nową piżamą z Bartem Simpsonem, odrzuca za to gustowne frotowe komplety, mówiąc, że są nudne. Rodzice namawiają mnie, żebym zrobiła sobie przerwę, poszła na spacer, kupiła nowy samochód - cokolwiek, bylebym tylko stąd wyszła. Nagle dociera do mnie, że dla nich to był podwójny stres. Martwili się nie tylko o wnuka, ale i o córkę, i odetchną spokojnie dopiero wtedy, kiedy oboje z Charliem będziemy już w domu i kiedy wszystko wróci do normy. Oboje wyglądają jak przepuszczeni przez wyżmaczkę.

W końcu zgadzam się wyjść z tatą, napić się kawy i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. W tym czasie mama siedzi z Charliem, który oblewają oczywiście wodą ze swojego nowego pistoletu. Idąc w stronę szpitalnej bramy, czuję się zupełnie dobrze, ale nagle wszystko wokół zaczyna mnie przytłaczać. Tylu ludzi biegnie gdzieś w pośpiechu - ogarnia mnie nieodparte pragnienie, by mówić im wszystkim, jacy z nich szczęściarze. Chwała Bogu, opamiętuję się jakoś. Przychodzi mi do głowy, jak łatwo można stać się jedną z tych osób, które chodzą po ulicach, mamrocząc coś pod nosem. Mam ochotę biec z powrotem do Charliego, ale tato zmusza mnie. Żebym usiadła, zjadła kanapkę i napiła się kawy. W pewnej chwili orientuję się, że łyż płynami po policzkach. Czuję się trochę tak, jakby to ktoś inny płakał, nie ja. Po prostu siedzę sobie i piję kawę, a łyż nie chcą przestać płynąć. Tato głaszcze mnie po ręce i mówi:

- Już w porządku, kochanie. Jedz kanapkę. - łyż powoli wysychają. Potem wracamy do szpitala i dowiadujemy się, że Charlie znów zasnął.

Po południu czuje się o wiele lepiej, a jego skóra odzyskała prawie normalny kolor. Ciągłe jest jednak słaby i zasypia po najmniejszym wysiłku. Co dwie godziny trzeba mu podawać leki, więc w ręce ma wenflon, który bez przerwy się zatyka i wstrzykiwanie czegokolwiek sprawia mu ogromny ból. Jego krzyk, kiedy trzymam go przy każdej iniekcji, będzie mnie prześladować do końca życia. Pielęgniarki które zaglądają od czasu do czasu są oddziału wewnętrznego, a nie z intensywnej terapii, i dość nieprzyjemna z nich banda. Rzadko odzywają się do Charliego, a mnie traktują jak zawalidrogę. Dziwi mnie to, bo pielęgniarki z intensywnej terapii wydawały się wręcz zachwycone, jeśli rodzice chcieli siedzieć przy dziecku i zachęcały ich do rozmów i czytania bajek, nawet jeśli dziecko było nieprzytomne.

Wieczorem zjawia się pielęgniarka z agencji, w innym uniformie niż personel szpitalny, i odmawia robienia jakichkolwiek zastrzyków, skoro wenflon sprawia Charliemu taki ból. Mówi:

- Nic się nie przejmuj, żabko, zaraz to załatwimy. - Wzywa doktora, który znieczulił Charliemu rękę, umieszcza wenflon w innym miejscu i okazuje się, że wszystkie lekarstwa wchodzi bez problemu. Dziękuję jej, a Charlie mówi, że może być jego pielęgniarką już na zawsze. Jestem wściekła, że inne pielęgniarki nie załatwiły tego wcześniej, a jeszcze bardziej złoścę się na siebie,

że ich do tego nie zmusiłam. Mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś ktoś im zrobi całą masę zastrzyków przez zablokowany wenflon i nie będzie zwracał uwagi na ich wrzaski.

Charlie znów zasypia. Dzwonię do Kate i zapoznają ją z bieżącym stanem rzeczy. Kate mówi, że wszyscy w szkole są bardzo zmartwieni, a pani Pike poprosiła dzieci, żeby narysowały obrazki specjalnie dla Charliego. Proponuje, że przyjedzie, jeśli czegoś potrzebujemy, ale mówię jej, że niedługo pewnie i tak wrócimy do naszego szpitala, a poza tym nie wiem, jak bardzo to zaraźliwe. Kate odpowiada, że według pracowników miejscowego sanepidu jeden przypadek to jeszcze za mało, żeby wysłać do szkoły nakaz i łądować wszystkim profilaktycznie końskie dawki antybiotyków. Poza tym antybiotyki podobno i tak nie działają na najgorszą odmianę zapalenia opon, a już w ogóle nie mają wpływu na posocznice. Wszyscy mają więc po prostu zachować spokój i uważnie obserwować swoje dzieci. Co oczywiście nadzwyczajnie wszystkim pomogło - Kate mówi, że ma ochotę pojechać tam specjalnie i dać komuś w gębę. Nasz lekarz domowy jest oblegany przez zaniepokojonych rodziców, którzy żądają antybiotyków na wszelki wypadek. Dodaje jeszcze, że obie z Sally sąw pogotowiu, więc jeśli tylko okaże się, że czegoś potrzebuję, mam do nich natychmiast zadzwonić. Naprawdę nie wiem, jak bym to wszystko przetrwała bez wsparcia tylu osób. Czuję, że za chwilę wygłoszę dziękczynną mowę, jak na rozdaniu Oscarów, żegnam się więc i obiecuję przekazać Charliemu całusy od Jamesa. Od Phoebe też, choć obie wiemy, że potwornie go to zdenerwuje.

Rozlega się pukanie; przeklinam cicho, mając nadzieję, że Charlie się nie obudzi. Otwieram drzwi i stoję twarzą w twarz z Maćkiem. Wygląda na wykończonego; ma ze sobą swój podróżny bagaż i ogromną firmową torbę British Airways, w której jest cała masa różnych samolocików i wielki miś w mundurze pilota. Wybucham płaczem i nie jestem w stanie powiedzieć nic sensownego. Mack wyjaśnia, że po prostu nie mógł tak siedzieć w Tokio i nic nie robić. Powiedział na lotnisku, że to sytuacja kryzysowa, dzięki czemu udało mu się wsiąść w pierwszy samolot do domu. Kiedy urzędniczka na lotnisku usłyszała jego historię, umieściła go w pierwszej klasie i poinformowała o wszystkim całą załogę. W trakcie lotu wszyscy przychodzili po kolei i wręczali mu firmowe zabawki British Airways, żeby zabrał je do szpitala. Nawet pilot przyszedł na słówko; powiedział, że siostra jego przyjaciela

przechodziła wiele lat temu zapalenie opon mózgowych. Wyzdrowiała całkowicie, a teraz sama ma trójkę dzieci i mieszka w Hastings. Taka rozmowa z pilotem to trochę niesamowita sprawa, choć niby wiadomo, że w tym czasie samolot pilotuje przecież ktoś inny.

Mack przyznaje, że plecie od rzeczy i mogę go kopnąć, jeśli chcę, żeby się zamknął, ale to wszystko z radości. Dowiedział się od pielęgniarki, że Charlie czuje się bardzo dobrze, a poza tym cieszy się, że mnie widzi. Przytula mnie bardzo mocno i bardzo długo; w końcu siadamy przy Charliem, czekając, aż się obudzi. Naradzamy się z doktorem. Mówi, że na tym etapie nie ma już ryzyka infekcji, bo Charlie dostał przez ostatnią dobę potężną dawkę antybiotyków, teraz pewnie nie zaraziłby nawet noworodka. Ale jeśli Mack się niepokoi, może dostać krótką serię silnych antybiotyków. Ja już przesłałam taką kurację, tak samo jak i mama, tato, Lizzie i Matt, bo mieliśmy kontakt z Charliem zaraz po tym, jak się rozchorował. Upieram się, żeby Mack też je wziął, na wszelki wypadek. Kiedy łyka pierwszą tabletkę, przypomina mi się ostrzeżenie pielęgniarki, że ten lek ma czasem interesujący efekt uboczny i barwi „płyny ustrojowe” na pomarańczowo, i że szkła kontaktowe mogą na trwałe zrobić się pomarańczowe. Mack mówi, że nieważne, jakiego będzie koloru, jeśli dzięki temu nikt więcej nie zachoruje, a Charlie będzie miał przynajmniej ubaw, kiedy się obudzi.

Charlie budzi się w końcu i jest zachwycony wszystkimi nowymi zabawkami, ale wkrótce zasypia znowu. Mam ochotę położyć się przy nim i utulić go, i może przy okazji też się chwilę przespać, ale nie chcę wyganiać Macka. Jakimś sposobem Mack wyczuwa moją rozterkę. Oznajmia, że pójdzie do domu trochę odpocząć i odwiedzi nas rano. W drzwiach spotyka Lizzie, która cieszy się, że wreszcie ma okazję go poznać. Rzuca mu się na szyję, po czym zażenowana tłumaczy, że to z radości - bo to cudownie, że Charlie tak dobrze się czuje; gdyby Mack widział go wczoraj w nocy, nie uwierzyłby własnym oczom. Nagle głos jej się łamie, jakby miała się za chwilę rozplakać. Mack żegna się z nią i rusza korytarzem w złym kierunku. Wygląda, jakby nie był zupełnie przytomny po długiej podróży i zmianie czasu. Pokazujemy mu właściwy kierunek. Lizzie siada popilnować Charliego, aja drzemię w fotelu. Budzę się, kiedy Charlie pryska mi wodą prosto w twarz i krzyczy:

- Obudź się, mamusiu! Pobudka!

Jest już o wiele silniejszy, może dłużej siedzieć i zaczyna rozstawiać nas wszystkich po kątach. Szpitalne jedzenie jest zimne i obrzydliwe, więc mama biega w tę i z powrotem z talerzami, jak uczestniczka jakiegoś teleturnieju kulinarnego. Charli stawia pierwsze, chwiejne kroki, ten widok jest dla mnie prawie nie do zniesienia. Na szczęście wpadam na szafkę przy łóżku i tłukę sobie boleśnie kolano, co na chwilę odwraca moją uwagę od wszystkiego innego.

- Mamusiu, powiedziałaś przekleństwo.

- Nieprawda, kochanie. Chcesz, żebym ci pomogła chodzić?

- Coś ty, sam umiem chodzić. Nie jestem przecież małym dzieckiem.

- Wiem, kochanie, ale byłeś chory i możesz się czuć trochę słabo.

- Tak, byłem chory. Ale teraz mi lepiej i już się tu nudzę, mamusiu. Mogę dostać Turbo Zorda z Power Rangers? To by mnie rozweseliło.

Jeśli o mnie chodzi, to może dostać całą cholerną kolekcję Power Rangers, ale zdaję sobie sprawę, że byłby to niebezpieczny precedens. Negocjujemy więc całe wieki, ile zabawek może sobie kupić, kiedy już wrócimy do domu. Wpada Leila prosto z lotniska; udaje jej się nie rozplakać, a nawet pożartować z Charliem. Po południu zjawia się Mack i mówi, że Laura zna jakiś specjalny eliksir antystresowy i przygotowuje go dla mnie, a na razie przesyła mnie i Charliemu gorące pozdrowienia. To bardzo miło z jej strony, choć nie mam przekonania co do eliksiru, bo jedyne, czego mi teraz potrzeba do szczęścia, to alergiczna reakcja na jakąś nieznaną roślinę. Alfie i Daisy pytali, czy Charlie musiał dostać dużo zastrzyków, a kiedy Mack powiedział im, że tak, bardzo mu współczuli. W końcu Mack postanawia załatwić nam magnetowid do pokoju, żeby Charlie mógł oglądać filmy. Zajmuje mu to niecałą godzinę - podejrzewam, że to rekord, a już szczególnie w szpitalu tak zawałonym jak ten. Mack dzwoni do wypożyczalni i dwadzieścia minut później zjawia się postaniec z wielką paczką filmów Disneya. Charlie jest pod wrażeniem i radośnie usadawia się, żeby obejrzeć *Piotrusia Pana*.

Doktor Johnson oznajmia, że Charlie może wziąć resztę leków w naszym szpitalu, że absolutnie nic mu już nie grozi. Zbiera mi się na płacz, a doktor, starając się nie pokazać po sobie wyruszenia, mówi:

- Och, wie pani. To nasza praca. Całe szczęście, że tak wczesnie dostał penicylinę, to bardzo ważne w takich przypadkach. Dobra robota. - Najgorsze jest to, że ja nawet nie wiedziałam, że trzeba mu podać antybiotyk. Wiedziałam tylko, że muszę ściągnąć tego przekłętego lekarza. Czuję się jak oszustka, kiedy wszyscy ciągle mnie chwalaą, jak dobrze sobie poradziłam.

Mack proponuje, że zawiezie nas do naszego szpitala, ale okazuje się, że musimy skorzystać ze szpitalnego transportu i jechać z pielęgniarką. Zresztą do Macka i tak mają przyjść na weekend dzieciaki; przekonuję go, żeby trzymał się swoich planów, bo wiem, że się stęsknił za dziećmi, a one za nim. A ja i tak chcę побыć trochę sama z Charliem. Rodzice i Lizzie będą cały czas pod ręką, a gdybym czegoś potrzebowała, mogę w każdej chwili wezwać Leilę.

Przenosiny do miejscowego szpitala zamieniają się w farsę, kiedy rano okazuje się, że nie ma czym jechać: ani Guy's ani nasz szpital nie ma ochoty płacić za karetkę. W końcu dzwonię po taksówkę i oznajmiam, że sama sobie zapłacę. Wszystkich bardzo to denerwuje, ale karetka jakimś cudem się znajduje. Kiedy przyjeżdżamy do szpitala, przed oczyma staje mi wspomnienie naszego ostatniego pobytu tutaj; przez chwilę stoję oniemiała i kompletnie rozbita. Zostajemy wprowadzeni na oddział dziecięcy; hałas jest nieprawdopodobny, bo po całym oddziale biegają rozwrzeszczane dzieci. Za biurkiem siedzi pielęgniarka, ale pije właśnie herbatę i nie zwraca na nas uwagi. Pielęgniarka, która przyjechała z nami z Guy's nie ma zamiaru tracić czasu. Podchodzi do biurka i wciska tamtej w ręce teczkę z dokumentami, po czym całuje Charliego i pośpiesznie idzie z powrotem na dół, do karetki, zanim kierowca zdecyduje się wracać do Guy's bez niej.

Z jednej z sal wychodzi nagle siostra oddziałowa w masce na twarzy i oznajmia, że poddadzą nas kwarantannie i nie wolno nam tak sterczeć na korytarzu. Nie wolno nam też pod żadnym pozorem opuszczać pokoju, żeby nie pozarażać innych dzieci. Cały oddział spogląda na nas z przerażeniem, jakbyśmy przywlekli jakąś zarazę, i Charlie zaczyna płakać. Tego mi już za wiele. Mówię jej, że w Guy's nie stosowali żadnej kwarantanny, bo uznali, że Charlie już nie zaraża. Oddziałowa rzuca mi typowe pielęgniarskie spojrzenie, dając mi do zrozumienia, że ma gdzieś moje niefachowe opinie i że w jej szpitalu mam robić, co mi każe.

Urządzą mi się z Charliem w naszym nowym pokoju i zaczynam właśnie czytać mu bajkę, kiedy stanowczym krokiem wcho-

dzi siostra, wciąż w masce i kitlu, i oznajmia, że mam poczekać na zewnątrz, kiedy ona będzie mierzyć Charliemu temperaturę. Mówię jej, że nie wyjdę. Charlie robi bardzo przestraszoną minę i mocno trzyma mnie za rękę. Dodaję, że według mnie jej zachowanie jest absolutnie nie do przyjęcia i że straszy Charliego. Żądam, żeby natychmiast przyprowadziła lekarza. Pielęgniarka wygląda, jakby zbierała się do kontrataku, więc wstaję i na szczęście okazuje się, że jestem o głowę wyższa od niej. Podchodzę w milczeniu do drzwi i otwieram je, dając jej do zrozumienia, żeby wyszła. Kobieta trzęsie się ze złości. Ja zresztą też. Idzie prosto do biurka i podnosi słuchawkę. Podejrzewam, że dzwoni po ochroniarzy, żeby nas wyrzucili. Okazuje się jednak, że wezwała pana O'Briena, który zjawia się nagle, wściekły jak chmura burzowa. Otwiera z trzaskiem drzwi i wpada do pokoju, spodziewając się widocznie jakiejś niebezpiecznej wariatki. Rzuca okiem na Charliego i pyta:

- Dlaczego mnie nie zawiadomiono, że ten pacjent przyjechał? Przecież wyraźnie prosiłem, żeby mnie poinformowano. - Siostra mamrocze coś pod nosem i zaczyna perorować na temat konieczności zastosowania kwarantanny. O'Brien wbija w nią wzrok, oświadcza, że nie ma absolutnie żadnej potrzeby kwarantanny i każe jej natychmiast zdjąć maskę i kitel. W końcu siada na łóżku i głaszcze Charliego po nodze, gawędząc z nim o Power Rangers i o pistoletach na wodę. Ten człowiek naprawdę ma podejście do dzieci.

W tym czasie siostra stoi w kącie, sina z wściekłości; widzę, że tylko czeka, aż pan O'Brien sobie pójdzie, żeby zacząć kampanię odwetową. Jestem bliska łez. Nagle wchodzi Lizzie i jakimś cudem domyśla się, co się dzieje. Spogląda groźnie na oddziałową i mówi, że zadzwonimy po nią, jeśli będziemy czegoś potrzebować. Siostra oddziałowa po raz kolejny zostaje wyrzucona z pokoju. Nie mogę wprost uwierzyć, że moja mała siostrzyczka potrafi być taka władcza. Nawet pan O'Brien spogląda na nią z podziwem. Lizzie siada i zaczyna gawędzić z Charliem, jakby nic się nie stało.

Pan O'Brien nie ma jakoś ochoty wychodzić i wyraźnie cieszy go, że Charlie tak dobrze się czuje. Mówi, że od tej pory możemy mu podawać leki doustnie i zarządza w szpitalnej aptece, żeby przysłano nam butelkę. Pierwszą dawkę podajemy Charliemu razem. Lekarstwo smakuje według niego jak rzygi, ale jest lepsze niż zastrzyki. Pan O'Brien bardzo delikatnie wyjmuje mu z ręki wenflon i w miejscu, gdzie była igła, przyklepia specjalny plasterek

z uśmiechniętą buźką. Biedna rączka Charliego jest cała czerwona i spuchnięta, ale wyjęcie wenflonu wydaje mi się niemal symbolicznym gestem; muszę udawać, że chcę umyć ręce i podchodzę do zlewu w kącie, żeby nikt nie zauważył moich lez. Pan O'Brien głaszcze Charliego po głowie i mówi, że zajrzy do nas jeszcze rano, a jeśli wszystko będzie w porządku, to już jutro możemy wracać do domu.

Całuję go - tak po prostu - co ogromnie zawstydzia nas oboje. Charlie zaczyna tańczyć na łóżku i mimo najlepszych chęci mojej siostry spada na podłogę i wybucha płaczem. Uspokaja się, kiedy Lizzie obiecuje, że pójdzie poszukać telewizora. Pan O'Brien wychodzi z uśmiechem na twarzy. Kolację przynosi młoda pielęgniarka, bez maski i bardzo miła. Nabieram podejrzeń, że może nie jest tu zbyt lubiana i inne pielęgniarki przysłały ją, żeby zobaczyć, jak ją wyrzucam z pokoju. Siostra w nieskończoność poprawia koce na łóżku Charliego, obiecuje przynieść mu lody i załatwić telewizor na wózek.

Mama urządza nam uroczystą kolację. Biedactwo zaczyna się powoli zamieniać w firmę cateringową. Nie mogę wprost uwierzyć, że jutro stąd wychodzimy. Leżę na połowym łóżku, o wiele wygodniejszym niż poprzednie, próbuję zasnąć, ale nie mogę. Patrzę, jak wstaje świt, i nie czuję już kompletnie nic poza ogromną ulgą. Pan O'Brien zjawia się bardzo wcześniej i mówi, że naprawdę możemy wracać do domu. Dzwonię do mamy, taty i Lizzie, by przekazać im dobre nowiny. Lizzie obiecuje, że zadzwoni do wszystkich i da im znać, żeby nikt nie wybrał się tu z wizytą. Rodzice przyjeżdżają samochodem pełnym baloników. Charlie uważa, że to wspaniałe. Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, odkrywamy, że Kate i Sally wysprzątały cały dom od strychu po piwnicę, mama zapełniła lodówkę jedzeniem, a tato rozpałił w kominku i narąbał całą stertę polan i ułożył obok kuchennych drzwi. Cudownie być w domu. Z wyjątkiem kilku łzawych momentów wszyscy jesteśmy bardzo dzielni i udaje nam się nie rozplakać. W końcu mama i tato wychodzą; muszę ich długo przekonywać, że poradzimy sobie z Charliem sami. Po ich odjeździe czuję się trochę niepewnie i żałuję, że nie pozwoliłam im zostać. Charlie jest bardzo szczęśliwy i krąży po pokojach, jakby nie mógł do końca uwierzyć, że jesteśmy w domu. Szybko się męczy i po kolejnej dawce lekarstwa zasypia w moim łóżku, bo „No wiesz, byłem chory i muszę być w twoim łóżku, gdyby choroba wróciła”. Siedzę przy komin-

ku i próbuję jakoś poukładać sobie w głowie to wszystko, co się stało przez kilka ostatnich dni, ale nie potrafię.

Po południu wpada Kate z bukietem kwiatów i dużą butelką ginu. Przynosi też całą masę kartek - bodajże od całej wioski - i mnóstwo rysunków ze szkoły. Ściska mnie bardzo wzruszona i próbuje przytulić Charliego, ale nie jest specjalnie chętny, Kate musi więc poprzestać na pogłaskaniu go po głowie.

Nalewam sobie dużego drinka z zapasów dostarczonych przez Kate i zaczynam szlochać. Po prostu nie mogę przestać. Ogień gaśnie, wpęlam więc w końcu do łóżka, na wpół ślepa od łez i potwornie zmarznięta. Charlie porusza się, spogląda na mnie i mówi:

- A, to ty. Dobrze, bo już myślałem, że to któraś z tych okropnych pielęgniarek.

- Nie, kochanie. Koniec z pielęgniarkami. - Pociągam nosem, próbując opanować kolejną falę łez.

- Nic ci nie jest, mamusiu? Masz dziwny głos.

- Nie, nic mi nie jest, kochanie.

- To dobrze. Mamusiu, wiesz, co to Power Rangers?

- Mniej więcej.

- No, a nie byłoby świetnie mieć ich wszystkich?

- Tak. A teraz już śpij.

Charlie podrywa się i siada.

- Naprawdę, mamusiu? Możemy kupić wszystkich? To genialnie, James ma tylko czworo. Och, kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham. - Znów pociągam nosem.

Charlie wtula się pod kołdrę i po kilku minutach śpi. Zajmuje większość łóżka, całą kołdrę i trzy z czterech poduszek. Ale uśmiecha się przez sen i oddycha spokojnie, głęboko. Leżę tak, patrząc na niego, i w końcu sama zasypiam.

10. *Krajobraz po burzy*

Stopniowo przyzwyczajamy się do tego, że znów jesteśmy w domu. Przez cały tydzień usiłuję radzić sobie jakoś z niezliczonymi wizytami bliższych i dalszych sąsiadów i z fatalnym zachowaniem Charliego. Z najmniejszego powodu dostaje wściekłych

ataków złości, rzuca zabawkami, przeklina i bez przerwy opowiada mi, jaki był chory. Starsza pani mieszkająca trzy domy dalej przynosi nam upieczony przez siebie dziwaczny, pochyły tort z imieniem Charliego wypisanym niebieskim lukrem. Tak mnie to wzrusza, że wybucham płaczem, a ona trzyma mnie bardzo długo za rękę, powtarzając, jak jej było przykro, że taka straszna rzecz przydarzyła się takiemu urocemu chłopcu. Uroczy chłopiec właśnie się wścieka, bo nie chce tortu, ale starsza pani dobroduszenie to ignoruje. Charlie w końcu potyka się o dywanik w korytarzu i przewraca jak długi. Wrzeszczy tak głośno, że szyby dzwonią. Sąsiadka uśmiecha się i powoli wędruje z powrotem uliczką.

Mama i tato w końcu się uspokajają i przestają nas odwiedzać codziennie. To dla mnie wielka ulga, bo mama za każdym razem przynosiła ogromne ilości jedzenia i prawie się obrażała, jeśli wszystko nie było zjedzone przed jej powrotem do domu. Jedzenie było nawet całkiem dobre, tyle że dość tuczące. Jeśli utuczę się jeszcze trochę, już nigdy nie zmieszczę się w moją małą czarną.

Przyjeżdża Mack. Po drodze zahaczył o Hamleys, ale na szczęście zauważam jego przybycie przed Charliem i powstrzymuję go od wręczenia wszystkich prezentów; boję się, że Charlie wystrzeli na orbitę i będę miała problemy ze ściągnięciem go z powrotem. W głębi serca pragnę dać mu wszystko, o co prosi, ale - pomijając już kwestię finansowej ruiny - wiem, że tak naprawdę potrzeba mu jak najszybszego powrotu do normalnego stanu rzeczy. Pytam Kate i Sally, co o tym myślą, i Sally zapoznaje mnie z bardzo interesującą teorią, że kupowanie dzieciom zbyt wielu prezentów tak naprawdę jest dla nich bardzo niebezpieczne. O wiele lepiej nie dawać im nic i poświęcić więcej uwagi, niż kupować tony zabawek i telewizory. Kiedy wytykam jej, że William przecież ma własny telewizor, mówi, że owszem, ale miała do wyboru albo to, albo go zabić. Za to w zeszły weekend odmówiła mu kupna nowego kompletu lego i dąsał się przez dwa dni. Wyrażam jej swoje współczucie i opowiadam, jak poprzedniego dnia Charlie dostał godzinnego napadu wściekłości, bo nie chciałam kupić mu strzelby.

Mack też przywiózł ze sobą jedzenie i niegrzecznie byłoby mu powiedzieć, że przed chwilą była tu mama z trzy daniowym obiadem. Mack musi jutro być w biurze i planuje wyjechać bladym świtem, próbujemy więc położyć Charliego wcześniej spać. Oczywiście mści się to na nas fatalnie, bo o wpół do jedenastej Charlie

wciąż bryka po domu, śpiewając i opowiadając dowcipy. Mack staje na wysokości zadania i mówi, że poczyta mu bajkę, żeby go trochę wyciszyć. Moim zdaniem niewielkie ma szanse, ale zgadzam się z radością. Mack wraca na dół pół godziny później i oznajmia bardzo zadowolony z siebie:

- Nie trwało to długo. Śpi jak suseł i wygląda na to, że będzie tak spał co najmniej ze dwie godzinki.

- Świetnie. Jesteś pewien, że nie udawał? Wczoraj wieczorem tak zrobił, a kiedy już miałam wyjść na paluszkach, usiadł i krzyknął: „Nabrałem cię!” O mało nie dostałam zawału.

-Nie, sprawdziłem.

-Genialnie.

- Tak, i bardzo tanio.

- Jak to tanio?

- Och, do diabła. Miałem nie mówić. No więc, zawarliśmy umowę. On idzie spać, a ja dam mu piątaka, kiedy się zobaczymy następnym razem.

- Mack, to okropne.

- Nieprawda. Będę to stosował tylko w wyjątkowo trudnych sytuacjach, tak jak to robię z Alftem i Daisy. Prawdę mówiąc, Daisy zaczyna być w tym całkiem niezłą; teraz już prosi o gotówkę z góry.

- Tym gorzej dla ciebie; wydasz na nich fortunę.

- Bardzo możliwe. A skoro już o tym mowa, tobie też przywiozłem prezent. Jest w samochodzie.

Otwiera kuchenne drzwi, przez chwilę wpatruje się w ciemność i mówi nagle:

- Chryste, ktoś ukradł samochód.

-Co?

- Zobacz, nie ma go.

Spoglądam na podjazd i rzeczywiście nie widzę nic, ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo na wsi w nocy jest naprawdę ciemno. Zapalam światła przed domem i samochód wyłania się z mroku.

-Och, no jasne. Dzięki.

Mack wraca z małym, eleganckim pudełkiem; w środku leży para pięknych klipsów. Są trochę podobne do tych, które pożyczyła mi Kate, tylko ładniejsze. Proste srebrne krzyżyki z zielonymi kamieniami.

- Mack, są piękne. Dziękuję.

- Pomyślałem sobie, że powinnaś mieć własne.

Wydaje się lekko zażenowany, zakładam więc klipsy i obracam się wokół, mówiąc, że to najmilszy prezent, jaki w życiu dostałam. W końcu daję mu całusa, który zaczyna się jako całus na podziękowanie, ale szybko zmienia się w coś zupełnie innego. Kombinacja požądania i zmęczenia jakimś cudem sprawia, że wszystko jest jeszcze doskonalsze niż zwykle. Czuję, że zbiera mi się na płacz. Mack bardzo łagodnie prosi, żebym opowiedziała mu całą historię od samego początku. Opowiadam i kończy się na tym, że szlocham w jego ramionach; kiedy się wreszcie uspokajam, idziemy do łóżka. W środku nocy budzi mnie zapłakany Charlie i mówi, że miał okropny sen o zastrzykach. Pocięszam go razem z Maćkiem, który zaczyna mu opowiadać bardzo nudną historię o łodziach - historia jest idealna, bo zasypiamy wszyscy troje, a potem jest już piąta trzydzięści i Mack próbuje się ubrać po cichu, żeby nikogo nie obudzić.

Schodzę na dół i robię kawę.

- Świetna opowieść żeglarska.

- Tak, to jedna z moich specjalności. Gwarantuje uspienie każdego małego złośnika. Nigdy nie musiałem mówić dłużej niż dziesięć minut.

- Wyobrażam sobie. Chcesz grzanek?

- Nie, dzięki. Lepiej nie ryzykować alarmu przeciwpożarowego.

- Bardzo śmieszne.

Macham mu na pożegnanie, i przez chwilę wyobrażam sobie, że jestem gospodynią domową, wyprawiającą męża i żywiciela jak co dzień do biura. Ale szybko mi przechodzi, bo pomijając już wszystko inne, nie mam na nogach odpowiednich kapci. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam kapci, tylko ohydne, oblepione zaschniętym błotem buty do pracy w ogrodzie, które leżały przy drzwiach. Wracam do łóżka i właśnie zasypiam, kiedy budzi się Charlie.

- Dokąd pojechał Mack?

- Do pracy.

- Cholera.

- Charlie, proszę cię, przestań używać tego głupiego słowa.

- Nie dostałem pieniędzy, a teraz on zapomni.

Nie chcę dać się wciągać w przekupstwo Macka, bo jeśli się wieszam, Charlie będzie próbował dziś wieczorem namówić

mnie na to samo. Ale nie chcę też, żeby pomyślał, że Mack jest niesłowny.

- Kiedy wychodził, kazał ci powtórzyć, że nie zapomnieliśmy o umowie i załatwicie to przy następnej okazji. Chociaż zupełnie nie wiem, co to ma znaczyć.

Charlie wzdycha z ulgą i mówi:

- W takim razie wszystko w porządku. Mamusiu, co na śniadanie? Jestem głodny jak wilk. Muszę teraz mnóstwo jeść. No wiesz, byłem bardzo chory.

Rozmawiam z Leilą i próbuję ją przekonać, żeby przestała przysyłać prezenty przez kurierów, choćby dlatego, że mój garaż wypełnił się małymi białymi kuleczkami ze styropianu, które przychodzą w każdej paczce. Ile razy uda mi sięje wreszcie pozamykać w workach na śmieci, wpada Charlie i uwalnia je z powrotem. Garaż przypomina teraz gigantyczną wersję plastikowej kuli, którą się potrząsa, żeby w środku padał śnieg. Leila rozumie mnie doskonale i podobno wynalazła wspaniałą książkę o pourazowych stresach. Wynika z niej, że najważniejszy jest jak najszybszy powrót do zwykłego trybu życia. Ona na przykład chodzi na zakupy kiedy tylko może, i radzi mi, żebym robiła to samo, bo to naprawdę pozwala zapomnieć o nieprzyjemnych rzeczach. Zgadzam się, ale tłumaczę jej, że w moim przypadku działa to trochę inaczej. Jeśli zacznę sobie dogadzać rajdami po sklepach, będę miała dodatkowy problem, kiedy z banku zaczną mi przysyłać listy z prośbkami.

W miarę upływu czasu Charlie robi się trochę spokojniejszy i ataki wściekłości nie są już takie częste, choć wciąż przerażające. Zdarza się, że kiedy go przytulam albo kiedy czytam mu bajkę, pyta nagle, dlaczego zachorował: czy zrobił coś złego? I czy mogę mu obiecać, że to się nie powtórzy? Odbywamy długie dyskusje o zarazkach i o tym, że miał po prostu pecha, i chyba przyjmuje to do wiadomości, ale ja jestem wykończona po takich rozmowach. Nie mogę znieść, kiedy widzę, jaki jest zmartwiony i przestraszony. Sally rozmawiała ze swoją przyjaciółką, Mel, która jest dziecięcym psychologiem. Mel mówi, że najróżniejsze zaburzenia zachowania są dość powszechne u dzieci, które przeszły poważną chorobę. Jedynie, co można zrobić, to po prostu przeczekać. Nie wyobrażam sobie, jak rodzice radzą sobie z przewlekłymi chorobami. To musi

być coś strasznego. Wiem, miałam ogromne szczęście, ale jednocześnie czuję się ciężko doświadczona przez los, choć w zasadzie nie mam powodu. Obwiniam się, że go zawiodłam, że nie potrafiłam go ochronić i że bez przerwy myślę o własnych uczuciach, zamiast skoncentrować się na nim. Czuję się okropnie, że mam mu za złe jego napady gniewu i strachu, bo przecież wszystko mogło się skończyć o wiele gorzej. Ale złości mnie to bardziej ze względu na niego niż na mnie samą. A kiedy patrzę, jak się wścieka, czuję się, jakbym znowu go zawodziła. W głębi duszy wiem, że nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Kiedy twoje najgorsze koszmary zaczynają się spełniać, dociera do ciebie, jak kruche jest życie. Będę musiała naprawdę bardzo się starać, żeby nie stać się nadopiekuńcza matką. Chciałabym owinąć go w koce i trzymać w domu przez następne dziesięć lat,*ale zdaję sobie sprawę, że nie byłoby to rozsądne. I pewnie niezgodne z prawem.

Nasz lekarz domowy, doktor Bennett, przyjeżdża zbadać Charliego i robi się bardzo miły, kiedy przekonuje się wreszcie, że nie mam zamiaru go pozwać za błędną diagnozę. Charlie jest przerażony wizytą lekarza i upiera się, żeby nieszczęsny doktor opróżnił torbę i odniósł wszystkie igły i strzykawki z powrotem do samochodu. Kiedy już ma pewność, że nie dostanie żadnych zastrzyków, uspokaja się trochę, ale wciąż jest nieufny i trzyma mnie bardzo mocno za rękę. Doktor stara się jak może, jest miły i próbuje nawet żartować, ale Charlie nie daje się nabrać i ze zmrużonymi oczyma śledzi każdy jego ruch. Doktor daje Charliemu zezwolenie na powrót do szkoły i jeszcze raz rzuca jakiś żarcik, ale w końcu stwierdza, że lepiej już pójdzie.

Kiedy go wyprowadzam, mówi:

- Pierwsze objawy zawsze bardzo trudno zauważyć. Musimy polegać na rodzicach i mieć nadzieję, że zdążą nas zawiadomić, zanim będzie za późno.

Uważam, że to nie w porządku.

- Więc gdyby stało się coś strasznego, to by była moja wina?

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Wcale nie to miałem na myśli.

- Wiem. Ale tak to wyszło.

- Aleja naprawdę tak nie myślałem. Prawdę mówiąc, wciąż się czuję dość fatalnie w związku z tą sprawą. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

- No tak. W każdym razie już po wszystkim, i nic mu nie jest.
- Faktycznie, klockami rzuca dość celnie.
- Tak, przepraszam za to.

- Nic nie szkodzi, bywało o wiele gorzej, proszę mi wierzyć. Kiedyś jeden szkrab paskudnie mnie ugryzł, chociaż jego mama chciała tylko przedłużyć receptę. Naprawdę, nie mam słów, jak bardzo się cieszę, że Charlie tak dobrze się czuje.

Doktor rusza podjazdem do samochodu. Kiedy wracam do salonu, widzę Charliego przyczajonego pod oknem: udaje, że strzeła mu w plecy.

Pierwszy dzień Charliego w szkole okazuje się o wiele trudniejszy, niż się spodziewałam. Mnóstwo rodziców przyszło pod bramę szkoły, żeby się przywitać i życzyć mu wszystkiego dobrego. Zjawia się pani Pike i nie przeszkadza jej zupełnie, że Charlie niemal ją przewraca, rzucając jej się w ramiona. Nagle na scenę wkracza pani Harrison-Black i krzyczy:

- A, jesteś, młody człowieku. Naprawdę, aleś nas wszystkich nastraszył. Biedny doktor Bennett nie mógł się opędzić od przerażonych rodziców. Mówiłam im, żeby nie przesadzali, ale wiesz, jacy są ludzie. No, ale jesteś już z powrotem, zdrow jak rybka.

Charlie chowa się za mną i robi niepewną minę, jakby został oskarżony o to, że specjalnie wystraszył całą szkołę. Mam wielką ochotę powiedzieć jej, żeby się odpieprzyła, nie zważając na długofalowe konsekwencje przeklinania przy dzieciach, ale pani Pike mówi swoim nauczycielskim, donośnym głosem:

- Wystarczy, Betty. Cóż za niefortunne ujęcie sprawy. Pani Harrison-Black tak naprawdę chciała ci powiedzieć, Charlie, że miło znów cię widzieć w szkole i że brakowało nam twojego ślicznego uśmiechu. A teraz, kochanie, czy chciałbyś zostać dzisiaj moim specjalnym pomocnikiem i zadzwonić za mnie na lekcję?

Wszyscy stojący w pobliżu rodzice aż się zachłystują ze zdumienia, kiedy pani Harrison-Black zostaje nazwana Betty. Listy komitetu rodzicielskiego zawsze podpisuje „Pani Robertowa Harrison-Black”, co jest przekomiczne. Teraz wreszcie wiemy, dlaczego tak robi. Po prostu imię Betty nie jest według niej wystarczająco szacowne. Zawsze wiedziałam, że pani Pike potrafi być śmiertelnie niebezpieczna, jeśli zachodzi taka potrzeba, ale to chyba jej największy triumf. Pani Harrison-Black czerwienieje na

twarży i niemal biegiem rusza do samochodu. Kiedy przebiega obok, Kate mówi:

- Do widzenia, Betty. - Genialnie.

Charlie rzuca się w stronę dzwonka, który zwykle jest trzymany poza zasięgiem młodszych uczniów. Nie jestem pewna, czy pani Pike na pewno chciała, żeby dzwonił tak głośno i tak długo, ale śmieje się, wrywając mu dzwonek z ręki. Wszyscy uśmiechają się pobłaźliwie, a wiele osób przytula swoje pociechy czulej niż zwykle. To trochę jak w tym filmie *Głęboko, prawdziwie, do szaleństwa*, kiedy Alan Rickman opowiada o zmarłej dziewczynce. Jej rodzice ustawili na jej ulubionym placu zabaw ławeczkę z plakietką „Dla Rosie, która lubiła się tutaj bawić”. I każdy rodzic, który to przeczyta, wzrusza się, idzie do swojego dziecka i przytula je mocno przez długą chwilę. Ja też chciałabym przytulić teraz mocno Charliego, ale jest zbyt zajęty bieganiem w kółko. W końcu idzie grzecznie do klasy, trzymając panią Pike za rękę i od czasu do czasu podskakując.

Umówiliśmy się, że odbiorę go w przerwie na lunch, bo pani Pike uważa, że cały dzień mógłby się okazać trochę za długi jak na pierwszy raz. Jestem bliska płaczu i Kate obejmuje mnie ramieniem. Nie mogę wprost uwierzyć, że znów jestem sama, że małe dziecko nie obserwuje każdego mojego ruchu. Postanawiamy pojechać do mnie, w razie gdyby dzwonił ze szkoły. Kiedy już jesteśmy na miejscu, opowiadam Kate całą historię i znów się rozklejam. Ale na szczęście wkrótce mamy dość rozmowy o tym, co mogło się stać i jakie to z nas szczęściary, że mamy zdrowe dzieci. Przechodzimy do ciekawszych tematów: plotek i skandali. Umawiamy się, że od tej pory przy każdej okazji będziemy panią Harrison-Black nazywać Betty. Kate opowiada mi też, że na balecie w zeszłym tygodniu omal nie doszło do bójkki, kiedy pani Bates dowiedziała się, że jej córeczka, Sophie, nie dostała roli w zbliżającym się przedstawieniu. Sophie tańczy jak mały słonik i uznano, że nie nadaje się do roli gladiolusa. Phoebe ma być żonkilem, ale nie chce założyć żółtego kostiumu.

Nie cierpimy pani Bates, bo jest despotyczną snobką. Poza tym czasami przyjeżdża po Sophie ubrana w trykotowe spodnie i nie wygląda w nich grubo. Ale najgorsze jest to, że nie smakowała jej sałatka, którą Sally zrobiła na szkolny piknik.

Prawdziwy dramat rozegra! się na ostatnim zebraniu komitetu rodzicielskiego w sprawie walki z analfabetyzmem, kiedy ktoś

wytknął, że w ulotce informacyjnej były dwa błędy ortograficzne. Ćwiczenia przeciwpożarowe też nie poszły dobrze, bo pani Pike zapomniała, że to ćwiczenia; tak się przejęła, że musiała potem chwilę poleżeć w pokoju nauczycielskim. W trakcie ćwiczeń zagięli trzej chłopcy z szóstej klasy i znaleziono ich w sekretariacie, skąd próbowali zadzwonić na party-line dla dorosłych. Nagle okazuje się, że już pora odebrać Charliego, pędzę do szkoły w o wiele lepszym nastroju.

Charlie jest wściekły.

- Mamusiu, pani Pike powiedziała, że chce posłuchać, jak ładnie czytam. I kazała mi czytać, chociaż byłem taki chory.

- To chyba fajnie, co? Przecież uwielbiasz czytać, kochanie.

- Tak, ale się bawiłem i byłem zajęty.

- No trudno, musisz przywyknąć, że znów chodzisz do szkoły, i jestem pewna, że pani Pike ci pomoże.

- Pani Pike to głupia rura.

- Charlie, przecież uwielbiasz panią Pike.

- Kiedyś uwielbiałem, ale teraz myślę, że jest głupią rurą.

- Nie wygłupiaj się. Porozmawiajmy o czymś innym. Co chcesz na lunch? Możesz dostać co zechcesz.

- Homara.

- Charlie, przestań się wygłupiać

- Wcale się nie wygłupiam. Myślę, że byłoby fajnie i że potrzebuję homara, żeby się wzmocnić. Jestem słaby jak niemowlę.

Nie mam pojęcia, skąd on bierze takie zdania. W końcu zgadza się na ser i krakersy posmarowane masłem, ale nie za grubo, i brzoskwinie na deser. Popołudnie mija nam wśród układanek i klocków. Podaję wczesną kolację; makaron zostaje określony jako wstrętne łajno, ale okazuje się, że da się go zjeść, skoro na deser jest placek czekoladowy, który upiekłam po południu, żeby uciec od klocków. Wydaje mi się, że zaczynam mieć alergię na lego: za każdym razem, gdy widzę sterty klocków na podłodze, ogarnia mnie nieprzeparta ochota, żeby zgarnąć je wszystkie do kosza. Placek jak zwykle wyszedł płaski, zupełnie inny niż na obrazku w książce. Możliwe, że jej autorka jest mniej zestresowana niż ja i nie musi chować głowy przed fruującymi klockami. Charlie zjada placek, ale pyta, czy następnym razem możemy mieć prawdziwy, ze sklepu.

Kładę go do łóżka o siódmej trzydzieści, ale czuję się tak, jakby była północ. Po raz setny muszę mu czytać cholerne, nudne,

dziecinne książeczki. Odkrył je ostatnio i chce, żeby mu je w kółko czytać. Udaje, że parska drwiąco na infantylną fabułę i powtarzające się zdania w stylu „Kocham cię, mały misiu”, ale tak naprawdę je uwielbia. Kiedy zasypia, patrzę, jak śpi. Dociera do mnie, że naprawdę kocham go bardziej niż własne życie, ale do tej pory nie wiedziałam, co to właściwie znaczy. To wszystko bardzo piękne, ale zdaję sobie też sprawę, że jestem na granicy wytrzymałości, a jutro muszę się zebrać i pójść do supermarketu i jeszcze postarać się jak najszybciej o jakąś robotę, bo inaczej kierownik mojego oddziału banku dostanie zawału.

Dzwoni Barney i oznajmia, że zlecenie z latającym fortepianem może wypalić. Jeśli się na to piszę, chciałby, żebym przyszła w piątek do biura i przejrzała z nim scenariusz. Nie chce tego robić z Lavrence'em, bo Lawrence na pewno będzie panikował.

- Wiesz przecież, jaki on jest. Myślę, że kombinacja fortepianu z basenem to dla niego zbyt wiele.

- Z jakim basenem?

- No, popracowałem trochę nad scenariuszem. Teraz fortepian zjeżdża po schodach, goniąc kelnera, i obaj lądują w basenie.

- Barney, ty chyba żartujesz. To będzie koszmar.

- Tak, prawdopodobnie. Ale i niezła zabawa. I chyba wymyśliłem, jak to zrobić. No, prawie. Resztę wymyślę w trakcie.

- No, to rzeczywiście miła odmiana.

W piątek rano Edna przyjeżdża popilnować Charliego. Nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie zacznie go dokarmiać i codziennie przychodziła odwiedzić swojego chłopczyka. Między nią i mamą wywiązała się nawet swego rodzaju rywalizacja, jeśli chodzi o domowe wypieki.

Przyjeżdżam do biura i przekonuję się, że to zlecenie będzie koszmarne. Ale będzie też wymagało przynajmniej trzech dni w studiu, co zapewne bardzo ucieszy mój bank. Lawrence próbuje być miły i pyta o Charliego. Szybko jednak przychodzi do siebie i robi się strasznie cięty, kiedy odwracam moje biurko, żeby nie stało przodem do ściany w najciemniejszym kącie. Mówi, że to burzy całą nową aranżację mebli w biurze i bardzo się irytuje, aż w końcu Barney staje za nim i zaczyna robić miny. Lawrence

orientuje się, co jest grane, wychodzi obrażony na lunch i wraca dopiero o piątej. Barney ma na jutro umówione kolejne spotkanie z agencją w sprawie filmu z fortepianem, da mi znać, jeśli zlecenie zostanie zatwierdzone, żebym mogła zacząć wszystko nagrywać. Twierdzi, że na pewno dostaniemy tę robotę, bo podobno nikt inny nie chce się tego podjąć. To oczywiście dodatkowa zachęta dla Barneya, który bez przerwy robi niezrozumiałe dla nikogo szkice planu. Przeprowadza też rozmowy z kaskaderami - wszyscy są szurnięci i dwa razy pytają mnie, czy umiem nurkować z akwalungiem.

Mack przyjeżdża z dziećmi w sobotę na podwieczorek. Wszystko idzie dobrze, z wyjątkiem jednego, pełnego napięcia momentu, kiedy to rozstrzyga się los ostatniego kitkata. Muszę pamiętać, żeby już nigdy nie kupować niczego, co dzieli się na sześć części, kiedy na podwieczorku ma być pięć osób, a trzy z nich to dzieci. Próbuję ich przekonać, że nie chcę swojego kitkata, ale moje oświadczenie zostaje odrzucone jako ewidentne kłamstwo. Zostaje jeden wolny kitkat. Mack proponuje, żeby dostał go Charlie, bo niedawno chorował. Charlie uważa, że to świetny plan, ale Alfie robi płaczliwą minę. Proponuję więc kompromisowe rozwiązanie i dzielę kitkata na trzy części, pod czujnym okiem dzieci, które pilnują, żeby każdy kawałek był tej samej wielkości. Rezultat zostaje zaakceptowany przez komisję i pokój zostaje przywrócony. Próbuję też podtrzymać przyjazne stosunki z Daisy i komplementuję jej różową bluzkę. Ucieszona Daisy wyjaśnia mi, że jej mamusia też taką ma. Ale potem dodaje, że w moim rozmiarze chyba ich nie robią, gdybym i ja taką chciała.

Po podwieczorku dzieci oglądają filmy na wideo, a ja i Mack próbujemy wykombinować, kiedy moglibyśmy się znów spotkać.

- Pewnie nie ma szans, żebyś przyjechała do mnie?

- Nie, przykro mi.

- Jestem pewien, że Charliemu nic by się nie stało.

- Tak, ja też tak myślę. Ale nie mogę. Przepraszam, Mack, ale po prostu nie jestem jeszcze gotowa, żeby go zostawiać. Może za kilka tygodni. No wiesz, będę teraz pracować; i tak będę dość długo poza domem.

- Wiem. Ale chciałbym spędzić z tobą trochę czasu sam na sam. Może udałoby się nam wyjechać na weekend przed świętami?

- Może. Zobaczymy, jak to wyjdzie.

Widzę wyraźnie, że nie jest z tego wszystkiego zadowolony i myśli, że trochę za bardzo trzęsę się nad Charliem. Ale bardzo się stara nie pokazać tego po sobie.

- Wiem, że to nie jest idylla, Mack, ale potrzebuję czasu, jeszcze się z tym wszystkim nie uporałam. Charlie też.

- Oczywiście, no coś ty. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem, nie ma sprawy. Ja przyjadę do ciebie. To żaden problem. - Obejmuje mnie i mamy się właśnie pocałować, kiedy do kuchni wpada Daisy. Jest wściekła na Alfiego, który powiedział, że w drodze powrotnej będzie siedział na przednim siedzeniu, bo tatuś mu obiecał, chociaż to jej kolej.

Mack robi spanikowaną minę i okazuje się, że rzeczywiście obiecał obojgu jazdę na przednim siedzeniu. Idiota. Wybucho drobna awantura, w którą wielkim upodobaniem wtrąca się Charlie - oznajmia, że on chce siedzieć z przodu, choć nigdzie się nie wybiera. Proponuję, żeby zatrzymali się w połowie drogi i zamienili miejscami. Mack spogląda na mnie z wdzięcznością. Ostatecznie przyjmują takie rozwiązanie i odjeżdżają. Charlie natychmiast wybucho płaczem, mówiąc, że on też chciał jechać i przez całą drogę siedzieć z przodu, i że chce jeszcze jednego kitkata. By go uspokoić, przez pół godziny muszę głaskać go po plecach. Zасыpia w moich ramionach; uziemiona na kanapie nie mogę się ruszyć. W końcu udaje mi się dźwignąć na nogi i zanieść go na górę, do łóżka. Jestem tak wykończona, że sama idę od razu spać, ale po chwili Mack budzi mnie telefonem. Mówi mi, że zamiana miejsc nie całkiem się udała, bo Alfie odmówił współpracy, uczeplił się drzwi i trzeba go było wyciągać siłą. Daisy się wściekła i zażądała, by Alfie resztę podróży odbył w bagażniku. Teraz oboje śpią w jego łóżku i wyglądają jak dwa aniołki.

- A ja jestem wykończony, i nie mam zdrowia się szarpać z nimi o kawałek kołdry.

- A nie możesz iść do łóżka dla gości?

- Ostatnio próbowałem. Te małe gnojki i tak przyszły w nocy, a to łóżko jest o połowę węższe od mojego. Prawdę mówiąc, myślałem raczej o piętrowym łóżku. Gdybym wlaź na górę, pewnie bym ich zgubił.

- Świetny plan. Ale uważaj, kiedy ostatnio spałam na piętrowym łóżku, wypadłam w środku nocy i o mało się nie zabiłam. Kate i ja zabrałyśmy kiedyś dzieci na weekend na barkę. To było piekło.

-Nie wątpię. Co wam strzeliło do głowy?

- W folderze wyglądało na świetną zabawę, a Kate uwielbia łądzie. A przynajmniej myślała, że uwielbia, dopóki nie pojechaliśmy na ten weekend. Ale zaczęło padać, dzieci dostały biegunki, i wszędzie były miliony komarów. Od gryzienia powstrzymywały je tylko farby do twarzy Phoebe. Wszyscy wyglądaliśmy jak postacie z *Czasu Apokalipsy*. Brakowało nam tylko starego Marlona, żeby co dwadzieścia minut powtarzał „To straszne, straszne”.

-Zdaje się, że to był niezapomniany weekend.

- Prawdziwa bajka. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wrócić do łóżka. Idź, wdrap się na koję, przywiąż do poręczy i wciągnij drabinę. Zadzwoń do mnie jutro i opowiesz, czy poskutkowało.

Charlie nie ma ochoty iść do szkoły. Muszę mu urządzić śniadanie z Buzzem i Woodym i obiecać placek na podwieczorek - tym razem „prawdziwy”, ze sklepu. Kiedy wreszcie udaje mi się go wsadzić do samochodu, zjawia się Ted ze swoim wózkiem i blokuje podjazd. Charlie wyskakuje z samochodu i błaga go o podwiezienie do szkoły na pace furgonetki. Ted robi minę, jakby miał się zgodzić, muszę więc szybko interweniować - mówię mu, że to niezgodne z prawem. Wywiązuje się długa i skomplikowana dyskusja, czy można postawić nasz rząd przed trybunałem w Strasburgu z powodu jawnego pogwałcenia praw dzieci, którym zabrania się jeździć na wózkach mleczarskich.

Cały dzień schodzi mi na organizowaniu ludzi i sprzętu do filmu z fortepianem, ale na razie prowizorycznie, bo wciąż nie mamy ostatecznej daty. Odbieram Charliego ze szkoły i jadę do domu, zahaczając po drodze o stację benzynową. To maleńka, ciasnna stacyjka z dwoma dystrybutorami i zwykle jej unikam, bo starsza pani w kasie nie przepada za kartami kredytowymi - nie potrafi obsługiwać terminalu. Pociągam za dźwigenkę otwierającą wlew benzyny; klapka odskakuje trochę bardziej energicznie niż zwykle i spada z zawiasków. Udaje mi się założyć ją z powrotem, ale zwisa krzywo, nie chce się zatrzasać i okropnie zgrzyta, kiedy próbuję ją choćby przymknąć. Starsza pani wychodzi, żeby mi pomóc - walnięta pięścią klapka zamyka się w końcu, ale jestem pewna, że to tylko chwilowe. Zastanawiam się, czy pomoc drogowca zgodziłaby się przyjechać do nieposłusznej klapki przy wlewie

paliwa, uznają jednak, że chyba nie to mieli na myśli, kiedy szumnie nazywali się „pogotowiem motoryzacyjnym*¹”. Chociaż sama już nie wiem, co mieli na myśli, jeśli wziąć pod uwagę ostatnie doświadczenia Kate, kiedy to przyjechali po dwóch godzinach, stwierdzili, że nie naprawiają przebitych kół i zostawili ją na poboczu w ulewnym deszczu.

Postanawiam, że pojedę raczej do warsztatu, który prowadzi serwis mojego samochodu. Przez całą drogę prześladowają mnie wizje odpadającej klapki, która rani przejeżdżającego motocyklistę, który wjeżdża w tył naszego samochodu i powoduje wybuch baku, który zamienia nas w przypalone grzanki. Charlie wyczuwa, że coś jest nie tak.

- Czy to jakaś awaryjna sytuacja, mamusiu?

- Nie.

- To dlaczego nie możemy jechać do domu?

- To nie jest awaryjna sytuacja, ale musimy to naprawić.

- Więc to jednak coś w rodzaju awaryjnej sytuacji. Świetnie. Cholera, dupa, gnojek, fiut. Mówiłaś, że można przeklinać tylko w awaryjnych sytuacjach, więc przekląłem. Mam też nowe słowo. Chcesz usłyszeć?

- Nie.

- Pipa.

- Charlie!

- To moje nowe słowo. Zdaje mi się, że tak się mówi na idiotkę albo na to, co mają dziewczyny.

- Zgadza się. Ale nigdy więcej tak nie mów. To nie jest ten rodzaj awaryjnej sytuacji. Prawdę mówiąc, to w ogóle nie jest żadna awaryjna sytuacja. Zachowujesz się bardzo głupio.

Charlie spogląda na mnie z oburzeniem i nie chce wysiąść z samochodu, kiedy przyjeżdżamy do warsztatu. Biegnę do działu serwisowego i krzyczę:

- Klapka mi się nie zamyka! - Jednocześnie zerkam przez ramię, czy Charlie nie wysiadł z samochodu i nie zakradł się do myjni. Dopiero po fakcie orientuję się, że wykrzykiwanie „Klapka mi się nie zamyka” do bandy znudzonych mechaników to niezbyt dobry pomysł. Kiedy już przestają się śmiać, podchodzą wszyscy do samochodu, pomrukując pod nosem i kręcąc głowami, po czym stwierdzają, że trzeba będzie lakierować całą karoserię, a wszystko będzie trwało miesiącami i kosztowało fortunę. Mówię im, żeby przestali pieprzyć, albo wypuszczę z samochodu Charliego, który

jest zmęczony i lada chwila dostanie ataku złości. Nagle staje się cud i okazuje się, że poradzi sobie jeden człowiek z małym śrubokrętem. Klapka zostaje założona na zawiaski, nasmarowana - otwiera się i zamyka, jakby nic jej nigdy nie dolegało. Dziękuję im wylewnie i wyjmuję portmonetkę, żeby im zapłacić, ale mówią:

- Och, nie trzeba, to w ramach gwarancji. - Co chwilę rzucają niepewnie okiem na Charliego, który otworzył drzwi i wrzeszczy ile sił w płucach:

-Jestem głodny! Jestem głodny! - Każę mu się zamknąć, dziękuję mechanikom i wracam do samochodu.

Charlie i ja wrzeszczymy na siebie przez dziesięć minut, po czym w nieskończoność dyskutujemy, co będzie na podwieczorek. Docieramy nareszcie do domu, parkuję samochód, a Charlie, wysiadając, bardzo mocno wali drzwiami. Klapka przy wlewie otwiera się gwałtownie, kiwa przez chwilę i w końcu spada w rabatkę. Dzwonię do warsztatu i rozmawiam z mechanikiem, którego poznałam pół godziny temu. Umawiamy się, że jutro rano zostawię samochód. Robię kolację w bardzo złym humorze i wylewam sobie wrzątek na rękę, odcedzając makaron. Przez chwilę cierpię w wymownym milczeniu, ale Charlie nic nie zauważa, więc kończy się na tym, że zawodzę nad moją obolałą ręką, a Charlie użala się nade mną. Potem czuję się winna, że stosuję takie żałosne sztuczki. Kąpiel trwa całe wieki, ale w końcu pakuję go do łóżka. Kiedy już mam spokój, nalewam sobie dzin z tonikiem i natychmiast zasypiam. Koło północy budzi mnie telefon. Słyszę w słuchawce wycie cierpiącego zwierzęcia i zrywam się jak rażona prądem. Przez chwilę wydaje mi się, że to jakiś dziwny wiejski zboczeniec telefoniczny, ale w końcu rozróżniam w tym zawodzeniu głos Leili, która mówi, że rozstała się z Jamesem i że chce umrzeć. Albo zabić Jamesa, a potem umrzeć. Mija jakieś dwadzieścia minut, zanim udaje mi się trochę uspokoić; kiedy wreszcie przestaje szlochać, chaotycznie opowiada, co się stało.

Wychodzi na to, że James zaprosił ją na kolację i robi! całe przedstawienie, dając jej do zrozumienia, że to ważna okazja. Leila wyobrażała sobie, że ma to coś wspólnego z aksamitnym pudełeczkiem i pierścionkiem z ogromnym diamentem. Jednak James oznajmił jej tylko, że jest gotów przeprowadzić się do niej. Mógłby na razie wynająć swoje mieszkanie na sześć miesięcy, żeby się przekonać, jak im się razem mieszka. Zaproponował też, żeby założyli wspólne konto, choć czynsz za mieszkanie zatrzymałby dla

siebie, bo to on byłby narażony na stres w związku z przeprowadzką. Zasugerował też, że Leili dobrze by zrobiło wydzielenie stałej kwoty, którą mogłaby co miesiąc wydawać na ciuchy, po czym wymienił sumę, która nie pokryłaby nawet jej rachunków za pralnię chemiczną. Kiedy Leila powiedziała mu, że będzie wydawać swoje pieniądze na co jej się podoba, odparł, że jest nieodpowiedzialna i potrzebuje kogoś takiego jak on, kto wprowadziłby w jej życie trochę dyscypliny.

Potem sprawy przybrały naprawdę paskudny obrót; skończyło się na tym, że Leila wywaliła na niego kolację i wyszła. Jadła risotto, więc ostatnim obrazkiem, jaki zapamiętała, był James wybierający sobie ryż z włosów. Ale nie taki ryż, o jakim kiedyś marzyła. Znowu zaczyna szlochać. Wreszcie przychodzi trochę do siebie i stwierdza, że i tak zaczynała się nim nudzić, że bezczelny gnojek z niego i że mężczyźni w ogóle są beznadziejni. I że teraz zostanie lesbijką, bo kobiety są o wiele fajniejsze.

- Myślę, że to idealne rozwiązanie, tylko że nie mam ochoty ścinać włosów. Prawie rok mi zajęło, zanim mi odrosły po tym cholernym cieniowaniu i nareszcie są takie, jakie chciałam mieć. I właściwie kobiety mnie nie kręcą. Może mogłabym być lesbijką, która uprawia seks z mężczyznami. Myślisz, że to by się udało?

Mówię jej, że to idealnie definiuje większość kobiet. Rozwesela się trochę i mówi, że tak czy inaczej sprawi sobie prezent i wyjedzie na tydzień w jakieś drogie miejsce. Pyta, czy nie chciałabym jechać z nią. Odpowiadam, że z największą przyjemnością, ale muszę popracować, a Charlie mógłby się okazać dość uciążliwy w eleganckim hotelu. Kiedy kończymy rozmowę, Leila jest 0 wiele weselsza, ale wiem, że tak naprawdę bardzo to przeżywa i strasznie mi jej żal. Niestety nie wiem, gdzie pracuje James, bo mogłabym zjawić się u niego niespodziewanie i dać mu w gębę. Przyznaję się do tego Leili, a ona mówi, że już o tym myślała. Podobno jest jedna genialna firma, która zajmuje się wysyłaniem nieprzyjemnych prezentów, na przykład bukietów zwiędłych róż albo elegancko zapakowanych podrobów. Ma zamiar do nich zadzwonić z samego rana. Zdaje się, że James przeżyje kilka ciężkich dni.

Wygląda na to, że robimy film z fortepianem. Całe godziny wiszę na telefonie, dzwoniąc do Barneya, do studia, do kaskadera i do stolarza, który robi specjalny fortepian. Organizuję też opiekę nad Charliem, w postaci skomplikowanej kombinacji Edny i mamy. Planuję co wieczór wracać do domu, mimo że wymaga to trzygodzinnej jazdy. Albo czterogodzinnej, jeśli na trasie będą się kręcić radiowozy. Zlecenie zapowiada się świetnie, jeśli wszystko się uda, choć co do tego akurat mam pewne wątpliwości. Poza tym nie czuję się jeszcze gotowa, by zostawiać Charliego na tak długo, chociaż doskonale wiem, że nic mu nie będzie. Ale nie mam wyboru, jeśli chcę w tym miesiącu zapłacić ratę kredytu hipotecznego. Mack wyjechał w interesach do Nowego Jorku i przez kilka ostatnich tygodni miał w pracy takie urwanie głowy, że tylko dwa razy udało mu się zostać na noc - było wspaniale, szczególnie w zeszłym tygodniu, kiedy Charlie przespał całą noc we własnym łóżku i obudziliśmy się rano bez dziecka wciśniętego między nas.

Obiecaliśmy sobie wyjechać razem na weekend przed świętami i Mack przebąkuje coś o Wenecji. Ja obstaję raczej przy Lake District, bo nie zdobędę się na wyjazd za granicę bez Charliego. Mack dzwoni z lotniska, i o mało nie spóźniam się po Charliego. Wybiegam z domu, łapiąc moją nową elegancką kurtkę i przyjeżdżam do szkoły z dwuminutowym zapasem. Zauważam Kate, stojemy więc razem w pobliżu krzaczków, próbując ominąć kobietę z komitetu rodzicielskiego, która organizuje aukcję sąsiedzkich przysług. Jak na razie ma przyręczone całe tony ciast, wiele godzin pielienia ogródków i pilnowania dzieci. Ale szuka czegoś bardziej ekscytującego, by zachęcić ludzi do wyższych ofert. Kate mówi, że powinniśmy jej zaproponować pięćdziesiąt funtów, jeśli zostawi nas w spokoju, ale chyba nie całkiem o to jej chodzi. Dzieci zaczynają wychodzić z klas. Podchodzi do nas Phoebe i mówi:

- Nienawidzę Natalie. Wszystko skończone. - Zaraz będzie płakać, więc Kate zabierają do samochodu, dowiedzieć się, co się stało i przytulić ją poza zasięgiem wzroku innych dzieci. Obiecuję jej, że odprowadzę Jamesa do samochodu, kiedy pojawi się z Charliem. Pewnie sąjeszcze w klasie; mieli wf na korytarzu i na pewno do tej pory szukają skarpetek.

Zaczyna padać. Okazuje się, że moja nowa kurtka wcale nie jest nieprzemakalna. Prawdę mówiąc, wręcz odwrotnie - chłonie wodę jak gąbka. Specjalny odczepiany kaptur odczepia się niespodziewanie i wiatr niesie go na plac zabaw. Ścigam go właśnie z zapalem, kiedy ze szkoły wychodzą na wpół ubrani Charlie i James i przyłączają się do pogoni. Charlie łapie go nareszcie, przyciskając nogą w wielkiej kałuży. Bardzo zadowolony z siebie wtyka mi przemoczoną, zabłoconą szmatę w rękę.

- Patrz, mamusiu, mam go.

- Dziękuję, Charlie.

Zaczyna podskakiwać ucieszony i pyta:

- A będzie nagroda? Możemy po drodze pojechać do sklepu i kupić słodycze? Możemy? Możemy? - Jestem całkiem przemoczona, nie mam siły się>sprzeciwiać, a poza tym chcę uniknąć sceny w obecności Jamesa, więc zgadzam się zahaczyć o wiejski sklepik. Parkuję samochód jak najbliżej sklepu i otwierając drzwiczki odkrywam, że stoimy pośrodku niewielkiego jeziorka. Próbuję wysiąść z samochodu, wykonując dziwną kombinację podskoków z tańcem limbo i ląduję w głębokiej na dziesięć centymetrów, błotnistej wodzie. Charlie jest wniebowzięty.

Brodząc, docieramy do sklepu i przekonujemy się, że pełno w nim ludzi z przemoczonymi nogawkami - widocznie nie my jedni przeżyliśmy taką przygodę. Półki ze słodyczami otacza niewielki tłumek dzieci. Hałas jest nie do opisania. Jakiś chłopiec ściska kurczowo wielką torbę toffi, ale jego mama upiera się przy małej paczce miętówek. Inna kobieta szamocze się z trójką podrośniętych dzieci i małym berbeciem, który leży na podłodze i wrzeszczy, że chce dużą puszkę waniliowych lodów. W pośpiechu proponuję Charliemu, że dostanie małą tabliczkę czekolady, jeśli uda nam się wyjść ze sklepu, zanim zagną się klapy. Zgadza się na szczęście, i po chwili biegniemy do samochodu w ulewnym deszczu. Jezioro otacza już samochód ze wszystkich stron, Charlie dwa razy upuszcza swoją czekoladę do wody. Wygląda na to, że nic jej nie jest, zamoczyła się tylko trochę, a sreberko uratowało zawartość.

Kiedy jesteśmy już w domu, z miejsca pakuję Charliego do wanny, ale seria telefonów w sprawie pracy wyciąga mnie z łazienki. Charlie korzysta z okazji, żeby sobie porządnie pochłapać, a potem musimy powycierać podłogę w łazience. W końcu kładę się spać o ósmej trzydzieści z postanowieniem, że prześpię się tro-

chę, a potem posprzątam, ale nie bardzo mi się to udaje - budzę się w chwili, kiedy do domu wchodzi Edna, wesoła jak skowroneczek. Robi mi herbatę i sprząta kuchnię, a ja ubieram się w panice. Wypadam z domu jak burza i dopiero na autostradzie orientuję się, że nie zabrałam połowy potrzebnych dokumentów. Barney dzwoni do mnie na komórkę i zaczyna się nade mną wytrząsać, ale na szczęście jego samochód wjeżdża do jakiegoś tunelu i rozmowa zostaje przerwana. Postanawiam wyłączyć telefon, żeby mieć chwilę spokoju. Zawsze mogę powiedzieć, że sygnał był za słaby.

Kiedy wchodzę do studia, okazuje się, że plan nie jest gotowy. Barney podchodzi do mnie i pyta:

- Co jest z twoim telefonem? Nie mogłem się do ciebie dozwonić. Ten plan jest do niczego, a schody są całkiem nie w tym miejscu co trzeba. Chryste, czy ci ludzie nie potrafią niczego zrobić jak należy? - Uspokajam go, po czym odkrywam, że schody są dokładnie w miejscu zaznaczonym na projektach, tylko Barney zmienił zdanie i zapomniał komukolwiek o tym powiedzieć. W końcu rozwiązuję ten problem, a Barney idzie sobie, mamrocząc pod nosem coś o torach pod kamerę. Zawsze kładzie tory, kiedy nie ma pojęcia, co robić dalej, i ekipa o tym wie. Wszyscy zaczynają łączyć bez celu, mówiąc, że nic z tego wszystkiego nie będzie. Przyjeżdża fortepian - jest ogromny. Wygląda zupełnie normalnie, ale ma wzmocnienia z metalu, żeby nogi mu nie odpadły, kiedy będzie jechał po schodach. Potrzeba czterech gości, żeby wtoczyć go do studia na specjalnym wózku. Ekipa spogląda na tego potwora i zaczyna kręcić głowami. Barney zrobił się bardzo błądy i mamrocze coś do siebie.

Ma to być reklamówka nowego napoju pomarańczowego z bąbelkami. Dwoje ludzi siedzi w restauracji, okna wychodzą na taras ze schodami prowadzącymi na brzeg wielkiego basenu. Kobieta zamawia drinka; kelner, zamiast otworzyć butelkę, zaczyna nią najpierw potrząsać. Kobieta spodziewa się, że napój wystrzeli z butelki i chowa głowę pod stół, niechcący przewraca krzesło. Przechodzący obok kelner potyka się o nie, powodując reakcję łańcuchową - wywracają się wózki z potrawami, zasłony stają w ogniu, a w kulminacyjnym punkcie zamieszania ktoś popycha fortepian. Instrument zjeżdża ze schodów tuż za uciekającym kelnerem, który wskakuje do basenu. Fortepian wpada do wody zaraz po nim. Ostatnie ujęcie pokazuje kelnera otwierającego butelkę z napojem. Słyszymy tylko wytworne, ciche „psyk”. Lektor

zaczyna się wymądrzać, że nowym napojem można potrząsać bez ryzyka eksplozji, bo jest specjalną mieszanką owoców i źródlanej wody. Zrelaksuj się. Potrząśnij i nalej.

Bardzo chciałabym się zrelaksować, potrząsnąć i nalać. Najchętniej coś, co zawiera dżin. Sytuacja robi się jeszcze sympatyczniejsza, kiedy zjawia się klient, wyjątkowo denerwujący facet o imieniu Adrian. Zaczyna wypytywać Barneya, co dokładnie zamierza zrobić. Barney sam się jeszcze nie zdecydował, więc tego typu pytania nie są zbyt mile widziane. Kiedy wszystko stoi już na swoim miejscu, Barney oświadcza, że najpierw chce spuścić fortepian ze schodów. Dzięki temu jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy mieli następne dwa dni, żeby się w to bawić. Ludzie znów kręcą głowami i powtarzają, że to będzie katastrofa. Wszyscy robią się bardzo nerwowi, a Barney bez przerwy łązi w kółko, mamrocąc coś do siebie i czepiając się oświetlenia.

Kaskader przebiera się za kelnera i staje na szczycie schodów. Za fortepianem stoi czterech ludzi, na dany znak mają go wypchnąć za drzwi. Kiedy jesteśmy gotowi, zaczynają pchać. Cholerstwo najpierw nie chce się poruszyć, a kiedy już jedzie, spada z pierwszego schodka, zjeżdża na drugi, podskakuje niemrawo i zatrzymuje się. Barney wrzeszczy na gości, żeby pchali mocniej. W końcu za drzwiami kuca ze dwudziestu chłopów. Fortepian wyjeżdża z prędkością pędzącego pociągu, podskakuje już o wiele wyżej, ale zatrzymuje się raptem na piątym schodku. Robimy przerwę na kawę i próbujemy wykombinować co dalej. Nagle Barney oświadcza, że trzeba usunąć schody, zbudować pochylnię i pomalować ją tak, żeby wyglądała na schody.

- Pan chyba żartuje, szefie. To się nigdy nie uda.
- Owszem, uda się.
- Ale szefie, on po prostu śmignie w dół po pochylni i to będzie zupełnie inny dźwięk niż przyjeździe po schodach.

Barney rozważa to przez chwilę.

- Oczywiście, że nie. Musicie przybić na pochylni listwy, żeby chociaż trochę podskakiwał. Chryste, czyja muszę o wszystkim myśleć?

Stolarze spoglądają na niego jak na wariata, ale usuwają schody i kładą pochylnię. Musimy zrobić przerwę na lunch i schodzi jeszcze trochę czasu, zanim jesteśmy gotowi do akcji. W takim tempie całe trzy dni pójdą nam na to jedno ujęcie. Kaskader uważa słusznie, że fortepian, zjeżdżając po rampie, może go na-

prawdę dogonić, ale Barney stwierdza, że wszystko będzie dobrze, a poza tym mamy w pogotowiu płetwonurka, który go wyłowi, jeśli fortepian wyląduje na nim.

Kaskader bynajmniej nie wydaje się zachwycony tą wiadomością i mówi, że powinniśmy mieć dwóch nurków: jednego, żeby się zajął fortepianem, a drugiego, żeby go wyciągnął spod spodu, gdyby zrobiło się naprawdę groźnie. Barney spogląda na mnie wściekle, jakby miał pretensje, że tego nie przewidziałam, i mamrocze coś o dodatkowej masce do nurkowania. Postanawiam to zignorować, bo zaczynam się obawiać, że za chwilę każe mi wleźć do basenu. Nie jestem pewna, czy moje umiejętności pływackie kwalifikują mnie do wyciągania tonących kaskaderów spod fortepianów.

W końcu rampa jest gotowa i nurek wchodzi do wody. Fortepian wraca na swoje miejsce za drzwiami; za nim stoi prawie cała załoga, czekając na znak, by go popchnąć. Nagle młody copywriter z agencji stwierdza usłużnie, że jeśli fortepian rozwinie dużą prędkość, może zboczyć w zupełnie nieprzewidzianym kierunku i zdemolować połowę studia. Wszyscy mówią mu, żeby się zamknął i zaczynamy. Fortepian wyjeżdża zza drzwi i śmiga po rampie, podskakując w bardzo przekonujący sposób. Kelner rzuca się do ucieczki i co chwila ogląda się przez ramię. Fortepian zaczyna doganiać i facet wygląda na przerażonego. W końcu skacze do basenu; jakieś dwie sekundy po nim fortepian wjeżdża na ukrytą rampę, wlatuje w powietrze i z pluskiem wpada do wody. Płetwonurek odciąga kaskadera dosłownie w ostatniej chwili. Cała ekipa klaszcze i wyje, a Barney jest wniebowzięty. Wygląda na to, że się udało. Gratulujemy sobie nawzajem i oglądamy nagranie, które wyszło rewelacyjnie, kiedy nagle podchodzi do nas klient z bardzo zmartwioną miną.

- Ehm, jakoś nie jestem przekonany. To znaczy, to chyba nie jest śmieszne.

Barney spogląda na niego z głęboką urazą i mówi:

- Przepraszam, Adrian, to miało być śmieszne? Nikt mi nie powiedział, że to miało być śmieszne.

Ekipa łapie się za brzuchy ze śmiechu, a klient jest wściekły.

- Posłuchaj, Adrian, może wróć do agencji i zastanów się, jak zrobić, żeby było śmieszne. A jutro przyjdziesz i nam powiesz. A na razie będziemy kręcić dalej, co ty na to?

Ludzie z agencji porywają Adriana ze studia, a ja pytam Barneya, jak on to sobie właściwie wyobraża.

- Co zrobimy jutro, kiedy on tu przyjdzie z całą kupą bzdurnych pomysłów i każe nam je kręcić? Budżet jest już wyczerpany.

- Zignorujemy go, i tyle. Ten film będzie świetny, ja to wiem. Ile razy mówią ci, że coś nie jest śmieszne, wiesz, że masz film godny Oscara. Powinnaś to już wiedzieć do tej pory. Naprawdę bym się martwił, gdyby mu się podobało.

- Tak, ale...

- Nie „tak aluj” mi tu. Jutro mu powiemy, że nie mamy czasu, a ostatniego dnia po prostu go zignorujemy. Potem zwiniemy interes, a jak mu się nie będzie podobało, to może sobie wsadzić. Czy możemy się przygotować do następnego ujęcia? Robi się późno.

Do domu dojeżdżam w środku nocy, kompletnie wykończona. Śpię ledwie parę godzin, ale przynajmniej mogę uściskać Charliego, kiedy przychodzi w nocy do mojego łóżka.

Drugiego dnia wszystko idzie dobrze z wyjątkiem kawałka z zasłonami, które bardzo łatwo chwytają ogień, ale nie chcą się dać zgasić i zanim udaje nam się odzyskać kontrolę nad płomieniem, grożą pożarem całego studia. Zjawia się klient z delegacją z agencji, która zdążyła wyprodukować kilka naprawdę kiepskich pomysłów. Barney stwierdza, że zobaczymy, co się da zrobić, po czym przez resztę dnia kompletnie ich ignoruje.

Przebąkuję coś, że na dzisiaj plany mamy już dość ściśle ustalone, ale jutro może znajdziemy dla nich chwilę. Próbuję zmusić Barneya, by przynajmniej udawał, że ich słucha. Barney odgryza mi się, że nie doszedłby do tego, kim teraz jest, gdyby słuchał klientów, i każe mi się zamknąć, bo próbuje rozpracować następne ujęcie. Wyrwam się do domu o rozsądnej godzinie, ale przewiduję, że jutro będzie afera, bo klient jest wściekły.

Kiedy następnego dnia z samego rana widzę Lawrence'a, czuję, że czeka nas ciężki dzień. Ekipa też zaczyna szemrać na jego widok; wszyscy wiedzą, że to oznacza kłopoty. I rzeczywiście, klient prosi o krótką poradę, zanim zaczniemy - bo Lawrence powiedział mu, że Barney nie będzie miał nic przeciwko temu. Barney przez całą poradę siedzi w milczeniu. W końcu mówi:

- Dzięki, Adrian, to bardzo interesujące - i idzie rozmawiać z oświetleniowcem. Klient wygląda na zupełnie zadowolonego, a ludziom z agencji kamień spada z serca. Zabierają go na kawę. Kiedy tylko znikają za drzwiami, Barney zaczyna się wydzierać na Lawrence'a.

- Ty mały gnojku! Natychmiast wracaj do biura. Jeśli będę chciał zwoływać jeszcze jakieś narady, dam ci znać.

Lawrence wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale opanowuje się i wychodzi wściekły ze studia. Wtedy Barney wsiada na mnie.

- Ty też jesteś dobra. Do cholery, gdzie byłaś, kiedy on umawiał się na naradę z pieprzonym klientem?

Zaczynam do niego przemawiać specjalnym, uspokajającym tonem, który zwykle stosuję w kryzysowych sytuacjach z Charliem.

- Posłuchaj, Barney. Wiem, że jesteś zmęczony, ale nie waz się na mnie wrzeszczeć, bo pójde do domu. Napijmy się kawy i powiesz mi, co chcesz robić dalej.

O mało nie biorę go za rękę, jak Charliego, ale powstrzymuję się w samą porę. Barney spogląda na mnie z okropnym szyderczym uśmiezkiem i wiem, że ma ochotę jeszcze sobie powrzeszczeć. Ale ostatnim razem, kiedy bawiliśmy się w blefowanie, rzeczywiście wyszłam - choć przyznaję, że nie zaszłam daleko. Usiadłam roztrzęsiona w samochodzie, zastanawiając się, jak znajdę pracę. Ale w końcu Barney przyszedł do mnie, wsiadł na tylne siedzenie i powiedział, żeby mi przypadek nie wyobrażała, że mogę tak po prostu wyjść z jego planu, co by to jego sposobem na przeprosiny. Poszliśmy z powrotem do studia i skończyliśmy pracę.

- Nie traktuj mnie jak trzylatka. Mam tego dość, do cholery - mówi.

- No dobrze, zastosujemy tradycyjne podejście. Jeśli jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, dam ci w gębę i pożałujesz. A teraz powiedz mi, co masz zamiar robić. Czy może mam pogonić ekipę, żeby ci zbudowała śliczne, długie tory, kiedy będziesz się zastanawiał?

Zdaję sobie sprawę, że przeciągam strunę, ale Barney jest zachwycony i wybuchu śmiechem. Reszta dnia przebiega dość gładko. Klientowi szybko się to nudzi, więc idzie sobie do domu. Facet jest wyjątkowo głupi, naprawdę myśli, że Barney wziął jego pomysły na tapetę.

Wszyscy wychodzimy z planu dość wcześnie. Pojawia się realne niebezpieczeństwo, że dotrę do domu w samą porę, żeby położyć Charliego do łóżka. Zupełnie nie mam na to siły, sterczę więc w McDrive, popijając kawę. Zauważam jeszcze dwie inne kobiety, które najwyraźniej robiąto samo i przychodzi mi do głowy,

że wszędzie musi być pełno matek, które wolą zmarudzić dodatkowe pół godzinki, niż wrócić do domu w tak stresującej porze. Mogłybyśmy zapoczątkować całkiem nowy trend w barach i kawiarniach i dostawać zniżki na kawę, tak jak podczas happy hour. Kiedy przyjeżdżam do domu, teren jest już bezpieczny, a mama trzyma dla mnie ciepłą kolację w piekarniku: placek pasterski. Istny raj. Dzwoni Mack i mówi, że już wrócił, że podróż była męcząca, ale interesująca, i pyta, czy może przyjechać na weekend. Oczywiście, że może. W niedzielę ma wpaść Leila, więc z nim umawiam się, że przyjedzie w sobotę i zmyje się zaraz po jej przyjeździe. Nawet mu to pasuje, bo w poniedziałek musi wracać do Stanów. Odbywam z mamą długą i dramatyczną rozmowę na temat świątecznych planów, ale w końcu dochodzimy do porozumienia i umawiamy się, że w Boże Narodzenie wszyscy przyjdą do mnie. Naprawdę nie mogę pojąć, jak to się stało, bo mój sekretny plan był taki, że wszyscy pójdziemy do mamy.

Kiedy budzę się następnego ranka, okazuje się, że Charlie już wstał i zrobił mi śniadanie do łóżka. Pięć okrągłych herbatników posmarowanych miodem (którym uciapał przy okazji całą kuchnię) i torebka herbaty w filiżance zimnej wody. Pyszności. Schodzę do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty i czuję, że stopy klejami się do podłogi. Próbuję okazać wdzięczność, ale nie bardzo mi się udaje i Charlie się obraża.

- Wiesz mamusiu, że miodem się bardzo trudno smaruje. Dużo ciastek mi się rozleciało, zanim wreszcie nabrałem wprawy.

I rzeczywiście, w kuchennym koszu jest pełno połamanych herbatników i jakieś dziesięć litrów miodu. Próbuję delikatnie zasugerować, że następnym razem wystarczą mi same ciastka, ale Charlie mówi, że jestem okropna i że już nigdy więcej nie zrobi mi śniadania. Kończy się na tym, że czuję się podłe i zjadam ciastka, które z miodem smakują obrzydliwie. Charlie rozchmurza się i idzie oglądać kreskówki. Zmywanie miodu z kuchennych sprzętów zajmuje mi tyle czasu, że do szkoły wychodzimy spóźnieni.

Dojeżdżamy w chwili, kiedy dzwoni dzwonek i zostaję wzięta w kleszcze przez członkinie komitetu rodzicielskiego, organizujące aukcję. Macham Charliemu na pożegnanie, po czym przez dziesięć minut tłumaczę się, dlaczego nie mogę zaproponować czegoś naprawdę interesującego, co pozwoliłoby zebrać setki funtów na szkolne potrzeby. Czyja przypadkiem nie mam czegoś wspólnego z filmami? A nie mogłabym zorganizować wycieczki na plan fil-

mowy? Ludzie byliby zachwyceni. Wyjaśniam, że tak naprawdę to bardzo nudne i że reżyserzy nie lubią, kiedy obcy ludzie przechodzą patrzeć. Już sobie wyobrażam minę Barneya, kiedy mówię mu, że jesteśmy główną atrakcją na aukcji komitetu rodzicielskiego. W końcu obiecuję im, że zobaczę, co się da zrobić. Na pewno się okaże, że nie mogę zrobić nic, ale tego oczywiście nie mówię.

W sobotę po południu Charlie wybiera się na przyjęcie urodzinowe Justina, kolegi z klasy. Jego rodzice, dosyć nerwowi ludzie, nie wiadomo dlaczego postanowili podejść do sprawy tradycyjnie i przyjąć piętnaścioro dzieci we własnym domu. Nieszczęśni idioci. Kusi mnie nawet, żeby podrzucając Charliego, zawieźć im trochę valium. Kiedy odbieram go o piątej, jest na granicy hysterii - tak na niego podziałała kombinacja cukru i niezbyt udanej zabawy w „Muzyczne krzesła”. Okazuje się, że tatuś Justina w złym momencie wyłączył muzykę i Justin odpadł pierwszy. Przez resztę gry próbował spychać wszystkich pozostałych z krzesła, aż w końcu za karę został odesłany na górę.

- Och. biedny Justin.

- Należało mu się. Popchnął Jamesa naprawdę mocno. Mógł mu złamać nogę. James musiał skakać przez jakiś czas na jednej nodze i pomogłem mu zdobyć krzesło. To bardzo miło z mojej strony, prawda, mamusiu?

- Tak, kochanie. To było bardzo miłe. Brawo.

- O tak, potrafię być uprzejmy. Uczyliśmy się o tym wczoraj w szkole. Pani Pike mówiła, że uprzejmość to największa zaleta. Zaczęliśmy się z Jamesem strasznie nudzić i pani Pike powiedziała, że zachowujemy się niepoważnie i kazała nam sprzątać kącik z pracami domowymi. To nie było zbyt miłe, prawda, mamusiu? Powinnaś jej nagadać.

Puszczam to mimo uszu i próbuję zmienić temat.

-I co, pozwolili biednemu Justinowi wrócić na dół i bawić się dalej na przyjęciu?

- Tak. Potem graliśmy w „Podaj paczkę” i Justin wygrał nagrodę.

Założę się. Ojcu pewnie zapowiedziano, że jeśli tym razem nie wyłączy muzyki w odpowiednim momencie, spędzi resztę popołudnia na piętrze z rozhisteryzowanym jubilatem.

- A podwieczorek był fajny?

- Tak, nawet. Były kielbaski. Za to galaretką była straszna, cała zielona.

Milknie na chwilę, żeby dać mi czas na przetrwanie tej przerażającej wiadomości.

- Justin wywalił swoją na dywan.

Muszę pamiętać, żeby nigdy nie zapraszać Justina na podwieczorek.

Mack przyjeżdża wieczorem, kiedy Charlie leży już w łóżku. Idziemy do niego, żeby powiedzieć mu dobranoc i dajemy się wpłatać w długą rozmowę o Zawracanie Gitary na temat elektryczności i zasad działania telefonu. Okazuje się, że Mack też nie bardzo wie, na czym to polega, ale obiecuje dowiedzieć się dokładnie jutro. Charlie nareszcie odpuszcza i wraca do łóżka, a my schodzimy na dół i zaczynamy przygotowywać kolację.

- Jak ci minęła podróż?

- Naprawdę świetnie. Ale mam ci coś do powiedzenia.

- Ach tak?

Podnoszę głowę i widzę, że Mack jest zdenerwowany. Przez myśl przemykają mi przeróżne scenariusze z supermodelkami w rolach głównych i wyobrażam sobie właśnie czterostronicową rozkładówkę w „Hello!”, przedstawiającą Macka i jego nową żonę, kiedy nagle mówi:

-Tak. Kupiliśmy amerykańską agencję, świetny interes. Przepraszam, że nie powiedziałem ci nic wcześniej, ale naprawdę nie wiedziałem, czy uda nam się to przepchnąć. No więc kupiliśmy i szefowie chcą, żebym ja poprowadził cały ten interes. To poważne zadanie i myślę, że to będzie świetna robota. Tylko że, ehm, chodzi o to, że będę musiał zamieszkać w Nowym Jorku. Owszem, będę dużo podróżował, oni mają filie na całym świecie, ale głównie będę siedział w Stanach. I zastanawiałem się, czy pojechałabyś ze mną. Oczywiście z Charliem. Jedź ze mną do Nowego Jorku. Wynajmiemy wielkie mieszkanie i... no wiesz.

- Jezu, Mack, to trochę niespodziewane, nie uważasz?

- No tak, wszystko potoczyło się trochę szybciej, niż sądziłem. Ale co o tym myślisz? Masz ochotę trochę pomieszkać w Nowym Jorku?

- Mack, chyba nie mówisz poważnie. Nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego i wyjechać do Nowego Jorku. A co z Charliem i jego szkołą? On naprawdę w tej chwili nie jest gotów na takie wielkie zmiany. A co z Daisy i Alfiem?

- Wiem, to nie jest najodpowiedniejszy moment, ale właściwie nigdy nie jest. Rozmawiałem z Laurą i wychodzi na to, że będę spędzał więcej czasu z dziećmi niż teraz. Będą do mnie przyjeżdżali na wakacje, a poza tym mogę do nich dzwonić co wieczór. Słuchaj, to dość poważna sprawa do przemyślenia. Nie spiesz się; nie musisz decydować teraz.

- No tak.

Milczymy przez długą chwilę, wpatrując się w kuchenną podłogę. Potwornie brudną zresztą.

- Mac, ja po prostu nie wyobrażam sobie, że mogłabym przeprowadzić się na drugą półkulę i narazić Charliego na ten cały stres. To byłoby po prostu nie w porządku. A poza tym my dwoje nie jesteśmy na to gotowi.

- Jak to nie jesteśmy gotowi? Ja uważam, że jesteśmy. To znaczy ja jestem. Słuchaj, jeśli to miałyby ci zrobić jakąś różnicę, możemy się pobrać.

- Mack, przestań. Nie bądź śmieszny. Nie bierze się ślubu tylko dlatego, że się dostało nową pracę. A poza tym ja nie chcę wychodzić za męża. Nie zrozum mnie źle; gdybym chciała, to tylko za ciebie, ale znamy się przecież ledwie parę miesięcy. Lubię moje życie, lubię tu mieszkać. Charlie uwielbia swoją szkołę. Chyba nie myślisz serio, że zrezygnuję z tego wszystkiego tylko dlatego, że twoja cholerna agencja rozrasta się po świecie, a ty chcesz się pobawić w nowojorskiego waźniaka. To śmieszne.

- Kocham cię. Mówiłem ci to już?

Następuje kolejna, długa chwila ciszy. Znów oboje gapimy się w podłogę. Korci mnie, żeby wyjąć mopa, ale wiem, że to klasyczne działanie zastępcze, a zresztą mop i tak jest zepsuty, od kiedy w zeszłym tygodniu Charlie użył kija w charakterze miecza i odłamał koniec. Czuję się tak, jakbym nagle znalazła się w kolejce górskiej, i to w pierwszym wagoniku. Jeszcze przed chwilą robiłam spokojnie kolację, a teraz jestem w samym środku przerażającej, poważnej rozmowy.

- Ja też cię kocham. Dlaczego ty nie rzucisz pracy i nie zamieszkas ze mną w tym wiejskim zaciszu? Mógłbyś się nauczyć trochę bardziej relaksować.

- Nie tego chcę od życia, Annie.

- Wiem. A ja nie chcę się wyprowadzać do Nowego Jorku. Nie cierpię Nowego Jorku. No, byłam tam właściwie tylko raz, ale nie podobało mi się.

- Mogłabyś mieć jeszcze jedno dziecko.
- Ty gnojku. Przecież nie chcesz jeszcze jednego dziecka. Powiedziałeś to tylko dlatego, żeby mnie skłonić do zmiany zdania.
- No, może i tak. Ale gdybyś ty chciała dziecka, nie miałbym nic przeciwko temu.
- Cudownie. Więc przeprowadzamy się do Nowego Jorku. Ty utrzymujesz transatlantyckie kontakty z dwójką swoich dzieci, Charlie traci wszystkich przyjaciół i rodzinę, a na dodatek ja zachodzę w ciążę, bo ty nie masz nic przeciwko kolejnemu dziecku, jeśli dzięki temu ja nie będę narzekać. Idealna recepta na udane życie rodzinne.
- Posłuchaj, nie możesz żyć wyłącznie dla Charliego, wiesz przecież.
- Wiem. Ale też nie mogę go ignorować. Trzy miesiące temu o mało nie umarł mi na rękach. Przez takie historie człowiek zaczyna inaczej patrzeć na życie. Charlie potrzebuje spokoju i poczucia bezpieczeństwa, a nie wywracania wszystkiego do góry nogami. Zresztą nie chodzi tylko o niego. Podoba mi się moje życie tutaj i lubię swoją pracę. Co ja mam niby robić w tym Nowym Jorku? Nie mam ochoty siedzieć po całych dniach w jakimś szpanerskim mieszkaniu. Co bym miała robić? Doskonalić sztukę przygotowywania idealnego martini, a może zająć się na poważnie układaniem kompozycji kwiatowych? Zamieniłabym się w jedną z tych idiotek, które spotyka się na przyjęciach i które w kółko gadają o pierdołach. A poza tym może ci się nie spodobać ta praca. Mogą cię zwolnić po sześciu miesiącach.
- Mało prawdopodobne, kochanie. Jestem teraz właścicielem połowy agencji. Pieniądze wychodzą mi uszami. Nie miałabyś ochoty pomóc mi ich wydawać?
- Nie. Nienawidzę zakupów. Już i tak muszę się opędząć od Leili. Słuchaj, skończmy tę rozmowę. Jedź sobie do tego Nowego Jorku: będziemy się spotykać kiedy tylko nam się uda. To tylko podróż samolotem. Potem zobaczymy, jak się to wszystko potoczy, aja pomyślę o przeprowadzce i całej reszcie za parę miesięcy.
- Przykro mi, Annie, ale ja tak nie chcę. Ta robota to poważna sprawa. Nie mogę bez przerwy latać w tę i z powrotem. Dużo o tym myślałem. Oczywiście rozumiem, że potrzebujesz czasu do namysłu, ale mnie nie urządzają połowiczne rozwiązania. Wszystko albo nic. Albo jedziesz ze mną, albo będziemy musieli z tym skończyć. Już i tak wystarczająco za tobą tęsknię. Te cholerne dojazdy mnie

wykańczają. Chcę cię mieć przy sobie przez cały czas. Wiem, że Charlie zawsze będzie na pierwszym miejscu i akceptuję to - prawdę mówiąc, to jedna z rzeczy, które najbardziej w tobie kocham. Ale ja chcę być zaraz po nim. To mi wystarczy do szczęścia. Niestety, nie z drugiej strony Atlantyku.

- Nie mogę tego zrobić, Mack. Nie teraz.

Lzy płynami po policzkach, widzę, że Mack też jest bliski lez. Stoimy przez chwilę w milczeniu.

- Chyba powinienem już iść.

- Pewnie tak.

Nagle zaczynam szlochać na dobre. Mack obejmuje mnie mocno i stoimy tak - wydaje się, że całe wieki. W końcu odsuwa się ode mnie powoli.

- Posłuchaj, zadzwonię do ciebie. Zawsze możesz zmienić zdanie. Będę tu jeszcze przez dwa tygodnie. Możemy jeszcze porozmawiać.

Po wyjściu przez chwilę siedzi w samochodzie. Patrzę na niego, ale w końcu odjeżdża, bardzo, bardzo powoli.

Myślałam, że już nic na świecie nie zdoła mnie ruszyć, a tu nagle wyskakuje coś takiego i znów zamienia mnie w pochlipujący wrak. Dzwonię do Leili w kompletnej hysterii. Jest akurat w drodze na jakiś bankiet, ale zmienia plany i mówi, że natychmiast do mnie jedzie. Dzięki Ci, Boże, za Leilę. Wściekam się i szlocham w kuchni aż do jej przyjazdu. Wystarcza jej jedno spojrzenie na mnie; zarzuca mi ramiona na szyję i obie zalewamy się łzami.

- Nie rozumiem. To zupełnie jak w jednym z tych okropnych szwedzkich filmów. Wszystko jest doskonale i nagle przychodzi śnieżycy, ktoś popełnia samobójstwo, a potem wybucha bojler. Dlaczego nie chcesz jechać do Nowego Jorku? Mack jest dla ciebie idealny. A poza tym co zrobisz, kiedy Charlie dorośnie-wstąpisz do klasztoru?

- Nie, ale tu nie chodzi tylko o Charliego. Lubię swoje życie, nie mieszkam tu bez powodu. Lubię mieszkać na wsi.

- Och, przestań. A co z pestycydami i wiejską biedą i endogamią? Co Charlie będzie robił, jak dorośnie - popijał jabole i jeździł traktorem? Zwieje do Londynu jak tylko będzie mógł. To nie jest *Domek na prerii*. Skoro tatko przenosi się do Nowego Jorku, to wy chyba powinniście jechać z nim.

- Tak, wiem. Ale przecież to nie jest żaden tatko. Mack nie jest wcale stworzony na ojca rodziny. Kocha swoje dzieci, oczywiście,

ale zupełnie mu nie przeszkadza, że będzie mieszkać na innym kontynencie i widywać je tylko w wakacje. Mówi, że uwielbia to, jak zawsze stawiam Charliego na pierwszym miejscu, ale sam chyba tego nie czuje. Najbardziej kocha swoją pracę, a ja jestem daleko w tyle, na drugim miejscu. Charlie zasługuje na sto procent mojej miłości, tak samo zresztą jak i Mack. Ale razem to daje dwieście procent i po prostu mnie na to nie stać. A poza tym co wtedy zostaje mnie?

- Wiem, wiem. Po prostu nie jesteś stworzona na wierną żonę-towarzyszkę, co? I bardzo słusznie. Prawdę mówiąc ma gość tupet, skoro spodziewał się, że po prostu rzucisz wszystko. To chyba nie na tym ma polegać, co? Do diabła, byliście taką świetną parą.

- Wiem. Chryste, będę za nim tęsknić. Nie mam pojęcia, jak to wszystko przetrwam. -I znów zaczynam płakać.

- Jakoś przetrwasz. Wiesz, że tak. Ja ci pomogę. Możemy iść w przyszłym tygodniu na zakupy. I zaraz w poniedziałek prześlę mu ekspresowo trochę podrobów.

- Leila, przecież Mack nie zrobił nic złego.

- Wiem. Ale jesteś przez niego nieszczęśliwa, więc go nienawidzę. Może być?

- Może być. A skoro już mowa o zniechęconych facetach - co tam u Jamesa?

- Ten głupi skurwiol przysłał mi maila: miał nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ale nic z tego, jeśli nie przestanę mu przysyłać prezentów do biura.

- Leila, myślałam, że już dawno przestałaś.

- No, przestałam. Ale po tym mailu po prostu musiałam przysłać mu jeszcze coś od serca. No więc kupiłam u rzeźnika świński łeb i wyekspediowałam przez postańca.

- Chyba żartujesz?

-Nie. Należało mu się. W każdym razie już mi przeszło. Naprawdę nie mam pojęcia, co ja w nim widziałam. Chciałabym, żebyś ty też tak miała z Maćkiem, ale coś czuję, że to mało prawdopodobne. Mack nie jest jakimś popieprzonym świrem. Ale dobra, zmienmy temat. Poznałam niesamowicie interesującego mężczyznę na imprezie w zeszły weekend. Architekt z Holandii. Ma na imię Frank. Lizzie może go znać - pracuje tutaj, w jakimś modnym biurze projektowym w Islington. Zastanawiam się nad generalną przeróbką całego domu. Jeszcze za wcześniej, żeby coś powiedzieć, ale zapowiada się obiecująco.

- Świetnie.
- Ale wróćmy do ciebie. Jak się czujesz?
- Prawdę mówiąc, jestem trochę roztrzęsiona. Nie obrazisz się, jeśli pójdę już spać? Oczywiście zostajesz na noc, prawda?
- Tak, jeśli mogę. Bardzo chętnie zobaczę się rano z moim przyszłym drużbą. Ja też jestem dość zmęczona - połóżmy się wcześniej, a na jutro zaplanujemy coś wspaniałego. Zabiorę was na lunch, jeśli chcesz.
- Dzięki, Leila.

Leżę w ciemności, pogrążona w smutku, i płaczę. Kiedy zaczynam rozważać, czy nie zaparzyć sobie herbaty i nie zjeść paru ciastek, drzwi się otwierają i do sypialni wchodzi Charlie. Wspina się na łóżko na w pół śpiąc i przytula się do mnie. Jestem bardzo szczęśliwa, że przyszedł właśnie w tym momencie. Kiedy leżę tak, tuląc go do snu, zaczyna mi świtać pierwszy promyk nadziei. Może jednak życie potoczy się jakoś dalej, choć w tej chwili czuję się, jakbym wpadła pod ciężarówkę.

12.. Wesołych Świąt

Odbywam całą serię bolesnych rozmów z Maćkiem. On wciąż nalega, żebym jechała z nim do Nowego Jorku, a ja upieram się, że nie pojadę. Wieczorem przed jego wyjazdem wdajemy się w gwałtowną kłótnię - ja oskarżam go, że jest samolubny, a on mnie, że robię z siebie męczennicę. W końcu Mack rzuca słuchawkę. Mam ochotę natychmiast do niego oddzwonić, ale wiem w głębi duszy, że to bezcelowe. Niby wciąż jeszcze ze sobą rozmawiamy, ale ja czuję się tak, jakby już wyjechał. Idę do łóżka, mając nadzieję, że zadzwoni jeszcze, ale nie dzwoni. Następnego ranka budzę się wcześniej i dociera do mnie, że prawdopodobnie jest właśnie w drodze na Heathrow. Czatuje przy telefonie w nadziei, że może jeszcze zmieni zdanie - Charlie jest zachwycony, bo zgadzam się, żeby na śniadanie zjadł chipsy i ciastka. Podrzucam go do szkoły i gnam z powrotem, by sprawdzić, czy na sekretarce nie majakichś wiadomości. Nie ma.

Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę koniec. Przecież powinny być jakieś wyraźne znaki, przynajmniej komunikat w porannych

wiadomościach. Ale widocznie od tej pory będzie już tylko cisza. Gnojek. Dzwonię do Leili, która zgadza się ze mną, że to okropne, ale potem wszystko psuje, mówiąc, że właściwie to go podziwia, bo przynajmniej nie przedłuża agonii. Zdecydował się i trzyma się twardo swojego postanowienia. Wiem, co ma na myśli. Jedną z rzeczy, które najbardziej w nim kocham, to jego determinacja. To lekka ironia losu, że największą determinację przejawia akurat teraz, zostawiając mnie i zaczynając nowe życie.

Przychodzi Kate. żeby się trochę nade mną poużalać. Mówi, że postąpiłam absolutnie słusznie i że gdyby mnie naprawdę kochał, zrozumiałby. Doprowadza mnie to do łez.

Uzależniam się powoli od cikliwych piosenek o miłości. Kiedy raz czekałam na Charliego pod szkołą, wyśpiewując razem z Whitney Houston / w/7/ *always loveyou*, jakaś kobieta zapukała nawet w okienko i zapytała, czy nic mi nie jest.

Wy tłumaczyłam Charliemu, że przez jakiś czas nie będziemy widywać Macka, bo pojechał pracować w Nowym Jorku. Charlie zaakceptował to bez zmrużenia oka. Prawdę mówiąc, wydaje się zupełnie nie zauważać, że jego matka jest pogrążona w rozpacz. Nie chce tylko wsiadać do samochodu, dopóki nie przyrzeknę mu, że nie będę puszczać żadnej muzyki.

Kilka dni po wyjeździe Macka, kiedy kładę go do łóżka, pyta nagle:

- Mamusiu, dlaczego jesteś taka smutna? To dlatego, że byłem chory? Chyba nie myślisz, że się znowu rozchoruję, co?

Spogląda na mnie z niepokojem. O Boże. Ja się tu nurzam w rozpacz i użalam nad sobą, a on jest cały czas przerażony, że spodziewam się nawrotu choroby.

-Nie, oczywiście, że nie, kochanie. Wcale nie myślę, że możesz się rozchorować, naprawdę. Jest mi tylko trochę smutno przez Macka. Tęsknię za nim, to wszystko. Przepraszam, że cię zdenerwowałam, skarbie.

- A, no to w porządku. Ja też za nim tęsknię. Kupimy sobie psa? To by nas rozweseliło, mamusiu, i miałabyś przyjaciela, kiedy ja jestem w szkole. A gdyby Mack kiedyś wrócił, pies mógłby go ugryźć. Należałoby mu się za to, że pojechał do Ameryki. Jak myślisz, mamusiu? Możemy? Możemy?

Przez następne pół godziny próbuję go przekonać, że posiadanie doga olbrzyma wcale by mnie nie rozweseliło. W końcu wyśmiałam wspaniały, przynajmniej w moim odczuciu, argument:

- A poza tym Buzz i Woody bałyby się, gdyby po ogrodzie biegalo wielkie psisko. Nie możemy im tego zrobić.

- Nie bądź głupia, mamusiu. Na początku to by był maleńki szczeniaczek i wszyscy mogliby się razem bawić i w ogóle. A potem, kiedy by już urósł, króliki byłyby do niego przyzwyczajone. Mogłby je wozić na grzbiecie. Na pewno by im się to podobało.

Próbuję mu wyjaśnić, że króliki nie lubią jeździć na grzbietach wielkich psów, ale nie wydaje się przekonany. W końcu poddaję się i przerywam tę rozmowę, zwyczajnie wyłączając światło i wychodząc z pokoju. Charlie natychmiast wybucha płaczem, a mnie ogarnia poczucie winy. Stoję przez chwilę pod drzwiami i sypialni, próbując zdecydować, co mam zrobić. Ostatecznie wracam i przytulam go, klęcząc przy łóżku w takiej pozycji, że kark mi sztywnieje. Postanawiam, że muszę się wziąć w garść, bo inaczej Charlie zacznie się naprawdę martwić. Próbuję oderwać myśli od Macka, robiąc listę świątecznych zakupów, ale to tak przygnębiające zajęcie, że łąduję przed telewizorem, oglądając *Bodyguarda* na wideo. Po raz kolejny. Wygląda na to, że mój nowy nałóg będzie trudny do przezwyciężenia.

Zbliża się koniec półrocza i komitet rodzicielski zaczyna działać na najwyższych obrotach. W przyszłym tygodniu ma się odbyć aukcja, a potem przedstawienie bożonarodzeniowe. Pani Pike desperacko stara się przydzielić rolę każdemu, żeby nie poobrazić rodziców. Ale na maleńkiej scenie mieści się ograniczona ilość osiołków i owieczek, a o rolę Marii toczy się prawdziwy bój. Pani Bates twardo naciska i za pośrednictwem córki bez przerwy przysłała do szkoły kwiaty i placki, którymi Sophie częstuje panią Pike. Ale pani Pike nie daje się omamić i wybiera w końcu uroczą dziewczynkę o imieniu Ellie. Charlie stanowczo nie zgadza się być owcą i decyduje, że będzie bażantem. Pani Pike przystaje na to, bo uważa, że może być zabawnie. Więc czy mogłabym z łaski swojej uszyć kostium bażanta?

Szczerą odpowiedź brzmiałaby „nie”, ale jakimś cudem odpowiadam jednak „tak” i spędzam długie godziny, przyklepiając piórka do pary legginsów i podkoszulka z długimi rękawami i robiąc skrzydła ze starego aksamitnego płaszcza. Używam piór ze starej poduszki, ale są maleńkie i wyglądają żałośnie, więc uzupełniam je specjalnymi, dekoracyjnymi piórami, które kosztują fortunę.

Kiedy Charlie mierzy kostium, dostaję ataku śmiechu, na co obraża się i grozi, że więcej go nie założy. W końcu udaje mi się go przekonać, że wygląda wspaniale; pani Pike też tak twierdzi. Charlie ustępuje i zgadza się włożyć kostium, pod warunkiem że będzie miał specjalny dziób. Robię dziób z cynfolii i Charlie jest zachwycony. Wygląda teraz trochę jak skrzyżowanie zwirowanego emu z niedokładnie oskubanym świątecznym indykiem.

Pewnego wieczoru wybieramy się z Kate i Sally do pubu. Roger zostaje w domu; ma pilnować wszystkich dzieciaków. Kiedy wychodzimy, słyszymy, że dzieci głośno domagają się pizzy i zabawy w chowanego. Roger wieża sobie na szyi sznurek z gwizdkiem, wygląda teraz trochę jak nauczyciel wf-u. Mówi, że kupił ten gwizdek specjalnie na takie okazje. Nawet na ulicy słyszymy rytmiczne pogwizdywanie. Dojeżdżamy do naszego ulubionego pubu w sąsiedniej wiosce i odkrywamy, że trwa właśnie turniej w stylu „Dwadzieścia pytań” - jedną drużynę prowadzi pastor, a drugą przewodniczący lokalnego koła torysów. Coś strasznego. Chowamy się w małej salce i zaczynamy się licytować, która z nas będzie miała gorsze święta. Wygrywa jak zwykle Kate, bo musi iść do swojej matki. Umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać o facetach ani o dzieciach, żeby nie wpaść w depresję. Rozmawiamy więc o ciuchach i o tym, co byśmy zrobiły, gdybyśmy wygrały milion funtów. Kate ujawnia nam swoją namiętność do domków na Barbados, a Sally oznajmia, że już nigdy w życiu nic by nie ugotowała. Kate jest dzisiaj kierowcą, więc Sally i ja upijamy się dość dokładnie. Turniej w głównej sali kończy się nareszcie wygraną drużyny pastora, organizujemy zatem na poczekaniu koncert karaoke: wstajemy we dwie z Sally i wyśpiewujemy na cały głos *I will survive*. W końcu wytaczamy się z pubu w nieprzeniknioną ciemność. Sally potyka się o jakąś dziurę na parkingu i wywraca jak długa, przeklinając soczyście. W tej samej chwili mijają nas pastora i udaje, że nic nie słyszał. Przez całą drogę do domu zastanawiamy się głośno, czy rozpoznał, kto leży na asfalcie z rozkraczonymi nogami i przeklina. Uznajemy, że było za ciemno; Sally każe nam przyrzec, że nic nie powiemy Rogerowi, który ma zamiar kandydować do zarządu szkoły, a pastor jest w komisji rekrutacyjnej.

Kiedy docieramy do domu, zaczynamy wypytywać Rogera, po co, na litość boską, chce kandydować do zarządu, a on uśmie-

cha się wstydliwie i mówi: „Tylko tak sobie pomyślałem...” W końcu Sally wyjaśnia nam, że Roger przeczytał w jakimś artykule, że w zarządzie szkoły powinny zasiadać osoby wykwalifikowane, a nie tylko wścibskie paniusie, które nie mają nic innego do roboty. Szkoły same muszą zarządzać pieniędzmi i niezbyt mogą polegać na osobach, którym tak naprawdę zależy tylko na dostępie do poufnych szkolnych dokumentów dotyczących cudzych dzieci. Wszystkie się z tym zgadzamy, szczególnie kiedy przypominamy sobie ostatnie komentarze pani Harrison-Black na temat pewnego opóźnionego chłopca. Postanawiamy popierać Rogera jako naszego kandydata.

Moja lista świątecznych zakupów robi się tak długa, że potrzebuję dwóch kartek papieru. Postanawiam pojechać do miasta wcześniej i pochodzić ze dwie godziny po sklepach przed pójściem do biura. Barney zabiera wszystkich na świąteczny lunch, który w zeszłym roku ciągnął się do północy. Parkuję samochód na moim ulubionym parkingu i nie muszę nawet wjeżdżać po metalowej rampie, bo znajduję miejsce niżej. Następne dwie godziny, wyjątkowo stresujące, spędzam biegając po Liberty's, Hamleys i HMV.

Ceny w Hamleys są niebotyczne, dlatego kupuję tu tylko rzeczy, których nie można dostać w innych sklepach z zabawkami. Do biura docieram ostatecznie koło jedenastej, rozpaczliwie łaknąc kawy i jakiegoś mebla, na którym mogłabym się na chwilę położyć. Barneya jeszcze nie ma; rozważam właśnie, czy krótka drzemka na jego kanapie nie byłaby zbyt ryzykowna, kiedy na górę wchodzi Lawrence. Mówi, że bardzo mu przykro, że nie wyszło mi z Maćkiem MacDonalodem, po czym dodaje, że podobno Mack jest najnowszą atrakcją Nowego Jorku i widywano go z różnymi pięknymi kobietami. Niewiele brakuje, żebym mu dała w nos, ale w tej chwili zjawia się Barney. Usłyszał widocznie ostatnie zdanie, bo mówi:

- Witaj, kochanie. Wyglądasz bosko, jak zwykle. Czym ci znów zawraca głowę nasz stary Lawrence? Opowiada ci o zmianach, które ma zamiar wprowadzić w biurze, co? Planuje siedzieć w drzwiach, w specjalnej czapce z daszkiem, żeby mieć oko na wszystkich i nie przegapić żadnej plotki. Prawda, Lawrence?

Lawrence próbuje się roześmiać, ale Barney jeszcze nie skończył.

- A, skoro już o plotkach mowa. Jeśli mówił ci cokolwiek o Maćku MacDonaldzie, to nie wierz w ani jedno słowo. Założę się, że zupełnie mu się tam nie podoba. Te wszystkie okropne, amerykańskie piranie, wietrzące świeże mięso... Prawdopodobnie jest w szoku. No dobra, Lawrence, jeśli pozwolisz, chciałbym zamienić słówko z Annie.

Lawrence wraca na dół, zrozpaczony, że wykluczono go z rozmowy.

- Dzięki, Barney. Ale założę się, że nieźle sobie używa.

- Raczej wypruwa sobie żyły. To nie jest lekka praca, wiesz dobrze. A jeśli w końcu spiknie się z jakąś nowojorską księżniczką, to życzę mu szczęścia. Będzie go bardzo potrzebował. Co się właściwie z wami stało?

- Nic specjalnego. Chciał, żebym rzuciła wszystko i pociągnęła za nim do Nowego Jorku. A ja nie chciałam.

- I bardzo słusznie. Co ty byś tam miała do roboty? Poza tym ja cię potrzebuję tutaj. Ale szkoda, mimo wszystko. Wyglądałaś na naprawdę szczęśliwą.

- I byłam. Czy możemy już o tym nie rozmawiać? Zaraz się rozpłaczę.

- Ten rok był dla ciebie trochę trudny, co, kochanie?

- I tak, i nie. No wiesz, Charlie wyzdrowiał, a ja przeżyłam kilka wspaniałych miesięcy z Maćkiem. Nie patrz tak na mnie, staram się być optymistką.

- I tak trzymać. Popatrz na to z jaśniejszej strony. W przyszłym roku możesz spotkać kolejnego gnojka, który cię zrobi w konna - pomyśl, jaka to będzie frajda.

- Dzięki, Barney, naprawdę podniosłeś mnie na duchu. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne, że zawsze mogą na ciebie liczyć.

- Nie ma o czym mówić. Drobiazg. A teraz, zanim pójdziemy na lunch, mam tu coś dla ciebie. Nie chcę, żeby Lawrence widział, jak to otwierasz, bo się obrazi na całe popołudnie. Chciałem ci w ten sposób podziękować za wspaniały rok i w ogóle.

Czerwieni się potwornie i podaje mi torbę z Liberty's z najpiękniejszym aksamitnym szalem, jaki w życiu widziałam, czarnym w liliowe wzory. Zauważyłam dziś rano bardzo podobny i kuśiło mnie, żeby go kupić Lizzie, ale kiedy spojrzałam na cenę, uznałam, że wezmę raczej coś, na co nie będę musiała zaciągać pożyczki w banku.

- Dziękuję, Barney, jest przepiękny.

Kiedy podnoszę szal, żeby go przymierzyć, ze środka wypada kawałek papieru. Podnoszę go z podłogi i dociera do mnie, że to czek na tysiąc funtów.

- To tylko mała premia. Żeby ci podziękować za ciężką pracę.

- Och, Barney, nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję.

Ściskam go i daję całusa w policzek; Barney sztywnieje zażenowany i mówi:

- No. Cieszę się, że ci się podoba. Ale już puszczej, na litość boską. Pognieciesz mi marynarkę.

Firmowy lunch jest bardzo udany, tym bardziej że wszyscy piją na umór. Niestety ze względu na samochód nie mogę do nich dołączyć, wymykam się koło piątej i idę z Leilą na herbatę.

Leila jest zachwycona prezentem od Barneya i natychmiast chce mi pomóc wydać pieniądze. Oświadczam jej jednak, że prędeż położę się na środku Oxford Street i dam przejechać przez autobus, niż pójdę dziś jeszcze na jakieś zakupy.

- Poza tym nie powiedziałaś mi jeszcze, jak tam Latający Ho-lender?

- Zapowiada się całkiem interesująco, dzięki. Ale tym razem staram się trochę zwolnić tempo. Chociaż to cholernie trudne, bo jest naprawdę boski. Spotykam się z nim jutro, mam zerknąć na plany przebudowy domu. Prawdę mówiąc, jestem równie podekscytowana tymi planami jak tym, że go zobaczę. Nie sądzisz, że to zły znak?

- Nie, nie bądź głupia. Prawdopodobnie kręci cię wszystko po trochu. A jeśli nawet facet okaże się dupkiem, przynajmniej dom będzie wyglądał świetnie. Tak czy siak wygrywasz. Ale zostawmy to już. Kiedy masz zamiar odwiedzić mnie i Charliego? Mamy dla ciebie prezent.

To gwarantowany sposób, żeby wprawić Leilę w stan gorączkowego podniecenia. Uwielbia dostawać prezenty. Niesamowicie trudno coś dla niej kupić, bo sama gania bez przerwy po sklepach i ma już prawie wszystko, więc w tym roku uznałam, że najlepszy będzie prezent w stylu „kosz pełen niespodzianek”. Kupiłam jej całą masę małych błyszczących fatalaszków, a Charlie zrobił dla niej ramkę na zdjęcie, zużywając jakieś pół tony brokatu i cztery metry srebrnej wstążki. Do środka włożył fotografię Leili, jak trzyma go na rękach jakąś godzinę po urodzeniu i narysował specjalny obrazek z podpisem „Kocham Leilę”. Na obrazku dominuje róż, razem z mnóstwem

srebra i złota. Będzie zachwycona. Mówię jej o rewelacjach Lawrence[^] na temat Macka; pociesza mnie, mówiąc:

- Nie wierz w te bzdury, to raczej Barney ma rację.

Zastanawia się, czy nie zadzwonić do swojej znajomej w Nowym Jorku, mogłaby się wszystkiego dowiedzieć, ale stwierdzam, że mnie to nie obchodzi. Obie wiemy, że to kłamstwo, ale udajemy, że tak nie jest i zaczynamy rozmawiać o projektach przeróbki jej łazienki.

Nadchodzi wieczór bożonarodzeniowego przedstawienia, zawożę więc Charliego do sali parafialnej. Wita nas dziwaczna procesja dzieciaków poprzebieranych za przeróżne zwierzęta gospodarskie. Jest bardzo zimno; siedzimy z Kate na widowni całe wieki, czekając na rozpoczęcie przedstawienia i nasłuchując stłumionych huków i stuków dobiegających zza kurtyny. Sally i Roger przychodzą spóźnieni i siadają na krzeselkach, które dla nich zajęłyśmy. Dowiadujemy się, że William miał w ostatniej chwili drobny problem ze swoim owczym kostiumem. Napięcie na widowni sięga zenitu, kiedy kurtyna podnosi się nareszcie i przedstawienie się zaczyna. Prawie natychmiast w oczach stają mi łzy: drobniutki chłopczyk w kostiumie osiołka spada ze sceny, a mała owieczka wstaje na dwie nogi i macha do swojej mamy. Maria jest bardzo stremowana i nie może mówić, dopóki nie dostaje potężnej sójki w żebra od jednego z aniołów. Prawdopodobnie jest to Sophie Bates. ale trudno to stwierdzić pod szopą srebrnej lamety.

Zapomniałam wziąć ze sobą chusteczek, więc jestem zmuszona bez przerwy pociągać nosem, ale na szczęście połowa widowni robi to samo. Władze szkolne postąpiły bardzo rozsądnie, zakazując rodzicom robienia zdjęć i kręcenia za pomocą domowych kamer, bo w zeszłym roku doszło niemal do bójki między dwoma tatusiami, którzy zaczęli się przepychać, by zająć najlepsze miejsce z tyłu sali. W tym roku tylko komitet rodzicielski kręci film, pieniądze ze sprzedaży zasilą budżet szkoły. Kamerę trzyma pan Jenkins. Nie jestem pewna, czy aby na pewno wie, na czym polega automatyczny zoom, bo bez przerwy podbiega do przodu, a potem cofa się bardzo powoli. Staram się jednak nie wychylać, bo odmówiłam współpracy, kiedy pani Harrison-Black zasugerowała, że powinnam sprowadzić jednego z „tych moich reżyserów”, żeby nakręcił film. Wyjaśniłam, że każdy ze znanych mi reżyserów pre-

dziej zadźgałby się widelcem, niż dał wciągnąć w jakąkolwiek amatorszczyznę. Nie wydawała się przekonana, więc dodałam jeszcze, że potrzebowaliby całej ekipy i byłiby zdolni zburzyć ściany salki parafialnej do fundamentów, byle tylko mieć odpowiednie światło. Pani Harrison-Black przyznała, że pastor nie byłby z tego zadowolony. I chociaż w końcu dała mi spokój, i tak na pewno pomyślała, że niepotrzebnie się popisuję i udaję wielką artystkę.

Na scenę wchodzi James i William, przebrani za owieczki, by odśpiewać *Kiedy pastuszkowie stad swych pilnowali* - a z nimi Charlie, entuzjastycznie trzepocząc skrzydłami. Połowa widowni wybucha śmiechem, po czym dzielnie usiłuje to zamaskować głośnym kaszlem. Piosenka się kończy, widownia klaszcze. Charlie trzepocze jeszcze trochę skrzydłami, widownia klaszcze głośniej. Widzę, że Charlie jest zachwycony i przymierza się do bisu, ale zza kurtyny wylania się ramię pani Pike i usuwa go z pola widzenia. Na środku sceny zostaje tylko kilka piórek.

Przedstawienie toczy się dalej; rodzi się dzieciątko, a rockandrollowa wersja *W żłobie leży* zaprezentowana przez klasę muzyczną jest jednym wielkim nieporozumieniem, choć chłopiec przy perkusji wykazuje wielki entuzjazm. Przychodzi pora na finałową piosenkę, wszyscy gromadzą się na scenie i śpiewają *Życzymy wam wesółych Świąt*. Pojawia się pani Taylor i w kilku słowach dziękuje gościom za przybycie. Przypomina, że wszyscy muszą zostać jeszcze chwilę w sali i kupić herbatę i paszteciki ze stoiska komitetu rodzicielskiego, a w tym czasie nauczyciele sprowadzą dzieci ze sceny i rozbiorą z kostiumów. Mam poważne obawy, że szanse na wydobycie Charliego z jego kostiumu są zerowe. Przez całe przemówienie dyrektorki mój syn macha skrzydłami i kilka osób rzuca mi ubawione spojrzenia. Następują gromkie brawa, a dzieci kłaniają się bardzo zadowolone. Opada kurtyna i zapalają się światła, po czym wszyscy ruszają w stronę wózka z herbatą.

Kate uznaje, że kostium Charliego jest genialny i pyta, czy może go pożyczyć dla swojego wstrętnego bratanka, Liama, żeby mógł się przebrać na tradycyjne polowanie, urządzone przez jej ojca w drugi dzień świąt. Mówi, że zastrzelenie Liama byłoby dla wszystkich wielką przysługą, a wujek Geoffrey zawsze się tak upija, że strzela do wszystkiego, co się rusza. W zeszłym roku o mały włos nie zamordował Polly, rodzinnego labradora.

W końcu pojawia się pani Pike z dziećmi, które zaczynają biegać z wrzaskiem, ciesząc się, że skończyła się ich gehenna. Zgodnie

z moimi przewidywaniami Charlie wciąż jest w kostiumie: macha rękami i kłuje wszystkich dziobem. Pani Pike podchodzi się przywitać, ale ponieważ w drugim końcu sali wybucha awantura z udziałem bandy małych chłopców i pasztecików, rusza w te pędy rozwiązać problem.

Charlie wchodzi na krzesło, bo chce pokazać wszystkim, jak lata, czuję, że chyba powinniśmy się zbierać. Na dworze pada śnieg; masy płatków wirują w powietrzu, co wygląda naprawdę bajkowo. Wniebowzięty Charlie biega w kółko, próbując łapać śnieżynki na rozpostarte skrzydła. Mijająca nas furgonetka o mało nie wjeżdża w ścianę. Kierowca po prostu osłupiał na widok wielkiego, ptakopodobnego stworzenia, gorączkowo upychanego do samochodu przez jakąś kobietę - czyli przeze mnie. Kiedy jesteśmy już w domu, muszę się strasznie namęczyć, by przekonać Charliego, że nie może spać w swoim bażancim kostiumie.

- Muszę go mieć na sobie na wypadek, gdyby przyszedł wilkołak. Będzie zaskoczony i wtedy ja go udużę.

- Charlie, wilkołaki nie istnieją. Jeśli będziesz spał całą noc w kostiumie, wszystkie piórka podpadają. A teraz przestań się wygłupiać i zakładaj piżamę.

- Nienawidzę cię, mamusiu. Naprawdę.

- Wiesz co, byłeś świetny w przedstawieniu. Nie mogę się już doczekać, kiedy kupię film i wszystkim go pokażę.

- Pokażesz go też u siebie w pracy?

- O tak.

Smutna prawda jest taka, że prawdopodobnie rzeczywiście go pokażę. Barneya ubawi do łez fatalność nagrania i umiejętności operatora. Zawsze jest tak samo, ile razy przynoszę do biura zdjęcia Charliego. Barney upiera się, że chce obejrzeć „fotki”, po czym dostaje ataku śmiechu i wyraża zdziwienie, że tak mało się nauczyłam, przebywając tak długo z ekspertami.

- Jak zobaczą ten film u ciebie w pracy, to może będą chcieli, żebym wystąpił w filmie.

Po moim trupie. Zupełnie sobie nie wyobrażam kombinacji Charliego i ekipy filmowej, wiem tylko, że skończyłoby się to łzami. Głównie moimi.

- Pośpiesz się i zakładaj piżamę, to może ci poczytam.

- No dobrze, mamusiu, ale dzioba nie zdejmuję.

Trochę dziwnie się czuję, czytając książkę o pingwinach małemu chłopcu z wielkim, srebrnym dziobem na twarzy. Kiedy później

do niego zaglądam, śpi z dziobem wciąż przymocowanym do twarzy, chrapiąc głośno i ściskając w ręce garstkę piór. Nie mogę się doczekać, kiedy będę miała kopię filmu. To będzie mój mały skarb. A także przydatny element przetargowy, kiedy mój syn będzie już nastolatkiem i zacznie się przejmować, co o nim myśla dziewczyny.

Nadchodzi ostatni dzień półroczna, a ja wciąż mam długą listę rzeczy, które muszę załatwić przed świętami. Zaczynam powoli wpadać w rozpacz; jeżdżąc samochodem, mamroczę pod nosem coś o mandarynkach i żurawinowej galaretkie, w przerwach między piosenkami z nowej kasety Whitney, którą kupiłam ostatnio zamiast prezentu dla cioci Joan. Ale *I will always love you* nie zamienia mnie już w szlochającą kupkę nieszczęścia; prawdę mówiąc, zaczyna mnie nawet trochę irytować. Zawsze to jakiś postęp.

Dziś w szkole jest dzień bez lekcji i dzieciom wolno przynieść do szkoły zabawkę. Charlie chce zabrać cały zamek lego razem z rycerzami, armatą i przeróżnymi zwierzętami, ze smokiem na czele. Mówię mu, że wolno mu zabrać tylko jedną małą zabawkę, ale zupełnie nie chce mnie słuchać. W końcu uciekam się do starej sztuczki Kate i udaję, że dzwonię do pani Pike, by się jej poradzić. Charlie podskakuje w kuchni, czekając na wynik konsultacji. Kiedy kończę udawaną rozmowę i potwierdzam, że dozwolona jest tylko jedna zabawka, przyjmuje to bez szemrania. Nie wiem, dlaczego to takie denerwujące, ale jednak jest.

Ostatecznie wybiera ohydny goryla, który przemienia się w robota i wystrzeliwuje z czubka głowy małe plastikowe naboje. Jestem pewna, że pani Pike się to nie spodoba, ale nie mam siły wykonywać więcej „telefonów”. Wyruszamy do szkoły. Nie trzeba dzisiaj nosić mundurków i trochę to dziwne widzieć wszystkie dzieci w normalnych ubraniach. Wydają się o wiele bardziej swobodne i niesforne. Teraz rozumiem, dlaczego szkoły z takim uporem obstają przy mundurkach; dziecko w uniformie traci ducha, jeszcze zanim wejdzie w szkolne progi.

Kate i ja zgłosiłyśmy się do pomocy przy szkolnym przyjęciu świątecznym. Pani Harrison-Black dopadła nas z notesem przy szkolnej bramie i nie miałyśmy wyjścia. Do wyboru była pomoc przy podwieczorku albo kolędowanie. W zeszłym roku dwóch chłopców z grupy kolędników zgubiło się po drodze i wyznaczeni do pomocy rodzice spędzili długie godziny, wypatrując w egipskich

ciemnościach ich śladów na śniegu. Mieli już wzywać policję, kiedy wreszcie ich odnaleźli w domu u kolegi, gdzie oglądali filmy dla dorosłych. Wybrałyśmy więc z Kate obsługę przyjęcia, jako mniej uciążliwą. Zjawiamy się o drugiej, żeby pomóc przy ustawianiu stołów i natychmiast dociera do nas, że popełniłyśmy grubo błęd. Jakaś szalona kobieta przygotowała tony galaretki, wystarczyłoby dla całego hrabstwa. Każdy kęs przygotowanego jedzenia zawiera dość cukru, żeby posłać przeciętnego pięciolatka na orbitę, a na dodatek tyle konserwantów i barwników, że u nieprzyzwyczajonych mogą wystąpić ataki epilepsji. Na dodatek ktoś przydzielił nas do pilnowania najmłodszej klasy - większość maluchów wariuje z radości przy jedzeniu zwykłego szkolnego lunchu, a co dopiero mówić o chipsach i galaretkie.

Kate sugeruje, żeby jedna z nas udała omdlenie, a wtedy ta druga mogłaby ją odwieźć do domu, ale nie możemy się zdecydować, która ma mdleć. Poza tym na pewno jest tu ktoś z Czerwonego Krzyża, kto w ramach pierwszej pomocy zmusi symulantkę do siedzenia z głową w wiaderku. Nakrywamy więc stoły i próbujemy chować galaretkę. Uczestnicy przyjęcia przybywają tłumnie i następna godzina mija nam w przerażającym kotle wrzeszczących dzieci, mokrej bibuły, fruwającego jedzenia i bardzo głośnej muzyki. Pani Pike cały czas się uśmiecha, ale podejrzewam, że wpadła w trans. Pastor przebrany za Mikołaja już od wejścia zostaje osaczony przez tłum rozwrzeszczanych maluchów. Próbuje przechadzać się po sali, wlokąc za sobą dwóch chłopców uczepionych jego nóg, ale daje za wygraną. W końcu pani Taylor przywraca porządek, dmuchając raz po raz w gwizdek i zarządzając:

- Wszyscy paluszki na buzię, już!

Kate i ja stajemy z palcami na ustach. Pani Pike w końcu załapuje o co chodzi i robi to samo. Reszta personelu wyłania się z kuchni, gdzie się ukrywała. Mikołaj strząsa z siebie pasażerów na gapę i powoli zamieszanie przycicha. Pastor daje wszystkim dzieciom po garści cukierków, profilaktycznie, żeby utrzymać cukier we krwi na optymalnym poziomie, po czym wszyscy zaczynają się wymieniać i rzucać papierki na podłogę. Cieszymy się, że uda nam się wydostać z imprezy w jednym kawałku, ale nagle pani Taylor oznajmia, że zostało nam jeszcze trochę czasu na tańce, zanim przyjadą mamusie i tatusiowie. Czy ona zwariowała?

Najwyraźniej. Znów rozlega się muzyka i wszyscy zaczynamy tańczyć hokey-cokey, jakby zależało od tego nasze życie. Przy

okazji dokonujemy z Kate interesującego odkrycia: niektóre dzieci bez problemu odróżniają lewą nóżkę od prawej, podczas gdy inne muszą się bardzo skoncentrować, żeby rozwiązać ten problem. A kiedy im się wreszcie udaje, inni już od dawna kręcą biodrami. Charlie i James wykonują swoją własną wersję, która polega na tym, by wypiąć tyłek jak najdalej i nie stracić równowagi, a Phoebe po prostu podskakuje, zupełnie nie zwracając uwagi na muzykę. Jak to mówi Kate, te wszystkie lekcje baletu naprawdę się opłaciły. Na podłodze jest tyle galaretki, że dzieci padają pokotem, jedno po drugim. Większość z nich już się nie podnosi - machają tylko nogami w rytm muzyki, zającując jednocześnie kawałki jedzenia znalezione pod stołami.

W końcu zaczynają się zjawiać rodzice, by zabrać swoje pociechy do domów. Pewien bardzo elegancki tatuś jest przerażony widokiem swoich córeczek, pokrytych galaretką i okruchami chipsów i każe im siedzieć na gazecie rozłożonej na tylnym siedzeniu samochodu.

Do sprzątania po przyjęciu jest wyznaczona inna grupa, do której się nie zaliczamy, całe szczęście. Jedziemy więc wszyscy razem do domu Kate, taszcząc ze sobą całą masę paczek ze strojami gimnastycznymi, przyborami malarskimi i Bóg wie czym jeszcze. Charlie dostał jedną tenisówkę i spodenki; James nie ma spodenek, a za to dwie koszulki. Dzieci zasiadają przed telewizorem, a ja i Kate chowamy się w kuchni z fajkami i dżinem.

Upijam się do tego stopnia, że musimy wracać do domu pieczo. Kate pożyczyła nam wielką latarkę, która oświetla całą ulicę, a waży chyba z tonę. Jest bardzo ciemno i zimno i chyba znów zacznie padać śnieg. Charlie jest zachwycony nocnym spacerem. Błaga mnie, żebym wyłączyła latarkę, bo koniecznie chce przeżyć przygodę. Jestem zbyt pijana, żeby się sprzeciwić, wyłączam więc latarkę i natychmiast wpadam w jakiś spory krater, który wyskoczył nie wiadomo skąd, a zaraz potem na jakieś drzewko. Charlie bawi się świetnie, tym bardziej że słyszał, jak mówię słowo na k. Idziemy dalej ostrożnie, potykając się co chwila, aż w końcu mam tego dość i zapalam latarkę. Obiecuję mu, że wyłączę ją, kiedy będziemy już bliżej domu, ostatni kawałek będzie mógł przejść po ciemku.

Kiedy widać już nasz dom, dotrzymuję obietnicy i wyłączam latarkę. Znamy ten kawałek ulicy bardzo dobrze, więc maszeruje nam się bez większych trudności. Spoglądam w górę i widzę

miliony gwiazd, a Charlie udaje, że zna nazwy ich wszystkich i pokazuje mi Niedźwiedzicę, Lwa i Żyrafę. Kiedy nareszcie wchodzimy do domu, okazuje się, że ogień na kominku jeszcze się tli. Charlie jest wykończony i prawie zasypia na stojąco, kiedy pomagam mu się przebrać w piżamę. Jutro mamy kupić choinkę i wciąż zostało mi do załatwienia tyle rzeczy, że robi mi się słabo na samą myśl. Ale jestem jeszcze pijana, więc mam to w nosie. Nastal czas wesela i w rzeczy samej, bardzo mi wesoło.

Następnego ranka mam potwornego kaca, a Charlie jest denervująco hałaśliwy i podekscytowany planowanym kupnem choinki. Na śniadanie zjadam panadol i czarną kawę; Charlie je shred-dies. Jedziemy do pobliskiej szkółki leśnej. Kupuję ogromną choinkę i nagle orientuję się, że w żaden sposób nie zmieszczę jej do samochodu - chyba że Charlie usiądzie na dachu. Po bardzo długiej szarpaninie udaje mi się ją wtłoczyć do kabiny i nie przyciąć czubka drzwiami. Charlie kuca na tylnym siedzeniu, za moim fotelem, zapięty w pas bezpieczeństwa. Jęczy, że nie może oddychać i co chwilę twierdzi, że połknął sosnowe igły, ale w końcu docieramy jakoś do domu i wyciągamy cholerne drzewo z samochodu. Co roku kupuję specjalny stojak pod choinkę, bo nie mogę znaleźć zeszłorocznego. Uparłam się, że tym razem będzie inaczej i wyruszam na poszukiwanie. Odkrywam przy okazji całą masę rzeczy, z których utratą już dawno się pogodziłam. Wreszcie znajduję i stojak, na górnej półce bieliźniarki, za stertami starych ręczników i mat plażowych, których bezskutecznie szukałam latem. Wtykam choinkę do stojaka, o mało nie wydlubując sobie przy tym oka, i udaje mi się nawet ustawić ją prawie prosto. Zapach jest niesamowity. Charlie klaszcze i tańczy z radości.

Przy ubieraniu atmosfera staje się trochę napięta, jako że system Charliego polega na upychaniu wszystkich dekoracji na najniższe gałęzie, a ja próbuję rozmieścić je trochę bardziej równomiernie. Charlie idzie do siebie po więcej rzeczy do wieszania i wraca z najróżniejszymi plastikowymi ptakami, które według niego pasują do drozda kupionego przez nas w zeszłym roku. Drozd jest leciutki i pierzasty. Plastikowy orzeł waży tonę i wygląda, jakby miał za chwilę zanurkować i zjeść drozda na lunch. Flaming też wygląda dziwnie, tak samo zresztą jak czarny gumowy pajak, ale Charlie jest tak zadowolony z efektu, że pozwałam mu zostawić te paskudztwa na gałęziach. Przykrywam je tylko grubo lametą, kiedy nie patrzy. Lampki wciąż działają, co jest istnym cudem,

jako że Charlie wlaźł w pudełko. Siada przy choince i bez końca gapi się na światełka, jakby wpadł w jakiś trans, po czym biegnie do pokoju po więcej plastikowych zwierzątek, żeby ptaki nie czuły się samotne.

Ostatnie dni przed świętami spędzam na zakupach. Biorę też udział w niekończącym się szeregu świątecznych przyjęć, ale trzymam się dzielnie, nie upijam się za bardzo i nie robię niczego zenująco głupiego; raz tylko udało mi się przedstawić dwukrotnie tej samej kobiecie i wiem, że wzięła mnie za bardzo pijaną albo bardzo głupią. Albo jedno i drugie.

Wigilijny poranek Charlie spędza z Edną, aja wybieram się na ostatnie zakupy spożywcze. Nie zadaję sobie zbyt wiele trudu - idę do Marks & Spencer i kupuję po sztuce wszystkiego, co zostało jeszcze na półkach. Jestem pewna, że puszkowane kiwi kiedyś się przydadzą.

Indyka musiałam zarezerwować jeszcze w czerwcu i teraz nie bardzo pamiętam, co zamówiłam. Późnym popołudniem w Wigilię zjawia się furgonetka od rzeźnika i do moich drzwi puka dwóch mężczyzn z czymś, co wygląda na martwego strusia. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, po co zamówiłam tak wielkiego indyka, nie wiem też, jak go zmieszczę w piekarniku, ale duży dzin z tomkiem zapobiega panice. Kiedy jutro zjawi się mama, poproszę ją o pomoc.

Charlie wypisuje ostatnie instrukcje dla Mikołaja. Postanowił, że kiedy dorośnie, zostanie szpiegiem i teraz każdą prośbę czy polecenie muszę poprzedzać słowami „Twoja misja, czy ci się to podoba, czy nie”. Chce dostać specjalny zegarek, z którego można strzelać, i pióro strzykające zatrutym atramentem, ale wyjaśniam mu, że Mikołaj nie przynosi prezentów, które mogą kogoś zabić, oczywiście nie licząc rolek. Zaczynam mieć dość tej całej szpiegowskiej historii. Wczoraj w Safeway's dostałam prawie szalu. „Twoja misja, czy ci się to podoba, czy nie, polega na znalezieniu mąki i wsadzeniu jej do wózka.” Oznajmiam mu, że jego nowa misja, czy mu się to podoba, czy nie, polega na pójściu do łóżka i zaśnięciu, bo inaczej Mikołaj wcale nie przyjdzie. Pakuję prezenty jak w transie, gubię nożyczki i jestem pewna, że też je zapakowałam, ale nie mam siły otwierać wszystkich paczek, wołam przynieść nożyczki do paznokci. Mam tylko nadzieję, że Charlie nie

dostanie nożyczek w którymś ze swoich prezentów, bo będzie chciał je zatrzymać i ciąć, co popadnie.

Niechcący upijam się trochę za bardzo, bo po każdym zapakowanym prezencie pociągam łyżeczkę wina. Rezultat jest taki, że zataczam się, układając prezenty na kanapie i pod choinką. Wdrapanie się na górę z pończochami Charliego okazuje się dość skomplikowane, ale w końcu jakoś sobie z tym radzę i padam do łóżka. Rano Charlie budzi mnie, wrzeszcząc:

- Był, mamusiu! Był! - i grając na trąbce; nie pamiętałam, że kupiłam mu trąbkę. Nigdy więcej nie kupię trąbki, chyba że dla dziecka, którego rodziców nienawidzę. Moje łóżko jest wkrótce pełne kawałków papieru, a Charlie wcina czekoladowe pieniądze i trąbi ile sił w płucach. Potrzeba wszystkich moich umiejętności dyplomatycznych, by zgodził się zostać w łóżku jeszcze godzinę i pobawić małymi zabawkami z pończoch. Trąbkę chowam pod poduszką. Zaczynam żałować kolejnych trzech zakupów: balonu w kształcie kurczaka, który wydaje nieprzyzwoite dźwięki, małej, giętkiej latareczki, którą można zaświecić do ucha, i książki z niegrzecznymi wierszykami.

W końcu nie mogę dłużej znieść tego wszystkiego, więc wstajemy z łóżka. Charlie znajduje w salonie wielką stertę prezentów i wpada w istny trans, rozrywając ozdobny papier i wrzeszcząc z zachwytu. Natychmiast chce grać w swoją nową grę planszową, budować nowy statek kosmiczny z lego i oglądać nowy film na wideo, oczywiście wszystko jednocześnie, i odmawia jedzenia na śniadanie czegokolwiek oprócz czekolady. Biorę się za obieranie brukselek, a Charlie „pomaga”, krojąc marchewki małym, tępym nożem; nad każdą schodzi mu jakieś dziesięć minut. Potem przez całe wieki karmi Buzza i Woody'ego skórkami, żeby też miały świąteczny lunch. Ozdabiamy ich klatkę lametą, wyglądają bardzo odświętnie. Przybywa kawaleria w osobach mamy i taty. Tato zajmuje Charliego klockami, a mamie, kiedy już przestaje się śmiać na widok tak wielkiego indyka, udaje się wyliczyć, ile czasu potrzeba na pieczenie tego cholerstwa. Mówi, że po upieczeniu będzie musiał „odpocząć” pół godzinki i poczekać na ziemniaki, bo wszystko razem nie zmieści się do piekarnika. Bardzo mi się podoba pomysł półgodzinnego odpoczynku i sama chętnie bym z niego skorzystała, najlepiej od razu, ale mama stwierdza dość jadowicie, że pasternak sam się nie poobiera, po czym prosi o kieliszek sherry.

Zjawiają się ciocia Joan i wujek Bob. Nie bardzo rozumiem, dlaczego ciocia Joan pomyślała, że spodoba mi się fartuszek z napisem „Kucharze robią to na stojąco”, ale i tak jej dziękuję. Rodzicom bardzo podoba się prezent od Charliego: płaskie gniazdko z małymi ptaszkami, ulepione z gliny, które wypaliliśmy w piekarniku. Chyba nieodpowiednio dobrałam temperaturę, bo potrzeba było paru dni, żeby stwardniało. Ptaszki są prześni ieszne, tym bardziej że Charlie uparł się pomalować je na pomarańczowo. Ciocia Joan zrobiła na drutach sweter dla Charliego - jakieś sześć numerów za duży, z listonoszem Patem z przodu. Charlie robi przerażoną minę, ale dziękuje pięknie cioci; potem rozmawiamy w kuchni szeptem i obiecuję mu, że nigdy, przenigdy nie będzie musiał go nosić.

Obiad jest gotowy dopiero w porze podwieczorku, ale wszyscy stwierdzają, że jedzenie jest pyszne. Ciocia Joan zaczyna długą opowieść, którą racy nas co roku, jak to kiedyś zaprosiła dziesięć osób na świąteczny obiad i zabrakło prądu. By zapobiec zanudzeniu gości, postanawiam otworzyć butelkę szampana, którą przyniósł wujek Bob. Jest to świetny sposób odwracania uwagi - wszyscy wiedzą, że nie opanowałam techniki otwierania szampana bez dodatkowych efektów, chowają więc głowy pod stół, żeby nie dostać korkiem.

Po chwili zamieszania przyjęcie toczy się spokojnie dalej. Upiekłam, poobierałam i posiekałam kasztany do posypania bruskelki. Zajęło mi to ze dwie godziny, a kiedy skończyłam, mama wtrąciła usłużnie, że można kupić gotowe, posiekane. Genialnie. Kiedy Charlie zaczyna wpatrywać się podejrzliwie w swoje bruskelki i wybierać kawałki kasztana, każę mu przestać się wydurniać. Może to trochę głupio z mojej strony, że tak mnie to denerwuje, ale jestem coraz bardziej zirytowana, aż w końcu mama wybucha śmiechem. Tato wyjaśnia, że kiedyś zrobiłam coś podobnego z migdałami z placka, i to bardzo miło, że Charlie godnie podtrzymuje rodzinną tradycję denerwowania matki przy jedzeniu. Uspokajam się powoli.

Podpalenie świątecznego puddingu okazuje się trudniejsze, niż myślałam. W końcu nalewam na niego tyle brandy, że dla odmiany płomień nie chcą dać się zdmuchnąć. Zjadam tyle słodkiej polewy, że robi mi się niedobrze, ale wszyscy inni są bardzo zadowoleni. Charlie jest wręcz zachwycony, bo w swoim puddingu znajduje pieniążek.

Obiad dobiega końca. Charlie zaczyna marudzić, żeby zagrać z nim w wojnę, ale opieramy mu się dzielnie. Wieczorem przyjeżdżają Lizzie i Matt. Obiad jedli u rodziców Matta i nie było zbyt przyjemnie, bo z babcią Matta jest coraz gorzej; prawie nikogo nie poznaje. Tym razem wzięła Matta za włamywacza i co chwilę rzucała w niego orzechami. Zostają wręczone kolejne prezenty; Charlie dostaje miecz, który ma ze trzy metry, więc bez przerwy musimy chować głowy. Na dodatek miecz wydaje przenikliwie świsty. Lizzie przeprasza, ale mówi, że Matt się uparł, bo wiedział, że Charlie będzie wniebowzięty. Zapowiadam Mattowi, że jeśli nie znajdzie sposobu, by uciszyć ten hałas, podwieczorek będzie jadł w ogródku razem z Charliem i jego mieczem. Matt wdaje się z Charliem w długie negocjacje, a ja uciekam do kuchni zaparzyć herbatę.

Świąteczny tort zostaje powitany wybuchami wesołości, bo Charlie i ja dekorowaliśmy go sami, ale i tak uważam, że moje renifery były śliczne. Charlie nalega, żeby zapalić świece, bo dopiero wtedy będzie prawdziwe przyjęcie. Dzwoni Leila i składa nam wszystkim życzenia: jej Latający Holender poleciał na ferie do Amsterdamu, a ona siedzi z przyjaciółmi w jakimś szkockim zamku. Mówi, że brzmi to o wiele wspanialej, niż wygląda; jest tak zimno, że do łóżka musi zakładać trzy pary skarpetek i wełnianą czapkę, ale poza tym bawi się świetnie.

Dzwoni też Kate, która dla odmiany bawi się fatalnie. Obiad był prawdziwą katastrofą, bo jej matka uparła się, że należy zmusić dzieci do zjedzenia brukselki, której nienawidzą. Nie chciała ich puścić od stołu, dopóki nie zjedzą wszystkiego, co mają na talerzach. Kate w końcu nie wytrzymała i nazwała ją faszystką, po czym zabrała dzieci na telewizję. Matka do tej pory jest obrażona, a Kate siedzi i wysysa likier z czekoladek.

Odrobinę oszołomiona uświadamiam sobie, że przez cały czas ani razu nie pomyślałam o Maćku. Spędziłam uroczy dzień i jestem bardzo szczęśliwa, chociaż w moim życiu nie ma Macka. Mam nadzieję, że dobrze się bawi - chyba że ma jakąś nową kobietę, bo jeśli tak, to życzę mu wszystkiego najgorszego. Wciąż jeszcze, ile razy zadzwoni telefon, mam nadzieję, że to on i wciąż jeszcze nałogowo słucham Whitney. Nie mogę też słuchać Sinastry, a zwłaszcza *New York, New York*. Ale z całą pewnością widzę już światło w tunelu.

Rodzice zostają na noc; siedzą w kuchni, przygotowując kolację, a ja w tym czasie kładę Charliego spać.

- Babci i dziadkowi bardzo się podobało moje gniazdko, prawda, mamusiu?

- Tak, kochanie.

- A tobie się podobają twoje kapcie?

- O tak, są prześliczne.

Prawdę mówiąc, to wierutne kłamstwo. Kapcie są ohydne i nie mam pojęcia, co napadło mamę, żeby mu podsunąć gigantyczne kapcie-króliczki z puchatego materiału, z kraciastą kokardą na każdym uchu.

- Wybrałem bardzo dobrze, prawda? Babcia trochę pomogła, ale ja je pierwszy zobaczyłem.

- Tak, kochanie. A teraz opatul się i śpij. Jest bardzo późno.

- Mamusiu, uwielbiam indyka. Ty też? Możemy go jeść jeszcze jutro?

- Tak, Charlie. Pojutrze pewnie też.

- Fajnie. Kocham cię, mamusiu. Jak stąd do księżycy. A ty jak bardzo mnie kochasz?

- Jak stąd do księżycy i jeszcze dalej.

- Tak, stąd do księżycy i jeszcze dalej. A teraz musisz powiedzieć „i z powrotem”.

- Dobrze, kochanie. I z powrotem. Dwa razy. A teraz zamknij się i śpij.

KONIEC